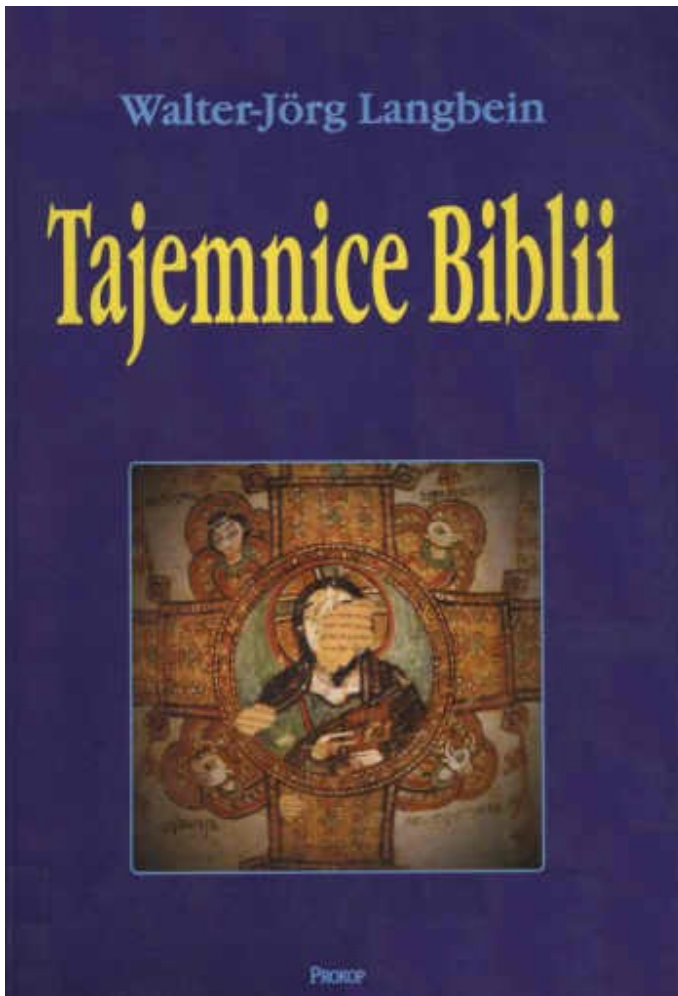


WALTER-JÖRG LANGBEIN

TAJEMNICE BIBLI

[Tytuł oryginału: "Geheimnisse der Bibel", 1997, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 2000, ISBN 83-86096-52-7]



Biblia, a przede wszystkim jej część młodsza, Nowy Testament, to bez wątpienia największy bestseller literatury światowej wszech czasów. Ale jest to zarazem książka, do której zaglądamy niezbyt często i niezbyt chętnie. (Nie zapominajmy, że jeszcze niedawno samodzielna lektura Pisma Świętego była przez Kościół katolicki zakazana. A i dziś słyhać czasem, głosy, że osoby bez odpowiedniego wykształcenia nie powinny Pisma czytać, bo mogą je opacznie zrozumieć.)

Tajemnice Biblii to praca niezwykła. Jej autor zadał sobie ogromny trud wyświetlenia części tajemnic, niejasności i nieporozumień, narosłych przez wieki wokół Księgi Ksiąg.

Dowiemy się na przykład, skąd wziął się wielbłąd, mający przejść przez ucho igielne, i komu była potrzebna konfrontacja Jezusa z kobietą przyłapaną na cudzołóstwie.

Przeczytamy, jakie mechanizmy sprawiły, że myśląc o Bożym

Narodzeniu widzimy obraz, przedstawiający Dzieciątko Jezus w zimowej scenerii, w stajence, między wołem a osłem. Dowiemy się, kim naprawdę byli trzej królowie i jaka prowadziła ich gwiazda. Dlaczego Boże Narodzenie obchodzimy akurat 25 grudnia, a Wielkanoc w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni księżyca?

Dlaczego Pannę Marię gdy była w błogosławionym stanie poddano próbie gorzkiej wody? Co było powodem, że Jezus wjeżdżał do Jerozolimy na dwóch osłach naraz? Jakie zadziwiające(?) księgi apokryficzne, czyli święte księgi, które nie doczekały się jeszcze(?), aby je włączyć do Pisma Świętego?

Te i wiele innych drażliwych kwestii porusza w niezwykle pasjonujący, choć niekiedy może kontrowersyjny sposób książka znanego niemieckiego teologa.

SPIS TREŚCI:

CZĘŚĆ PIERWSZA – STARY TESTAMENT

I. Ofiary z ludzi w Starym Testamencie

Abraham i koniec składania ofiar z ludzi • Kain, Abel i ofiary ze zwierząt.

II. O synach bogów i aniołach

Sekretny kult kabały i zagadka pierwszych dwóch słów Biblii • Niekompletna Biblia • Tajemnica trzech biblijnych wersetów: kto znajdzie ukryte imiona siedemdziesięciu dwóch aniołów? • Komputery łamią biblijne szyfry • Powieszeni synowie Ha(r)man(n)a

III. Merkaba – tajemnica niebiańskiego rydwanu

Ezechiel i wóz niebieski • Świadek Ezechiel

IV. Niebiańscy goście w czasach biblijnych

Dalsi świadkowie • O bogach, aniołach i demonach

V. Słownik wiedzy tajemnej i demony

Azazel i kozioł ofiarny • Lucyfer wznieca rewoltę przeciw Bogu

VI. Ludzie w wozach niebieskich

Abraham w wozie niebieskim • Rozmowa z „ojcem podróży kosmicznych”
Ezechiel w wozie niebieskim

VII. Tajemnicza świątynia Ezechiela

Czy Ezechiel był w Peru? • Czy Ezechiel był w Indiach? • Statki kosmiczne z kamienia • Atomowa broń bogów • Aniołowie z Sodomy • Tajemnica Widżajanagaram

VIII. Salomon i kradzież Arki Przymierza

Salomon i Śiwa • Salomon i Arka Przymierza • Okradzeni złodzieje

IX. Tajemnica terafów

Poszukiwania mówiących głów Pachacamaca • Na tropie terafów

X. Kabała i maszyna do produkcji manny

Maszyna do produkcji manny • Gdzie jest dziś maszyna do produkcji manny?

XI. Niebo, raj i piekło

Ojczyzna bogów • Raj na ziemi • Czy raj był w Kaszmirze? • Czy wiesz, gdzie jest piekło? • Niebo, piekło, zmartwychwstanie

CZĘŚĆ DRUGA – NOWY TESTAMENT

XII. Zagadka pochodzenia Jezusa

Jezus z Nazaretu czy Jezua z Kafarnaum? • Zrodzony z dziewicy • Sąd Boży próba gorzkiej wody • Rzymski legionista Pantera ojcem Jezusa? • Bracia i siostry Jezusa • Dwa tysiące lat sporów o Marię

XIII. Tajemnica magów z krajów Wschodu

Narodziny Jezusa • Tajemnica trzech zmarłych pochowanych w Katedrze Kolońskiej • Jezus a kult Mitry • Betlejemka rzeź niewiniątek • Czy ewangelie są dziełem świadków ówczesnych zdarzeń

XIV. Dzieciństwo i młodość Jezusa

Oczekiwanie zbawiciela • Śmiercionośna moc czarodziejska Jezusa • Jezus jako uzdrowiacz i „cudowny chłopiec” • Druga wizyta Jezusa w Świątyni • Jezus jako bluźnierca i potencjalny zabójca

XV. Zdradzenie Jezusa

Sen i powołanie – asceta czy „żarłok i pijak”? • Śmierć Chrzcziciela, czyli koniec wywrotowca • Jezus i esseńczycy • Pierwotne chrześcijaństwo a podpora państwa • Marcin Luter a wojny chłopskie

XVI. Jak rewolucjonista przeobraził się w „cudotwórcę”

Tajemnica głosu z nieba • Jezus, jego dwunastu uczniów i tajemnica „ludzi ze sztyletami” • Tajemnica „Damaszku” esseńczyków • Esseńczycy i fatalny błąd w tłumaczeniu • Jezus jako „cudotwórca” • Zafałszowany cud w Kanie Galilejskiej i wskreszenie zmarłych • Moja wola, twoja wola?

XVII. Droga na Golgotę

Czy uczeni w Piśmie zdecydowali o śmierci Jezusa? • Jezus i kobieta przyłapana na cudzołóstwie: scena wzruszająca, ale zmyślona • Jezus i przepowiednia zburzenia Świątyni • Jezus w Świątyni • Judasz Nie zdradził Jezusa! • Wypaczony obraz Ostatniej Wieczerzy • Uwięzienie, proces i śmierć Jezusa • Kim był Barabasz? • Kiedy umarł Jezus? • Całun Turyński i tajemnica zmartwychwstania

Postowie – Nadzieja powstania z martwych

Bibliografia

Słowo wstępne

Nie ma na świecie książki równie popularnej jak Księga Ksiąg – Biblia. Przetłumaczono ją na około 2000 języków i dialektów – fragmenty lub całość – i wydano w nakładzie co najmniej trzech miliardów egzemplarzy. W samej Japonii, gdzie wyznaje chrześcijaństwo tylko jeden procent ludności, przez ostatnie dziesięć lat wydrukowano około 150 milionów egzemplarzy Biblii.

Biblia jest dostępna dla około dziewięćdziesięciu ośmiu procent ludności świata, choć jeszcze kilkaset lat temu większości chrześcijan Księgi Ksiąg czytać nie było wolno.

W szesnastowiecznej Anglii istniał tylko jeden jej łaciński przekład, zastrzeżony dla duchownych. William Tyndale (ok. 1494-1536) poważił się przełożyć na angielski fragmenty Starego Testamentu i cały Nowy Testament. Tym samym naruszył prawo. Choć był uznanym uczonym – wykładał na Uniwersytecie Cambridge – musiał porzucić karierę akademicką. Przez pięć lat się ukrywał: W końcu go pojmano, uwięziono, oskarżono o kacerstwo, skazano na śmierć i stracono przez uduszenie. Zwłoki publicznie spalono.

Wbrew powszechnemu mniemaniu pierwszego przekładu Biblii na niemiecki wcale nie dokonał Luter. Nie wiadomo, kto był jej tłumaczem. Ukazała się w 1466 roku w Strasburgu. Nieznani są też tłumacze pozostałych czternastu niemieckich wydań Biblii, które sporządzono i wydrukowano przed Lutrem.

Dziś Biblia jest dostępna powszechnie. A jednocześnie nie ma innej książki, którą drukuje się tak często, a czyta – tak rzadko. W prawie każdym domu w Europie jest co najmniej jeden egzemplarz Biblii, czytuje się jednak – jeśli w ogóle – prawie wyłącznie Nowy Testament. Na Boże Narodzenie zapełniają się puste zazwyczaj ławki w kościołach, przypominamy sobie ewangelie, czytamy czasem opowieść o Bożym narodzeniu. Zwykle jednak Biblii nie poświęca się wiele uwagi. Jak wynika z ankiety przeprowadzonej ostatnio w Niemczech, na stu właściciele Pisma Świętego czytuje je zaledwie piętnastu.

Teksty Starego Testamentu spisano po hebrajsku i aramejsku; Nowego Testamentu po aramejsku i grecku. Powstawały one przez około półtora tysiąclecia. Teksty najstarsze datuje się na około 1200 rok p.n.e., najmłodsze na około 150 rok n.e. Wersji oryginalnej nie ma. Dziś znamy około 1700 hebrajskich rękopisów zawierających różne fragmenty Biblii. Biblioteki naukowe całego świata strzegą ich jak najdroższych skarbów.

Dlaczego kler aż do XVI wieku uniemożliwiał zwykłym ludziom wyrobienie sobie własnego poglądu na teksty biblijne? Czy obawiał się utraty dominującej pozycji w społeczeństwie? A może głoszenie tego, co miało być „słowem Bożym” było zastrzeżone dla duchowieństwa? Czy obawiano się, że w trakcie samodzielnych studiów laik zrozumie, że Biblia – przede wszystkim zaś Stary Testament – jest wszystkim tylko nie dziełem zbożnym i budującym? Że dowie się ze Starego Testamentu o tajemniczych kultach?

Do dziś zachowały się tam wyraźne wzmianki o powszechnym niegdyś wielobóstwie. Kiedy kapłani wprowadzali już monoteizm, bogom nadal składano ofiary z ludzi.

W Starym Testamencie jest mowa o bogach, o synach bożych i o demonach – wszyscy oni zstępowali z nieba na ziemię. Niektórzy zaś nie zawsze żywili dobre zamiary wobec ludzi. Czy były to postacie rzeczywiste, istoty z krwi i kości? A może przybysze z Kosmosu?

Stary Testament jest pełen tajemnic: wyznawcy sekretnego kultu kabały starali się zgłębić, co one kryją. Tworzyli sekretne teksty uzupełniające, dostępne dla niewielu wtajemniczonych. Nie bali się nawet manipulować tekstami Starego Testamentu dla ukrycia sekretnych przesłań, które w naszych czasach udaje się niekiedy odczytać za pomocą komputerów. W Biblii można znaleźć rzeczy przerażające i zaskakujące zarazem – jak choćby proroctwo mówiące o wielokrotnym mordercy Harmannie i jego „dziesięciu synach”, przepowiednia ta wymienia dokładny dzień stracenia dziesięciu byłych hitlerowskich dostojników.

W Starym Testamencie i w sekretnych pismach kabalistów jest mowa o „rydwanie niebieskim”. Ale bardzo podobne treści niosą również teksty staroindyjskie. Czy przed tysiącami lat istoty pozaziemskie przybywały na naszą planetę? W każdym razie zagadkowe pojazdy latające opisano w Starym Testamencie tak dokładnie, że pewien amerykański inżynier, pracownik NASA zdołał na ich podstawie zrekonstruować w

najdrobniejszych szczegółach statek kosmiczny. Inny zaś, niemiecki, twierdzi nawet, że świątynia opisana przez proroka Ezechiela była stacją diagnostyczną pozaziemskich statków kosmicznych. Gdzie się znajdowała?

Na pokład „rydwanu niebieskiego” wzięto Abrahama. Z kolei Ezechiela zawieziono drogą powietrzną do nieznanego, dalekiego kraju. Czy były to Indie? A może Ameryka Południowa? Czy istoty pozaziemskie umożliwiły mu odbycie podróży powietrznej na inny kontynent?

Czy „bogowie” opanowali przestrzeń powietrzną Indii i Izraela? Czy stosowali tam broń atomową? Czy Żydzi porozumiewali się z nimi za pomocą tajemniczych „mówiących głów”?

Czy Salomon posiadał latający pojazd? Czy wyznawał kult seksualności? Czy miał syna z królową Saby? Czy pozwolił, aby ukradziono i wywieziono do Indii najważniejszy obiekt obrzędowy Starego Testamentu, Arkę Przymierza?

Czy na czas ucieczki z Egiptu istoty pozaziemskie dały Izraelitom skomplikowaną przenośną aparaturę do produkcji manny? Naukowcy twierdzą, że udało im się odtworzyć jej konstrukcję! Urządzenie to było zasilane energią atomową. Czy elementy tego aparatu przechowywano w Arce Przymierza? Czy fakt, że wielu ludzi zmarło przy bezpośrednim kontakcie z tym obiektem kultu, spowodowało promieniowanie?

Autor tej książki znalazł w tekstach biblijnych wzmianki o gościach z Kosmosu. Poszedł więc tym śladem – i jako, jedną z możliwych hipotez proponuje „rozwiązanie pozaziemskie”. Mogłoby ono stanowić rozwiązanie niektórych zagadek.

Druga część książki dotyczy Nowego Testamentu. Skrupulatne przestudiowanie źródeł, na które – obok kanonicznych tekstów Nowego Testamentu – złożyły się księgi „zabronione”, czyli apokryficzne, oraz wiedza esseńczyków zawarta w zwojach z Qumran, prowadzi do wniosku, że biografia Jezusa z Nazaretu zawiera nadal mnóstwo tajemnic. Autor stara się je wyświecić. Ale wciąż nasuwają się coraz to nowe pytania, sprawiając, że lektura Nowego Testamentu jest dziś bardziej fascynująca niż kiedykolwiek. Czy Jezus został naprawdę zrodzony z „dziewicy”? Czy jego matka musiała poddać się „boskiemu sądowi gorzkiej wody”? Czy miał braci i siostry? Czy jako dziecko potrafił rzucać czary? Kim byli „mędrcy ze Wschodu”? Kim są trzej tajemniczy zmarli pochowani w Katedrze Kolońskiej? Jak kult Mitry wpłynął na biografię Jezusa? Czy betlejemską rzeź niewiniątek zdarzyła się naprawdę? Co przemilcza Biblia na temat dzieciństwa i młodości Jezusa? Kim był nauczyciel Jezusa, Jan Chrzciciel? Dlaczego go stracono? Co sądził Jezus o esseńczykach? Kim wśród uczniów Jezusa byli tajemniczy „ludzie ze sztyletami”? Gdzie znajdował się „Damaszek” esseńczyków? Kim był „Mesjasz z pustyni”? Co znaczą rany Chrystusa? Dlaczego zafałszowano opowieść o weselu w Kanie Galilejskiej? Dlaczego wymyślono spotkanie Jezusa z „kobietą przyłapaną na cudzołóstwie”? Co znaczy zajście z kupcami w Świątyni Jerozolimskiej? Czy Judasz istotnie był zdrajcą? Jak przebiegała Ostatnia Wieczerza? Czy opis uwięzienia, procesu i śmierci Jezusa jest historycznie prawdziwy? Czy Barabas był zbrodniarzem? A może za imieniem tym kryje się sam Jezus? Kiedy Jezus umarł? Czy zmartwychwstał naprawdę? Czy legendarny Całun Turyński dowodzi, że Jezus żył po śmierci?

Autor przybliżył nam historyczną postać Jezusa. Opisuje go takim, jaki był naprawdę. Rekonstruuje jego życie – od tajemniczych narodzin po śmierć na krzyżu na Golgocie.

U progu nowego tysiąclecia księgi Starego i Nowego Testamentu wydają się bardziej tajemnicze niż kiedykolwiek. Walter-Jörg Langbein przedstawia nam sekrety Księgi Ksiąg, którą znamy, ale nie znamy zarazem. Uwypukla zaskakujące fakty i odsłania fałszerstwa

wypaczające sens tekstu. Jego książka jest przewodnikiem po tajemnicach Biblii. Poznawanie Starego i Nowego Testamentu nie może być chyba bardziej zajmujące!

Mario Ringman, redaktor naczelny „Unknown Reality”

Część pierwsza – Stary Testament

I. Ofiary z ludzi w Starym Testamencie

U progu trzeciego tysiąclecia największe religie świata – chrześcijaństwo, islam i judaizm – cechuje bezwzględne jedynobóstwo. Ich ośrodkiem jest więc jedyny Bóg wszechmogący, uznawany i czczony jako Stwórca wszystkiego, co istnieje. Monoteizm jest formą religii stosunkowo młodą.

Pisarka Sandra Grabow pisze:

„Od kiedy ludzie żyją na naszej planecie, istnieją tu również »bogowie«. Niezależnie od miejsca i czasu ludzie – w zależności od stopnia rozwoju przypisują bogom wszelkie rzeczy niewyjaśnione. Starożytni Grecy twierdzili na przykład, że ziemię stworzyli bogowie, którzy powstałi z chaosu. Wierzono wtedy również, że to oni przynieśli na ziemię ogień” [Sandra Grabow, *Die Menschen und ihre Götter*, Frankfurt/Oder 1996.].

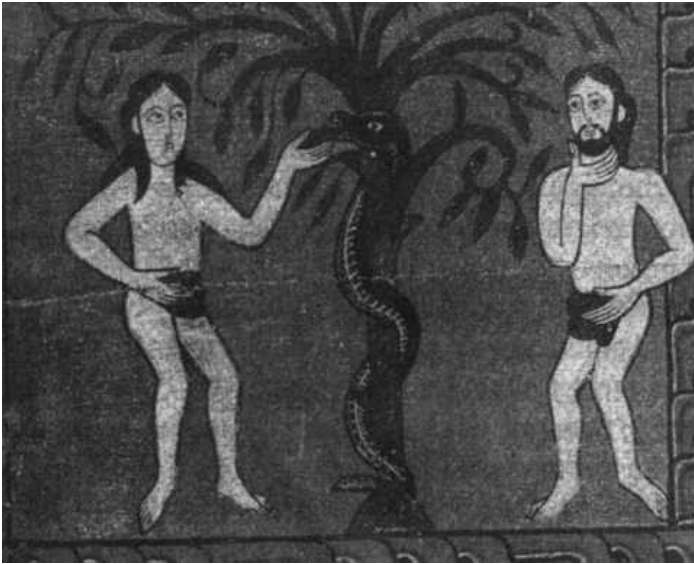
Z religijnohistorycznego punktu widzenia jedynobóstwo jest więc bardzo młode. W judaizmie pojawiło się zapewne około VII wieku p.n.e., w I wieku n.e. stało się podstawą chrześcijaństwa, a w VII wieku – islamu.

Religijny kult Biblii – a dotyczy to zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu – określa surowy wymóg jedynobóstwa. Ale w Starym Testamencie znajdziemy jeszcze wyraźne wzmianki o wielobóstwie.

Zdanie Biblii – chyba najlepiej znane tak praktykującym chrześcijanom, jak i przekonanim ateistom – brzmi: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”. Ale jeśli zdanie to – będące pierwszym wersem pierwszego rozdziału Pierwszej Księgi Mojżeszowej, czyli Księgi Rodzaju – przetłumaczymy wiernie, będzie ono brzmiało: „Na początku stworzyli bogowie niebo i ziemię”. W tekście oryginalnym bowiem jest mowa o bogach.

Kapłani starali się unormować życie religijne, pokierować kształtowaniem kultu Boga. Monoteizm miał zastąpić wielobóstwo, trwające od wielu tysięcy lat. W pierwszym z dziesięciorga przykazań napisano więc: „Nie będziesz miał innych bogów obok mnie” (II Mojż. 20, 3) [Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty biblijne według: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Warszawa 1991.]. Z przykazania tego nie wynika oczywiście w żadnym razie, że Bóg jest tylko jeden. Wyraża ono raczej nakaz, aby nie modlić się (już) do bogów innych, aby nie oddawać im (już) czci. Nie neguje się więc istnienia obcych bogów, tylko zabrania się wyznawać ich kult. Wolno się było modlić tylko do Jahwe, do Boga Izraela. Oto co czytamy u Izajasza o obcych bogach: „Oto oni wszyscy są niczym, ich uczynki to marność, ich bałwany to pusty wiatr” (Iz. 41, 29).

Przechodzenie na monoteizm dokonywało się w kulcie biblijnym stopniowo. Prorocy uważali się za głosicieli jedynobóstwa i ostrzegali dobitnie przed powrotem do politeizmu. Kiedy około 940 roku p.n.e. Ahab, syn Omriego i król panujący „nad Izraelem w Samarii”, pojął za żonę księżniczkę fenicką, wzniesiono tam świątynię boga Baala. Około 722 roku p.n.e. jedynobóstwo zapanowało dopiero w jednej części Izraela.



Il. 1. Pierwsi ludzie wyznawali wielobóstwo. Ewa, wąż i Adam na ilustracji z dwunastowiecznego hiszpańskiego manuskryptu

Nie miało to znaczenia tylko religijnego, niosło też ze sobą koniec składania bogom krwawych ofiar z ludzi, co było dotąd istotnym składnikiem kultu. Przez tysiąclecia ludzie byli wystawieni na kaprysy przyrody pozornie nieprzyjaznej i – jak im się zdawało – zagrażającej ich życiu. Obawiano się też dzikich zwierząt. Gdy budowali sobie domy, gdy uprawiali rolę, zawsze podstawy ich bytu mogły zostać zniszczone, choćby za sprawą klęsk żywiołowych. Ludzie myśleli, że za siłami przyrody kryje się działanie bogów – próbowano więc usposabiać do siebie te potężne istoty przychylnie, składając im ofiary.

Przez tysiąclecia wszystkie ludy składały bogom ofiary z napojów, roślin, zwierząt i ludzi. Uważano, że w ten sposób będzie można się uchronić przed przeciwnościami natury i skłonić bogów, aby dali ludziom odpowiednią ilość jedzenia, obfite żniwa i obdarzyli powodzeniem w łowach.



Il. 2. Wyobrażenie Boga jedyne jako Stwórcy wszystkiego jest stosunkowo niedawne. Religijny obraz z Francji, wczesny XV wiek

Składanie w ofierze ludzi, czyli ich obrzędowe zabijanie, któremu nierzadko towarzyszyły ponure rytuały, było uważane za szczególnie skuteczną metodę zdobywania przychylności bogów. Religioznawcy są zgodni co do tego, że ofiary z ludzi były rozpowszechnione w wielu regionach kuli ziemskiej – od Chin przez Afrykę i Amerykę po Europę. Także krwawe

walki gladiatorów w starożytnym Rzymie trzeba uważać za pamiątkę kultowych masakr. Dowódcy rzymskich oddziałów nierzadko sami składali się w ofierze – w nadziei, że bogowie zagwarantują ich wojskom zwycięstwo. U Etrusków staczano rytualne pojedynki – zabitym zakładano na twarz maskę Boga Śmierci. W dawnym Meksyku ofiarę z serc składali bogom Aztecy, a na cześć wszechmogących zamęczano ludzi na śmierć. Do rytuału należało na przykład obdzieranie ofiar żywcem ze skóry.

„W miarę pojawiania się religii wyższych i wzrostu wrażliwości etycznej zastępowano ludzi innymi rodzajami ofiar” [Lexikon Alter Kulturen, Mannheim 1993.]. Ale ofiary z ludzi w dawnym Izraelu były zapewne przez długi czas na porządku dziennym, bo w Starym Testamencie możemy znaleźć opis tego krwawego kultu.

Zanim Jefta wyruszył na wojnę z Amonitami, złożył ślubowanie. Kiedy wojnę wygra, złoży Panu w podzięcie na ofiarę całopalną to, co wyjdzie mu na spotkanie z jego domu. Jako pierwsza wyszła jego córka – jedynaczka. Krzycząc z bólu rozdarł szaty, ale ślubu dotrzymać musiał. Rozumiała to również córka. Młoda kobieta – Biblia nie wymienia jej imienia – poprosiła tylko o dwa miesiące zwłoki, które spędziła z „towarzyszkami” w górach, gdzie opłakiwała swoje „dziewictwo”. Potem wróciła posłusznie do domu i ojciec złożył ją w ofierze. Od tej pory weszło w zwyczaj, że „rokrocznie schodzą się dziewczęta izraelskie, aby przez cztery dni w roku nucić pieśni ku czci córki Jefty” (Sędz. 11, 1-40).

Kolejną taką ofiarę opisano w Drugiej Księdze Królewskiej. Mesza, król Moabu, nie chcąc ponieść sromotnej klęski w wojnie z Izraelitami, zaofiarował bogu swojego ludu, straszliwemu Kemoszowi, na ofiarę swojego jedyne go syna: „Wtedy [Mesza] wziął swego syna pierworodnego, który miał objąć po nim panowanie, i złożył go na całopalenie na murze” (2 Król. 3, 27). Śkutek nie kazał na siebie długo czekać. Kemoszowi udało się przepędzić Izraelitów: „powstało wielkie wzburzenie przeciw Izraelitom, tak iż musieli od niego odstąpić i powrócić do swej ziemi” (2 Król. 3, 27).

Także dzięki złożeniu ofiary z człowieka Jozuemu udało się porażkę zagrażającą jego ludowi zamienić na wspaniałe zwycięstwo nad mężami z Aj. Kiedy wojna z ludem Aj była już prawie przegrana, Achan, który zabrał rzeczy obłożone klątwą, został wraz z rodziną ukamienowany i pogrzebany. Pan przyjął ofiarę, król Aj zaś został zwyciężony i powieszony. Wszystko to opisano w Księdze Jozuego (7, 1-8, 29).

Również Agag, król Amalekitów, skończył złożony w ofierze. Z wdzięczności za zwycięstwo odniesione nad wrogiem „porąbał Samuel Agaga w kawałki przed Panem w Gilgal” (I Sam. 15, 33).

Okrutnych mordów rytualnych nie można zbyć mówiąc, że to tylko „bajeczki mrozące krew w żyłach”. Wykopaliska archeologiczne potwierdziły to, o czym pisze Biblia. W Gezerze, w najświętszej części świątyni, odkryto śmiertelne szczątki dwojga sześcioletnich dzieci, które zostały złożone w ofierze całopalnej, i dwie rozłupane czaszki osób dorosłych. W Meggido dziewczynkę mającą około piętnastu lat zamordowano i pogrzebano w murach fundamentowych potężnej budowli.

Nie ma wątpliwości: w dawnym Izraelu ofiary składane z ludzi były na porządku dziennym. Miały one dopomóc w wygrywaniu bitew albo miały zmniejszać skutki porażek. Ale miały się też przyczyniać do tego, że Bóg otaczał opieką na przykład budowany dom.

Abraham i koniec składania ofiar z ludzi

Abraham, jak napisano w Biblii (I Mojż. 17, 5), pierwotnie nazywał się Abram. Imię zmienił mu sam Bóg: „Nie będziesz już odtąd nazywał się Abram, lecz imię twoje będzie Abraham,

gdyż ustanowiłem cię ojcem mnóstwa narodów” (I Mojż. 17, 5). Istotnie – imię tego patriarchy znaczy „ojciec narodów”.

Biblia przedstawia drzewo genealogiczne Abrahama: jest on potomkiem Noego w dziesiątym pokoleniu, pierwszym człowiekiem, z którym Bóg znowu zaczął rozmawiać. Autorzy Biblii uważają go za osobę tak ważną, że nawet Mateusz kronikę genealogiczną Jezusa wywodzi przez króla Dawida aż od Abrahama. Gdybyśmy chronologię Biblii przyjęli dosłownie, to patriarcha ów urodził się 352 lata po potopie, czyli w 2018 roku p.n.e. Ale biblistyka do dziś nie potrafi ustalić dokładnej daty tego zdarzenia. Przedstawiono trzy różne teorie: według jednej Abraham żył w królestwie Sumerów, czyli mniej więcej w drugim tysiącleciu p.n.e., wedle drugiej w królestwie Mitanni, czyli między XVI a XIV wiekiem p.n.e., wedle trzeciej zaś w królestwie Ebla, którego rozkwit przypada na trzecie tysiąclecie p.n.e.

Podobnie jak znaczące jest imię Abrahama, tak samo imię Izaak coś znaczy – „śmieje się”. Kiedy Abraham dowiedział się od Pana, że sędziwa żona Sara uczyni go ojcem, roześmiał się serdecznie: „Czyż stuletniemu może się urodzić dziecko? I czyż Sara, dziewięćdziesięcioletnia, może rodzić?” (I Mojż. 17, 17).

Również Sarę rozbawiła informacja o bliskich rzekomo narodzinach potomka. Gdy usłyszała, że będzie miała dziecko, „roześmiała się Sara sama do siebie, mówiąc: Teraz, gdy się zestarzałam, mam tej rozkoszy zażywać! I pan mój jest stary! Na to rzekł Pan do Abrahama: Dlaczego to roześmiała się Sara, mówiąc: Czyżbym naprawdę mogła jeszcze rodzić, gdy się zestarzałam?” (I Mojż. 18, 12-13).

Ale cud się zdarzył: Abraham został ojcem, jego żona Sara, z biologicznego punktu widzenia od dawna po klimakterium, obdarzyła go synem Izaakiem. Jak cudowne są narodziny owego dziecięcia o radosnym imieniu, tak niepojęte jest żądanie Pana, aby Abraham złożył syna w ofierze: „i rzekł [Bóg]: Weź syna swego, jedynaka swego, Izaaka, którego miłujesz, i udaj się do kraju Moria, i złóż go tam w ofierze całopalnej na jednej z gór, o której ci powiem” (I Mojż. 22, 2).

Posłuszny Abraham wstał o świcie, narąbał drew, objuczył nimi osła, a potem wraz z synem i dwoma sługami wyruszył w drogę. Trzeciego dnia dotarł do miejsca, o którym powiedział mu Bóg. Zostawił sługi z osłem, a z Izaakiem wspiął się na górę. Tam zbudował kamienny ołtarz i ułożył stos, ale gdy wziął nóż do ręki i zamierzał ofiarować syna, anioł zawołał nań z nieba i przerwał rytuał. Zamiast syna Bóg pozwolił Izaakowi złożyć w ofierze barana.

Tę barbarzyńską scenę wykuto w świątyni na Świętej Skale w Jerozolimie. Czy przedstawione tam zdarzenie kiedykolwiek zaszło? Bibliści twierdzą, że opowieść o składaniu ofiary jest znacznie starsza od Biblii. Można przypuszczać, że to pradawna sumeryjska legenda, włączona do Starego Testamentu.

W swojej pracy [Franz Buggle, Denn sie wissen nicht, was sie glauben, Reinbek 1992.] prof. dr Franz Buggle z uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim napisał, iż scena ofiarowania dowodzi, jak okrutny był Bóg Starego Testamentu. Bóg, który w dowód absolutnego posłuszeństwa żąda od swojego sługi rytualnego mordu na jedynaku. Wydaje się jednak, że profesor, kierujący Katedrą Psychologii Klinicznej i Rozwojowej, nie ocenia właściwie najistotniejszych treści tekstu.

Można dyskutować, czy opis dotyczący Abrahama i Izaaka przedstawia zdarzenie historyczne, czy nie; czy jest to starożydowski „oryginał”, czy też „plagiat” tekstu sumeryjskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, dlaczego tak okrutny epizod włączono do Biblii: świadczy on o niezwykle istotnej zmianie w podejściu do kultu w Starym

Testamencie. W dawnym Izraelu czasów wielobóstwa krwawe ofiary z ludzi były na porządku dziennym. Panowało wówczas przekonanie, że wszechmogących można – i trzeba – usposabiać do siebie przychylnie właśnie w ten sposób. Ten ponury proceder wyszedł ze zwyczaju dopiero po przejściu na monoteizm, kiedy wprowadzono ofiary ze zwierząt. Kult składania ofiar z ludzi przeszedł do historii.

Kain, Abel i ofiary ze zwierząt

Politeizm został zastąpiony przez monoteizm. Cześć wolno było oddawać tylko Jahwe – jako Bogu jednemu. Teraz Wszechmogący, odrzuciwszy zwyczaj składania ofiar z ludzi, przyjmował tylko ofiary ze zwierząt. Tę zmianę wyjaśniono w innym miejscu Biblii, należącym do najbardziej znanych fragmentów Starego Testamentu.



II. 3. Kain zabija Abła, przedstawienie wczesnośredniowieczne. Epizod z Biblii symbolizuje odwrót od kultowego składania ofiar z ludzi

Jakiś czas po stworzeniu pierwszych ludzi Ewa dała życie dwóm chłopcom – najpierw Kainowi, potem Ablowi. „Po pewnym czasie Kain złożył Panu ofiarę z płodów rolnych; Abel także złożył ofiarę z pierwotnych trzody swojej i z tłuszczu ich” (I Mojż. 4, 3-4). Bóg przyjął ofiarę Abła ze zwierząt! – na ofiarę natomiast Kaina nie zwrócił uwagi. Wiemy, co było dalej. Kaina oburzyło odrzucenie jego ofiary, zabił więc Abła. Za morderstwo wraz z potomstwem został przeklęty.

Specjalista w dziedzinie Starego Testamentu, prof. dr Fohrer, powiedział mi kiedyś: „W czasach wielobóstwa zabicie brata w ofierze bogom byłoby odpłacone szczodrymi darami. Kiedy zapanował Jahwe i nastął monoteizm, krwawy kult został zakazany. Należało uświadomić wiernym, że ich jedyny Bóg zdecydowanie odrzuca ten zwyczaj”.

Dokładnej daty przejścia z wielobóstwa na jedynobóstwo nie da się oczywiście ustalić. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obie formy religii były w dawnym Izraelu równouprawnione przez wiele wieków, z biegiem czasu jednak zwyciężył monoteizm.

II. O synach bogów i aniołach

Dla wyznawców Jahwe wiele fragmentów ksiąg Starego Testamentu było oczywiście kamieniem obrazy. Chodziło o miejsca, w których mowa była nie o jednym, jedynym Bogu, lecz o bogach – w liczbie mnogiej. Z biegiem wieków zwolennicy Jahwe przepisywali więc czcigodne teksty zmieniając je tak, że dziś nie można już nawet powiedzieć, że są to teksty sensu stricte biblijne. Oryginału całości – jeśli kiedykolwiek istniał – nie da się więc

już dziś odtworzyć. W najsłynniejszym „oryginale”, znanym jako Kodeks Sinaiticus, w trakcie co najmniej siedmiu redakcji wprowadzono nie mniej niż 16 000 zmian. Niektóre fragmenty przepracowywano od razu trzykrotnie, a w końcu zastępowano czwartą wersją „oryginału”. Friedrich Delitsch, autor słownika hebrajskiego i najlepszy specjalista w tej dziedzinie, znalazł w tekście około 3000 błędów, powstałych wyłącznie skutkiem przepisywania.

Bez wątplenia przypadkowe były błędy wynikające z pośpiechu kopistów. Większą wagę mają natomiast zmiany wprowadzone świadomie – po to, aby teksty biblijne dostosować do nowej teologii, w której nie było miejsca na wielobóstwo. Dr Robert Kehl z Zurychu pisze: „Zdarzało się często, że ten sam fragment przez jednego korektora był »poprawiany« w jedną, przez innego zaś w przeciwną znaczeniowo stronę – zależnie od tego, jaki dogmat reprezentowała szkoła, z której dany korektor się wywodził”.

Wszystkie najdawniejsze teksty, które przetrwały do dziś, są bez wyjątku odpisami jeszcze wcześniejszych odpisów. A nie ma dwóch identycznych kopii. Naliczono ponad 80 000 różnic – a są to „tylko” te zmiany, które potrafimy dziś ustalić! Z odpisu na odpis wczuwający się w tekst pisarze inaczej formułowali wersety, dopasowując je do potrzeb swojej epoki. Najistotniejszą zaś wytyczną dla „poprawiaczy” było: z bogów (liczba mnoga) trzeba zrobić Boga (liczba pojedyncza)! Mimo to w dzisiejszej wersji „oficjalnego” hebrajskiego tekstu Starego Testamentu – nosi on nazwę Biblia Hebraica – 2250 razy pojawiają się „bogowie” (hebr. edohim). Nikt nie potrafi powiedzieć, w ilu miejscach określenie „bogowie” zastąpiono z biegiem wieków pojęciem „Jahwe”. W określeniu elohim kryje się zarówno arabskie słowo allah, jak i semickie el – bóg.

Wystarczy otworzyć Biblię hebrajską i przeczytać pierwszy werset pierwszego rozdziału Pierwszej Księgi Mojżeszowej – od razu mamy słowo elohim, czyli „bogowie”. Sens tego fragmentu jest więc taki: „Na początku stworzyli bogowie”. Werset ten zawiera jednak jeszcze jedną, ukrytą wskazówkę dotyczącą tajemniczego kultu, w którego odzwierciedleniu stały się hebrajskie teksty Starego Testamentu.

Sekretny kult kabały i zagadka pierwszych dwóch słów Biblii

Pod koniec XIII wieku, prawdopodobnie około 1290 roku, hiszpański Żyd Mojżesz bar Szem Tow de León z Guadalajary stworzył tajemne dzieło i opatrzył je tytułem Sefer ha-Zohar, co się tłumaczy jako Księga Blasku. Księga Blasku wywodzi się ponoć od księgi znacznie starszej, której autorem był Szymon ben Jochai, komentator i interpretator tekstów biblijnych, żyjący w II wieku n.e. De León znalazł podobno pradawny tekst tej księgi w pewnej grocie w Palestynie. Duże fragmenty tego dzieła są prawie niezrozumiałe. Ale pewne jest, że przed tysiącami lat w Izraelu wyznawano sekretny kult kabały, którego potężni przedstawiciele najlepiej poznali tajniki pism biblijnych. Były one dostępne tylko nielicznym wtajemniczonym. Zapewne we wspólnocie wyznawców tego kultu istniała jakaś hierarchia. Im wyżej stała dana osoba, tym więcej tajemnic znała. Misteria tego pradawnego kultu – nikt nie wie, kiedy powstał – były spisywane w dziełach dostępnych tylko wtajemniczonym, czyli w kabale. Ów tajemniczy kult, o którego naukach u progu trzeciego tysiąclecia wiadomo wciąż tak niewiele, wywodzi się ponoć od boskiego początku. Celem kabały jest odsłonięcie tajemnic zawartych przede wszystkim w Pięcioksięgu Mojżeszowym, na przykład wyjawienie zagadki stworzenia – oczywiście nie przed wszystkimi, tylko przed wtajemniczonymi. Nie potrafimy datować początków kabały. Pewne jest tylko, że przed około 2000 lat wywarł na nią wpływ grecki filozof Filon. Pierwsi chrześcijanie z II i III wieku n.e. byli jeszcze przekonani, że teksty biblijne zawierają wiedzę tajemną – próbowali ją zgłębić. Kabała, w formie znanej w Europie mniej więcej od X do XVII wieku n.e., pozwala zaledwie przeczuć, jaki był niegdyś naprawdę ów sekretny kult. To tylko słabe odbicie pradawnego oryginału, całej wiedzy tajemnej judaizmu.

Ale nawet dziś znajdziemy w Księdze Ksiąg krótki fragment, który zupełnie nie da się pogodzić z oficjalnym monoteizmem Biblii: „A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeni synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli. [...] A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły” (I Mojż. 6, 1-6). Tylko w tym miejscu Biblia mówi o „synach bożych” – nigdzie indziej nie wspomina o nich ani słowem.

Kim były owe tak żądne miłości, niechrześcijańsko nieczotliwe istoty, zainteresowane intymnymi kontaktami z ludzkimi kobietami?

W swojej książce prof. dr Alfred Lehmann z Kopenhagi, wybitny znawca kultu kabały, zwraca uwagę na ukrytą w hebrajskim tekście Pięcioksięgu Mojżeszowego wskazówkę, mówiącą o owych synach bożych. Profesor Lehmann pisze:

„Prawo Mojżeszowe zaczyna się, jak wiemy, słowem bereszit, co znaczy »na początku«. Słowo to jednak należy odczytywać jako bera szit, czyli »on stworzył sześć«” [Alfred Lehmann, Aberglaube und Zauberei, Stuttgart 1925.].

Nasuwa się pytanie: co to znaczy „on stworzył sześć”? Sześć istot? Jakich istot? Profesor Hans Schindler-Bellamy z Wiednia, archeolog bywały w świecie, znawca dawnego Izraela, uważa: „Z jednej strony Biblia zawiera skromną wzmiankę o synach bożych. Z drugiej – w sekretnych pismach kabały mamy wyraźne wskazówki na temat innych boskich istot, które obok elohim żyły jakoby na początku. Skąd istoty te przybyły, teksty powszechnie dostępne nie mówią. Ale chyba musiał stworzyć je Bóg?

Ten właśnie fakt ukryto zręcznie w dwóch pierwszych słowach Starego Testamentu, które można przełożyć albo jako »na początku stworzył«, albo jako »on stworzył sześć«”.

Niekompletna Biblia

W Starym Testamencie na próżno szukać informacji o kulcie kabały. Niech nas to nie dziwi, bo kabaliści stanowili niewielki krąg wtajemniczonych, którzy w sekrecie przed ogółem odkrywali i interpretowali prawdziwe znaczenie tekstów biblijnych. Tacy ludzie jak Szymon ben Jochai mieli też do dyspozycji niemalże nieogarnione stopy starożydowskich tekstów, z których tylko znikomą część włączono do Biblii.

Święte pisma biblijne można podzielić na dwie podstawowe grupy:

- a) teksty kanoniczne,
- b) teksty niekanoniczne.

Przez teksty kanoniczne rozumie się na ogół wszystko to, co dziś czytamy w Biblii: księgi możeszowe, prorockie, królewskie, Psalmy etc., oraz w Nowym Testamencie – cztery ewangelie, listy apostołskie, Objawienie św. Jana etc. Tekstów pozostałych nie kanonizowano – są to: Księga Henocha, Księga Ezry, Wniebowstąpienie Mojżesza i wiele innych.

Na pierwszych soborach powszechnych ustalono treść Biblii. Wszystko co wykraczało poza horyzonty umysłowe ówczesnego duchowieństwa (złośliwi twierdzą, że nie było ono zbyt rozgarnięte, niektórzy zaś uważają, że niewiele się pod tym względem zmieniło do dziś), nie weszło do kanonu, ergo w Biblii się nie znalazło.

Według tradycji żydowskiej już około 500 roku p.n.e. prorok Ezdrasz zebrał 120 pisarzy, którzy spisali jakoby cały tekst Starego Testamentu. Dziś wiemy, że 39 ksiąg Starego Testamentu powstało w trakcie długotrwałego procesu. Już w judaizmie nie wszystkie teksty wykorzystywano podczas służby bożej – a co dopiero rozumiano. Tak więc wiele fragmentów nie pasuje do koncepcji teologicznej. Bóg miał być jedyny i wszechmogący – zabrakło więc miejsca dla synów bożych. Dziwi tylko, że nie usunięto wersetów, które o nich mówią.

W tekście Księgi Henocha, którą trzeba zaliczyć do sfery tajemnego kultu kabały, też pojawiają się biblijni „synowie boży”. Imię Henoch znaczy „wtajemniczony”. W Biblii czytamy, kto wprowadzał skrzętnych pisarzy w tajemnice i misteria wiary – sam Bóg: „chodził Henoch z Bogiem” (I Mojż. 5, 22).

Księgę Henocha, w czym większość dzisiejszych biblistów jest zgodna, spisano pierwotnie w języku hebrajskim lub aramejskim. Nie dysponujemy już tekstem oryginalnym, który zaginął. Mało brakowało, a w ogóle nic by z tej księgi nie zostało, gdyby nie szczęśliwy przypadek. W Egipcie znaleziono mianowicie grecki przekład, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wywodzi się z tekstu wczesnochrześcijańskiego. James Bruce (1730-1794) w trakcie podróży po Etiopii odkrył jednak trzy egzemplarze Księgi Henocha. Profesor Richard Laurence, późniejszy arcybiskup Cashel, przełożył tekst na angielski, August Dillmann (1823-1894) na niemiecki. Oryginał powstał najprawdopodobniej w II wieku p.n.e.

U Henocha znów spotykamy biblijnych „synów bożych”. Oczywiście teraz są to już aniołowie. Ze zstąpienia synów bożych powstał w 6. i 7. rozdziale Księgi Henocha obszerny opis „upadku aniołów”.

„Stało się to w dni owe, kiedy ludzie się rozmnożyli, że narodziły im się córki piękne i wspaniałe. A gdy ujrzeli je aniołowie, synowie nieba, zapłonęli do nich miłością i rzekli: »Wybierzmy sobie niewiasty spośród potomków człowieka i spłodźmy z nimi potomstwo«. Wówczas powiedział Szemhazaj (Semjaza), ich wódz: »Lękam się, iż porzucicie wkrótce ten plan, ja zaś sam będę musiał odpokutować za tę ciężką zbrodnię«. Oni jednak odparli i rzekli: »Wszyscy przysiegamy i zobowiązujemy się pod wzajemną przysięgą nie zmieniać swojego postanowienia, lecz doprowadzić do końca to przedsięwzięcie«. Wtedy przysięgli sobie wzajem i zobowiązali się wzajemną przysięgą. A było ich dwustu, którzy zstąpili na Ardis, szczyt góry Hermon [...]. Wzięli zatem niewiasty, które każdy sobie wybrał, zbliżyli się do nich i mieszkali z nimi, i uczyli je czarów, zaklęć i użycia korzeni i drzew. [...] Azazel nauczał ludzi sporządzania mieczy i noży, tarcz i napierśników, wytwarzania luster, bransolet i ozdób, używania szminki, upiększania brwi, użycia kamieni kosztownych i wybranych pod względem rodzaju i barwy tak, iż cały świat się zmienił. Coraz większa była bezbożność. Rozprzestrzenił się nierząd, oni zaś grzeszyli i doprowadzali do zepsucia wszystko na swojej drodze. Amezjarak nauczał rzemiosła czarnoksięskiego i zielarstwa, Armaros nauczał odczyniania uroków, Barakijal astrologii i obserwowania gwiazd, Kakabel znaków, Tamiel astronomii, Azaradel zaś wyjaśniał bieg księżycy [...]”.

Tajemnica trzech biblijnych wersetów: kto znajdzie ukryte imiona siedemdziesięciu dwóch aniołów?

Jak już wspominałem, przed tysiącami lat w dawnym Izraelu wierzano w wielu bogów i obawiano się ich gniewu. Składano ofiary z ludzi. W tej krwawej pierwotnej religii Izraela byli też więc bogowie mniej ważni albo synowie bogów. Z przejściem na monoteizm ofiary z ludzi zniknęły, a wzmianki o wielobóstwie zaczęto wymazywać ze świętych tekstów. Ale nie udało się to do końca. Czy niektóre fragmenty mówiące o „bogach” po prostu przeoczono? To możliwe. Prof. dr Alfred Lehmann, zmarły 26 września 1926 roku, kilka

dni po operacji żołądka, już pod koniec XIX wieku doszedł do wniosku, że w ostatecznym opracowywaniu tekstów biblijnych brały udział dwie grupy redaktorów.

Pierwsza, oddana jedynobóstwu, starała się w miarę możliwości wymazać ze świętych tekstów wszystkie wzmianki o synach bogów i upadłych aniołach. Grupa druga, złożona ze zwolenników pradawnego kultu kabały, dążyła do zachowania pamięci o wielobóstwie. Przemyciała do Biblii wzmianki, które są ukryte przez wzrokiem nawet najbardziej uważnego czytelnika.

W Drugiej Księdze Mojżeszowej na przykład czytamy:

„A anioł Boży, który kroczył przed obozem Izraela, przesunął się i siedł za nimi. I ruszył słup obłoku sprzed oblicza ich i stanął za nimi, tak iż wsunął się między obóz Egipcjan i obóz Izraela. Z jednej strony obłok był ciemnością, z drugiej zaś strony rozświetlał noc. I nie zbliżyli się przez całą noc jedni do drugich. A Mojżesz wyciągnął rękę nad morze. Pan zaś sprowadził gwałtowny wiatr wschodni wiejący przez całą noc i cofnął morze, i zamienił w suchy ląd. Wody się rozstały” (II Mojż. 14, 19-21).

Profesor Lehmann odkrył, że te trzy wersety zawierają sekretne przesłanie – oczywiście tylko w oryginale. Żeby przesłanie to przetłumaczyć, trzeba wiedzieć, że kabaliści zastosowali tu pewien trick.

Każdy z tych trzech wersetów hebrajskiego tekstu ma równo 72 litery... co odpowiada liczbie 72 upadłych aniołów, o których Żydzi wyznający monoteizm chcieli zapomnieć. Czy to przypadek? Profesor Lehmann uważa, że nie: „To ma na pewno jakieś sekretne znaczenie”. I rzeczywiście udało mu się przesłanie to rozszyfrować:

„Jeśli te trzy wersety (hebrajskiego oryginału) napiszemy w trzech liniach – jeden nad drugim, do tego werset pierwszy z prawej do lewej, drugi z lewej do prawej, a trzeci znowu z prawej do lewej, to otrzymamy 72 pionowe rzędy po trzy litery. Każdy z tych rzędów tworzy trzyliterowe słowo. Jeżeli do poszczególnych słów doda się teraz zakończenie al, jh albo jah, to otrzyma się imiona 72 aniołów”.

Komputery łamią biblijne szyfry

Profesor Lehmann przed około 100 laty po mozolnym eksperymentowaniu ze starohebrajskimi tekstami odkrył ukryte przesłanie trzech wersetów biblijnych. U progu trzeciego tysiąclecia w Izraelu pojawili się godni go następcy: dwaj pracownicy politechniki z Hajfy. Bibliista, dr Mosze Katz, i komputerowiec, dr Menachem Wiener zamierzali się dowiedzieć, czy oryginalny hebrajski tekst Starego Testamentu nie kryje jakichś zaszyfrowanych informacji. Zaczęli od Pięcioksięgu Mojżeszowego, czyli od Tory, a więc od tekstów, których sekretnemu znaczeniu poświęcali się kabaliści. Potem dr Katz i dr Wiener zbadali wszystkie 39 ksiąg Starego Testamentu. Było im oczywiście znacznie łatwiej niż profesorowi Lehmannowi, bo mieli do dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia do przetwarzania danych w Izraelu.

Informacje uzyskane przez obu badaczy mogą w pierwszej chwili sprawić na laiku wrażenie mało istotnych, a nawet nudnych, są jednak tak sensacyjne, że jak dotąd ani ewangeliccy, ani katoliccy teolodzy nie zdołali ich skomentować. Jeszcze gorzej: wyniki komputerowych analiz tekstów biblijnych zatajono przed opinią publiczną. Dlaczego? Przecież chodzi tylko o wyliczanie liter.

Dr Katz i dr Wiener, jak wynika ze skąpych informacji prasowych, odkryli coś, co teolodzy uznają za niemożliwe. Jeżeli w tekście hebrajskiego oryginału Pierwszej Księgi

Mojżeszowej ponumerujemy litery, to odczytując co 26 literę otrzymamy słowo elohim, czyli „bogowie”. Dzięki temu pamięć o wielobóstwie nie mogła być ze świętych tekstów wymazana.

Jeśli odczytamy co 50 literę, to otrzymamy słowo Tora, czyli hebrajską nazwę Pięcioksięgu Mojżeszowego. Zdaniem obu naukowców przypadek jest wykluczony.

Ale to dopiero początek. Dr Katz i dr Wiener nadal poszukują w biblijnych tekstach ukrytych słów. Kiedy się upewnią, że znaleźli wszystkie, sprawdzą, czy te nie zawierają z kolei jeszcze jakiegoś znaczenia. Ich praca się przeciąga – przede wszystkim dlatego, że niezmordowani badacze nie znajdują żadnego wsparcia u teologów.

Jedno wydaje się pewne: kult kabały istniał w czasach spisywania tekstów Starego Testamentu. W inny bowiem sposób nie da się wyjaśnić faktu, że zawierają one znaczenia, ukryte tak precyzyjnie dzięki metodom matematycznym. Kabaliści średniowieczni badali tylko te teksty i już wpadli na ślad ukrytych tajemnic... zagadek, zadanych przed ponad 2000 lat. Czy kiedykolwiek je rozwiążemy? Będzie to chyba możliwe dzięki zastosowaniu nowoczesnej techniki komputerowej, pozwalającej złamać każdy szyfr. Wydaje się jednak zarazem, że pragnienie zgłębienia biblijnych tajemnic jest dziś mniejsze niż kiedykolwiek. A może powoduje to obawa przed niewygodnymi odkryciami?

W 1947 roku w jaskiniach nad Morzem Martwym znaleziono zwoje qumrańskie. Naukowcom tej rangi co prof. Michael Wise, autorowi książki *Jesus und die Urchristen* (Jezus i pierwsi chrześcijanie), wydanej w 1993 roku w Monachium, zawdzięczamy, że informacja o nieprawdopodobnym skandalu związanym z tym odkryciem dotarła do opinii publicznej. Otóż przez całe dziesięciolecia niewielka grupka badaczy starała się zachować qumrańskie rękopisy w tajemnicy. Podobną konspiracją otacza się obecnie badania kabały. To, co dziś zbywa się określeniem „średniowieczny żydowski mistycyzm”, ma w rzeczywistości korzenie sięgające daleko w czasy przedchrześcijańskie, starożydowskie.

Powieszeni synowie Ha(r)man(n)a

Dr Mosze Katz i dr Menachem Wiener przeprowadzając analizę komputerową tekstu natknęli się na zdumiewające proroctwa. Księga Estery, napisana zapewne około 475 roku p.n.e., zawiera konkretną wskazówkę, dotyczącą zdarzenia, które zaszło prawie dwa i pół tysiąca lat później. Czytamy więc w tekście Biblii: „niech dziesięciu synów Hamana powieszają na szubienicy” (Est. 9, 13).

Powyższy werset wydaje się w kontekście nieco bezsensowny. Małżonka królewska wyraża życzenie, żeby dziesięciu mężczyzn powiesić, choć wyrok śmierci na nich dawno już wykonano. Dr Katz uznał więc, że cytowany werset zawiera proroctwo. A jako znawca kabalistycznych tajemnic litery mają też znaczenia liczbowe – dochodzi do konkretnej daty: egzekucję przeprowadzono w Święto Purim 1946 roku, a więc 16 października [Wydaje się, że autor oparł się tu na błędnym źródle. Święto Purim przypada bowiem 14. albo 15. dnia miesiąca Adar, czyli na przełomie lutego i marca wedle naszej rachuby czasu. Mimo to paralele między proroctwami biblijnymi a prawdą historyczną są zadziwiające (przyp. tłum.).].

Tego właśnie dnia zgodnie z wyrokiem wydanym w procesie norymberskim, jedenastu czołowych hitlerowskich zbrodniarzy wojennych miało być powieszonych. Jeden z tej jedenastki, Hermann Göring, uniknął hańby egzekucji, popełniając samobójstwo – rozgryzł ampułkę z trucizną. Tak więc zgodnie z proroctwem z Księgi Estery „dziesięciu synów Hamana” skończyło na stryczku. Nasuwa się jednak pytanie, czy straconych hitlerowskich bonzów można określać jako „synów Hamana”?

Za jednego z najbardziej osławionych wielokrotnych morderców XX wieku jest uważany Friedrich Karl Harmann. Według metryki przyszedł na świat 25 października 1879 roku o 6.00 rano, ochrzczono go 31 grudnia tegoż roku. Został stracony 15 kwietnia 1925 roku w zakładzie karnym w Hanowerze. Nigdy do końca nie wyjaśniono, ilu młodych ludzi (przede wszystkim oferujących swoje usługi homoseksualistom) padło ofiarą tego okrutnego seksualnego mordercy – w podnieceniu przegryzał wielu z nich gardło.

Czy nie jest więc uprawnione określanie hitlerowskich przywódców odpowiedzialnych za niewyobrażalne masowe morderstwa mianem „synów Hamana”? W każdym razie podobieństwo nazwisk jest uderzające. Księża Estery mówi o „Hamanie”, seryjny morderca z Hanoweru nazywał się według metryki Harmann, częsta w odnośnej literaturze pisownia Haarmann, jest błędna.

Julius Streicher, jeden z czołowych ideologów nazizmu, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wiedział o przepowiedni zawartej w Księdze Estery. „International Herald Tribune” pisała w nagłówku, że na moment przed straceniem zawołał: „Święto Purim! 1946!”

Jacques Bergier (1912-1978) przed i po drugiej wojnie światowej prowadził badania ciężkiej wody i promieniowania radioaktywnego. Za osiągnięcia w naukach ścisłych przyznano mu wysokie odznaczenia i ordery, między innymi Kawalera Legii Honorowej w Służbie Wojskowej. Ale jego wielką miłością były nauki okultystyczne.

Razem z Louisem Pauwelsem napisał książkę Aufbruch ins dritte Jahrtausend (Wymarsz w trzecie tysiąclecie).

Bergier był także znawcą starożydowskiego kultu kabały. W jednym z ostatnich wywiadów powiedział mi: „Czołowi ideolodzy nazizmu, a nawet Adolf Hitler, interesowali się wszelkimi formami praktyk magicznych. Na badanie okultyzmu wydali mnóstwo pieniędzy, przypuszczalnie więcej niż Amerykanie na budowę bomby atomowej. Wysyłali naukowców do Indii, aby ci zgłębili tajemnice tekstów sanskryckich. Z jednej strony byli nastawieni antysemitcko, z drugiej jednak byli niezwykle zainteresowani tajemnicami kultu kabały. Gromadzili niezliczone sekretne teksty – nie tylko sanskryckie, lecz również rozprawy kabalistyczne. Nikt nie umie powiedzieć, co stało się po wojnie z tymi dokumentami. Czy skarby te zniszczono, aby nie wpadły w ręce Amerykanów lub Rosjan? A może czekają one jeszcze w jakiejś kryjówce na powtórne odkrycie?”

III. Merkaba – tajemnica niebiańskiego rydwanu

„Ale ponieważ spekulacje kabalistyczne doprowadzały do sprzeczności z prawdziwą wiarą, musiano je utrzymywać w tajemnicy. Przeważającej części narodu były zupełnie nieznane; tylko uczonych mężów, na których można było polegać, przyjmowano do niewielkiego kręgu wtajemniczonych” – pisał prof. dr Alfred Lehmann [A. Lehman, ibidem.].

Oczywiście stosowano nie tylko podział na „nieuświadomionych” i „wtajemniczonych”. Istniała również hierarchia wśród wiedzących, którym w zależności od stopnia wtajemniczenia udostępniano dokumenty różnego rodzaju. „Prosty lud” znał wprawdzie Pięcioksiąg Mojżeszowy, nic jednak nie wiedział o tajemnicach ukrytych choćby w jego Pierwszej Księdze. Ściśle tajna była natomiast Sefer Jecirah [Por. Księga Jecirah, Warszawa 1994.], czyli Księga Stworzenia, która zawierała rozważania uzupełniające do Pierwszej Księgi Mojżeszowej. Top secret była również Maase Merkaba, czyli Dzieło rydwanu.

O obu tekstach napisano w jednym z najstarszych kabalistycznych komentarzy: „Zabrania się wyjaśniać Księgę Stworzenia dwóm osobom, a Dzieło rydwanu nawet jednej, chyba że byłby to mędrzec, który i tak sam ją zrozumie”.

Tajemne teksty kabały były przeznaczone dla niewielkiego kręgu czytelników. Ale nawet „lektura początkowych i ostatnich rozdziałów Księgi Ezechiela była później zabroniona Żydom ze względu na mroczność” [Lexikon für Theologie und Kirche, Freiburg am Breisgau 1957-1967.].

Na czym polegała tajemnica wozu niebieskiego? Jak musi być sformułowana zagadka, której nikomu nie można wytłumaczyć – „chyba że byłby to mędrzec, który i tak sam ją zrozumie”?

W przypadku Dzieła rydwanu chodzi wedle wszelkiego prawdopodobieństwa o wyjaśnienia do najbardziej zagadkowych fragmentów Starego Testamentu. Znajdują się one w tekście proroka Ezechiela.

Ezechiel i wóz niebieski

Ezechiel wraz z wieloma swoimi ziomkami został przez żołnierzy króla Nabuchodonozora uprowadzony w 597 roku p.n.e. do Babilonu. Osiedł w Chaldei w miejscowości Tel Abib nad rzeką Kebar. Jako kapłan Ezechiel należał zapewne do najbardziej wpływowej grupy społeczeństwa. Był żonaty.

Jego opowieść zaczyna się w 593 albo 592 roku p.n.e. Prorok miał wtedy około trzydziestu lat, urodził się więc najprawdopodobniej około 623 roku p.n.e.; rok jego śmierci i miejsce pochówku są nieznane. Około 40 kilometrów na południe od Babilonu, w miejscowości A1 Kifl, pokazuje się wprawdzie ciekawym „miejsce ostatniego spoczynku Ezechiela”, ale nikt nie wie na pewno, czy naprawdę pochowano tam proroka.

Tekst Ezechiela przed umieszczeniem go we współczesnych wydaniach Biblii wygładzono – czyli zafałszowano. Jeszcze kiedy w latach siedemdziesiątych studiowałem w Erlangen teologię ewangelicką, tłumaczyłem obszernie fragmenty Księgi Ezechiela z hebrajskiego na niemiecki. Poniżej przedstawiam najistotniejsze wersety w swoim przekładzie. Starłem się przy tym, zachować jak najwierniej układ słów i budowę zdań:

„1. A zdarzyło się to w trzydziestym roku, piątego dnia czwartego miesiąca, kiedy byłem na wygnaniu nad rzeką Kebar, wtedy zostały otwarte niebiosa, i ujrzałem objawienia Boga

.2. Piątego dnia pod względem nowego miesiąca, piątego roku wygnania króla Jojachina,

3. Wtedy zdarzyło się zdarzenie słowo Jahwe Ezechielowi, synowi Buziego, kapłanowi, w kraju Chaldejczyków nad rzeką Kebar; i tam przyszła nań ona, ręka Jahwe.

4. I ujrzałem i patrz: wiatr gwałtowny nadszedł z północy: wielki obłok pełen ognia, a on [wiatr gwałtowny] lśnił ze wszystkich stron i ze środka, odpowiadający wyglądowi postaci Azmala.

5. A w środku było coś jakby cztery żywe postaci; a to: wygląd ich: ich była cielesność ludzka.

6. Każdej były cztery twarze, każdej cztery skrzydła. [Jeszcze bardziej dosłownie: Każdej: jej cztery twarze, każdej: jej cztery skrzydła.]

7. Ich nogi: proste, a ich stopy: jak stopy bydłęcia, lśniąc jak polerowana miedź!
8. A ludzkie ręce: pośród ich skrzydeł, miały cztery [...],
9. [...] ich skrzydła, każde związane z sąsiednim, każde w kierunku swojego oblicza [twarzy], tak szły!
10. Wygląd ich twarzy: odpowiadając ludzkiej twarzy, z prawej: odpowiadając lwiej twarzy, wszystkie cztery, z lewej: odpowiadając twarzy byka, wszystkie cztery, i wszystkie cztery twarzy orła.
11. Ich oblicza [twarze], ich skrzydła były rozpostarte, dwa dotykając się, dwa okrywając ich ciała.
12. Każde szło w kierunku swojej twarzy, tak szły i szły, gdzie kazał Duch, i nie obracały się przy chodzeniu!
13. A żywe istoty miały taki kształt: ich wygląd był jak węgle ogniste, odpowiadając pochodniom: i szedł [ogień] między istotami żywymi, i było coś lśniącego w ogniu, i z ognia wyszła błyskawica.
14. A istoty żywe biegały tam i wracały, odpowiadając widokowi błyskawic
15. I ujrzałem żywe istoty! Tam: po jednym kole na ziemi! Obok czterech żywych istot, w kierunku na ich cztery oblicza!
16. Wygląd kół [był] odpowiadający wyglądowi chalcedonu i wszystkie tego samego kształtu [były] te cztery! A ich oglądanie [wygląd]: Jak gdyby koło było wewnątrz innego koła.
17. W kierunku swoich czterech stron szły idące, nie obracały się!
18. A ich skrzydła miały moc rozpędu! Ich straszliwość! A ich obręcze: pełne oczu były wokół, cztery.
19. A kiedy żywe istoty szły, obok nich szły koła, a kiedy żywe istoty się wznosiły, wznosiły się i koła.
20. A gdzie Duch chciał, aby szły, tam szły, bo tam kazał Duch im iść, a koła wznosiły się równocześnie z nimi, bo dusza była żywego w kołach.
21. Kiedy te szły, szły również one. Kiedy te stały, stały również one. A kiedy te wznosiły się nad ziemię, także koła wznosiły się jednocześnie z nimi. Bo duch żywego był równocześnie w nich.
22. A nad żywymi istotami były głowy i nad tym było coś ukształtowanego jak sklepienie! Jak sklepienie straszliwego lodu, rozpostarte dokładnie nad ich głowami.
23. Pod sklepieniem: tam były właśnie one, ich skrzydła, każde w kierunku swojego towarzysza, każdy miał dwoje.
24. A ja słyszałem hałas ich skrzydeł, odpowiadający hałasowi wielkiej wody! Odpowiadający [był] hałasowi czegoś potężnego, kiedy szły. Huczący hałas, odpowiadający wrzawie obozu wojska.

25. A kiedy stały, to opuszczały skrzydła. Hałas głosów był w sklepieniu nad nimi.

26. A nad sklepieniem, jakie było nad ich głowami, kiedy stały, zwisały ich skrzydła. A nad sklepieniem, które było nad ich głowami, tam było widać jakby szafiry. I odpowiadając krzesłu, i na istocie krzesła, tam było widać nad tym jakby człowieka.

27. I ujrzałem: odpowiadający wyglądowi rudy żelaza, odpowiadający ogniowi, otoczonemu przez skrzynię, z wyglądu z jego bioder [zapewne: znad jego bioder] i z wyglądu od jego bioder w dół, tam widziałem: odpowiadający jakby ogniowi, który błyska wokół.

28. Odpowiadając tęczy, powstającej na niebie, gdy pada deszcz, tak wyglądało wokół to, co lśniło. Taki był wygląd tej postaci objawienia Jahwe! I ujrzałem i padłem na twarz!”

Świadek Ezechiel

Cokolwiek przeżył Ezechiel, nie potrafił tego pojąć. Coś nadleciało z północy, opuściło się na ziemię, czyniąc przy tym straszliwy hałas. W dolnej części obiektu były cztery korpusy ze skrzydłami i kołami, u góry Ezechiel ujrzał przezroczystą kopułę, pod którą siedziała jakaś postać. Skrzydła powodowały szum jak rozszały wicher. Zjawisko wzbudziło taką trwogę Ezechiela, że przerażony upadł na ziemię. Nie miał najmniejszych wątpliwości – mogło to być tylko objawienie Pana.

Ezechiel nie miał też najmniejszych wątpliwości co do prawdziwości obserwowanego zdarzenia. Daje temu wciąż wyraz, powtarzając słowa pokrewne znaczeniowo. Tak więc na przykład w wersecie 3 mamy: „wtedy zdarzyło się zdarzenie”. Ezechiel chce w ten sposób podkreślić, że nie opisuje snu, objawienia, ale swoje straszliwe przeżycie.

Dla Ericha von Dänikena wymowa tego fragmentu jest jednoznaczna. Ezechiel opisuje spotkanie z pozaziemskim pojazdem latającym:

„Dokładnie widzi przybywający z północy pojazd, który połyskuje, promieniuje i wzbija w powietrze olbrzymią chmurę piaskową. Wyobraźmy sobie wszechpotężnego boga wielkiej religii. Czy musiałby on zdążać z określonego kierunku, w tak namacalny sposób – czy nie mógłby znaleźć się tam, gdzie zechce, nie wzbudzając wielkiego zamieszania i gwaru? [. . .]

Ezechiel nie tylko dość dokładnie opisuje pojazd, ale odnotowuje także hałas, jaki wytwarzało to nigdy przedtem nie widziane monstrum. Zwraca uwagę na szum skrzydeł i hłaśliwy turkot kół. Czy opis naocznego świadka nie daje do myślenia?” [Erich von Däniken, Wspomnienia z przyszłości, Warszawa 1994, s. 46 i n.].

Na początku naszego stulecia, anno 1902, amerykański pastor Burrell Cannon twierdził, że udało mu się zrekonstruować statek powietrzny Ezechiela. Zbudował nawet podobno model zdolny do lotu. W 1962 roku austriacki paleontolog i geolog, dr Herbert Schaffer, zajął się tekstem Ezechiela. Doszedł do przekonania, że prorok widział obiekt latający, który poza napędem centralnym miał również wirniki – jak śmigłowiec. Badacz przypuszczał, że u góry znajdowała się kabina pilota. Ta techniczna interpretacja tego tekstu Starego Testamentu była bardzo bliska rekonstrukcji biblijnego obiektu, przeprowadzonej przez specjalistę – inżyniera NASA Josefa Blumricha, który niezależnie od dr. Schaffera „zabrał się” za proroka – niejako na znak protestu.

Blumrich, z urodzenia Austriak, wyemigrował w 1959 roku do USA. Pracował w amerykańskiej agencji kosmicznej NASA, zrobił karierę jako naukowiec i praktyk. W końcu został szefem Działu Konstrukcyjno-Projektowego. Za swoje prace w tej dziedzinie otrzymał najwyższe odznaczenia. W 1968 roku wpadł mu w ręce światowy bestseller

Ericha von Dänikena Wspomnienia z przyszłości. Zawarte tam przemyślenia były dlań na początku zupełnie nieprzekonujące. Twierdzenia Szwajcara, że prorok Ezechiel w tekście Starego Testamentu opisuje pozaziemski pojazd latający, uznał za kompletny nonsens. W końcu sam zajął się tym problemem. Dysponując wiedzą i doświadczeniem zawodowym postanowił obalić tezę o pojeździe kosmicznym... ale wkrótce stał się jej zwolennikiem. Udało mu się nawet zrekonstruować na desce kreślarskiej statek kosmiczny opisany przez Ezechiela. Okazało się, że jest to rodzaj wahadłowca kursującego między macierzystymi statkami kosmicznymi krążącymi po orbicie wokółziemskiej a Ziemią.

Josef Blumrich przestudiował uważnie cały tekst Ezechiela. Doszedł do przekonania, że przez około 20 lat prorok co najmniej trzykrotnie widział pozaziemski pojazd latający. Jego opisy były tak precyzyjne, że Blumrichowi udało się zrekonstruować graficznie ten obiekt ze wszystkimi szczegółami. Niebieski wóz wyglądał więc tak: kadłub główny miał kształt dzieciennego bąka. U góry był zaokrąglony, na szczycie znajdowała się przezroczysta kopuła, pod którą siedział pilot.

Dolna część pojazdu była spiczasta, kończyła się „dyszą raketową”. Znajdowały się tam również cztery cylindryczne „korpusy” z kołami oraz cztery napędy wirnikowe.

Josef Blumrich pisze:

„Ogólny wygląd statku kosmicznego opisanego w Księdze Ezechiela da się odczytać z relacji tego proroka. Inżynier może następnie, niezależnie od relacji, obliczyć założenia i zrekonstruować aparat latający tego typu. Jeżeli się uzna, że efekt takiej pracy nie tylko będzie możliwy do zrealizowania z technicznego punktu widzenia, lecz również pod każdym względem niezwykle sensowny i przemyślany, jeśli się następnie znajdzie w opowieści Ezechiela opisy szczegółów i procesów, pokrywające się z efektami technicznymi, wtedy nie będzie można już mówić wyłącznie o poszlakach” [Cyt. za: Erich von Däniken, Strategia bogów, Warszawa 1993, s.64.].

Według sensownej i przekonującej rekonstrukcji Blumricha zasadniczy kadłub wozu niebieskiego miałby 18 m średnicy. Pojazd nie nadawałby się więc do dłuższych podróży kosmicznych, na przykład międzygwiazdnych. Blumrich doszedł do wniosku, że był to wahadłowiec, umożliwiający poza dotarciem do macierzystego statku kosmicznego na orbicie również odbywanie lotów w atmosferze ziemskiej.

Kiedy wóz niebieski startował z macierzystego statku kosmicznego, napędy wirnikowe były złożone „skrzydłami”, czyli łopatami, do góry. Silnik raketowy, wykorzystujący zdaniem Blumricha energię atomową, napędzał pojazd w przestrzeni kosmicznej. Przy wchodzeniu w atmosferę ziemską spiczasta dolna część służyła jako osłona termiczna. Rozgrzewała się do czerwoności w trakcie hamowania. W końcu silnik raketowy wyłączano, a jednocześnie rozkładano i uruchamiano napędy wirnikowe.

Za ich pomocą pilot mógł manewrować bardzo precyzyjnie, lądując w żądanym punkcie.

Należy jeszcze wspomnieć o innym interesującym szczególe: opisana przez Ezechiela niezwykle dokładnie konstrukcja koła obiektu przyniosła Blumrichowi patent (patent USA 3.789.947 z 5.2.1974 roku).

Komuś, kto chciałby dokładnie poznać rozważania Blumricha dotyczące statku kosmicznego „Ezechiel”, polecam lekturę jego książki [Josef Blumrich, Statki kosmiczne Ezechiela, Łódź 1993.].

IV. Niebiańscy goście w czasach biblijnych

O tekście Maase Merkaba, czyli Dzieło rydwanu, wspomina jeden z najstarszych kabalistycznych komentarzy; ja zwróciłem już uwagę na tajemniczą wzmiankę: „Zabrania się wyjaśniać [...] Dzieło rydwanu nawet jednej [osobie], chyba że byłby to mędrzec, który i tak sam ją zrozumie”.

Czy my, ludzie końca XX wieku, epoki podróży kosmicznych, jesteśmy wedle kabały na tyle mądrzy, że sami rozumiemy ten tekst? Dla nas podróże kosmiczne są czymś oczywistym. Przeżyliśmy pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu. Bezzałogowe sondy kosmiczne poleciały w otchłanie Kosmosu, przekazały na naszą planetę zdumiewające zdjęcia innych planet Układu Słonecznego, ba!, opuściły nawet Układ Słoneczny. Czy dziś rozumiemy już opis niebieskiego wozu Ezechiela sami, bo opisy statków kosmicznych nie mają dla nas nic mitologicznego?

Dzieło rydwanu było sekretnym tekstem uzupełniającym precyzyjny opis pojazdu latającego sporządzony przez Ezechiela. Czy księga kabały była utrzymywana w tajemnicy, czy była ona niedostępna dla ogółu dlatego, że objawienie rzekomo religijne opisywała jako pozaziemski obiekt latający? Czy „prosty lud” nadal miał wierzyć, że Ezechiel widział objawienie Boże, gdy tymczasem krąg nielicznych, wtajemniczonych wiedział, o co chodziło naprawdę – o wizytę na naszej planecie istot pozaziemskich, nie zaś o pojawienie się Boga wszechmogącego?

Na pytania te odpowiemy zapewne dopiero wtedy, kiedy odnajdzie się sekretny tekst Dzieło rydwanu.

Cześć oddawana Bogu, wszechmogącemu, należała do trwałych elementów kultu biblijnego. Takie pojazdy latające, jak opisany przez Ezechiela, mogły być z punktu widzenia ludzi żyjących przed 2500 lat uznawane tylko za objawienia Boże. Uważano, że tylko Bóg może podróżować w czymś przerażającym, w czymś wydającym potworny hałas. Opisy takie jak Ezechiela były wykorzystywane przez kapłanów do dosadnego i plastycznego przedstawiania wiernym nieskończonej mocy Bożej. Zrozumiałe jest też, że kapłani wykorzystywali niektóre teksty dla umacniania swojej pozycji: byli tym ważniejsi i potężniejsi, im wyraźniej przedstawiano ogółowi wszechmoc Boga, któremu cześć oddawano na ziemi.

Dalsi świadkowie

W tym miejscu należy wysunąć zarzut: jeśli Ezechiel rzeczywiście widział i opisał pojazd latający, to czy w innych tekstach biblijnych nie powinny się także znaleźć wzmianki na ten temat?

Ale zarzut ten łatwo odeprzeć, bo takie teksty istnieją, choć nie są tak szczegółowe jak opisy Ezechiela.

Tak więc w Psalmie 104 czytamy:

{}, „Budujesz na wodach swoje górne komnaty;

Czynisz obłoki rydwanem swoim,

Suniesz na skrzydłach wiatru.

Czynisz wiatry posłańcami swymi,

do niego, oddychającego, płonie ogień” (Ps. 104, 3-4).

Nieznany autor wysławia istotę, która czyni „obłoki rydwanem swoim”, a mieszka w sferach niebieskich – w Kosmosie? Kimkolwiek jest bezimienny ktoś, nie mówi się o nim jak o Bogu. Czy chodzi o istotę pozaziemską?

Przenieśmy się na chwilę w położenie nieznanego autora psalmu. Jak miałby określić tajemniczą istotę? Termin „pozaziemska” był mu obcy. Ale wie jedno: nie jest to ani Bóg wszechmogący, ani istota ludzka. Nazywają więc „oddychającym”. Lepiej nie da się chyba określić Obcego!

W innym psalmie znajdujemy wyraźną wzmiankę o niebieskim wozie. W pierwszym wersecie tekstu oryginalnego czytamy wezwanie: „Wy, synowie Boży, oddajcie mu chwałę i moc!” (Ps. 29, 1). Znowu mamy tu więc synów Bożych, którzy według Genesis zstąpili z nieba na ziemię, aby połączyć się z ludzkimi niewiastami. W większości przekładów jednak padają oni ofiarą tłumaczy, którzy potajemnie wymazują ich z tekstu.

Biblia opublikowana przez Württembergische Biblelanstalt (wydanie z 1972 roku) mówi jeszcze o „niebiańskich”. Dokładniejszy jest tekst Dwudziestu czterech ksiąg Pisma Świętego w przekładzie Leopolda Zunza. Tam czytamy o „synach Bożych”. W Biblii według niemieckiego tłumaczenia dr. Marcina Lutra, wydanej w 1915 roku, mówi się mgliście o jakichś „potężnych”.

Niesamowite wrażenie sprawiają zjawiska towarzyszące poruszaniu się pojazdu. Czytamy o „grzmiącym głosie chwały”, który „łamie cedry”, albo o „płomieniach ognistych”, które „obnażają lasy”.

W Księdze Joba znajduje się opis bardziej niż tajemniczy. Czy znając podróże kosmiczne zdołamy ten tekst zrozumieć sami, bez potrzeby dodatkowych wyjaśnień?

Fragment ten – znajdujący się w rozdziale 37. – trzeba czytać bardzo uważnie, z pedanterią, żeby nie przeoczyć pewnych szczegółów, które są jednak niezwykle istotne. Tak jak Ezechiel przy pierwszym spotkaniu z niebieskim wozem, również Job straszliwie się boi: „Zaiste, dlatego drży moje serce i skacze ze swojego miejsca” (Job 37, 1). Nieistotne jest przy tym, czy to sam Job miał to niesamowite spotkanie, czy może redaktorzy włączyli do tekstu opis pióra nieznanego autora. Przede wszystkim chodzi o przedstawione tam fakty, o szczegóły.

Z początku obiekt latający tylko słyhać, mamy opis „grzmotu jego głosu” (Job 37, 2). Sam statek latający ukazuje się dopiero potem. W tekście hebrajskim napisano: „jego lśnienie”, teksty współczesne – zafalszowane robią z tego określenia „błyskawice”.

Widocznie wóz niebieski poruszał się z prędkością naddźwiękową. Obserwator notuje z precyzją, za jaką tylko można go chwalić: „Za nim huczy grzmot, grzmi swoim potężnym głosem” (Job 37, 3). Zastanówmy się: dla nas samolot naddźwiękowy – który najpierw widzimy, a dopiero potem słyszymy – jest oczywistością. Dla autora biblijnego tekstu zagadkowy był fakt, że najpierw coś widział, a dopiero potem słyszał. Opisywane zjawisko stoi w sprzeczności z jego dotychczasowym doświadczeniem życiowym.

Splószone kryją się zwierzęta – zjawisko to znamy z opisów obserwacji UFO w XX wieku. W Księdze Joba czytamy: „Wtedy zwierzęta wchodzą do kryjówek” (Job 37, 8).

Świadek próbuje zlokalizować pochodzenie, źródło przerażającego hałasu: „Z wewnętrznej komory wychodzi gwałtowny wiatr” (Job 37, 9).

W końcu obiekt latający znów znika nad chmurami, ginąc z oczu obserwatora: „A teraz nie widzi się światła. Zaciemniły je obłoki”.

Oddajmy teraz głos innemu świadkowi. To Eliasza. Powiedziano mu, że wkrótce zbliży się coś, na co warto patrzeć. Otrzymuje radę, aby wszedł na górę i wypatrywał (I Król. 19, 11). Powiedziano mu też, czego ma oczekiwać: „I patrz, a oto przejdzie Pan!” Naprawdę Pan? A więc Bóg? Musimy sobie unaocznic, że kapłanom dawnego Izraela bardzo zależało na włączaniu do „świętych pism” tekstów nadających się do wykorzystania przy odprawianiu obrządków kultowych. Poszukiwano więc opisów, które w szczególnie wyrazisty i plastyczny sposób przedstawiały wszechmoc Boga.

Wróćmy jednak do tekstu biblijnego. Eliaz jest wstrząśnięty tym, co widzi: „a wicher potężny i silny, wstrząsający górami i kruszący skały szedł przed Panem” (I Król. 19, 11). Paradoksalne, ale teraz mówi się o tym, że to nie Bóg kierował pojazdem latającym: „lecz w tym trzęsieniu ziemi nie było Pana” (I Król. 19, 11). „Po trzęsieniu ziemi był ogień, lecz w tym ogniu nie było Pana. A po ogniu cichy łagodny powiew” (I Król. 19, 12).

Profesor Hans Schindler z Wiednia, archeolog i biblista, pisze:

„Oto obserwacja UFO sprzed tysięcy lat. Z jednej strony widziane zjawiska towarzyszące nie mogą wiązać się z Bogiem, bo on nie potrzebuje pojazdu. Z drugiej strony świadek uświadamia sobie zapewne, że na niebie leci jakaś potężna istota; wielokrotnie podkreśla, że to jednak nie jest Bóg”.

Kolejnym biblijnym świadkiem pojawienia się UFO był Jeremiasz. Także jemu powiedziano, aby patrzył na niebo. Ale Jeremiaszowi trzeba powtórzyć wezwanie, ba!, trzeba mu to nawet nakazać: „I doszło do mnie jego słowo po raz drugi i rzekł: Co widzisz?” (Jer. 1, 11). Wygląda więc na to, że niebiański gość był niezwykle zainteresowany, aby jego obecność dostrzeżono, utrwalono na piśmie i przekazano potomności.

Tysiące lat później UFO opisuje się jako „latające spodki”. Jeremiasz też sięga do porównań zupełnie świeckich. Zapisuje, że to coś przypominało „kocioł” albo „garnek do gotowania” (Jer. 1, 13). Dolna część pojazdu była rozżarzona. Tekst świadomie podkreśla ten fakt. Przypomnijmy sobie wóz niebieski Ezechiela. Według inżyniera Josefa Blumricha dolna, zwężająca się część pojazdu stanowiła jakby tarczę termiczną, chroniącą wahadłowiec przy wchodzeniu w gęste warstwy atmosfery – wtedy część ta się rozżarzała. Czy zjawisko to zauważył i utrwalił również Jeremiasz?

Druga Księga Samuela opisuje, pod jak wielkim wrażeniem był świadek, słysząc hałas spowodowany przez obiekt latający: „Pan zagrzmiął z nieba, Najwyższy wydał głos z siebie” (II Sam. 22, 14).

Wydaje się, że pojazd niebieski był wyposażony w potężną broń: „Wypuścił strzały i rozrzucił je” (II Sam. 22, 15). Obiekt lotem koszącym zbliżał się do ziemi: „Wtedy ukazały się głębiny morza, odsłoniły się podwaliny ziemi od jego groźnego huku, od podmuchu z nozdrzy jego” (II Sam. 22, 16).

Izajasz też wydaje się przestraszony hałasem towarzyszącym obserwowanemu wozowi niebieskiemu: „jego ryk jak u lwa” (Iz. 5, 29).

W Księdze Zachariasza na wóz niebieski zwracają uwagę proroka aniołowie. Od tych niebieskich istot otrzymuje on rozkaz patrzenia w niebo: „a oto był unoszący się zwój

pisma. I zapytał mnie anioł: Co widzisz? Ja odpowiedziałem: Widzę unoszący się zwój dwadzieścia łokci długi i dziesięć łokci szeroki” (Zach. 5, 1-2).

W trakcie studiów intensywnie zajmowałem się kwestią, czy pisma biblijne zawierają wzmianki na temat niebieskich – czytaj: pozaziemskich gości. Współwydawcę najważniejszego chyba słownika hebrajskiego, profesora doktora Georga Fohrera, na którego wykłady chodziłem regularnie, spytałem jak duży mógłby być ten dziwny pojazd latający. Według profesora obiekt miałby kształt rury o średnicy około pięciu metrów i długości dziesięciu.

Chciałem się jeszcze dowiedzieć, czy można, czy należy brać ten opis dosłownie. Poważany teolog wzruszył ramionami. Zwrócił mi jednak uwagę, że autor biblijny w tekście oryginalnym powtarza najważniejsze jego zdaniem słowa („I ujrzałem, i patrz!”). Takie powtórzenie stosowano chcąc podkreślić, że opisywane zdarzenie przebiegało właśnie tak, jak je przedstawiono, mimo że opis brzmi nieprawdopodobnie.

Do takich samych środków językowych sięgał również, jak wiemy, prorok Ezechiel: aby wykazać czytelnikom, że naprawdę przeżył to, co opisuje, że było to zdarzenie rzeczywiste – nie zaś wizja.

Również biblijny Jakub miał niesamowite spotkanie z aniołami. Czy też widział latający wóz niebieski?

Biblia mówi, że Jakub był synem Izaaka i Rebeki. Był młodszym bliźniakiem Ezawa. Urodził się około 158 roku p.n.e., czyli mniej więcej około 1200 lat przed Ezechielem.

„Jakub zaś wyruszył z Beer-Szeby i udał się do Haranu. A gdy przybył na pewne miejsce, zatrzymał się tam na noc, gdyż słońce zaszło” (I Mojż. 28, 10-11). Potem zdarzyło się coś tak niewiarygodnego, tak niewyobrażalnego, że Jakub miał na to tylko jedno wyjaśnienie: to na pewno był sen! „I śniło mu się, że była ustawiona na ziemi drabina, której szczyt sięgał nieba, po niej zaś wstępowali i zstępowali aniołowie Boży” (I Mojż. 28, 12).

Dla angielskiego badacza i pisarza, dr. Waltera Raymonda Drake'a, sens tej sceny jest jasny: Jakub widział, jak istoty pozaziemskie schodzą po drabinie ze statku kosmicznego na ziemię, a następnie znów wchodzą na jego pokład. Dr Drake, który w wielu książkach pisał o prehistorycznych astronautach przybywających na Ziemię, powiedział mi kiedyś w trakcie rozmowy: „Istoty pozaziemskie były w oczach ludzi sprzed tysiącleci niewyobrażalnie potężne. Wyglądały wprawdzie jak ludzie, nie były jednak Ziemianami. Uważano je więc za bogów. Albo za aniołów. W dawnym Izraelu nikt nie kwestionował istnienia tych niebiańskich istot”.

O bogach, aniołach i demonach



Dla katolickich profesorów teologii i komentatorów Biblii, Hampa i Stenzla, biblijni synowie Boży byli aniołami. Teolodzy ci jednak nie wyjaśniają dlaczego.

Il. 4. Aniołowie, Zstępujący z nieba, odgrywali istotną rolę w najdawniejszych pismach biblijnych. Jakub i drabina niebieska na ilustracji średniowiecznej

Dla profesora Fohrera synowie Boży i aniołowie byli „bóstwami podrzędnymi”, niezwykle istotami. Oddawano im cześć w czasach, kiedy w Izraelu składano jeszcze ofiary z ludzi. Nie było już dla nich jednak miejsca w religii monoteistycznej.

Według Joba, którego księga powstała zapewne około 1473 roku p.n.e., aniołowie istnieli przed stworzeniem ziemi (Job 38, 7). Jedna trzecia aniołów została, co możemy przeczytać w oryginalnej wersji Objawienia św. Jana, strącona „na ziemię” (Obj. 12, 4).

U proroka Ezechiela czytamy też o strąconym z nieba – a niegdyś przecież wychwalanym pod niebiosa – aniele Lucyferze: „Ty który byłeś odbiciem doskonałości, pełnym mądrości i nieskończonego piękna, byłeś w Edenie, ogrodzie Bożym, okryciem twoim były wszelakie drogie kamienie [...]. Nienagannym byłeś w postępowaniu swoim od dnia, gdy zostałeś stworzony, aż dotąd gdy odkryto u ciebie niegodziwość” (Ez. 28, 12-13 i 15).

Lucyfera bowiem zżerała ambicja. Nie odpowiadała mu rola pokornego sługi. Wzniął bunt. Zapewne marzył o wszystkim tylko nie o tym, że dyktaturę panujących bogów zastąpi demokracja. Sam chciał zostać szefem: „Wstąpię na niebiosa, swój tron wyniosę ponad gwiazdy!”, pisał oburzony Izajasz (Iz. 14, 13). Ale plan Lucyfera spalił na panewce. Niezdyscyplinowany podwładny został za karę i ku przestrodze dla ewentualnych naśladowców wyrzucony z nieba.

Tak więc anioł oceniany niegdyś bardzo pozytywnie stał się istotą na wskroś negatywną, protoplastą demonów. W aleksandryjskim tłumaczeniu Biblii czytamy: „Bo wszyscy bogowie ludów to demony, Pan zaś uczynił niebiosa” (Ps. 96, 5). Dla autora psalmów, który był zdecydowanym zwolennikiem monoteizmu, nadal istnieją inni bogowie, którym inne ludy oddają cześć i do których się modlą. Bogowie ci są jednak' dyskredytowani i deklasowani.

W swojej książce prof. dr Alfred Lehmann pisze: „Imiona obcych bogów stały się dla Żydów imionami demonów – najpotężniejszymi byli chaldejski Belzebub albo Beelzebub oraz Isztar, utożsamiana z planetą Wenus-Jutrzenką (Lucyfer Rzymian)” [Alfred Lehmann, Aberglaube und Zauberei, Stuttgart 1925, s. 81 n.e.]. Belzebub został księciem czartowskim, a Lucyfera uznano za wodza zbuntowanych aniołów. U Izajasza czytamy: „O, jakże spadłeś z nieba, ty, piękna jutrzeńko! Powalony jesteś na ziemię, pogromco narodów!” (Iz. 14, 12). Prof. Lehmann:

„Dawni bogowie, których do dziś w Indiach nazywa się dewa, stali się w większości diabłami, poddanymi występnego Arymana; oddawanie im czci było surowo zabronione. Tak więc perskie słowo daeva (deva), jak greckie daimón, przeobraziło się w określenie diabła, i kiedy współczesny Pers albo Arab mówi o złym „deo” albo próbuje z nim nawiązać kontakt – co jest zabronione – nie przypuszcza zapewne, że temu wytworowi jego zabobonnej wyobraźni oddawano niegdyś cześć jako bogu” [Ibidem, s. 7.].

V. Słownik wiedzy tajemnej i demony

Celem badań okultystów Trzeciej Rzeszy było odkrycie, czy za pomocą magicznych metod pradawnych sekretnych kultów można sprawować władzę. Według Jacquesa Bergiera badacze ci przekopali biblioteki całego świata w poszukiwaniu ksiąg czarnoksięskich. Wnikliwym studiom poddano też księgę, napisaną w 1818 roku przez Jacquesa Albina Simona Collina zatytułowaną Dictionnaire Infernal [J. Collin de Plancy, Słownik wiedzy tajemnej, Warszawa-Kraków 1993.]. Ponure to dzieło cieszyło się niegdyś

nadzwyczajną popularnością. Autor wciąż je poszerzał i uzupełniał. W 1863 roku ukazało się wydanie szóste.

Collin de Plancy, urodzony w 1793 roku pod Arcis, był niezmordowanym badaczem zjawisk okultystycznych, a zarazem pisarzem o niewiarygodnej pracowitości. Dziś wiemy, że publikował co najmniej pod dwudziestoma pseudonimami.

Szczególnie upodobał sobie obyczaje kultowe Biblii. Fascynowała go opinia, jaką Izraelici od najdawniejszych czasów cieszyli się jako znawcy nauk tajemnych i zaklinalce duchów. A umieli przywoływać niezliczone „demony”. Collin de Plancy zbierał więc imiona czarnych aniołów i demonów. Około 7000 z nich opublikował w Słowniku wiedzy tajemnej. W jego tajnym archiwum wszakże, którego nigdy nie znaleziono, znajdowały się podobno dalsze rękopisy, wyliczające jeszcze więcej demonów i poświęcone „czarodziejskim działaniom wymawiania imienia czarnych aniołów”. Poniższe wywody opierają się przede wszystkim na słynnym Słowniku wiedzy tajemnej Collina de Plancy. Niech więc ten niewielki wybór demonów wystarczy dla oddania obrazu świata tych osobliwych istot. Dowiadujemy się zdumiewających rzeczy o niezwykłych kultach bogów, w przeszłości bardzo potężnych i tajemniczych. Kiedyś oddawano im cześć i modlono się do nich, ale po nastaniu Boga chrześcijańskiego stracili na znaczeniu i zostali zdegradowani do roli demonów; ich wyznawców zaś krwawo prześladowano jako heretyków.

Należy sobie oczywiście zadać pytanie, komu przypisać bardziej perwersyjny sposób myślenia: osobom przekonanym, że dzięki zabiegom magicznym uzyska się przychyłność demonów, czy tym, którzy ludzi niewinnych, co najwyżej cierpiących na pewne zaburzenia psychiczne, zmuszali straszliwymi torturami do przyznania się, że obcowali z demonami – aby w końcu nieszczęśników zamordować.

Już w II wieku n.e. od kościoła wczesnochrześcijańskiego oddzieliła się sekta kabalistów. Wkrótce jednak zaczęto prześladować jej członków, którzy gromadzili się wokół gnostyka Bazylidesa i oddawali cześć demonowi o imieniu Abraksas. Kabaliści odkryli, że wedle nauki tajemnej imię to można również wyrazić w formie liczby: 365. Wierzyli, że to nie Jahwe jest bogiem najwyższym. Za boga potężniejszego uważali Abraksasa, widząc w nim ucieleśnienie Niewypowiedzianego Najwyższego Istniejącego. Przedstawiano go jako hybrydę, jako istotę budzącą przerażenie – miała ona tułów i ręce ludzkie, głowę koguta i dwa węże w miejscu nóg. To właśnie ta istota wysłała na ziemię Jezusa Chrystusa... jako „Ducha Nieszkodliwego”.

Dziś ludzie nawet nie przypuszczają, że słowo „abrakadabra”, wypowiedane przez prestidigitatorów prezentujących swoje sztuczki, jest zniekształconą formą imienia tego czarnego anioła.

Szczególnie znenawidzony przez rabinów dawnego Izraela był Adrammelech (Adramelek), któremu cześć oddawali i do którego się modlili Sefarwejczycy (Sefarweici), czyli Asyryjczycy. Stary Testament tak pisze o ich straszliwym kulcie: „Awwejczycy stworzyli sobie Nibchaza i Tartaka, Sefarwejczycy zaś spalali swoje dzieci dla Adrammeleka” (II Król. 17, 31).

Rabini zapominali przy tym, że niegdyś w ich kraju składanie ofiar z ludzi dla niektórych bogów też było na porządku dziennym.

Azazel i kozioł ofiarny

Rabini byli przekonani o potędze czarnych aniołów, nawet jeśli zdecydowanie zabraniali oddawania im czci, co zresztą nie wywierało pożądanego skutku. Tak więc także czarni aniołowie, jak choćby Azazel, jeszcze długo byli obiektem kultu, określającego życie

codzienne dawnego Izraela. We wrześniu, 10 dnia miesiąca Tiszri, obchodzono oficjalnie Jom Kippur, Sądny Dzień, Dzień Pojednania, jesienne święto pokutne. Dnia tego przyprowadzano do arcykapłana dwa kozły. Losowo rozstrzygano, które ze zwierząt będzie złożone na ofiarę Jahwe, które zaś Azazelowi. Kozioł dla Jahwe miał podcinane gardło, kozła zaś przeznaczonego Azazelowi czekał koniec znacznie gorszy. Przez położenie rąk przechodziło na niego brzemień „grzechów ludu”, potem prowadzono go na pustynię, po której się błąkał, aż padł z głodu i wycieńczenia. Wszyscy byli przekonani, że taka śmierć wymazuje grzechy całego ludu.

Od tamtej pory upłynęło już prawie dwa tysiące lat – ale do dziś określenie „kozy ofiarne” przypomina o starym zwyczaju. Jeśli na przykład w firmie interesy idą niezbyt dobrze, jeśli drużyna piłkarska stale przegrywa – szuka się kozła ofiarnego, który da głowę za błędy innych. Oczywiście dzisiejszych menedżerów i trenerów piłkarskich nie składa się w ofierze Azazelowi, ale co najwyżej zwalnia z pracy, często dając im milionowe odprawy.

Słowo baal pojawia się w Starym Testamencie w znaczeniu „posiadacz”. W Pierwszej Księdze Mojżeszowej (20, 3) baal określa mężczyznę jako posiadacza kobiety, w Księdze Jozuego (24) posiadacza ziemskiego. Przypuszczalnie bogowie o imieniu Baal byli w dawnym Izraelu bogami o lokalnym znaczeniu, do których należały majątki ziemskie i którym składano ofiary z ludzi.

O kulcie Baala wiadomo stosunkowo niewiele. Według T. Immana, autora książki *Ancient Pagan and Modern Christian Symbolism* (Antyczni poganie i współczesna symbolika chrześcijańska), podczas oddawania czci temu bogu dochodziło do ekscesów seksualnych. Mężczyźni przebierali się za kobiety, kobiety za mężczyzn – prawdopodobnie miała to być aluzja do hermafrodytyzmu, przypisywanemu obojnacemu Baalowi.

Baal był bogiem, do którego modlono się w niektórych regionach Izraela. Później – nie wiadomo dokładnie kiedy – zmieniono mu imię na Jahwe. W tekście hebrajskim Izajasz (54, 5) określa Jahwe jeszcze jako Baala. Według Księgi Ozeasza sam Jahwe protestował przeciwko stosowaniu wobec niego obcego imienia: „W owym dniu – mówi Pan – powie do mnie: Mężu mój! I nigdy już nie powie do mnie: Baalu mój!” (Oz. 2, 18). '

Można więc przypuszczać, że Baal miał wielu zwolenników w czasach, kiedy likwidowano wielobóstwo, a Jahwe obwoływano jedynym bogiem, któremu wolno oddawać cześć. Inaczej nie włożono by mu przecież w usta tak wyraźnego odrzucenia Baala, czczonego niegdyś przez Babilończyków, Chaldejczyków, Kanaanejczyków, Kartagińczyków i Sydończyków.

Nieprzejrzana mnogość nazw złych duchów wprawiła w zakłopotanie nawet Collina de Plancy, który pracowicie wyliczał każdego demona, jakiego tylko znalazł w starożydowskich pismach. Nie zauważył przy tym oczywiście, że często jeden demon pojawia się pod różnymi imionami.

Tak więc, gdy jest mowa o złym Molochu, to z dużym prawdopodobieństwem chodzi właśnie o Baala. Moloch był stałym elementem starożydowskiego kultu, przypuszczalnie już w czasach wielobóstwa. W Dolinie Hinnom, leżącej na południowy zachód od Jerozolimy, miał miejsce ofiarne, gdzie „darowywano” mu dzieci: nieszczęsne owe istoty palono żywcem. W Piątej Księdze Mojżeszowej napisano: „Nie uczynisz tak Panu, Bogu twemu, gdyż czyniły one dla swoich bogów to wszystko, co jest obrzydliwością dla Pana i czego Pan nienawidzi, paląc dla nich w ogniu nawet swoich synów i swoje córki” (V Mojż. 12, 31).

Z biegiem stuleci powstały zespoły rytuałów ofiarnych. Budowano wielkie „piece ofiarne”, często mające kształt ciała ludzkiego z głową byka, w których spalano potem niezliczone dzieci. Kapłani obawiali się, że straszliwe krzyki niewinnych istot, umierających w płomieniach, wywołają protest rodziców, którzy położą koniec kultowi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do takich wystąpień nigdy jednak nie doszło. A zarazem nikt nie powie, że o ponurym procederze nic nie wiadano. Kapłani ułatwiali jednak ludziom wypieranie z pamięci rytualnych dzieciobójstw. W trakcie ceremonii ofiarnych czynili wokół pieców możliwie jak największy hałas – choćby bębniąc w bębny – aby zagłuszyć przeraźliwe krzyki umierających.

Ten z dzisiejszego punktu widzenia straszliwy zwyczaj był jeszcze za czasów Jahwe tak rozpowszechniony, że jego pielęgnowanie karano śmiercią. Prawdopodobnie wtedy przywódcy kultu Molocha, aby utrzymać swój religijny ruch przy życiu, postanowili zrezygnować z ofiar z ludzi i zastąpić dotychczasowy rytuał nowym obrzędkiem. Według Jacquesa Bergiera przyniosło to zwyczajowi większą popularność. Na cześć Molocha alias Baala nie składano już w ofierze małych dzieci, lecz tylko je poświęcano: w trakcie nieznanego dokładnie obrzędu musiały one „przechodzić przez ogień” (II Król. 17, 17). Nie spowodowało to jednak wstrzymania prześladowań wyznawców tego kultu: kara śmierci groziła im nadal.

Lucyfer wznieca rewoltę przeciw Bogu

Interesująca jest analogia Baala i Lucyfera. Zgodnie z tradycją kabalistyczną Lucyfer był istotą niebiańską, cieszącą się niegdyś wielkim poważaniem, potem jednak odważył się wywołać powstanie przeciw Bogu bogów i za karę został wygnany z nieba – Bóg we własnej osobie strącił go na ziemię. Imię o bardzo pozytywnym znaczeniu (Lucyfer znaczy „niosący światło”) pozwala przypuszczać, że jest on spokrewniony z Baalem, którego w Azji utożsamiano ze słońcem. Pod imieniem Baal-Szamem” pojawia się on też jako fenicki bóg nieba, władca gwiazd.

Widocznie boga Baala, kiedyś wielkiego, świadomie zdegradowano do roli złego ducha: zdyskredytowanie niegdyś gwiazdy miało zakończyć pewien kult. I to się udało.

Ale demonami stali się nie tylko bogowie będący kiedyś na świeczniku. Nawet faraona egipskiego oszkalowano, obwołując go złym duchem – faraon ten pojawia się u Joba (40, 15) jako potworny, obrzydliwy Behemot. Teolodzy, którzy chcą widzieć w Biblii możliwie jak najmniej elementów „zabobonnych”, twierdzą, że chodzi tam tylko o słonia, hipopotama albo wieloryba. Z drugiej jednak strony sam Kościół uważa tę tajemniczą istotę za złego ducha, co dało się zauważyć w epoce procesów o czary [Nicolas Aubin, Die Geschichte der Teufel von Loudun, Berlin 1981.]. Podobnie jak w przypadku Behemota również na temat Lewiatana teolodzy twierdzą chętnie, że jest to na pewno wieloryb albo inny ogromny mieszkaniak wód – ale w żadnym razie nie jest to nic diabelskiego. Nie ma przy tym wątpliwości, kim Lewiatan był naprawdę: wielkim admirałem piekieł.

Wedle kabalistycznych przekazów na samym początku czasu Bóg stworzył dwa takie demony – jednego płci żeńskiej i jednego męskiej. Ale wkrótce zdjął go strach. Zaczął się obawiać, że istoty te tak bardzo rozplenią się po wszechświecie, że na nic innego nie zostanie miejsca. Aby temu zapobiec, zabił żeńskiego Lewiatana. Lewiatan męski nie mógł już mieć potomstwa.

Kiedy wreszcie przybędzie z dawien dawna oczekiwany Mesjasz – jak wiadomo Żydzi nie uznają Jezusa za zbawiciela – to wedle starożydowskiego przekazu zje właśnie żeńskiego Lewiatana.

Ofiar z ludzi domagał się też demon Belfegor, czczony przez Moabitów, bezpośrednich potomków Lota. Kapłani Belfegora dokonywali rytualnego zabijania ludzi i spożywali rzekomo ich mięso. Kapłani jedli je, w pewnym sensie zastępując bogów. Jako ekwiwalent miały im przychodzić do głowy mądre pomysły. Czy jednak rzeczywiście jakiś kanibalistyczny kult zachował się aż do czasów biblijnych?

Belzebub jest w Nowym Testamencie odpowiedzialny za opętanie. U Mateusza czytamy: „A gdy to usłyszeli faryzeusze, rzekli: Ten nie wygania demonów inaczej jak tylko przez Belzebuba, księcia demonów” (Mat. 12, 24). To dowodzi, że nawet jeszcze w czasach Jezusa imiona demonów wykorzystywano do obrządków magicznych, na przykład przy „wypędzaniu duchów”. W Kanaanie, zaliczanym do Palestyny, a leżącym na zachód od Jordanu, Belzebub był bardzo długo bóstwem najważniejszym. Królowie pytali jego wyrocznie o swój stan zdrowia, jeśli lekarze nie mogli im pomóc. Belzebub – imię to znaczyło „władca much” – zrobił marną karierę: ten uznany, potężny bóg został strącony w najgłębsze otchłanie piekielne i zdegradowany do roli demona. Nie byle jakiego, ale demona. W każdym razie został szefem piekieł, przywódcą diabłów i złych duchów.

Lucyfer był u Rzymian utożsamiany z Jutrzenką, z Wenus. Oddawano mu cześć jako potężnemu nadzorczy „armii gwiazd”. U dawnych Izraelitów został szatanem, przeciwnikiem. Lucyfer wykorzystał niezadowolenie swoich „kolegów-aniołów”, jak choćby Zafana. Zafana uważano w niebie za niezwykle bystrego w poznawaniu układów planet. Był on też jednym z najradykałniejszych buntowników. W czasie buntu zaproponował, żeby podpalić niebo. Wraz z Lucyferem został strącony w otchłanie piekieł, gdzie za karę musi w strasznych warunkach wykonywać najcięższe prace. Dniem i nocą pilnuje, aby nie zgasty ognie piekielne. Co sił w rękach i w płucach dmucha w ogień pałacy się w piecu piekielnym.

Im pozytywniej kreślono postać Boga chrześcijaństwa, tym bardziej potrzebny był dla niego przeciwnik, którego można by uczynić odpowiedzialnym za całe zło świata. Jeśli przypomnimy sobie, jak potężny był kiedyś Lucyfer jako bóg, to nie zdziwi nas, jak umniejszono jego znaczenie. Kiedy inne demony proszono o pomoc, żądały one krwawych ofiar z ludzi Lucyfer zadowalał się skromną ofiarą ze zwierzęcia, choćby z myszy. W 1962 roku po raz ostatni stwierdzono obecność Lucyfera. Podczas procesu „czarownic z Moiry” w Szwecji, wiele kobiet mówiło, że Lucyfer chętnie płata im figle. Czasem zabiera miotłę, na której latają, i bije nią biedne kobiety po plecach.

Zresztą potężni bogowie, przed którymi ludzie drżeli, też zmieniali się w zdumiewający sposób: istoty, panujące kiedyś nad gwiazdami albo utożsamiane ze słońcem, przeistaczały się w straszliwe demony, które musiano usposabiać do siebie przychylnie ofiarami z ludzi. Potem demony te przeobrażały się w niegroźne diabły, żądające już tylko obrzędowego „przechodzenia przez ogień”. Dziś potrafią wyłącznie bić kobiety miotłą po plecach. Ale również w tej „niegroźnej” postaci budziły one lęk Kościoła. Za pomocą najbardziej wyszukanych tortur próbowano wykryć, kto zadawał się z „demonami”, a „schwytanych na winie”, jeśli przeżyli męki, palono żywcem. Chrześcijańskich stosów dla czarownic i heretyków nie da się w istocie odróżnić od pogańskich ołtarzy ofiarnych: na jednych i drugich palono niewinnych ludzi.

Armia czarnych aniołów i demonów jest nieogarniona. W ich postaciach żyje pamięć o bogach, będących kiedyś poważną konkurencją dla Jahwe. W czasach chrześcijańskich uważano ich zwykle za przedstawicieli diabła. Jeśli ktoś w nie wierzył, oddawał im cześć albo w trakcie tortur „przyznał”, że miał z nimi kontakt – kończył na stosie.

Mylimy się myśląc, że obłęd dotyczący czarownic miał swoje apogeum w mrokach średniowiecza. Protestanci chętnie widzą w Marcinie Lutrze człowieka, któremu udało się położyć kres ponurym zabobonom. Prawda jest nieco inna: ten reformator nie tylko

pochwalał polowanie na czarownice, lecz również żądał z naciskiem, żeby je zabijano, nie okazując jakiegokolwiek pobłażliwości. Kolejny reformator, Szwajcar Jan Kalwin (podobnie jak Lutra przedstawia się go dziś często jako postać czcigodną i świetlaną), był w rzeczywistości ohydny pasjonatem. Nim rozpoczął swoją działalność, „czarownice” w jego rodzinnej Genewie skazywano na kary łagodne – najwyżej na wygnanie. Zmieniło się to z nastaniem Kalwina, który wprowadził straszliwe prześladowania, rygorystycznie wymagał stosowania tortur i palenia na stosie. Przypomnijmy, że było to w latach 1495-1531, w rzekomo tak humanitarnej erze nowożytnej, nie zaś w „złym” średniowieczu.

Prof. dr Walter Kramer i prof. dr Götz Trenkler piszą:

„Prawdopodobieństwo skończenia na stosie jako czarownica czy czarownik było w czasach Lutra, Galileusza czy Gutenberga znacznie większe niż dawniej. Wprawdzie w średniowieczu nietrudno było umrzeć w płomieniach, przede wszystkim za kacerstwo i nieposłuszeństwo wobec wszechwładnego Kościoła, ale nie zdarzały się wówczas znane nam dziś z filmów procesy o czary – wytaczane na podstawie absurdalnych oskarżeń o zaklinanie pogody, spółkowanie z szatanem, rzucanie uroku na nie lubiane dzieci sąsiadów czy orgiastyczne loty na miotłach, oskarżeń, które później rutynowo zgłaszano i poświadczano przeciw wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób odróżniali się od sąsiadów – takiego masowego obłędu wtedy jeszcze nie było” [Walter Kramer i Götz Trenkler, Lexikon der populären Irrtümer, Frankfurt 1996 s. 142.].

VI. Ludzie w wozach niebieskich

Wróćmy jednak do wozów niebieskich. Niewiarygodnie duża liczba „świętych pism” miała w dawnym Izraelu status kultowy. Kiedyś wszystkie rękopisy ceniono bardzo wysoko. Ale wkrótce zaczęto rozróżniać między przekazami dostępnymi dla zwykłych ludzi a zastrzeżonymi tylko dla wybrańców. Najpóźniej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa rozpoczęła działalność cenzura kościelna: jedne teksty opatrywano wedle uznania pieczętą świętobliwości, inne uznawano za nie do pogodzenia z prawdziwą wiarą.

Nie została włączona do Starego Testamentu Apokalipsa Abrahama. Dlaczego? Bo opisuje jednoznacznie, jak pewnemu człowiekowi pozwolono wejść do wozu niebieskiego?

Abraham w wozie niebieskim

Główne dzieło Paula Riesslera Altjüdisches Schrifttum außerhalb der Bibel (Piśmiennictwo starożydowskie poza Biblią), wydane w Rottenburgu w 1927 roku, przytacza tekst bardziej niż godny uwagi ze względu na dokładność przedstawianych szczegółów. Jego duże fragmenty były jeszcze przed wiekami niezrozumiałe. Ale wiedząc o załogowych lotach kosmicznych, zrozumiemy, o co w tym tekście chodzi,

Młody Abraham – czytamy – był bardzo nieszczęśliwy. Jego ojciec bowiem, Terach, był znanym i uznanym wytwórcą kamiennych i drewnianych posągów bogów, których sprzedaż przynosiła duże dochody. Abraham zaś uważał, że znacznie ważniejsze od produkowania idoli jest poszukiwanie prawdy. Czy Bóg istnieje? Czy bogów jest wielu? Czy można nawiązać z nimi kontakt? Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej chciał nie tylko wierzyć: chciał wiedzieć. A żeby wiedzieć, trzeba – jak uważał – coś przeżyć.

Jego pragnienie miało się urzeczywistnić: pewnego dnia odwiedziły go dwie istoty. Czy byli to bogowie? Na pewno nie byli to ludzie, co Abraham szybko zrozumiał. Podobnie jak Ezechiel podczas swojego pierwszego spotkania z niesamowitym pojazdem niebieskim, parskającym i plującym ogniem – tak samo Abraham padł teraz bezsilny na ziemię.

W Apokalipsie Abrahama czytamy: „Gdy usłyszałem głos, mówiący te słowa, rozejrzałem się szybko na wszystkie strony. Ale nie było ani ludzkiego oddechu” (Abr. 10, 1). Potem stracił przytomność. „I tak przeraził się duch mój, i moja dusza uciekła ze mnie. Stałem się niczem kamień i padłem na ziemię, bo nie miałem siły stać” (Abr. 10, 2).

Czy nas to dziwi? Raczej nie: Abraham znalazł się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przed istotą pozaziemską, co zresztą podkreśla: „nie było ani ludzkiego oddechu”.

Wkrótce okazało się, że jedna z istot jest dowódcą. Jej imię nie zostało wymienione, znamy jednak imię podwładnego. Szef mówi: „Idź, Jawielu, podnieś mi tego człowieka! Niech się uspokoi i przestanie drżeć!” (Abr. 10, 4).

Interesujące imię – Jawiel. To złożenie słów Jahwe (Bóg) i elohim (bogowie).

Jawiel wykonał rozkaz. Abraham szybko przystosował się do dziwnej dla siebie sytuacji i zaczął wszystko bacznie obserwować. Powtórnie podkreśla, że nie byli to ludzie, lecz istoty „na podobieństwo człowieka” (Abr. 10, 5). Dzisiejsi ufolodzy użyliby zapewne określenia twory „androidalne”.

Czy Jawiel miał na sobie skafander kosmiczny? Barwny opis jego wyglądu pozwala na wyciągnięcie takiego wniosku: „Jego ciało przypominało szafir, jego oblicze chryzolit, włosy śnieg, diadem zaś na głowie tęczę” (Abr. 11, 2).

Wyobraźmy sobie astronautę w lśniącym skafandrze: „Jego ciało przypominało szafir”. Twarz astronauty znajduje się za przezroczystą szybą ochronną, w której odbija się światło: „jego oblicze [przypominało] chryzolit [...], a diadem na głowie tęczę”. Takie określenia techniczne jak „skafander kosmiczny” – będące oczywistością językową dla człowieka drugiej połowy XX wieku – Abrahamowi były zupełnie nie znane, bo wówczas ubiorów takich nie używano. Musiał więc stosować porównania do rzeczy, które znał, a robił to znakomicie.

Wkrótce Abraham dowiedział się, że niedługo czeka go „wniebowstąpienie” – fizyczne, nie tylko duchowe.

Dokonany przez Abrahama opis mniejszego „wozu niebieskiego” bardzo przypomina słowa Ezechiela. Abraham konstatuje ze zdziwieniem:

„Jak tu stoję sam i patrzę, widzę za owymi żywymi istotami wóz, mający koła ogniste, każde koło pełne wokół oczu, na kołach zaś tron, który ujrzałem, a był ogniem pokryty, a ogień płynął wokół niego; był to ogień nieopisany nawet jako zastęp ognisty”.

W rozdziale 5. mamy opis „podróży powietrznej Abrahama”:

„A zdarzyło się to o zachodzie słońca, powstał dym, niczem dym z pieca [...]. Tak więc zaniósł mnie aż do granic płomieni ognistych. Potem wznieśliśmy się, jakby za sprawą wielu wiatrów, w niebo, które było nad firmamentem” (Abr. 15, 1 i 15, 4-5).

Wyobraźmy sobie pojazd latający typu „Ezechiel”: przed lądowaniem dolna część rozgrzewa się do czerwoności. W takim rydwanie ognistym Abraham jest „wyniesiony”.

„Widzę na wysokości, dokądśmy dotarli, potężne światło, nie do opisania, a w świetle tym ogień, w nim zaś zastępy, tak – zastępy potężnych postaci, wołających do siebie słowa, jakich nie znałem” (Abr. 15, 6).

Przypomnijmy sobie: inżynier NASA, Josef Blumrich, doszedł do przekonania, że „wóz niebieski” Ezechiela był wahadłowcem, używanym do komunikacji między statkiem macierzystym na orbicie a Ziemią oraz do lotów w atmosferze.

Czy Abrahama wzięto na pokład macierzystego statku kosmicznego? Czy widział jego załogę, istoty, rozmawiające w nieznanym języku, którego nie rozumiał?

Abraham czuł się tam nieswojo: „Ja wszakże pragnąłem spaść 'na ziemię'. Potem szczegółowo opisuje rzeczy dlań niepojęte: „Wysokie miejsce, na którymśmy stali, ono to stało, to się obracało w dół, to w górę” (Abr. 17, 3). Otworzył się jakby luk (Abr. 19, 4), być może po prostu włączono monitor. Abraham stara się obserwować wszystko jak najdokładniej, w swojej relacji podkreśla informacje o wszystkim, co nie pasuje do jego dotychczasowych doświadczeń: „Gwiazdy były to w dole, to w górze”.

Rozmowa z „ojcem podróży kosmicznych”

Ten osobliwy opis pokazałem wielkiemu naukowcowi, „ojcu podróży kosmicznych”, profesorowi doktorowi inżynierowi Hermannowi Oberthowi. Oberth, który przed kilku laty mieszkał we frankońskim Feucht koło Norymbergi, zajmował się intensywnie kwestią, czy naszą planetę w „zamierzczłej przeszłości” odwiedzały istoty pozaziemskie. Uważał, że jest to „zupełnie możliwe”.

Zapytałem profesora Obertha, czy uważa też za możliwe, że – jak przypuszczałem -Abrahama zabrano wahadłowcem na stację orbitalną. Oberth był zdania, że tekst Apokalipsy Abrahama jest ważną poszlaką przemawiającą za prawdziwością prehistorycznych kontaktów ludzi z istotami pozaziemskimi. Oświadczył: „Jeśli Ziemię odwiedzały istoty z Kosmosu, to mogły one przybyć tylko spoza Układu Słonecznego”. W tym miejscu pojawia się jednak istotny problem pokonywania wielkich odległości. „Już zorganizowanie paromiesięcznego załogowego lotu na Marsa będzie ze sobą niosło poważne problemy natury zdrowotnej, spowodowane długim pobytem w stanie nieważkości. Jeśli pomyślimy o podróżach międzygwiazdowych, to musimy wyjść z założenia, że trzeba do tego celu zbudować ogromne wielopokoleniowe statki kosmiczne, całe miasta. W nich ludzie będą się rodzić, dorastać, starzeć się i umierać, potem znów będą się rodzić nowe pokolenia”. Takie długotrwałe loty kosmiczne jednak, uważa Oberth, byłyby zupełnie niemożliwe w warunkach nieważkości.

„Trzeba będzie stworzyć sztuczną siłę ciężenia. To nietrudne. Na przykład olbrzymi statek kosmiczny w kształcie koła mógłby się obracać wokół własnej osi, co wywoła na pokładzie siłę ciężenia, umożliwiającą astronautom życie w warunkach podobnych do ziemskich.”

Pozaziemscy goście, uważa Oberth, byli konfrontowani z takimi samymi problemami. Oni także musieli wywoływać sztucznie siłę ciężenia; ich statki obracały się stale wokół własnej osi!

Naukowcy NASA już dawno zaprojektowali ogromne statki kosmiczne odpowiednie do takich podróży. Można by je zbudować nawet przy dzisiejszym poziomie techniki, jeśli tylko znalazłyby się na to środki finansowe. Profesor Oberth już w 1954 roku opisał w swojej książce takie śmiałe projekty, jak zawsze wyprzedzając swoją epokę [Hermann Oberth, Menschen im Weltraum. Neue Projekte für Raketen- und Raumfahrt, Düsseldorf 1954, s. 195 nn.].

W rozdziale „Siedlungen im Weltraum” („Osiedla w Kosmosie”) proponuje montowanie na orbicie wokółziemskiej statków kosmicznych naprawdę gigantycznych. Dokładnie wyliczył śmiały projekt:

„Takie koło mieszkalne składa się z tarcz średnicy od sześciu do ośmiu kilometrów, odległych od Słońca dwukrotnie dalej niż od Ziemi. W przypadku Ziemi powierzchnia oddająca promieniowanie jest czterokrotnie większa od powierzchni przekroju kuli ziemskiej. W przypadku tarczy o zwierciadlanej ścianie tylnej powierzchnia napromieniowywana byłaby równa oddającej promieniowanie. Koło mieszkalne obraca się wokół własnej osi w ciągu 110-126 sekund. Dzięki temu powstaje siła odśrodkowa, odpowiadająca na obwodzie koła wartości grawitacji ziemskiej. Prędkość na obwodzie wynosi 173-200 m/s [...]. W przekroju tarcza ta jest stosunkowo cienka, ma bowiem grubość najwyżej sto metrów [...]. Koło mieszkalne, mające trzysta do czterystu metrów wysokości, jest podzielone na około pięćdziesiąt kondygnacji. W zewnętrznej, która ze względu na rotację jest zarazem najniższa i panuje tam normalna siła ciężenia, znajdują się mieszkania. W kondygnacjach wyższych rozmieszczono urządzenia, pola, ogrody, łąki i lasy. Każda kondygnacja ma głębokość do stu metrów [...]. Dla kosmicznych osiedleńców niebo nie znajduje się w górze, lecz po bokach. Mieszkańcy koła będą mogli spacerować w prawdziwych parkach. Sami będą produkować żywność oraz oczywiście hodować zwierzęta” [Ibidem.].

Czy Abrahama zawieziono do takiego miasta, jakie profesor Oberth zaprojektował przed ponad czterdziestu laty, do miasta krążącego po orbicie wokółziemskiej i obracającego się wokół własnej osi? Nawet jeśli przypuszczenie to wydaje się na pierwszy rzut oka (zbyt?) fantastyczne, to przecież Abraham opisuje właśnie to, co widziałby człowiek znajdujący się na pokładzie takiego statku, w którym dzięki rotacji powstaje siła ciężenia. Abraham pisze: „Wysokie miejsce, na którymśmy stali, ono to stało, to obracało się w dół, to w górę. Gwiazdy były to w dole, to w górze”.

Miłośnicy filmów fantastycznych wiedzą, że w zaliczanym do klasyki tego gatunku obrazie „2001: Odyseja kosmiczna” symulowano właśnie taką sytuację. Jeśli wygląda się przez okno olbrzymiego statku kosmicznego, obracającego się wokół własnej osi, to raz Ziemia jest w dole, a gwiazdy w górze, a potem jest odwrotnie – Ziemia jest w górze, a gwiazdy na dole.

Ezechiel w wozie niebieskim

Twardy orzech do zgryzienia podrzucił Ezechiel teologom, którzy zgodni są tylko co do jednego: że mało brakowało, aby w czasach Jezusa tekst proroka usunięto z Biblii. Zapewne rabbiemu Chananej ben Chizqiji zawdzięczamy, że Księga Ezechiela pozostała w kanonie biblijnym. Niezgoda panuje w kręgach fachowych, co do tego, czy autorem przypisywanej mu księgi jest Ezechiel, czy też napisał ją któryś z „redaktorów”. Teolog Kirkpatrick doszedł do jednoznacznego wniosku: „Księga Ezechiela nosi ślady pieczołowitego planu, wyszła wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spod pióra samego proroka, który przemawia do nas w pierwszej osobie”.

Oczywiście teolodzy nie poradzili sobie z kwestią, czy prorok widział pojazdy kosmiczne. Problemu tego jednak nie można pozostawiać religioznawcom, nie znającym się na technice kosmicznej. Kiedy NASA zamawia nowe projekty w dziedzinie podboju Kosmosu, nie zwraca się do nich, lecz do inżynierów – takich jak Josef Blumrich.

Jak już wspominałem, Blumrich doszedł do wniosku, że pojazd widziany przez Ezechiela był wahadłowcem umożliwiającym odbywanie zarówno podróży do macierzystego statku kosmicznego na orbicie, jak i lotów w atmosferze ziemskiej – na przykład z jednego

kontynentu na drugi. I podobnie jak Abrahama, również Ezechiela wzięto na pokład takiego pojazdu, który następnie wzniósł się w powietrze.

Jak wiele lotów odbył Ezechiel, nie da się jednoznacznie ustalić mimo najdokładniejszego badania tekstów oryginalnych. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Księga Ezechiela zachowała się tylko we fragmentach, duże jej części zaginęły z biegiem tysiącleci.

Poniższe cytaty opierają się na moim tłumaczeniu. Staralem się przy tym oddać tekst oryginału jak najdokładniej pod względem budowy zdań i doboru słów, dbając zarazem o jego zrozumiałość.

W rozdziale trzecim Ezechiel opowiada, jak uwieziono go statkiem kosmicznym spośród wygnańców nad rzeką Kebar, a następnie przywieziono z powrotem. Oto wersety:

„12. I szum wiatru uniósł mnie, za sobą wszakże słyszałem łoskot ogromnego drżenia! Pochwalone niech będzie objawienie Jahwe na swoim miejscu!

13. I głos skrzydeł, drżące istoty, każda dotykając swojego rodzeństwa, odpowiadający im huk kół, łoskot wielkiego trzęsienia ziemi.

14. I szum wiatru uniósł mnie, i szum wiatru poniósł mnie. I jechałem w złym gniewie w skwarze mojego serca, a ręka Jahwe trzymała mnie, mocno i pewnie!

15. I przybyłem [z powrotem] do wygnańców na rzeką Kebar, siedząc, obok Tel Abib, i usiadłem przy nich, i siedziałem tam dni siedem: [jak] ogłuszony”.

Bez wątpienia lot wozem niebieskim, zapewne pierwszy, był dla Ezechiela przeżyciem szokującym. Prorok otrząsnął się zeń dopiero po tygodniu.

Następny lot opisano w rozdziale ósmym. Oto przekład:

„1. A zdarzyło się to w szóstym roku, w szóstym, piątym dnia nowego miesiąca, kiedy siedziałem w swoim domu i siedzieli przede mną starsi Jehudy, opadła na mnie ręka mojego Pana, Jahwe.

2. I widzę, i widziałem: tak, ta postać, z wyglądu jakby człowiek i w dół od jego bioder: ogień, i w górę od jego bioder: było to jasne jak kruszec.

3. I wysłał jakby rękę, i chwycił mnie za włosy. I poprowadził mnie wiatr niebieski, i zaniósł mnie do miasta do bramy świątyni wewnętrznej, leżącej ku północy”.

Najważniejszy być może lot Ezechiela jest opisany w rozdziale czterdziestym. Prorok znów podaje bardzo precyzyjne daty.

„1. W dwudziestym piątym roku naszego wygnania, z początkiem roku, dziesiątego dnia, w nowym miesiącu, w czternastym roku po zniszczeniu miasta, wtedy była nade mną ręka Jahwe: przeniósł mnie tam”.

Zdarzyło się to zapewne w 573 albo 572 roku p.n.e.

W końcu Ezechiel dowiedział się, dlaczego zabierano go z miejsca wygnania i wożono drogą powietrzną do miasta ze świątynią: pewnego razu członek załogi latającego wozu przeprowadził szczegółowe pomiary świątyni. Ezechiel musiał wszystko dobrze obejrzeć i zapamiętać. Nakazano mu, żeby wszystkie zapamiętane informacje przekazał ludowi Izraela. Dlaczego i po co? Jeśli wczytamy się w dzisiejsze tłumaczenia Biblii, to okaże się,

że Ezechiela dowożono do Jerozolimy „powietrznym ekspresem”. Tu nie ma żadnych kwestii otwartych.

Ezechiela wożono rzekomo do świętego miasta, do Jerozolimy, do centrum religijnego kultu, do słynnej świątyni, którą dokładnie wymierzono, a wymiary rzutu poziomego utrwalono na piśmie. Wszystko, co się tam działo, sprawia wrażenie bezsensu, czegoś zupełnie niepotrzebnego, bo przecież Świątynia Jerozolimska była wystarczająco znana, a jej wymiary i wygląd pomieszczeń nie stanowiły dla nikogo tajemnicy. Dlaczego więc Ezechiel musiał wyniki pomiarów „zwiastować domowi izraelskiemu”? A może nie była to wcale Świątynia Jerozolimska, ale budowla nie znana Ezechielowi, a nawet ludowi Izraela?

VII. Tajemnicza świątynia Ezechiela

Ezechiel z pedanterią utrwalił wyniki pomiarów, choć była to prawie nieogarniona liczba danych (Ez. 40, 5 nn.). Fragment ten jest dotąd uznawany przez teologów wszystkich wyznań za nieistotny i niewarty dokładnej analizy. Kiedy byłem na studiach, zdziwienie moich kolegów budził fakt, że pieczołowicie tłumaczę właśnie „nudne” części tego tekstu. Ja natomiast twierdziłem, że jest to lektura ze wszech miar pasjonująca. Podobne wrażenie odniósł zapewne Hans Herbert Beier.

Ten inżynier, urodzony w 1929 roku w Austrii, pracował na kierowniczym stanowisku w jednej z dużych niemieckich firm. Beiera zastanowiło, dlaczego Ezechiel zadał sobie tak wiele trudu, umieszczając w swoim dziele tyle danych dotyczących świątyni. W końcu Beier przeprowadził jej rekonstrukcję na desce kreślarskiej. Najpierw sporządził rysunek, a następnie trójwymiarowy model obiektu. Rezultat przedsięwzięcia był co najmniej zaskakujący.

Odtworzona budowla była wszystkim tylko nie świątynią w zwykłym znaczeniu tego słowa – był to raczej kompleks architektoniczny, przypominający nieco stadion. W jego środku znajdował się kwadratowy dziedziniec, obudowany licznymi pomieszczeniami. Na tym właśnie dziedzińcu lądował statek niebieski typu „Ezechiel”.

Prace badawcze inżynierów Blumricha i Beiera uzupełniały się. Kompleks techniczny do obsługi wahadłowców mógł być na przykład wykorzystywany do napraw i konserwacji głównego, atomowego napędu tych obiektów latających. Takie właśnie zdarzenie widział i opisał Ezechiel w rozdziale dziesiątym swojej księgi. Oto wersety:

„6. A kiedy rozkazał mężowi ubranemu w len: Weź żar spomiędzy kół, ten przyszedł i stanął obok koła.

7. A wtedy jeden cherub wysunął rękę [...] do żaru, który był między cherubami, i [potem] wziął trochę i podał do garści męża ubranego w len. Ten wziął żar i odszedł.

8. A przy cherubach pokazało się coś, jakby w kształcie ludzkiej ręki [...]”.

Powinniśmy sobie unaocznic, że biblijnemu Ezechielowi technika kosmiczna była całkowicie obca. Mógł co najwyżej próbować opisać działania, których nie rozumiał, znanymi sobie słowami.

Wiadomo, że do zespołu silnika jądrowego zbliżył się mężczyzna w stroju ochronnym („ubrany w len”). Za pomocą chwytaka („coś, jakby w kształcie ludzkiej ręki”) zdemontowano jakąś część.

Inżynier Blumrich twierdzi:

„Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, co naprawdę tam zaszło. Patrząc na to pod kątem technicznym, jedno jest pewne – usunięto jakiś gorący element. Czy był on »gorący« tylko w sensie cieplnym, czy też wiązało się to z promieniowaniem jądrowym, nie jest zupełnie jasne [...]. Nie można się oprzeć wrażeniu, że podczas dokonywania tych zabiegów dowódca celowo stanął w takim miejscu, aby między nim a naprawianym statkiem kosmicznym, znajdowała się część świątyni” [Josef Blumrich, Pojazdy kosmiczne Ezechieia, Łódź 1993, s. 90 nn.].

Teolodzy, którzy rozważali opis kompleksu budowli, uświadomili sobie szybko, że w żadnym razie nie może chodzić o Świątynię Jerozolimską. Zastosowali oni zaskakująco prostą sztuczkę. Stwierdzili mianowicie, że Ezechiel przekazuje w Biblii pewną wizję, opisuje świątynię przyszłości. Ale w hebrajskim tekście pierwotnym nie pojawiają się żadne formy czasu przyszłego. Jest tylko imperfectum (czas przeszły niedokonany) i perfectum (czas przeszły dokonany). Opisy stacji diagnostycznej są w perfectum. Dzięki temu wiadomo, że Ezechiel opisuje rzeczy, które się właśnie dzieją – nie ma więc mowy o wizjach przyszłości. Naukowcy zajmujący się teologią wynaleźli zatem kuriozum językowe: perfectum consecutivum. Są na tyle bezczelni, że twierdzą: jeśli Ezechiel zapisał, „zbudowano świątynię!”, to można to tłumaczyć jako „będzie zbudowana świątynia!” [Por. też: W. Baumgärtner, Hebräisches Schulbuch, wydanie XXVI, Basel und Stuttgart 1971, s. 31 n.]

Ta metoda postępowania „naukowców” biblijnych budzi poważne wątpliwości. Nie chodzi im o odkrycie, co opisywał Ezechiel. Próbują na siłę potwierdzić sąd z góry powzięty. Ezechiel widział w Jerozolimie budowlę. Za nic nie chcą odstąpić od tego założenia. Ponieważ jednak wymiary Świątyni Jerozolimskiej w żadnym razie nie pasują do precyzyjnych danych Ezechiela, z jednoznacznego opisu istniejącego budynku za pomocą językowego triku zrobiono wizję przyszłości. Tekst zniewolono, aby potwierdzić obowiązującą doktrynę. Tak obchodzić się z dokumentem wolno być może w teologii, nie można tego jednak akceptować z naukowego punktu widzenia.

Hans Herbert Beier, który pedantycznie przeanalizował sprawdzone fakty, twierdzi, iż jest pewne, że świątynia istniała i że Ezechiel w niej był. Autor uważa, że budowlę tę należy odnaleźć i rozpoznać, porównując z rekonstrukcją. Nie waży się przy tym przewidywać, co będzie, jeśli – jak sam sądzi – odkryje się ją daleko od Babilonu.

Odkrycie świątyni Ezechiela w znacznej odległości od Babilonu czy Jerozolimy miałyby istotnie ogromne znaczenie. Stanowiłyby dowód, że Ezechiela zawieziono obiektem latającym do odległego kraju, gdzie pokazano mu stację diagnostyczno-naprawczą do obsługi wozu niebieskiego.

Czy Ezechielowi nakazano precyzyjne opisanie kompleksu, aby przyszłe pokolenia mogły tę budowlę rozpoznać?

Czy kosmiczni goście zatroszczyli się o to, żeby dowiedziano się o ich obecności na Ziemi? Kiedykolwiek. Szukajmy więc świątyni Ezechiela na całym świecie [Ktoś, kto chciałby udać się na poszukiwanie świątyni, powinien najpierw przeczytać najważniejszą chyba pracę na ten temat, pióra H. H. Beiera, a zatytułowaną Ezechiel, koronny świadek.].

Czy Ezechiel był w Peru?

Erich von Däniken podróżuje po całej naszej planecie jak żaden inny badacz zagadek historii. Ten niezmordowany globtroter odkrył zrujnowaną budowlę, która może być

pozostałością kompleksu architektonicznego opisanego przez Ezechiela. Odkrył ją tam, gdzie jej istnienia nie podejrzewał żaden biblista – w Peru, w Chavin de Huantar.

Świątynia w Chavin de Huantar, na południowy wschód od Huaraz w zachodniej części środkowego Peru w pobliżu przysiółka Machac na wysokości 3180 m n.p.m., stanowiła niegdyś świętość o centralnym znaczeniu. Archeolodzy spierają się, kiedy ją zbudowano. Przypuszczają, że była niegdyś najważniejszą świątynią kultury Chavin, która rozprzestrzeniła się stąd na północną i środkową część Peru. Było to zapewne między 1000 a 300 rokiem p.n.e.

Dla przypomnienia: od około 592-572 roku p.n.e. Ezechiel miał spotkania z wozem niebieskim, około 573-572 p.n.e. poleciał do świątyni wszystko to działo się więc w czasach rozkwitu kultury Chavin. Ale czy prorok był w Peru naprawdę? Erich von Däniken zebrał mnóstwo poszlak na ten temat, które przynajmniej przybliżają nas do wyciągnięcia takiego wniosku [Erich von Däniken, Strategia bogów, Warszawa 1993.].

Ezechiela zawieziono „wozem niebieskim” i postawiono „na bardzo wysokiej górze” (Ez. 40, 2), której nie znał. W pobliżu Jerozolimy na darmo szukać takiej góry. Chavin de Huantar jednak leży na bardzo dużej wysokości. Ponieważ okolice Chavin nie były prorokowi znane, nie wiedział on też jak brzmi nazwa góry.

Na górze „było coś, jakby zbudowane miasto” (Ez. 40, 2). Ezechiel nie znał również miasta. Nie chodziło więc o Jerozolimę. W okolicach Chavin de Huantar archeolodzy odnaleźli resztki rozległej osady o charakterze miejskim. Jej nazwa też nie była prorokowi znana.

Główna fasada świątyni Ezechiela oraz brama główna były zwrócone ku wschodowi – podobnie jak w Chavin de Huantar.

Świątynia Ezechiela miała trzy bramy – na wszystkie strony świata poza zachodnią. Dokładnie tak samo jest w Chavin de Huantar.

Według dokładnych pomiarów „dziedziniec wewnętrzny” świątyni Ezechiela był kwadratowy, a długość jego boku wynosiła 50 m. W Chavin de Huantar długość boku tego kwadratu wynosi 49,70 m. W biblijnej świątyni Ezechiela z „dziedzińca wewnętrznego” cztery ciągi schodów prowadziły na wszystkie strony świata – jak w Chavin de Huantar.

Ezechiel podał, że filary między niszami bram mają wysokość pięć łokci. Przypuszczalnie posługiwał się znaną sobie miarą babilońską – co daje wysokość 2,29 m. Wysokość kolumn w Chavin de Huantar wynosi 2,30 m.

Ściany wewnętrzne i zewnętrzne świątyni Ezechiela były ozdobione wizerunkami uskrzydłych anielskich istot. Tak samo jest w Chavin de Huantar.

Ezechiel zapisał, że przy południowej ścianie świątyni szemrało źródelko. Ten ważny szczegół irytuje teologów i wprawia w zakłopotanie. Jeden z nich, G. Richter, stwierdza między innymi: „Z tego tekstu nie wiemy nic o takim źródle świątynnym. Bo »cicho płynące wody Syloe« (Iz. 8, 6) trudno z nim utożsamiać; płynęły one zresztą w zupełnie innym kierunku” [G. Richter, Der ezechielsche Tempel. Eine exegetische Studie über Ezechiel, (w:) „Beiträge zur Förderung christlicher Theologie”, z. 12, Tübingen 1912.].

W przypadku Chavin de Huantar natomiast było to źródło. Däniken pisze: „Dziś w Chavin de Huantar strumyk płynie od południa, zbliżając się do kompleksu budowli przy południowo-wschodnim rogu” [Erich von Däniken, Strategia bogów, Warszawa 1993.].

Na trudności nie do przewyciężenia trafiają teolodzy, którzy lokalizują świątynię Ezechiela w Jerozolimie: „woda” zamienia się tam w rzekę i uchodzi rzekomo do Morza Martwego. W oryginalnym tekście hebrajskim nie znajdziemy określenia „Morze Martwe”. Według Biblii wartki nurt rzeki kierował się we „wschodnie połacie tej krainy” – tak właśnie jest w Chavin de Huantar. Rzeka Mosna płynie najpierw na wschód do miejscowości Huyaycabamba, a następnie uchodzi do Rio Maranon. Ta zaś kieruje się najpierw ku północy, potem jednak skręca – i to na przestrzeni tysiąca kilometrów – dokładnie na wschód, wpadając do Amazonki, która z kolei uchodzi do Atlantyku.

Ale to jeszcze nie wszystko: morze, nie mające nazwy w oryginalnym tekście Ezechiela, nie może być w żadnym razie Morzem Martwym. Jak sama nazwa tego ostatniego wskazuje, jest ono martwe – to znaczy, ma tak wysoki stopień zasolenia, że nie żyją tam ryby. Dlatego też morza z opisu Ezechiela nie można utożsamiać z tym morzem, odpowiada ono jednak warunkom Ameryki Południowej, co stwierdza słusznie Erich von Däniken: „Opis ten pasuje w zdumiewający sposób do Rio Maranon i Amazonki, największego zlewiska świata” [Ibidem.].

Także niezwykła urodzajność okolicy, opisywana przez Ezechiela stoi w sprzeczności z jałowymi postaciami Izraela. W Księdze Ezechiela jest mowa o wciąż zielonych drzewach, uginających się pod ciężarem wybornych owoców. Däniken: „Nie można lepiej opisać bogactwa przyrody na brzegach Rio Maranon i Amazonki” [Ibidem.].

Jeśli Ezechiel pisze, że w wodach jest mnóstwo ryb, że roślinność jest niezwykle bujna, że mnóstwo drzew rodzi wspaniałe owoce, to logika prosi o wyciągnięcie jasnego wniosku: okolica opisywana przez Ezechiela nie pasuje do biblijnego Izraela. Ale teolodzy znów sięgają po sprawdzoną sztuczkę. To, co za czasów proroka było jałowym pustynnym regionem, kiedyś rozkwitnie – twierdzą. Nie sprzyjające rozwojowi życia słone wody Morza Martwego kiedyś się zmieniają, pełno w nich będzie ryb. Tekst Ezechiela jest więc dopasowywany do życzeniowych wyobrażeń teologów:

„A teraz Ezechiel widzi drugi cud: w pustynnej uprzednio okolicy nad strumieniem rosną niezliczone drzewa, zamieniając nieurodzajny krajobraz w łany opalizujące cudowną zielenią [...], rzeka płynie aż do doliny Jordanu, aby w końcu ujść do słonych wód Morza Martwego [...]. To cudowne oddziaływanie wody wypływającej ze świątyni nie dopuszcza żadnych wątpliwości co do rodzaju opowieści, z jakiej rozdział ten czerpie swoje obrazy i barwy; to oczywiście rajski strumień, którego wody radują miasto Boże” [W. Eichrodt, Das Alte Testament deutsch, Göttingen 1968.].

Już w czasach kultu kabały liczby miały dla Izraelitów ogromne znaczenie – szczególnie dotyczyło to liczby 7. Była ona równie ważna dla budowniczych Chavin de Huantar.

Świątynie wznoszono w Izraelu zwykle w miejscach świętych. Kiedy zaś czasu zostawił swoje znaki na jakiejś budowli sakralnej, to albo ją odnawiano, albo równano z ziemią, aby w tym samym miejscu wzniesć nową. Ezechiel pisze, że jego świątynia jest nowa. Pasuje to do Chavin de Huantar. Miejscowa świątynia nie miała bowiem poprzedniczek.

Zdaniem Ericha von Dänikena Ezechiela zawieziono z babilońskiej niewoli do odległego Peru. Na jego oczach przeprowadzono dokładne pomiary świątyni. Czy istotnie było to Chavin de Huantar? Na to pytanie nie potrafimy odpowiedzieć jednoznacznie.

Jeśli rację mają inżynierowie Blumrich i Beier, to świątynia Ezechiela była stacją diagnostyczno-naprawczą przeznaczoną do obsługi pozaziemskich statków kosmicznych. Czy jednak taka stacja była tylko jedna? A może istoty, które przybyły na Ziemię, założyły na całym świecie sieć takich stacji? Czy w Indiach też była „stacja diagnostyczno-naprawcza” a la Ezechiel?

Czy Ezechiel był w Indiach?

Prof. dr Dileep Kumar Kandžilal, autor fundamentalnej pracy o podróżach kosmicznych w starożytnych Indiach, kształcił się w kalkuckim Sanskrit College. Potem studiował w Oksfordzie, wreszcie został rektorem słynnego Victoria College w Cooch Beharze w Bengalu Zachodnim. Dziś jest członkiem honorowym Towarzystwa Azjatyckiego i kieruje katedrą na uniwersytecie w Kalkucie.

Poznałem tego zawsze uprzejmego, jakby filigranowego naukowca o międzynarodowej sławie już w 1979 roku. Podobnie jak on również ja miałem wtedy odczyt na kolejnej światowej konferencji Ancient Astronaut Society w Monachium. Mówiłem o swoich pracach w dziedzinie dosłownego tłumaczenia tekstów biblijnych... a wywody profesora Kandžilala utwierdziły mnie w moich przekonaniach.

Powiedział on, że również w tekstach staroindyjskich jest mowa o potężnych statkach kosmicznych, krążących po orbitach wokółziemskich. Panowała tam sztuczna siła ciężenia, wywoływana rotacją statków wokół własnej osi. Dumnymi właścicielami „kosmicznych miast” byli między innymi bogowie: Indra, Brahma, Rudra, Jama, Kuwera, Waruna. Wahadłowce kosmiczne, którymi podróżowali między orbitą wokółziemską a Ziemią, zostały opisane bardzo precyzyjnie. Jeden z nich miał rozpiętość skrzydeł 10 m, długość całkowitą 13 m, a wysokość (mierzoną od podłoża) 5 m. Zwykle pojazdy takie zabierały na pokład ośmiu do dziesięciu pasażerów, mieściły też do 35 m³ ładunku. Do ich prowadzenia potrzeba było co najmniej trzech pilotów. W tekstach podkreślano rzecz szczególną: po starcie chowano koła.

Dla przypomnienia: w rekonstrukcji wahadłowca, dokonanej przez Josefa Blumricha, koła wraz z jednostkami wirnikowymi były złożone, dopóki statek poruszał się z napędem atomowym. Czy więc Ezechiel i autorzy staroindyjskich tekstów widzieli i opisali wahadłowce tego samego typu? A może Ezechiel leciał nad Indiami? Czy zawieziono go znad rzeki Kebar do Indii, aby zwiedził „swoją” świątynię? Czy późniejsze pokolenia my? – miały się domyślić, że w starożytności znano loty kosmiczne? Że istoty pozaziemskie odwiedzały Ziemię i brały ludzi na pokład swoich statków?

Dzisiejsi Hindusi, żyjący przeważnie w straszliwej nędzy, są dumni z fantastycznej historii swojego kraju. Dla nich – zarówno dla analfabety na ulicy, jak i dla profesora uniwersytetu – wizyty bogów są częścią ich historii. „Oczywiście, że w Indiach byli bogowie! – oświadczył w Madras łamaną angielszczyzną pucybut, który rozpromienił się, kiedy usłyszał moje pytanie. – Były to odwiedziny fizyczne, nie duchowe.”

Członkowie Międzynarodowej Akademii Badań Sanskrytu w Mysore reprezentują bardzo podobne poglądy: „Przed tysiącami lat do Indii przybywały aparaty latające zwane wimanami. Opisano je w wielu tysiącletnich świętych księgach”. Oto fragment ze starożytnego eposu Mahabharata (rozdział 15, wersety 20-24), którego pierwotna wersja jest podobno wiele tysięcy lat starsza od Starego Testamentu: „Powiedziawszy to do bogini i pożegnawszy się z nią oraz mędrcami, wstąpił na pokład wimany [...]. Wziąwszy słonie, konie, wozy i broń, wyruszył w drogę”.

Dr Richard Thompson, jeden z najlepszych amerykańskich indologów, uważa: „Przed tysiącami lat Ziemię odwiedzały istoty z Kosmosu. Istoty te, odbywające podróże międzygwiazdne i przemieszczające się między planetami, przybywały również do Indii”.

Już w 1870 roku Calcutta Sanskrit College opublikował tekst Yukikadpatatar z Boha, zawierający wyraźne wzmianki o starożytnych statkach kosmicznych. W 1985 rok pewien uczony Hindusi, B. G. Talpul, zrekonstruował aparat latający według tekstu Vymaaniika Shaastra. W 1968 roku Dayanandra Trust z New Delhi opublikował studium na temat

tekstów staroindyjskich. Swami Brahamuni Parivrajaha przedstawił w tym studium pogląd, że „już w starożytnych Indiach [odbywano] podróże powietrzne i kosmiczne”. Do tego samego wniosku doszedł Swami Dayanada Sarasvati w naukowym studium na temat Rygwedy. Nie ma żadnych wątpliwości, że przed tysiącami lat istoty pozaziemskie odwiedzały Indie.

Statki kosmiczne z kamienia

Niezliczone opisy tajemniczych pojazdów latających, prehistorycznych statków kosmicznych pozostawił słynny Sthapati. Opisy te przekazywano następnie z pokolenia na pokolenie. Często nie poprzestawano jednak na pisemnym utrwalaniu opisów boskich pojazdów. Uwieczniano je również w kamieniu. Sthapati był nie tylko kapłanem, lecz również architektem kierował wznoszeniem świątyń. Celem było odtworzenie boskich pojazdów kosmicznych w kamieniu, aby uwiecznić „wimany” należące do całkiem realnych bogów prehistorii. Oto co napisano w starożytnym indyjskim tekście Natyasastra: „Świątynie powstały na podobieństwo samolotów niebieskich”.

Do pradawnej indyjskiej tradycji należy wznoszenie świątyń w miejscach świętych. Na miejscu dawnych świątyń buduje się nowe. Wszystkie więc ważniejsze indyjskie świątynie są w istocie kopiami kopii jeszcze starszych kopii – często nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy wzniesiono świątynię pierwszą.

Świątynia Brhadisvara, znajdująca się w zachodniej części miasta Tańdzawur, przedstawia staroindyjską wimanę. Świątynia ta jest poświęcona bogu Śiwie, który według legend miał swoją bazę w mieście Widżajanagara. Jeśli zgodnie z dawnym zwyczajem zdejmujemy buty, a następnie wejdziemy do świątyni, to najpierw znajdziemy się w imponującej hali kolumnowej i wielkiej sali zebrań, potem przejdziemy przez przedsionek i będziemy w miejscu najświętszym. Nad nim wznosi się na wysokość 74 m wieża świątyni. Na szczycie wieży, zwanej też świątynną piramidą, znajduje się boski pojazd. Świątynia Brhadisvara jest monumentalną budowlą, która zdumiewa swoją wspaniałością. Jej wznoszenie, trwające siedem lat, zakończono podobno w 1003 roku. Kamienna kopia wimany na szczycie wieży stanowi zagadkę dla inżynierów budownictwa: waży całe 80 t, a zrobiono ją z jednego kawałka kamienia. A jak umieszczono taki monolit na takiej



wysokości?

Proponowano różne wyjaśnienia, ale żadne nie jest dość przekonujące. Jedni teoretycy uważają, że zastosowano skomplikowaną konstrukcję drewnianą – co najmniej

sześciokilometrową rampę – po której osiemdziesięcotonowy kamienny kolos wciągnięto siłami niezliczonych ludzi i słoni. Inni „wyjaśniacze” odrzucają tę myśl. Żadna konstrukcja drewniana nie wytrzyma takiego ciężaru. Raczej świątynię wraz z wieżą obsypano olbrzymimi masami ziemi tworząc wielkie wzgórze-rampę – właśnie po nim wciągnięto kamienną wimanę na miejsce. Potem masy ziemi zostały usunięte. Jak miałyby wyglądać taka ziemna rampa, uczeni spierają się do dziś. Czy była prosta? Ile miała kilometrów długości? A może była spiralna, może usypano ją wokół świątyni? Musiałyby mieć wtedy nie tylko ogromne rozmiary, ale trzeba by też masy ziemi w jakiś sposób umocnić, aby nie osuwały się przy transporcie olbrzymia. Ale hipotezy tego rodzaju można skwitować tylko wzruszeniem ramion. Najświętszej świątyni, do której można wchodzić tylko bosą, nigdy by nie zasypano górą brudnej ziemi, nawet przejściowo. Taka metoda była nie do pogodzenia z powagą świętego miejsca.



Il. 5. Podobnie jak wiele innych indyjskich świątyń również obiekt religijny Brhadiswara w Tańdżawurze jest kamiennym wyobrażeniem „statku kosmicznego” bogów

Hipoteza trzecia zakłada użycie potężnej, wielokondygnacyjnej konstrukcji drewnianej: z piętra na piętro transportowano by kamienne brzemie za pomocą potężnych dźwigni, poruszanych siłą słoni. Również ta propozycja, wyglądająca tak ładnie na papierze, jest w praktyce nie do zrealizowania.

Sanskrytolodzy odsyłają do staroindyjskich tekstów, w których przed tysiącami lat zawarto szczegółowe opisy wyposażenia niebiańskich wiman. Opisy te sprawiają wrażenie opowieści science fiction. Ale jeśli bogowie przybywali do Indii statkami kosmicznymi, to czy nie mogli służyć również swoją technologią przy wznoszeniu imponujących świątyń?

Pewne jest w każdym razie, że Hindusi już przed wieloma tysiącami lat byli mistrzami w transporcie niewiarygodnych wprost ciężarów. W pobliżu Chunnar jest wielki kamieniołom, eksploatowany przez tysiąclecia, w którym pozyskiwano materiał na kamienne wimany. Wykuwano tam olbrzymie kolumny – składające się z jednego kawałka skały, mające długość 15 m i ważące 50 t. Kolumny takie transportowano setki kilometrów na miejsca budowy. Nikt nie potrafi powiedzieć, ile ich zrobiono. Trzydzieści wykorzystano przy wznoszeniu różnych świątyń. Taka kolumna znajduje się w jednej z najbardziej

zagadkowych indyjskich świątyń – w Sanci. Przetransportowano ją na odległość 800 km. Ale jak? Może na tratwie – Gangesem, Jumną i w końcu Betwą? Rzeczywiście Betwa płynie „tylko” dwa kilometry od kompleksu świątynnego Sanci. Teoretycznie wyjaśniałoby to więc kwestię transportu. Ale praktycznie? W porze deszczowej – inaczej poziom wody w rzekach jest za niski – tratwę trzeba by holować pod prąd.

Ale nawet transport kolumny od rzeki do kompleksu świątynnego z trzema kamiennymi kopulastymi budowlami trzeba uznać za mistrzostwo. Na ostatnich dwustu metrach różnica poziomów wynosi 60 m. W końcu monstrum trzeba było ustawić pionowo. Czy zrobiono to prymitywnymi środkami technicznymi, jakimi dysponowali ludzie przed tysiącami lat? A może swojej techniki użyczyli im latający bogowie, o których wciąż mowa w staroindyjskich tekstach?

Staroindyjskie statki kosmiczne dysponowały bowiem, o czym świadczą niezliczone święte pisma, niezwykle nowoczesną techniką. W Królewskiej Bibliotece Sankskrytu w Mysore zachowało się do dziś wiele wartościowych staroindyjskich tekstów. Jednym ze skarbów tego ogromnego zbioru jest tekst Vymaanyka Shaastra, zawierający precyzyjne opisy zarówno ubioru pilotów wiman, jak i metali, koniecznych do ich budowy. Wyliczono tam wady i zalety różnych rodzajów napędu, przedstawiono również „tajemnice astronautyki”.

Za nazwami, których nie wymówi żaden Europejczyk, kryją się zdumiewające urządzenia. Visvakriyadarpana to teleskop, za którego pomocą z wimany okrążającej Ziemię dokładnie widać rzeczy, jakie dzieją się na jej powierzchni.

Parivesayantra umożliwiała porozumiewanie się między dwiema wimanami albo między Ziemią a wimanami. Vyairoopadarpana zapewniała bezpieczeństwo lotu. Sprawdzała stale, czy w wimanie nie zachodzą jakieś zmiany, wymagające ewentualnych napraw. Saktipinjara kontrolowała zespół napędowy, siłownię. Sirahkeelaka był zapewne czymś w rodzaju centralnego komputera sterującego.

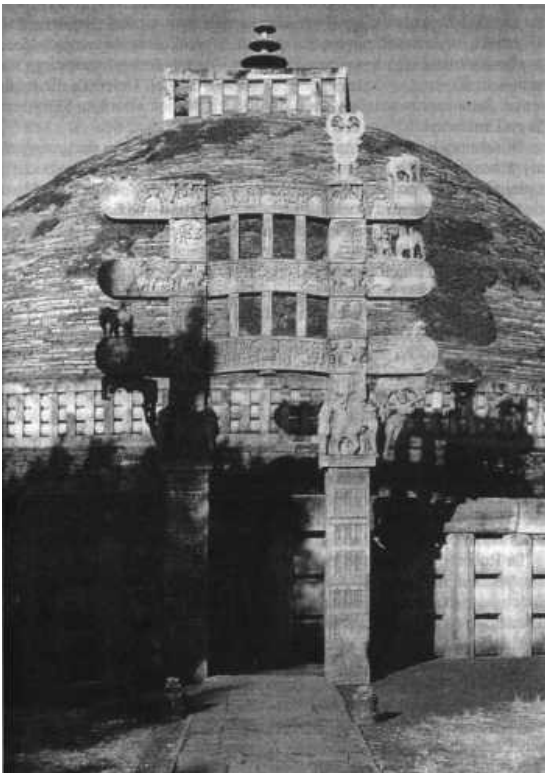
Atomowa broń bogów

Przerazająco dokładne są w staroindyjskich tekstach opisy dotyczące broni bogów. Podczas lektury nierzadko przychodzi na myśl takie filmy science fiction, jak „Gwiezdne wojny”. Na przykład ogromne kosmiczne miasto Hiranyapurna zostało kiedyś zaatakowane przez Ardżunę. Eskadra obrońców, wyposażona w straszliwą broń, daremnie próbowała zestrzelić, zniszczyć samolot Ardżuny. Jemu zaś udało się odpalić salwę rakiet, które rozerwały kosmiczne miasto na strzępy. Jego resztki spadły na Ziemię i najprawdopodobniej zatoneły w morzu.

Wszystkimi elementami pojazdu latającego Ardżuny sterowały komputery. Shaktyakarsanayantra zapewniała energię, była „zwierciadłem, zdolnym ściągać energię”. Czyżby kolektor słoneczny, jakie my stosujemy dziś w satelitach? Składał się, jak chce tekst, „w pięciu częściach [z] rtęci, w sześciu częściach z miki, w ośmiu częściach z soli granitowej, w ośmiu częściach z soli [...]”. Poszczególne składniki musiały być najpierw dokładnie oczyszczone, następnie podgrzewano je do temperatury 800 stopni, w końcu doprowadzano do stanu płynnego i wlewano do form.



Il. 6. Inne indyjskie „pojazdy bogów” wyobrażone w kamieniu: Świątynia Radzarani w Tańdżawurze...



Il. 7. ... i jedna z kopulastych budowli w Sanci

Boskiej broni używano też w bezpośredniej bliskości Ziemi. Na przykład Salva ostrzelał ze swojego samolotu – o czym pisze Bhagawata – miasto Dvarka. Kryszna wciągnął agresora w walkę powietrzną. Najpierw Salva uciekł, wylądował na morzu, potem z prędkością zapierającą dech w piersi wzniósł się na wysokość 1300 m. Ale ten śmiały manewr go nie uratował: Kryszna wystrzelił celnie z jednego z dział. Ucieczka nie miała sensu. Samonaprowadzający pocisk wyśledził dźwięk samolotu Salvy, trafił go i zniszczył.

W siódmej księdze Mahabharaty czytamy o strasliwym działaniu jednej z boskich broni. „Wystrzelała wysoko w przestworza, a wybuchały z niej płomienie, podobne ogniom, które w czasach ostatecznych pochłoną ziemię. Tysiące gwiazd spadało z nieba, zwierzęta w wodzie i na lądzie dygotały z przerażenia. Ziemia drżała”. Podobno pociski takie były wyposażone w „siłę Wszechświata”. Po wybuchu pojawiał się „rozżarzony do białości słup dymu i ognia, jaśniejąc niczym dziesięć tysięcy słońc”. A dalej: „Nieznana broń jest błyskawicą promienną, pustoszącym wszystko posłańcem śmierci, który spopielił ludzi Vriszni i Andhali. Spalone ciała były nie do rozpoznania. Tym, którym udało się uciec,

wypadały włosy. Warsztaty garncarskie upadały, ptaki robiły się białe. W krótkim czasie cała żywność była zatruta. Błyskawica opadała i zamieniała się w drobny pył. Aby uciec przed ogniem, żołnierze skakali do rzek, gdzie obmywali siebie i broń”. W innym miejscu czytamy: „Było tak, jakby się rozszalały żywioły, słońce kręciło się w koło. Osmałony ogniem tej broni świat zataczał się w żarze, zniszczono tysiące wozów, potem zapanowała głęboka cisza. Przedstawiał się przerażający widok: ciała poległych były okaleczone przez straszliwą temperaturę, tak iż nie wyglądały jak ludzkie”.

Czy niedopuszczalna będzie interpretacja, że cytowane teksty opisują zastosowanie atomowej broni masowej zagłady?

Dr Robert Oppenheimer, który w latach 1943-1945 kierował w Los Alamos pracami nad skonstruowaniem bomby atomowej, zauważył niezwykle podobieństwo między staroindyjską bronią bogów a bombą atomową. Kiedy zdetonowano pierwszą próbną bombę atomową, zacytował werset z Mahabharaty: „Rozpętałem moce Wszechświata, stałem się niszczycielem światów”.

Siedem lat po przeprowadzeniu tego testu, siedem lat po rozpoczęciu prac nad zaprojektowaniem atomowej superbroni, która umożliwi człowiekowi „cywilizowanemu” całkowite zniszczenie powierzchni jego macierzystej planety i uczynienie jej nie nadającą się do zamieszkania na zawsze, dr Oppenheimer miał odczyt na Uniwersytecie Rochester. Po odczycie zaczęła się dyskusja. Pewien student chciał się dowiedzieć, czy bomba atomowa z Alamogordo była pierwsza, jaką zdetonowano. Bez wątplenia chciał się dowiedzieć, czy przedtem nie było jakichś tajnych testów z bronią atomową. Odpowiedź dr. Oppenheimera była niezwykła: „Well, oczywiście pierwsza. W każdym razie w czasach nowożytnych!”

Czy naukowiec ten, który tak intensywnie zajmował się dawnymi tekstami z Indii, wyszedł z założenia, że w prehistorycznych czasach zdarzały się eksplozje atomowe – takie, jakie opisano w staroindyjskich eposach i świętych księgach?

Kto z tekstów tych odczytał, że bogowie prehistorii dysponowali bronią atomową, musi zadać sobie pytanie: jeśli tak straszliwe bronie stosowano kiedyś w Indiach, to czy nie pozostały tam ślady ich użycia? Pozostały.

Kiedy przeprowadzano pierwsze próbne wybuchy atomowe na pustyni Nowego Meksyku, temperatury były tak wysokie, że piasek topił się i zastygał w szkliste bryły. Na takie zeszkłone bryły natknęli się archeolodzy również w Indiach. Nie potrafili sobie wyjaśnić, kto przed tysiącami lat mógł spowodować powstanie tak wysokich temperatur.

Podczas prac wykopaliskowych w rejonie między Gangesem a górami Radźmahal trafiono na resztki pradawnych siedlisk ludzkich. Były to pozostałości miasta zniszczonego podczas jakiejś niewyobrażalnej katastrofy. Wystąpiły wtedy, jak stwierdził jeden z badaczy, de Camp, tak wysokie temperatury, że kamienie topiły się i zamieniały w bryły pokryte bąblami. De Camp odkopał tam również pozostałości szkieletu ludzkiego. Szkielet ten wykazywał bardzo wysoki stopień radioaktywności.

Ofiarą podobnej katastrofy padło również zapewne Mohendźo-Daro w dzisiejszym Pakistanie, 350 km na północ od Karaczi. Ta kwitnąca niegdyś metropolia leży dzisiaj w ruinie. David W. Devenport, włoski badacz urodzony w Indiach, stwierdza jasno i wyraźnie: „Mohendźo-Daro, jedno z najstarszych miast świata, zostało zniszczone bombami atomowymi. Świadczą o tym tysiące »czarnych kamieni«, znalezionych tam przez archeologów”.

To określenie wprowadza w błąd: to, co dziś wygląda jak „kamień”, było niegdyś naczyniem, wytworzonym w warsztacie garncarskim. Misy, filiżanki i dzbany zostały kiedyś wystawione na działanie tak wysokich temperatur, jakie występują tylko podczas eksplozji jądrowej. Stopiły się jak masło na słońcu.

Davenport nie ma wątpliwości: w chwili wybuchu bomby atomowej nad miastem temperatura wzrosła do niewyobrażalnych wartości. Zapewne zginęło wówczas co najmniej 30 000 ludzi. Odkryto ich zniekształcone szkielety – też wyglądały, jakby poddano je działaniu wysokich temperatur.

Eksplozja nastąpiła zapewne nad samym centrum miasta, o czym świadczą znalezione tam zeszkłone kamienie. W strefach dalszych od wybuchu jego skutki były słabsze, ale mimo to niszczycielskie. Katastrofa spadła na ludzi jak grom z jasnego nieba. Davenport zbadał stopień radioaktywności kilku szkieletów. Była nadzwyczaj wysoka, porównywalna z radioaktywnością ciał zabitych w Hiroszynie i Nagasaki.

Czy więc w starożytnych Indiach detonowano bomby jądrowe? Nie ma innego „naturalnego” wyjaśnienia napromieniowania ludzkich szkieletów i stopienia naczyń.

Także radziecki badacz, Modest M. Agrest, jest przekonany, że w Indiach bogowie stosowali bomby jądrowe. W rozmowie, jaką było mi dane z nim przeprowadzić, zwrócił uwagę na kilka swoich dawnych publikacji: „Już w 1959 roku przedstawiłem tezę, że w starożytności stosowano broń jądrową – i to nie tylko w Indiach, lecz również w Izraelu. Biblijny opis świadczy o tym, że także Sodomę i Gomorę zniszczono za pomocą broni jądrowej!”

Aniołowie z Sodomy

Sodoma i Gomora zostały planowo zniszczone przez Jahwe – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa za pomocą broni jądrowej.

W Pięcioksięgu czytamy: „Potem rzekł Pan: Wielki rozlega się krzyk przeciwko Sodomie i Gomorze, że grzech ich jest bardzo ciężki. Zstąpię więc i zobaczę, czy postępowali we wszystkim tak, jak głosi krzyk, który doszedł do mnie [...]” (I Mojż. 18, 20-21).

Jahwe nie jest więc istotą wszytkowiedzącą. Dla sprawdzenia stanu faktycznego musi udać się na miejsce zdarzenia. Podobnie jak „synowie Boży” musi „zstąpić”. W trakcie zwiadu towarzyszyła mu grupa nieokreślonych bliżej mężów. Wśród nich był też Abraham, który już jako młodzian latał w Kosmos: „wyruszyli stamtąd owi mężowie i skierowali się ku Sodomie. Abraham zaś szedł z nimi, aby ich odprowadzić” (I Mojż. 18, 16). Co interesujące, Jahwe nie jest określany mianem Boga, lecz jest zaliczany do „mężów”. W końcu postanawia zniszczyć oba miasta.

Najpierw jednak pozwala, aby Abraham się z nim potargował: jeśli w Sodomie znajdzie się „pięćdziesięciu sprawiedliwych”, Jahwe odstąpi od zamiaru zniszczenia miast. Na koniec Jahwe oświadcza, że porzuci swój plan, jeśli uda się znaleźć choćby „dziesięciu sprawiedliwych”. Ale poszukiwania sprawiedliwych spełzły chyba na niczym. Zaczęło się odliczanie do wybuchu.

Dwóch aniołów wysłano, żeby ostrzegli i uratowali Lotą. Znowu widać, że Jahwe wcale nie jest uznawany za Boga wszechmogącego. Był tylko twórcą planu zniszczenia miast. Aby jednak uratować pojedynczych ludzi, musiał tam wysłać posłańców. Uruchomił niszczycielską maszynę, ale nie mógł jej już zatrzymać. Nawet aniołowie bali się przebywać w mieście. Przynaglali Lotą i jego rodzinę, chcąc znaleźć się jak najszybciej w

bezpiecznym miejscu. Aniołowie byli poza tym istotami z krwi i kości – obawiali się o swoje życie. Niebezpieczeństwo w mieście groziło również im – tak samo jak ludziom.

Lot zwlekał, nie wierzył, że coś mu grozi. „A gdy wzeszła zorza, przynaglali aniołowie Lota, mówiąc: Wstań, weź żonę swoją i dwie córki, które się tu znajdują, byś nie zginął wskutek winy tego miasta. Lecz gdy się ociągał, wzięli go owi mężowie za rękę i żonę jego za rękę, i obie córki jego za rękę, bo Pan chciał go oszczędzić, i wyprowadzili go, i pozostawili poza miastem” (I Mojż. 19, 15-16).

Dokładnie opisano drogę, która prowadziła przez bezpieczne góry. Uciekinierzy powinni jak najszybciej dotrzeć w okolice miasta Soar. Katastrofę opisano w Starym Testamencie tak: „Wtedy Pan spuścił na

Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia, sam Pan z nieba, i zniszczył owe miasta i cały okrąg, i wszystkich mieszkańców owych miast oraz roślinność ziemi” (I Mojż. 19, 24-25).



Il. 8. Aniołowie przestrzegają Lota, że Sodom i Gomora będą zniszczone. Francuska iluminacja biblijna z późnego X111 wieku

Abraham zaś patrzył na wszystko z bezpiecznej odległości: „Abraham zaś, wstawszy wcześniej rano, udał się na to miejsce, gdzie stał przed Panem. I spojrzawszy na Sodomę i Gomorę, i na całą tę okolicę, ujrzał, że dym wznosił się z ziemi, jak dym z pieca” (I Mojż. 19, 27-28).



Il. 9. Także różni bogowie Indii stosowali podobno broń atomową do niszczenia ludzkich miast. Świątynia Radżarani (fot. W.-J. Langbein)

W 1966 roku astronom Carl Sagan, który zresztą jest przeciwnikiem teorii o prehistorycznych wizytach istot z Kosmosu na Ziemi, podchwycił myśl o jądrowym zniszczeniu Sodomy i Gomory, określając ją jako „całkiem rozsądną i wartą dokładnej analizy”. Nawet Gunnar von Schlippe, naukowiec, który od dziesiątków lat odrzuca hipotezę o obecności istot pozaziemskich na naszej planecie, musiał przyznać: „Porównując znane nam skutki wybuchu bomby jądrowej, bardzo prawdopodobne wydaje się, że zagłada Sodomy i Gomory nastąpiła właśnie z tej przyczyny”. Ja nie mogę się jednak zgodzić z jego hipotezą, że mogło to również nastąpić na skutek zjawiska naturalnego, na przykład „trzęsienia ziemi albo zapadnięcia się doliny spowodowanego klęską żywiołową”. Takie zdarzenia nie są zapowiadane, także autor relacji biblijnej opisałby je bez wątplenia zupełnie inaczej.

Hipoteza „zagłady jądrowej” jest przekonująca. Towarzyszące jej zjawiska opisano właściwie. Logiczna jest też nakazana Lotowi i jego rodzinie ucieczka w góry, gdzie byliby bezpieczni przed uderzeniem jądrowym.

Modest M. Agrest: „W centrum religijnego kultu Starego Testamentu stoi Bóg wszechmogący. Aby wydawał się dość potężny, sięgnięto do przekazów opisujących jądrową zagładę miast. Wzorem dla wszechmocnego, dobrego Boga, w którego wierzą chrześcijanie, była istota z krwi i kości. Cały kult Starego Testamentu opiera się koniec końców na realnych kontaktach z tą pozaziemską istotą. Podobne istoty, też niezwykle realne, spotykamy we wszystkich świętych księgach całego świata, choćby Indii”.

Przez wiele tygodni podróżowałem po Indiach. Jednym z najważniejszych celów mojej podróży było miejsce, gdzie w zamierzchłej przeszłości bogowie zstępowali podobno na ziemię, tak samo jak robili to „synowie Boży” i „aniołowie” Starego Testamentu.

Tajemnica Widżajanagaram

Bogowie zawieźli Abrahama wahadłowcem na stację orbitalną, krążącą po orbicie wokółziemskiej. Jeśli z Indii również podróżowano na takiej trasie, to miejscem startów mogła być tylko jedna miejscowość: Widżajanagaram. Tu spotykali się podobno kiedyś regularnie bogowie i ludzie. Czy bardzo nieprawdopodobne i niestosowne byłoby więc przypuszczenie, że właśnie tam znajdowała się baza naziemna istot pozaziemskich – baza typu „Ezechiel”.

Sprawę tę należało zbadać na miejscu. Wybrałem się więc do Indii. Niestety podróż pozaziemskim pojazdem latającym nie wchodziła w rachubę. Byłem skazany na rejsowy samolot Lufthansy, latający na linii FrankfurtNew Delhi oraz samoloty kraju świętyń i świętych tekstów.

Na północ od dzisiejszego Hospet, między Penukondą a Bidżapurem, powstało w zamierzchłej przeszłości – nikt nie wie dokładnie kiedy – najbardziej zagadkowe miasto na ziemi: Widżajanagaram. Dziś pozostały po nim ruiny i można sobie tylko wyobrazić, jaką wielkość miała niegdyś ta metropolia. Wiadomo, że jeszcze w 1443 roku n.e. była w pełnym rozkwicie. Tak opisał ją właśnie wówczas słynny perski podróżnik Abdul Razaq: „Widziałem, że było to miasto nadzwyczajnej wielkości, miało wielu mieszkańców. Rządził tam mądry król, który posiadał tysiące słoni. Miasto Widżajanagaram nie ma sobie równych na świecie”. W 1565 roku wtargnęły tam niszczycielskie i łupieżcze wojska muzułmańskie i obróciły wspaniałą metropolię w perzynę.

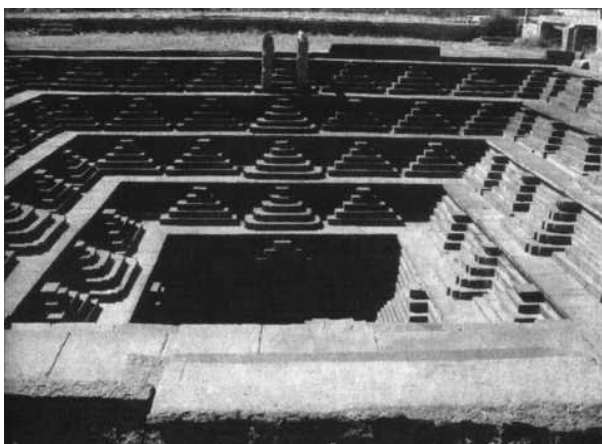
Było to miasto niezwykle. Potężne mury obronne, wzniesione z wielotonowych kamiennych kolosów, przypominają mi wczesne kultury Turcji, Egiptu czy nawet Peru, Boliwii i Wyspy Wielkanocnej. Godzinami spacerowałem wzdłuż pozostałości wspaniałych umocnień, zatrzymywałem się ze zdziwieniem przy olbrzymich kamiennych ciosach,

dopasowanych do siebie z milimetrową dokładnością – bez zaprawy. Ogromne, wielotonowe kamienne drzwi leżą dziś w kurzu, służąc wesołym małym małym za miejsce zgromadzeń. Do podniesienia i posadowienia ich we właściwym miejscu potrzebna była niezwykła siła. Turyści się tu nie pojawiają. W to pustkowie rzadko zapuszczają się obcy – przed tysiącami lat było zapewne inaczej. Bo kiedyś, jak przynajmniej chcą czcigodne przekazy, metropolia ta była „miastem zarówno królów, jak i bogów”.

Nie rozróżniano wtedy części świeckiej i boskiej. Budynek gospodarczy, jak choćby potężne stajnie dla słoni, zachowane do dziś w zadziwiająco dobrym stanie, i kompleksy świątynne wtapiały się harmonijnie w miejski krajobraz. Harmonią cechowały się też stosunki między potężnym królem i jego dworem a boskimi gośćmi, zstępującymi z nieba w pojazdach, od których huku drżała ziemia. Król i dworzanie utrzymywali z nimi codzienne kontakty. Niebiańscy goście szanowali władzę ziemskiego monarchy. Sam naczelnny bóg, Śiwa – lokalnie znany też pod imieniem Wirupaska nie mógł sobie odmówić przybycia do Widżajanagaram. Tu, w tym najbardziej tajemniczym zapewne mieście Indii, poślubił piękną Pampę.



II. 10. Lot ucieka z rodziną z Sodomy. Iluminacja biblijna, ok. 1500 roku



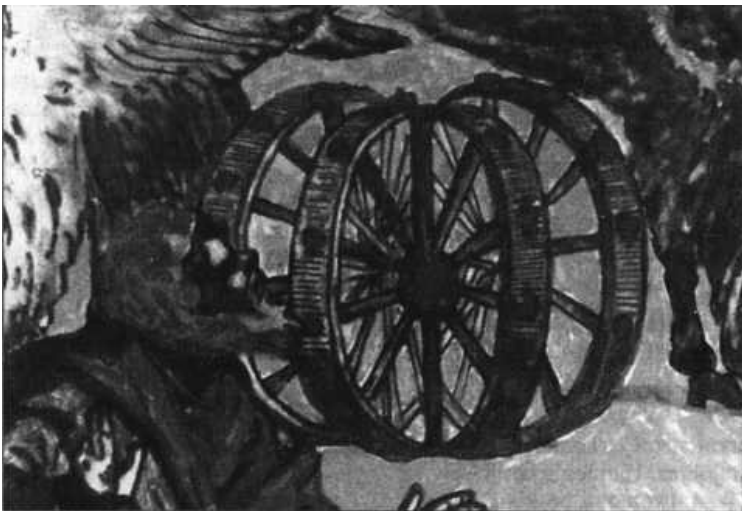
II. II. Czy kiedyś lądowały tu pojazdy typu „Ezechiel”?

I mnie udało się w Widżajanagaram coś znaleźć. Istnieje tu mianowicie niezwykle tajemnicza budowla, którą odkopano podobno „niedawno”. (Żadna z książek

archeologicznych, jakie miałem w ręku, nie wspomina o niej ani słowem.) Wygląda jak wpuszczony w ziemię stadion zbudowany na planie kwadratu i przywodzi na myśl rekonstrukcję świątyni Ezechiela, dokonaną przez inżyniera Beiera. Budowla ta jest jednak znacznie mniejsza od stacji opisanej w Biblii, a mającej kształt kwadratu o boku 275 m. Budowla z Widżajanagaram ma 22,5 na 22,5 m. Cztery stopnie, każdy o wysokości 90 cm, prowadzą do „kwadratu” o boku długości 6,13 m.

Jak głęboko sięga ostatni stopień? Nie udało się tego ustalić. Na dole stała stęchła, zgniła woda. Pływało w niej kilka żab. Na brzegu był zeschnięty szlam. W błocie leżało kilka kamiennych grud.

W minionych latach odkopano część podziemną „stadion”. Nikt jednak nie potrafi powiedzieć, jak wyglądała część znajdująca się nad ziemią. Widżajanagaram było zapewne ważną metropolią przez tysiąclecia. Wiadomo, że stare budynki równano z ziemią, a na ich miejscu wznoszono nowe. Czy kiedyś zrekonstruuje się w całości ten osobliwy kompleks, jedyny w całych Indiach? I czy kiedyś się dowiemy, do jakiego celu pierwotnie służył? Czy wpuszczony w ziemię „stadion” miał jakieś znaczenie techniczne? Czy lądowały tam niewielkie wahadłowce kosmiczne typu „Ezechiel”? Czy jego wygląd odpowiadał opisom proroka? Czy Ezechiel był w Indiach?



II. 12. Konstrukcja koła pojazdu opisanego przez Ezechiela (według średniowiecznej iluminacji biblijnej)

Czy jest to oryginał, czy też kopia wcześniejszej kopii, może w pomniejszeniu? Nasuwa się mnóstwo pytań, na których odpowiedzi mogłyby udzielić dalsze wykopaliska archeologiczne prowadzone w tym miejscu.

VIII. Salomon i kradzież Arki Przymierza

W trakcie żmudnych przygotowań do podróży po Indiach, która zawiodła mnie do najbardziej zagadkowych miejsc między New Delhi a południowym krańcem tego tajemniczego kraju, zrobiłem ważne odkrycie: na wizerunkach różnych indyjskich świątyń pojawiał się znak, symbol, którego w Indiach nie oczekiwałem – gwiazda Dawida, znak ludu Izraela. Symbol taki – niezwykle piękny – widziałem choćby w Delhi, przy słynnym grobowcu Tompes, wzniesionym przez wdowę na cześć zmarłego męża. Grobowiec ten posłużył potem za wzór do wzniesienia legendarnego Tadź Mahal.

Jak gwiazda Dawida dotarła do Indii? Czy między dawnym Izraelem a starożytnymi Indiami istniały jakieś powiązania?

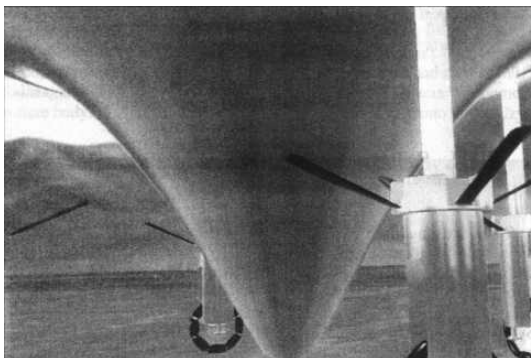
Dawid (1012-972 p.n.e.), pasterz i cytryzsta z Betlejem, zrobił wspaniałą karierę. W każdym razie był twórcą i królem silnego Izraela. W Biblii jego imię pojawia się ponad tysiąc razy, częściej wymienia się tylko Mojżesza i Abrahama.

Także w islamie Dawid jest niezwykle poważany jako mądry król i prorok. W świecie arabskim nadano mu tytuł nabiego, który w imieniu Boga przemawia do ludzi. Dzięki jego kontaktom z Najwyższym uważano, że potrafi czynić cuda. Sam Bóg, jak powiadają, z pomocą aniołów, porozumiewa się z tym mądrym mężem. Bóg chciał kiedyś sprawdzić jego mądrość i za pośrednictwem anioła zadał mu dziesięć zagadek. Były one jednak tak trudne, że Dawid ich nie rozwiązał. Pozostawił to swojemu synowi, Sulejmanowi.

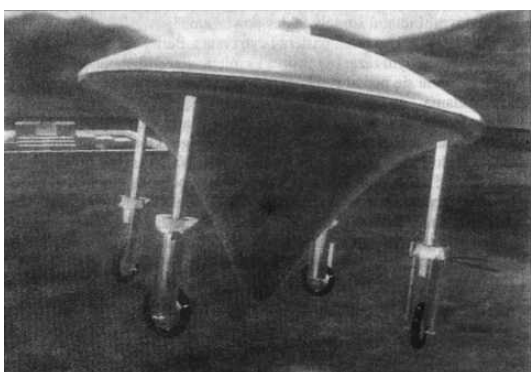
Sulejman to Szolomo ze Starego Testamentu, jak nazywa się go w hebrajskim oryginale tego tekstu. Lepiej znana jest grecka wersja jego imienia – Salomon.

Praca poświęcona kulturom antycznym podaje, że Salomon żył „około 965-926 p.n.e.” [Lexikon Alter Kulturen, Mannheim 1993.], w innej z kolei książce napisano, że „od 1037 do 998 roku p.n.e.” [Einsichten über Heilige Schrift, Selters 1992.], w kolejnej – „972-932 p.n.e.” [Lexikon der Mythologie, Augsburg 1996.]. Jeszcze inna podaje jeszcze inne daty: „ok. 968 do 928 p.n.e.” [Kto jest kim w Biblii?, Łódź 1987.].

Przykład Salomona uzmysławia, z jakim sceptycyzmem należy podchodzić do informacji podawanych nawet w pracach naukowych. Wszyscy autorzy z niezłomnym przekonaniem przedstawiają swoje daty, nie wspominając oczywiście o tym, że wśród fachowców wcale nie ma jednomyślności co do tego, kiedy Salomon żył i panował.



II. 13. Rekonstrukcja komputerowa pojazdu typu „Ezechiel” – z perspektywy proroka



II. 14. Pojazd Ezechiela zbliża się do świątyni

Salomon i Śiwa

Nie ma jednak wątpliwości, że kontakty między Salomonowym wielkim królestwem Izraela a starożytnymi Indiami istniały. Salomon był o czym Stary Testament wspomina z pewnym

zawstydzieniem i jakby na marginesie – wyznawcą kultu jednoznacznie indyjskiego pochodzenia.

Wedle prac dziejopisa Józefa Flawiusza Salomon polecił wznieść kolumnową halę na sztucznie usypanym wzgórzu po wschodniej stronie Świątyni. Barbara G. Walker stwierdza w związku z tym: „Szczególna w Świątyni Salomonowej była para fallicznych kolumn przed halą przy wejściu. Nosiły one imiona Boaz (»w nim jest siła«) oraz Joachim (»Bóg pozwolił mu wstać«), ich kapitele zaś były zdobione symbolami kobiecości mającymi formę lilii i jabłek granatu” [Barbara G. Walker, *Das Geheimnis der Frauen*, Frankfurt 1993.]. Falliczne kolumny są trwałym elementem staroindyjskiego kultu świątynnego: w wielu świątyniach widzimy lingamy, które uważa się za symbol boga Śiwy. Falliczne kolumny pasują więc nie do starożydowskiego kultu Jahwe, lecz raczej do świata religii Indii, gdzie nierzadko uwieczniano w kamieniu bardzo śmiałe sceny seksualne ze zdumiewającymi szczegółami.

Czyżby więc Salomon był zwolennikiem Śiwy? Czy praktykował kult falliczny? O Salomonowej skłonności do kobiet wiedzą nawet dzisiejsi czytelnicy Biblii. Tak oto wychwala Salomon uroki nieznannej piękności: „Dwoje twoich piersi jest jak dwoje sarniąt, bliźniąt gazeli [...]” (Pn.P 4, 5).

Dla autora Pierwszej Księgi Królewskiej niemiła jest skłonność Salomona do obcych kultów związanych z seksem. Gani króla: „Salomon postępował źle wobec Pana i nie wytrwał wiernie przy Panu jak Dawid, jego ojciec” (I Król. 11, 6).

Badaczem, który jak nikt inny zajmował się w naszych czasach najważniejszym chyba obiektem kultu opisanym w Starym Testamencie, jest Graham Hancock. Ten dziennikarz i pisarz podczas swoich skrzętnych poszukiwań wciąż trafiał na wzmianki o powiązaniach Salomona z Indiami. Za panowania Salomona ukradziono podobno Arkę Przymierza. Wywieziono ją za granicę, do państwa królowej Saby, które zdaniem czołowych myślicieli XII i XIII wieku leżało właśnie w Indiach.

Salomon i Arka Przymierza

Arka Przymierza jest najważniejszym obiektem kultowym Starego Testamentu. Najpierw przechowywano ją w Najświętszym Namiocie Zgromadzenia, potem znalazła się w Świątyni Jerozolimskiej. Na jej określenie autorzy Starego Testamentu używali dwadzieścia różnych określeń. Jozue stosuje często nazwę Skrzynia Przymierza, po hebrajsku Aron Habberith (Joz. 3, 6), w Pięcioksięgu mamy określenie Skrzynia Świadectwa (II Mojż. 25, 22).

Arkę zbudowano według wskazówek Jahwe. Była to zapewne skrzynia albo kufer, o wymiarach 111 na 67 centymetrów. Arkę zrobiono z drewna akacjowego, a wewnątrz i z zewnątrz pokryto szczerem złotem. Pokrywą Arki też sporządzono ze szczerego złota. Obiekt kultu był więc zapewne dość ciężki.

Do obu dłuższych boków Arki przymocowano po dwa pierścienie, przez które przekładano dwa drągi. Dzięki temu kilku ludzi mogło nieść świętą skrzynię. Kiedy się zmęczeni, stawiali ją na ziemi: przy dolnych rogach skrzyni znajdowały się wygięte nogi. Drągów do noszenia nie wolno było nigdy wyciągać z pierścieni. Miało to zapobiec dotykaniu świętego przedmiotu przez zwykłych ludzi.

Na Arce siedziały cheruby. W Biblii (II Mojż. 25, 18-22) czytamy, że były złote i zwrócone ku sobie. Miały pochylone głowy i wzniesione skrzydła. Chroniły zapewne kosztowny obiekt kultu.

Wiemy wprawdzie ze Starego Testamentu, jak wyglądała Arka Przymierza, ale jej dokładna rekonstrukcja nie jest już możliwa. Nie wiemy, jaka była wielkość i wygląd cherubów z pokrywy. Arka Przymierza była uważana za świętą, bo zawierała przedmioty sakralne o najwyższym znaczeniu. Znajdowały się tam podobno: obie tablice z dziesięciorgiem przykazań, które Mojżesz otrzymał od samego Boga, dzban z manną, tajemniczym pokarmem, którym lud Izraela żywił się przez czterdzieści lat podczas ucieczki z Egiptu, oraz laska Aarona.

W czasach Salomona Arka Przymierza znajdowała się w Najświętszym Świątyni Jerozolimskiej. Właśnie wtedy zniknęła. Wywieziono ją za granicę. Święty przedmiot kultu jest ośrodkiem pasjonującej historii kryminalnej, którą Stary Testament całkowicie przemilcza. Próbując zrekonstruować tę historię, jesteśmy skazani na źródła pozabiblijne. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do czasów wcześniejszych.

Kiedy Arka Przymierza dotarła do Ziemi Obiecanej, przez długi czas przechowywano ją w Sylo. Podczas walk z Filistynami zmieniała właściciela, wracała jednak zawsze do Izraelitów, bo zdawało się, że ciąży na niej klątwa, powodująca, że na nowych jej posiadaczy spadały najdokuczliwsze plagi. Potem Arka Przymierza przybyła do Bet-Szemesz, a następnie do Kariat-Jearim, gdzie pozostawała przez następne siedemdziesiąt lat.

Około 1000 roku p.n.e. król Dawid przywiózł ją do Jerozolimy, w której w 955 roku p.n.e. zakończono budowę świątyni. W niej Arka Przymierza znalazła dla siebie honorowe miejsce w przybytku wewnętrznym, w miejscu najświętszym (I Król. 8, 6 i II Kron. 5, 7). Według eposu Kebra Nagast ukradziono ją około 941 roku p.n.e. W Biblii nie ma wzmianek na temat tej kradzieży, w Kebra Nagast stanowi ona natomiast przedmiot wyczerpujących opisów. Widocznie dla kapłanów Izraela zniknięcie świętości było bardzo nieprzyjemne. Szczególnie przykry był dla nich fakt, że ich król, Salomon, był wplątany w całą tę sprawę.

Z końcem XIX wieku asyriolog A. Bezold (1859-1922) otrzymał od Królewsko-Bawarskiej Akademii Nauk zlecenie przełożenia na niemiecki pewnego tajemniczego tekstu. Bezold przejechał przez całą Europę i w zbiorach muzealnych Paryża, Oksfordu, Londynu i Berlina znalazł rękopisy pradawnego eposu Kebra Nagast.

Data powstania pierwotnej wersji tej świętej księgi jest kwestią sporną. Z początkiem XIV wieku Jeshaq złożył w całość i zredagował fragmenty jej tekstu. Ale już w 408 roku n.e. Etiopczycy, Izaak i Jemheranna Ab, przedstawili starszą wersję, którą należy datować daleko w pierwsze tysiąclecie p.n.e. – powstała ona być może około 850 roku p.n.e. Przełożyli oni tę księgę na arabski.

Dla dzisiejszych Etiopczyków Kebra Nagast jest Biblią. Jedną z centralnych postaci eposu jest królowa Saby. Podobno atrakcyjna regentka dowiedziała się od pewnego podróżującego kupca o władcy, który był nie tylko niezwykle przystojny, lecz również niewiarygodnie mądry. Mogło chodzić tylko o króla Salomona.

Królowa Saby szybko podjęła decyzję: potężny władca dalekiego kraju wydał jej się na tyle interesujący, że prędko wybrała się doń z wizytą dyplomatyczną. Towarzyszyło jej 300 ludzi ze szlachty i służby. W wyprawie brało udział 797 wielbłądów, w drogę zabrano mnóstwo osłów i mułów, objuczonych wartościowymi prezentami. Samo złoto, jakie królowa Saby podarowała królowi Żydów, miałoby dziś wartość 85 mln marek. Niech ktoś jeszcze powie, że nasi politycy są rozrzutni w obdarowywaniu prezentami dyplomatów innych państw za pieniądze wyciągnięte z kieszeni podatników. Podobnie rzecz się zapewne miała z prezentami dla Salomona.

W 7. rozdziale Kebra Nagast czytamy: „On [Salomon – przyp. aut.] zaś ją uczcił i uradował i dał jej komnatę w pałacu królewskim, blisko siebie”. Rozwlekle, drażniąc cierpliwość czytelnika, wylicza się w rozdziale 12., jakie prezenty otrzymała królowa. Wśród nich jest najważniejszy – obiekt latający: „I [...] dał jej wszystkie, jakie można było zapragnąć, wspaniałości i bogactwa, i piękne szaty pociągające oczy, i wszystkie wspaniałości, których zapragnąć mogła Kraina Etiopii, wielbłądy i wozy, około sześciu tysięcy, obciążone drogocennym sprzętem, którego można było zapragnąć, i pojazdy, którymi jedzie się po lądzie, i jeden pojazd, który jedzie po morzu, i jeden pojazd, który pędzi w powietrzu [podkr. aut.], a które zbudował dzięki mądrości, jaką Bóg go obdarzył” [Cyt. wg Kebra Nagast, czyli Chwała Królów Abisynii, fragmenty z języka abisyńskiego przełożył Stefan Strelcyn, Warszawa 1956.]. Powtórzmy to jeszcze raz. Salomon podarował królowej maszynę latającą. Był to ten sam aparat, który później wszedł do akcji w okolicznościach bardzo nieprzyjemnych dla Salomona.

Wróćmy jednak do Starego Testamentu, gdzie powabna królowa Saby też się pojawia i to od razu dwukrotnie. Co dziwne, bardzo krótki tekst jest tu powtórzony prawie dosłownie. Po raz pierwszy w Pierwszej Księdze Królewskiej, po raz drugi w Drugiej Księdze Kronik. Biblijny autor pisze nieco kwaśno: „Król Salomon zaś podarował królowej Saby wszystko, czego zapragnęła i co sobie wyprosiła oprócz tego, co jej darował od siebie jako król Salomon. Potem ona wybrała się w drogę powrotną i pojechała do swojej ziemi wraz ze swoimi dworzanami” (I Król. 10, 13 i II Kr. 9, 12).

Wyraźny jest zarzut w rodzaju „nic tylko wydatki i wydatki”. Oto przybywa z wizytą królowa obcego państwa, zostaje obsypana prezentami, chce więcej, niż zamierzano jej dać, a potem odjeżdża do swojego dalekiego kraju.

Stary Testament i Kebra Nagast różnią się w opisie tego zdarzenia w istotnym punkcie. Jeśli prześledzimy wypowiedzi autora relacji biblijnej, to okaże się, że władcy rywalizowali w mądrości, dyskutując na filozoficzne tematy. Kebra Nagast jednak opisuje coś znacznie bardziej przyziemnego. Według tego tekstu bowiem oboje uprawiali dość intensywnie miłość. Na skutki nie trzeba było długo czekać: dziewięć miesięcy i pięć dni po powrocie do ojczyzny królowa urodziła potomka – syna Salomona. Dała mu imię Bajna Lehem.

Niemowlę wyrosło wkrótce na chłopca, a mama patrzyła z radością i dumą na syna, niezwykle przypominającego ojca, który mieszka w odległym królestwie Izraela. W rozdziale 14. Kebra Nagast czytamy: „On zaś syn, Bajna Lehem, był piękny i cała jego postawa, i jego ciało, i sposób trzymania głowy przypominały króla Salomona, jego ojca; i oczy jego, i jego nogi, cały jego sposób bycia przypominały króla Salomona” [Ibidem.].

Mama obdarzała latorośl miłością i obsypywała prezentami – syn zaś koniecznie chciał poznać ojca. Mając 22 lata pojechał wreszcie z wielką świtą do Jerozolimy. Powitano go z radością i hojnie obdarowano. Młodzieniec podziękował najpierw potężnemu ojcu, ale wkrótce okazało się, że wcale skromnością nie grzeszy. Zapewne matka opowiedziała mu o najdroższej rzeczy w całym Izraelu. Właśnie ten skarb, właśnie ten niezwykle ważny przedmiot kultu zapragnął posiąść bezczelny Bajna Lehem. Salomon był najpierw przerażony, ale nie potrafił synowi odmówić. Postawił jednak dwa warunki. Po pierwsze – przekazanie prezentu nastąpi potajemnie, nocą. Po drugie – święty przedmiot kultu zniknie niejako bez jego wiedzy. Nigdy się bowiem nie przyzna, że dał komuś Święty Syjon, czyli Arkę Przymierza. Jeśli okaże się, że Arka zginęła, będzie się mówić o „kradzieży”.

Syn Salomona zgodził się na warunki i powziął śmiały plan. Jego najlepsi rzemieślnicy sporządzili jak najszybciej jak najdoskonalszą kopię Arki Przymierza, która nie różniła się prawie od oryginału. Następnie prawdziwą Arkę wyniesiono nocą ze świątyni, zastępując ją repliką.

Do kraju Sabejczyków przetransportowano święty oryginał właśnie za pomocą aparatu latającego, który Salomon podarował królowej.

W Kebrze Nagast czytamy dalej: „Święty Syjon wypuścił jakby chmurę, co niby welon chroniła ich od słonecznego żaru. I nikt nie ciągnął ich wozów, lecz on sam, archanioł Michał je ciągnął, gdy podniesieni zostali wszyscy na wysokość łokcia, zarówno ludzie jak i konie, zarówno muły jak i wielbłądy; i wszyscy jeźdźcy unosili się nad grzbietami zwierząt na ludzką piędź, ale i wszelki sprzęt ich załadowany unosił się wraz z tymi, którzy go załadowali, o ludzką piędź. Wszystko pędziło na wozie, jak statek na morzu, niesiony przez wiatr, i jak orzeł, gdy lekko unosi się na wietrze. Tak pędzili na wozie, nie zbaczając ni naprzód, ni w tył, ni w prawo, ni w lewo” [Ibidem, r. 52.].

W Kebrze Nagast znajdują się nawet informacje o trasie ucieczki. Kiedy jerozolimscy kapłani dowiedzieli się o kradzieży, poinformowali o tym natychmiast Salomona. Ten udawał, jak było umówione, że jest wzburzony i przerażony. Niechętnie kazał rozpocząć pościg, wysyłając oddział jazdy za „złodziejami”. W Egipcie ścigającym powiedziano, że „»Dawno temu przeszli [tędy] ludzie Etiopii, pędząc na wozie jak anioły, szybsi od orłów na niebie« [Ibidem, r. 40.].

Egipcjan wypytało dokładnie o wszystko. Zdumieni świadkowie opowiadali o zjawiskach towarzyszących przelotowi niebiańskiego obiektu: lecąca maszyna przewróciła wiele posągów i obelisków – niektóre rozbiły się częściowo, inne uległy całkowitemu zniszczeniu. Egipcjanie byli wzburzeni.

W Jerozolimie kapłanów ogarnął strach. Rozumieli oczywiście, jakie znaczenie ma Arka Przymierza dla narodu. Zwykli ludzie widzieli w kapłanach przedstawicieli wszechmocnego boga Jahwe tylko dlatego, że mieli oni Arkę Przymierza. Jeżeli ludzie dowiedzą się o wywiezieniu Arki z kraju, to czy przestaną uznawać kapłanów?

Salomon pewien czas przysłuchiwał się lamentom i biadolaniu wyższego duchowieństwa, w końcu zabrał głos i nakazał, żeby o całej sprawie z Arką Przymierza nie mówić ludowi. Wobec mas należy postępować tak, jakby Arka Przymierza nadal znajdowała się w Izraelu, jakby imitacja była oryginałem – tak w każdym razie napisano w rozdziale 44. Kebrze Nagast.

Kapłani, jak chce Kebrze Nagast, zrobili dobrą minę do złej gry. Woleli oddawać cześć fałszywej Arce Przymierza, byleby tylko zachować urzędy i godności. Alternatywa była prosta: albo postępować nieuczciwie, albo wyznać prawdę, co oznaczało utratę władzy i poważania.

Okradzeni złodzieje

Po „kradzieży” Arki Przymierza kapłani zostali pozbawieni magicznej ochrony. Nie zapominajmy jednak, że sami Izraelici nie brali sobie za bardzo do serca różnicy między majątkiem własnym a cudzym – szczególnie, jeśli chodziło o przedmioty dużej wartości. To przecież oni zrabowali Egipcjanom święte przedmioty, uciekając pod przewodnictwem Mojżesza z Egiptu. Pięcioksiąg pisze o tym najpierw bardzo ogólnie: „I synowie izraelscy uczynili tak, jak kazał Mojżesz, i pożyczili od Egipcjan srebrne i złote przedmioty oraz szaty” (II Mojż. 12, 35). Dopiero nieco dalej mamy stwierdzenie bardziej realistyczne: „i tak złupili Egipcjan” (II Mojż. 12, 36). Bez wątpienia nikt nigdy nie zamierzał zwracać Egipcjanom należących do nich przedmiotów kultu. W tym kontekście określenie „pożyczyli” brzmi dość cynicznie.

Louis Ginzberg wyjaśnia, że stan kapłański nie był zachwycony kradzieżą tych świętości [Louis Ginzberg, *Legends of the Bible*, Philadelphia 1968.]. Nikt nie żywił wątpiwości

natury moralnej, stwierdzono jednak z troską, że niemało ludzi zwracało się ku kradzionym idolom. W pewnym starożydowskim tekście, nie włączonym do Starego Testamentu, można przeczytać: „Lud wszakże pozostał nierozumny i nie poważał Mojżesza. Prowadził ich pewien idol, zabrany z Egiptu”.

Badacz Jörg Dendl jest przekonany, że Hebrajczycy wzięli ze sobą „świętą barkę bogów”, jeden z najważniejszych przedmiotów kultu Egipcjan. Przymuszenie ten drogocenny łup był powodem, że faraon nagle zmienił zdanie i nakazał ścigać uciekających Hebrajczyków, którym przedtem pozwolił przecież odejść. Cóż bowiem innego mogło spowodować taką akcję z udziałem wojska? Czy odkryto kradzież?

Dla Salomona sprawa z Arką Przymierza też miała swoje konsekwencje. Od tej pory przestał zupełnie interesować się polityką czy teologią, prowadził światowe życie, nie gardząc przyjemnościami zdecydowanie świeckimi, używał „pełni życia i miłości z kobietami”. Umarł jedenaście lat później, zgorzkniały i rozczarowany.

Po śmierci Salomona Stary Testament nie wspomina Arki Przymierza. Czyżby więc, jak twierdzi Kebra Nagast, naprawdę zniknęła za panowania tego władcy?

W 578 roku p.n.e. król Nabuchodonozor obległ Jerozolimę. Jego wojska zdobyły miasto i wtargnęły do Świątyni, rabując jej skarby. Arka Przymierza, najświętszy przedmiot Żydów, byłaby na pewno ważnym trofeum wojennym. Nie wspomina się o niej jednak wówczas ani słowem. Dlaczego? Dlatego, że przedmiot kultu znaleziony w Świątyni był tylko bezwartościową kopią? Nie ma wątpliwości: gdyby Arka Przymierza znajdowała się wtedy w Świątyni, na pewno by o tym napisano. Wymieniono by ją z dumą jako wojenną zdobycz. A może nie mówiono o niej dlatego, że ta święta relikwia żydostwa uległa zniszczeniu podczas pożaru Świątyni?

Bardzo słusznie pisze Jörg Dendl:

„Wszystkie twierdzenia, zakładające że świętość ta istniała nadal, opierają się na [...] szeregu założeń, niepewnych przekazach i powiązaniach faktów, które niekoniecznie mają ze sobą jakikolwiek związek” [Jörg Dendl, *Herkunft und Verbleib der Bundeslade aus historischer Sicht*, „Gral-Sonderband” nr 1, wyd. III, Berlin 1993.].

Gdzie zabrano Arkę Przymierza? Gdzie znajdowało się królestwo legendarnej królowej Saby? W Etiopii – twierdzą najwyższe kręgi rządowe tego kraju. Arka Przymierza została podobno dostarczona przez syna Salomona okrężnymi drogami do stolicy Etiopii, Aksum, gdzie jest przechowywana do dziś jako największa świętość miejscowego chrześcijaństwa (Kościół Koptyjski) w Katedrze Mariackiej. Przed katedrą siedzi współczesny cerber, który ma chronić obiekt. Oczywiście dawna Etiopia nie mogła być legendarnym państwem królowej Saby – w każdym razie nie w czasach Salomona.

W licznych dwunasto- i trzynastowiecznych poematach epickich z kluczem znajduje się wiele wskazówek na temat kraju królowej Saby – lokalizowanego wówczas w Indiach. W związku z tym trzeba wymienić Albrechta von Scharfenberg, który jest autorem dzieła *Der Jüngere Titurel* (Młodszy Titurel), czy Wolframa von Eschenbach. Dysponowali oni wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie znanymi nam informacjami na temat królowej Saby, której państwo umiejscawiali właśnie w Indiach.

W 1165 roku był popularny w Europie list księdza Johna, następcy legendarnej królowej z „Indii”. A w 1177 roku papież Aleksander III napisał list – do swojego „najukochońszego syna w Chrystusie, Johna, świętego i potężnego króla Indusów”.

Także globtroter David Hatcher Childress, zajmujący się w naszych czasach wielkimi tajemnicami przeszłości, doszedł do przekonania, że Arkę Przymierza uprowadzono najprawdopodobniej do Indii. „Wóz niebieski”, podobny do zastosowanego przy transporcie świętego przedmiotu kultu, opisano też w staroindyjskim eposie Mahabharata. Czytamy tam: „Powiedziawszy to do bogini i pożegnawszy się z nią oraz mędrkami, wstąpił na pokład wimany [...]. Wziąwszy słonie, konie, wozy i broń wyruszył w drogę” (15, 20-24).

IX. Tajemnica terafów

Jak wielkie znaczenie miała Arka Przymierza dla kultu religijnego w dawnym Izraelu, zdradza nam Druga Księga Mojżeszowa. Jahwe mówi: „Tam będę się spotykał z tobą i sponad wieka będę z tobą rozmawiał spośród dwu cherubów, które są na Skrzyni Świadectwa” (II Mojż. 25, 22).

Jahwe używał Arki Przymierza jako środka komunikacji, pozwalającego mu nawiązać kontakt z jego ludem. Czy więc kradzież świętego obiektu kultu oznaczała zerwanie dialogu między Jahwe a narodem wybranym? W żadnym razie. W Starym Testamencie opisano również inne przedmioty kultowe, które służyły do tego celu. Określa się je mianem terafów, literatura chrześcijańska mówi o nich lekceważąco „bóstwa” [Einsichten über die Heilige Schrift, Selters 1992, s. 1110.].

Jest o nich mowa w Pierwszej Księdze Mojżeszowej: „Rachel wzięła bożki domowe, włożyła je pod siodło wielbłądzie i usiadła na nich” (31, 34). W Pierwszej Księdze Samuela również jest opisany posążek terafa: „Potem wzięła Michal bożka domowego i położyła go na łożu, a plecionkę z koziej sierści położyła u jego wezgłowia i przykryła płaszczem. [...] A gdy oprawcy przybyli, oto na łożu leżał bożek domowy i plecionka z koziej sierści była u jego wezgłowia” (19, 13 i 16).

Widocznie terafy były różnej wielkości i różnego kształtu. Niektóre wielkości i kształtu człowieka, inne zaś mniejsze, mieszczące się w kieszeni kobiecego siodła. Służyły jednak zawsze do tego samego celu: porozumiewania się z Jahwe. Z terafów rozbrzmiewał głos Pana: „Czy takie ma Pan upodobanie w całopaleniach i w rzeźnych ofiarach, co w posłuszeństwie dla głosu Pana?” (I Sam. 15, 22). Niekiedy jednak pojawiały się wątpliwości. Czy z figurek kultowych naprawdę przemawia Pan. W innym miejscu Biblii czytamy: „Lecz terafy mówią słowa mylne, a wróżbici mają kłamliwe widzenia. Sny, które tłumaczą, są złudne, puste ich słowa pociechy. Dlatego ludzie włóczą się jak trzoda, błąkają się, gdyż nie mają pasterza” (Zadr. 10, 2).

Interesujące, że figurki przypominające terafy były znane nie tylko w dawnym Izraelu. Także inne ludy posługiwały się podobnymi metodami. Na przykład Aztecy również nawiązywali kontakt z bogami za pośrednictwem „posągu”.

Profesor Julian Jaynes z Uniwersytetu Princeton twierdzi: „Posąg nakazywał im wyruszyć w drogę, przekroczyć leżące przed nimi jezioro, a mieli zabierać go ze sobą w każdą wyprawę. Kierował ich to tu, to tam”.

Podobieństwo rzuca się w oczy: jak Bóg Starego Testamentu, Jahwe, prowadził grupę Żydów przez czterdzieści lat po pustyni, tak Aztecy byli skłaniani do równie pełnej trudów podróży, która prowadziła z Aztlan nad jeziorem Mexaltitlan do Tuli.

Terafy Starego Testamentu robił też chyba ojciec Abrahama. U Sumerów te kultowe posążki nazywały się *gistugpis* – także za ich pośrednictwem bogowie przemawiali do ludzi. W starożytnych tekstach utrwalonych w piśmie klinowym, a powstałych zapewne

przed ponad 4000 lat, jest mowa o specjalnych warsztatach, w których posąжки te wytwarzano. Manufaktury te zwano bimummu. Pod kierunkiem boga Nummu montowano tam owe techniczne cuda. Mogli ich w zasadzie używać tylko królowie i najwyżsi dostojnicy, którzy mieli bezpośredni dostęp do przedmiotów kultu, zwykli śmiertelnicy natomiast musieli szukać pośredników do nawiązania kontaktu z posągami. Na niektórych pieczęciach cylindrycznych znajdują się przedstawienia obrazujące, jak używano mówiących posągów, aby uzyskać połączenie z bogami.

Dzisiejsi badacze próbują się dowiedzieć, gdzie znajduje się Arka Przymierza; podobnie my zadajemy sobie pytanie, co stało się z tajemniczymi terafami. Dziwne jest choćby to, że gdy Hiszpanie zdobywali, plądrowali i planowo niszczyli państwo Inków, w tamtejszych świątyniach istniały jeszcze podobno odpowiedniki biblijnych posągów bożków: mówiące głowy, święte przedmioty kultu, którym oddawano cześć, o które dbano i do których się modlono.

Chrześcijańskim zdobywcom przedmioty te wydawały się niesamowite. Tak więc pisał o nich anonimowy świadek ówczesnej ślepej żądzy niszczenia w Peru: „W świątyni Pachacamac przebywał diabeł, który w mrocznym pomieszczeniu [...] miał zwyczaj mówić do Indian”. Coś podobnego relacjonował ojciec Józef de Acosta z Ameryki Środkowej: Indianie rozmawiali w swoich świątyniach z „bożkami”, z mówiącymi głowami, cieszącymi się najwyższym szacunkiem i nie tylko odpowiadającymi na konkretne pytania, lecz również wydającymi rozsądne rozkazy.

Jest jeszcze nadzieja, że w Ameryce Południowej znajdzie się gdzieś „mówiące głowy” albo posągi, podobne do opisanych w Starym Testamencie – mimo że te przedmioty kultu były systematycznie niszczone przez przybyszy z chrześcijańskiego Zachodu jako „dzieło szatana”.

Poszukiwania mówiących głów Pachacamac

Poszukiwania należy rozpocząć w ruinach peruwiańskiego miasta Pachacamac. Można tam wygodnie dotrzeć taksówką z Limy. Ta niegdyś bogata metropolia, której początki gubią się w czasach przedinkaskich, leży na nieurodzajnym pustkowiu na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Jej prawdziwa nazwa nie zachowała się do naszych czasów. Dziś miasto nazywa się od imienia mitologicznego twórcy ziemi, Pachacamac – boga, którego izraelskim odpowiednikiem jest Jahwe.

Większą część okupu, jaki zapłacono za władcę Inków, Atahualpę, pochodziła rzekomo stąd. Tak przynajmniej powiedziano Hiszpanom, którzy kwitnące miasto napadli i obrócili w perzynę.

Dziś po Pachacamac pozostały smutne ruiny, zdumiewające swoim ogromem. Podczas prac wykopaliskowych znaleziono cenne dywany z osobliwymi motywami, zachowane w zadziwiająco dobrym stanie. Zachował się też drewniany idol, przedstawiający jakieś tajemnicze bóstwo, które podobnie jak Janus – ma dwie twarze, patrzy jednocześnie przed siebie i do tyłu, albo też w przyszłość i w przeszłość. Ku czci nieznanego boga składano – jak w dawnym Izraelu za czasów wielobóstwa – ofiary z” ludzi. Z najdalszych nawet zakątków kraju tłumnie przybywali pielgrzymi, narażając się na trudy podróży tylko po to, aby dowiedzieć się od kapłanów, co ma im do przekazania Pachacamac. Za informacje takie płacili srebrem i złotem, co pomnażało bogactwo miasta.

Inkowie wprowadzili wprawdzie nową religię, w której najwyższą pozycję zajmował Bóg Słońca Inti, tolerowali jednak wyrocznie Pachacamac, którą nadal pytano o zdanie. Kultowa figura przemawiała jeszcze nawet wtedy, kiedy w kraju byli już Hiszpanie. Czy

wyznawcom tego pradawnego kultu udało się przed konkwistadorami ocalić swojego najważniejszego idola?

W 1533 roku władca Inków Atahualpa był więziony przez hiszpańskich najeźdźców. Oświadczyli oni, że uwolnią regenta, jeśli dostaną tyle złota, że wypełni ono na wysokość dorosłego mężczyzny pomieszczenie o długości sześciu metrów i pięciu szerokości. Wieść o tym rozbiegła się po kraju lotem błyskawicy. Natychmiast wyruszyły karawany wiozące najcenniejsze wyroby ze złota. Zebrano około 600 ton wspaniałych niekiedy klejnotów. Hiszpanie natychmiast przetopili złote przedmioty na sztabki.

Atahualpę uroczyście zwolniono, zatrzymując go tylko, jak powiedziano, jako „gościa w areszcie” – dopóki do miasta nie przybędzie więcej Hiszpanów. Słowa nie dotrzymano: po groteskowym procesie, którego wyrok znany był od samego początku, Atahualpę skazano na śmierć i zamordowano. Ponieważ przed śmiercią przeszedł na chrześcijaństwo i pozwolił się ojcu Vincente de Valverde ochrzcić imieniem Don Francisci de Atahualpa, egzekucję wykonano tylko przez „uduszenie” – władcy Inków oszczędzona została śmierć na stosie.

Teraz okazało się, jak obłudni byli chrześcijańscy zabójcy – przywdziali żałobę i wyprawili ofierze uroczysty pogrzeb.

Wieść o śmierci Atahualpy rozeszła się po kraju. Karawany wiozące kosztowności jako okup – między innymi z Pacachamac – wciąż były w drodze. Wdowa po Atahualpie wstrzymała transporty i skierowała je do okręgu Cuzco, nim wpadły w ręce Hiszpanów. Skarby niewyobrażalnej wartości ukryto w ogromnych podziemnych tunelach.

Znamy nazwę wejścia do tego świata podziemi. Jest to „miejsce, w którym się ginie”. W 1700 roku grupa awanturników weszła podobno do tego podziemnego labiryntu. Wrócił tylko jeden. Oszalał. Wydawał z siebie niezrozumiały bełkot.

W 1814 roku brygadier Matieo Garcia Pamakahua, potomek dumnego rodu Inków, zawiązał swojemu dowódcy oczy i poprowadził go z głównego placu Cuzco do wodospadu, potem odtoczył jeden z kamieni i sprowadził przełożonego po schodach. Pod ziemią, po zdjęciu przepaski z oczu, oficer ujrzał cegły ze szczerego złota, najszlachetniejsze klejnoty i posążki zwierząt ze srebra. Później Hiszpan przypominał sobie: „Wyraźnie słyszałem zegar bijący na wieży katedry w Cuzco. Skarby, które widziałem, znajdowały się najpewniej gdzieś pod miastem”.

W połowie XIX wieku awanturnik Bill Mc Govern widział podobno podziemne przejścia. Wejścia do nich znajdowały się rzekomo poza Cuzco, koło Sacsayhuaman. „Tu wykuwano w kamieniu ołtarze ku czci bogów podziemi”.

Czy wieszczący idol z Pachacamac został ukryty razem z innymi skarbami w świecie podziemi? Wdowa po Atahualpie posiadała podobno przedmiot kultu, który przepowiadał przyszłość. Czy była to mówiąca głowa z Pachacamac, inkaski odpowiednik hebrajskich terafów? Czy można jeszcze żywić nadzieję, że ten święty przedmiot kultu kiedykolwiek się odnajdzie?

W latach 1992-1995 zbierając materiały pojechałem do Cuzco. Znalazłem tam konkretne wskazówki na temat legendarnego systemu tuneli. Pod głównym ołtarzem kościoła św. Dominika istnieje, dobrze znane miejscowym, prymitywne drewniane przepierzenie, zamykające wejście do podziemi. Na inkaskich budowlach wzniesiono także inne chrześcijańskie budynki, przez które można wejść do podziemnego systemu. Są to: kościół św. Krzysztofa, katedra w Cuzco, kościół św. Cataliny oraz kaplica św. Róży. Tych sakralnych budowli nie postawiono w tych miejscach przypadkowo. Jeśli weźmiemy plan

miasta i połączymy je ze sobą, powstanie linia prosta, której przedłużenie dochodzi do Sacsayhuaman. Czy budowle te istotnie łączy podziemne przejście, będące częścią ogromnego systemu? Jeden z duchownych odpowiedział mi na to w sposób dość osobliwy: „Nie! A poza tym podziemne przejścia są zbyt niebezpieczne. Nie wolno tam wchodzić”.

Jeśli przypomnimy sobie, z jaką zaciętością hiszpańscy zdobywcy niszczyli kiedyś państwo Inków, łatwo nam będzie zrozumieć, że potomkowie odwiecznych mieszkańców tych ziem do dziś strzegą tajemnic przodków. Wielu jest przekonanych, że tylko prawdziwy potomek Inki zdoła odnaleźć legendarną „mówiącą głowę”, należąca niegdyś do Atahualpy. Czy zdarzy się to kiedykolwiek?

Późnym latem 1996 roku przez światową prasę przebiegła informacja, że pod Cuzco odkryto pradawne podziemne systemy tuneli. Czyżby ktoś wpadł na trop tajemnicy Pachacamac?

Na tropie terafów

Zawarte w Starym Testamencie wzmianki dotyczące mówiących głów interesowały również w najwyższym stopniu wyznawców kultu kabały. Zajmowali się oni tajemniczymi przedmiotami kultu nie tylko teoretycznie, starali się dowiedzieć, czy istnieją jeszcze obiekty, za których pomocą byłoby możliwe bezpośrednie porozumiewanie się z Bogiem. Czy je znaleźli? Wydaje się to możliwe.

Być może w posiadaniu posągu terafa był nawet jeden z największych ludzi nauki XIII wieku -Albert z Böllstadt, znany lepiej pod pseudonimem Albertus Magnus, czyli Albert wielki (1193-1280). Po skończeniu studiów w rodzinnej Bawarii Albert wyjechał prowadzić badania na uniwersytecie w Padwie.

Prof. dr Alfred Lehmann pisze:

„Zajął się tam zapewne najpierw naukami najpopularniejszymi w owej epoce – gramatyką, dialektyką, retoryką i logiką; ale jednocześnie zdobywał wiedzę matematyczną i przyrodniczą, które zapewniły mu później miano »mistrza czarnoksięstwa«. W Padwie Albert wstąpił do założonego nieco wcześniej zakonu dominikanów i od tej pory jego życie było mniej lub bardziej intensywną wędrówką do miejsc, gdzie wiodła go służba zakonna. Najpierw studiował teologię w Bolonii, potem udał się w podróż po niemieckich miastach jako nauczyciel nowo tworzonych szkół dominikańskich. W 1230 roku spotykamy go w Paryżu, gdzie jest profesorem miejscowego uniwersytetu, w którym dominikanie mieli dwa stanowiska. Był już tak sławny jako uczonego, że nie udawało się znaleźć w mieście pomieszczenia, w którym mogliby się zebrać wszyscy słuchacze – wykłady prowadził więc pod gołym niebem” [Alfred Lehmann, Aberglaube und Zauberei, Stuttgart 1925.].

Kariera naukowa Alberta Wielkiego przypominała cały czas w mniejszym lub większym stopniu ryzykowne balansowanie na skraju przepaści, bo wciąż padały nań podejrzenia o zajmowanie się zabronionymi przekazami historycznymi. Coś, co dla niego było konsekwencją logiki, przekraczało horyzonty myślowe jego zawistnych konkurentów – dla nich więc było czarnoksięstwem. Albert zajmował się na przykład sztucznymi istotami żywymi, mówiącymi posągami. Dopiero w 1651 roku wydano 21 tomów in folio prac tego naprawdę wielkiego naukowca. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest to tylko „dzieło oficjalne”. Zawiera ono między innymi konkretne opisy „automatów i podobnych urządzeń”, które zdumiewająco przypominają terafy Starego Testamentu. Czy Albert Wielki – nieważne jak – wszedł w posiadanie takiego przedmiotu?

Alberta w jego „sekretnym warsztacie” odwiedzał nie kto inny, jak sam Tomasz z Akwinu. Spotkał tam „piękną postać kobiecą, która przywitała go ludzkim głosem. Broniąc się przed pokusą diabelską, Tomasz uderzył ją laską, ona zaś upadła grzechocząc i wydając inne osobliwe dźwięki” [Ibidem, s. 116.].

Cóż takiego uczynił pobożny Tomasz? Rozbił sztucznego człowieka, robota. Czy był to posąg terafa? A może Albert Wielki zrekonstruował taką istotę według sekretnych tekstów kabalistycznych? Jak wszedł w posiadanie biblijnego obiektu? Informacje pochodzące z tajemniczej historii zakonu templariuszy można rozumieć i tak, że żądni wiedzy rycerze i adepci kabały około 1200 roku n.e. znaleźli w Jerozolimie posągi terafów i przywieźli je do Europy. Czy Albert Wielki dostał jeden egzemplarz? Czy inne znalazły się w Watykanie? Bądź co bądź Gerbert z Aurillac (ok. 940-1002), znany też jako papież Sylwester II, miał podobno jedną „mówiącą głowę”.

Jest więc ze wszech miar możliwe, że zarówno w podziemnych skarbcach Peru, jak i w tajnych zbiorach Watykanu „mówiące głowy” wciąż czekają na powtórne odkrycie.

X. Kabała i maszyna do produkcji manny

Wróćmy jednak jeszcze do Starego Testamentu i Arki Przymierza. Ten najważniejszy przedmiot kultu Izraelitów był czczony jako szczególna świętość nie tylko dlatego, że umożliwiał porozumiewanie się z Jahwe. Poza przekazanymi osobiście przez Boga kamiennymi tablicami z Dziesięciorgiem Przykazań znajdował się tam podobno dzban z manną. Co to było?

Manna była jakoby jedynym pożywieniem Izraelitów w czasie ich czterdziestoletniej wędrówki po pustyni. Niejasna jest jednak sama nazwa tego boskiego pokarmu. Już w Starym Testamencie próbuje się wyjaśnić pochodzenie tego słowa. Kiedy Izraelici zobaczyli mannę po raz pierwszy, pytali: „Co to jest?” – po hebrajsku man hu (II Mojż. 16, 15). Stąd wzięło się podobno określenie manna. Słowo man(n)a znane jest także w języku melanezyjskim, a znaczy tam „nadprzyrodzona boska pomoc”. Dla mieszkańców wyspy Wielkanocnej mana oznaczała siłę, dzięki której latający bogowie, podobni synom Bożym, aniołom i demonom Starego Testamentu, pomagali ludziom.

Wedle Biblii manna wyglądała jak „coś drobnego niby szron na ziemi. [...] miała smak placka z miodem” (II Mojż. 16, 14 i 31). W *Einsichten über die Heilige Schrift* napisano słusznie: „Żadna znana dziś substancja naturalna nie odpowiada w pełni biblijnemu opisowi manny, nie można jej więc chyba utożsamiać z jakimś znanym nam produktem” [*Einsichten über die Heilige Schrift*, Selters 1992, s. 271.].

Właśnie tego próbuje jednak dokonać współczesna teologia. Uważa się, że dla ludzi końca XX wieku cuda są nie do zaakceptowania, a więc rzeczy pozornie nadprzyrodzone próbuje się na siłę wcisnąć w gorset codzienności. Czy może zatem dziwić, że kościoły na świecie cieszą się coraz mniejszym zainteresowaniem wiernych?

Wyraża się więc przypuszczenie, że manna jest białawą, słodką wydzieliną produkowaną przez *Coccidiae*, czerwce żerujące na krzakach tamaryszku. Przypuszczenie to wysunął już w 1823 roku Christian Gottfried Ehrenburg. Wydaje się ono jednak mało wiarygodne. Z jednej strony pokarm ten byłby znany tamtejszym ludom koczowniczym, nikt by się więc nie ważył mówić o cudzie Bożym. Z drugiej strony Stary Testament podkreśla, że w każdy siódmy dzień tygodnia manny na polu nie było (II Mojż. 16, 25). Upada zatem wyjaśnienie, że był to produkt naturalny. A może tamaryszkowe czerwce zorganizowały się w związki zawodowe i wywalczyły sobie jeden dzień wolny w tygodniu?

Stary Testament zawiera na temat manny rozproszone wzmianki, na które często nie zwraca się uwagi. Tak więc psalmista mówi o „zbożu z niebios” (Ps. 78, 24), o „chlebie niebieskim” (Ps. 105, 40). W hebrajskim oryginale czytamy o „chlebie silnych” (Ps. 78, 25). W wielu przekładach oddaje się to określenie jako „chleb anielski”. Prawdopodobnie przez „silni” należy rozumieć „aniołów”. Istoty te zostały w innym miejscu określone mianem „potężni siłą” (Ps. 103, 20). Czy więc przez określenie „chleb silnych” należy rozumieć mannę? Książka *Einsichten über die Heilige Schrift* powołuje się na Nowy Testament: „a został on dany przez aniołów” (Gal. 3, 19) [Ibidem, s. 271.].

Jeżeli manna służyła aniołom jako stały pokarm, to ich wymagania dotyczące jadłospisu nie były zbyt wygórowane. Nawet Izraelici, którzy podczas wędrówki przez pustynię naprawdę nie wiedzieli, co do ust włożyć, mieli już tego monotonnego pożywienia po dziurki w nosie. Mówili, że „zbrzydł [im] ten nędzny pokarm” i wzniecili bunt przeciw Jahwie, który za karę wysłał na burzących się „jadowite węże, które kąsały lud, i wielu z Izraela pomarło” (IV Mojż. 21, 5-6).

Sięgnijmy znowu do *Einsichten über die Heilige Schrift*. Czytamy tam: „A może określenie »chleb silnych« wskazuje co najwyżej na to, że pochodzi z nieba, tam bowiem mieszkają »silni«” [Ibidem.].

Maszyna do produkcji manny

Wzmianki o biblijnej mannie, zawarte w Starym Testamencie, należy określić jako skromne. Jeżeli zechcemy dowiedzieć się czegoś więcej o „chlebie niebieskim”, będziemy skazani na wywody wyznawców kultu kabały.

Jednym z nich jest trzypięciotomowe dzieło *Sefer Jecirah*, napisane jakoby przez Szymona ben Jochai w II wieku n.e. Właśnie tym tekstem zajęli się George Sassoon i Rodney Dale.

George Sassoon, urodzony w 1936 roku, wykształcenie zdobywał w Oundle i w King's College w Cambridge, gdzie studiował. Został inżynierem konstruktorem i rozpoczął pracę w W. G. Pye Ltd., ale wkrótce założył w Anglii Kontraktową Organizację Badawczą, gdzie działał jako tłumacz techniczny, rozwijając zarazem dział elektroniczny i produkcyjny firmy.

Rodney Dale zdobywał wykształcenie w Queens College w Cambridge i studiował, podobnie jak Sassoon, nauki przyrodnicze. Po studiach zajął się budową maszyn i założył własną firmę. Potem dołączył do Kontraktowej Organizacji Badawczej George'a Sassoon'a.

Obaj angielscy naukowcy doszli szybko do przekonania, że ograniczając się do teologii nijak nie da się rozwikłać kwestii Arki Przymierza i maszyny do produkcji manny, bo teolodzy nie znając się na technice, nie mogą zrozumieć, co się naprawdę kryło za cudem tego pożywienia. Im, którzy dysponowali odpowiednią wiedzą, zdawało się, że zdołają tę zagadkę rozwiązać.

Początkowo z niewiarygodnym zdumieniem, z biegiem czasu rozumiejąc wszystko coraz lepiej, Sassoon i Dale doszli do przekonania, że w księgach kabały, zatytułowanych *Wielkie Święte Zgromadzenie*, *Mate Święte Zgromadzenie* i *Misterium* pomieszczono wykłady, jakie kiedyś Szymon ben Jochai wygłaszał dla swoich siedmiu uczniów. Chodziło przy tym o zagadkową rzecz, określaną mianem: *Przedwieczny*. Mędrzec i nauczyciel zasypał uczniów masą szczegółów, które uważał za niezwykle istotne. Kiedy poczuł, że koniec bliski, zwołał ich powtórnie i odpytał – leżąc na łożu śmierci – sprawdzając, czy wszystko, co im mówił, właściwie zachowali w pamięci. Zagadkowa wiedza nie mogła ulec zapomnieniu. W ostatnich dniach życia przekazał uczniom jeszcze inne, uzupełniające szczegóły.

Sassoon i Dale uznali materiał przekazany przez rabiego za niesłychany a zarazem niezwykle logiczny. Ich zdaniem Przedwieczny nie był wcale jakąś niezmierną istotą mitologiczną, lecz możliwą do zrekonstruowania, skomplikowaną maszyną do produkcji mанны!

Wiosną 1976 roku przedłożyli wyniki swojej przełomowej pracy znanemu na całym świecie czasopismu naukowemu „New Scientist”. Opublikowano je pod tytułem *Deus est machina? (Czy Bóg jest maszyną?)*. W Polsce książka Sassoon i Dale'a ukazała się w 1996 roku [George Sassoon i Rodney Dale, *Maszyna do produkcji mанны*, Warszawa 1996.].

Przedwieczny, zwany także Starodawnym Dni lub Sędziwym, miał dwie czaszki, jedna nad drugą. Czaszka górna zawierała górny mózg, w którym destylowano rosę. Mózg dolny zawierał olej niebieski. Przedwieczny miał czworo oczu, jedno świeciło światłem wewnętrznym, trzy nie świeciły same. Obie czaszki otaczała czaszka zewnętrzna. W jej górnej części destylowała się woda. Po skropleniu woda wpływała do pojemnika, w którego środku znajdowało się silne źródło światła, naświetlającego kulturę alg, przypuszczalnie chlorelli.

Kultura alg produkowała substancję zawierającą białko – mannę. Algi cyrkulowały w systemie rur, umożliwiającym wymianę tlenu i dwutlenku węgla, oddając przy tym nadmiar ciepła do otoczenia.

Gotowa masa chlorelli dostawała się do pojemnika, gdzie poddawana była dalszej obróbce. Skrobia zamieniała się w cukier słodowy, który – po niewielkim podprażeniu – sprawiał, że manna „miała smak placka z miodem” (II Mojż. 16, 31).

Suchy produkt gromadził się w dwóch zbiornikach. Pierwszy opróżniano codziennie,, zapewniając Izraelitom racje żywności. Drugi zbiornik napehwał się powoli. Zawierał mannę na dzień szósty i siódmy. Według Sassoon i Dale'a siódmego dnia maszynę czyszczono i konserwowano. Nie mogła ona wtedy oczywiście produkować pokarmu.

W tym kontekście należy zwrócić uwagę na dziwnie brzmiący werset z Księgi Daniela: „I widziałem w widzeniach nocnych: Oto na obłokach niebieskich przyszedł ktoś podobny do Syna Człowieczego; doszedł do Sędziwego i stawiono go przed nim. I dano mu władzę i chwałę, i królestwo” (Dan. 7, 13-14). Czy chodzi tu o Przedwiecznego, o maszynę do



produkcji mанны?

II. 15. Statki kosmiczne typu „Ezechiel” kursują między statkiem macierzystym na orbicie a Ziemią



II. 16. Salomon dyktuje swoje pisma. Francuska średniowieczna iluminacja biblijna

Ale dlaczego zbliżył się do niej „na obłokach niebieskich [...] ktoś podobny do Syna Człowieczego”? Żeby przeprowadzić prace konserwacyjne?

Według wyliczeń angielskich naukowców maszyna produkowała dziennie około półtora metra sześciennej manny na sześćset osób, czyli na rodzinę wypadł mniej więcej jeden omer (około 2,2 litra). Uważni czytelnicy Biblii wysuną na pewno zarzut, że przez czterdzieści lat po pustyni wędrowało 600 tysięcy Izraelitów, których trzeba było zaopatrzyć w mannę. Jeśli jedna maszyna mogła wyżywić zaledwie 600 osób, to czy nie potrzeba było 1000 takich maszyn? Przypuszczenie takie brzmi dość nieprawdopodobnie. Czy z tego powodu sprawę maszyny, Przedwiecznego, należy sprowadzić do absurdu?

W żadnym razie. Widocznie pobożni tłumacze Biblii, którzy chcieli w szczególny sposób podkreślić znaczenie marszu przez pustynię, popełnili błąd. Hebrajskie słowo oznaczające „tysiąc” znaczy także „głowa”. Rozsądniejsze byłoby więc tłumaczenie „600 głów” nie zaś „600 tysięcy”. Wyliczona przez Sassoona i Dale'a produkowana co dzień ilość manny wystarczała właśnie dla 600 ludzi.

Wykraczałoby poza ramy tej książki, gdybym chciał analizować wszystkie szczegóły tej skomplikowanej maszyny. Zainteresowanym polecam więc lekturę pasjonującej pracy Sassoona i Dale'a.

Gdzie jest dziś maszyna do produkcji manny?

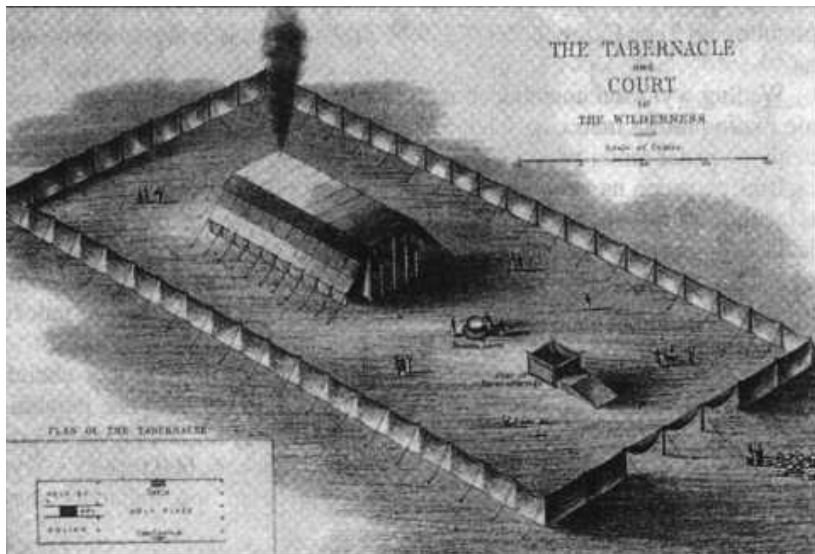
Kiedy czterdziestoletnia wędrówka Izraelitów przez pustynię dobiegła kresu w Ziemi Obiecanej, maszyna do produkcji manny, która tak długo zapewniała im „chleb powszedni”, stała się niepotrzebna. Na pewno cieszą się z powrotu do normalnego pożywienia, przede wszystkim bardziej urozmaiconego.

Ale co stało się z maszyną?

Aaron próbował zachować dla przyszłych pokoleń dzban zawierający jeden omer. Wstawił naczynie do Arki Przymierza (II Mojż. 16, 32 i 34). Kiedy jednak święty przedmiot znalazł się w Świątyni Salomona, wspomniany dzban zniknął, a Stary Testament nie podaje, gdzie się znajduje (por. II Sam. 6, 17).

Być może król Dawid przewiózł maszynę do Jerozolimy. Jego syn, Salomon, zbudował dla niej świątynię. Tylko kapłani i dostojnicy mogli oglądać urządzenie. W 587 roku p.n.e. Świątynię zniszczono. Czy razem z maszyną do produkcji manny? Według jednego z

żydowskich przekazów historycznych maszynę udało się uratować i ukryć w podziemnej jaskini koło Jerozolimy. Sekretne miejsce wybrano dobrze, może za dobrze, bo gdy po kilku latach kapłani chcieli maszynę przywieźć do Jerozolimy z powrotem, nie udało im się jaskini odznaleźć. Czy więc urządzenia należy szukać w którejś z podziemnych jaskiń koło Jerozolimy?



Il. 17. Podczas wędrówki przez pustynię Arkę Przymierza przechowywano w Namiocie Zgromadzenia. Graficzna rekonstrukcja z XIX wieku

Il. 18. Zbieranie niebieskiej manny według wyobrażenia anonimowego artysty z drugiej



połowy XV wieku

W trakcie poszukiwań tajemniczego obiektu należy jednak zachować szczególną ostrożność. Według Sassoon'a i Dale'a energia do produkcji manny pochodziła z niewielkiego reaktora atomowego. Urządzenie nie jest więc wcale bezpieczne.

George Sassoon i Rodney Dale wychodzą z założenia, że przynajmniej niektóre elementy maszyny do manny były przechowywane w Arce Przymierza – zapewne części emitujące promieniowanie radioaktywne. Arka Przymierza stanowi więc śmiertelne

niebezpieczeństwo. Kto się do niej za bardzo zbliżył, zostawał napromieniowany, co bywało groźne dla życia. Czy w Biblii są na to dowody?

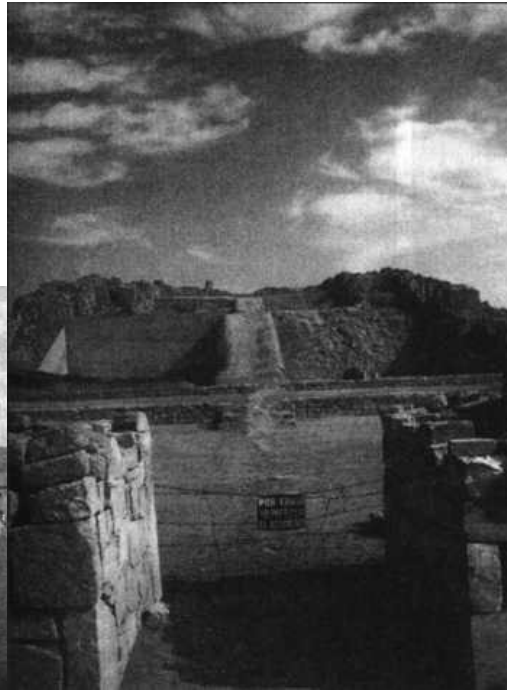
W Starym Testamencie czytamy: „Filistyńczycy zabrali Skrzynię Bożą i zawieźli ją z Eben-Haezer do Aszdodu. Następnie zabrali Filistyńczycy Skrzynię Bożą i wnieśli ją do świątyni Dagona, i ustawili ją obok Dagona. A gdy następnego dnia rano Aszdodczycy weszli do świątyni, oto posąg Dagona leżał twarzą ku ziemi przed Skrzynią Pańską”. Ale Arka – albo płynące z niej promieniowanie – powaliła nie tylko Dagona: „I zaciążyła ręka Pana na Aszdodczykach; spowodował wśród nich zniszczenia i nawiedzał ich wrzodami odbyticy w samym Aszdodzie i w jego granicach” (I Sam. 5, 1-3 i 6).



II. 19. Hermann Oberth, „ojciec podróży kosmicznych”, w rozmowie z autorem książki



II. 20. Wspaniały niegdyś zespół świątynny Pachacamac jest dziś w opłakanym stanie



Il. 21 i 22. Zrekonstruowano tylko niewielką liczbę budowli

Ten krótki fragment zawiera dwie wskazówki, mogące świadczyć o tym, że Arka Przymierza emitowała promieniowanie radioaktywne. Po pierwsze – ludzie, którzy przebywali w jej pobliżu, zaczęli chorować, mieli „wrzody odbytnicy”. Po drugie – negatywne działanie dotyczyło nie tylko ludzi, lecz również okolicy.



Il. 23. i 24. Drewniany idol z Pacachamac, cudem ocalały podczas szaleństw ślepej żądy niszczenia hiszpańskich konkwistadorów

Zarazy wywołwane przez Arkę opisano nie tylko w Starym Testamencie. Musiały być tak katastrofalne, że jeden z najważniejszych rzymskich dziejopisów, Józef Flawiusz (ok. 37-100 n.e.), autor między innymi Wojny żydowskiej, pisze: „Gdy Filistyni – jak o tym niedawno opowiedzieliśmy zdobyli arkę nieprzyjaciół, zanieśli ją do miasta Azotu [...]. A w końcu Bóg rzucił na miasto Azotyjczyków i na ich krainę niszczącą zarazę. Umierali na czerwonkę, srogą chorobę, która z niezwykłą szybkością przetrawiała ich ciała, zanim jeszcze odłączyły się od nich dusze w śmiertelnym ukojeniu: chodzili z wnętrznościami

przeżartymi i całkowicie wyniszczonymi przez chorobę” [Józef Flawiusz, Dawne dzieje Izraela, cz. I, ks. VI, I, 1, Warszawa 1993.].

Tłumacze dzieła Flawiusza na niemiecki, Johann Friedrich Cotta i August Gfrörer, zauważyli związki z tekstem biblijnym. Swój przekład opatrzyli następującym przypisem: „Z Pierwszej Księgi Samuela (5, 9 i 6, 5) nie wynika dokładnie, na czym polegała ta choroba. Józef Flawiusz ma zapewne rację, nazywając ją czerwonką, lekarz jednak chyba by się nie zgodził z fragmentem mówiącym, że chorym wyływały wnętrzności. Whiston raczej słusznie przetłumaczył więc to zdanie: »wymiotowali, co zjedli« – ale nie jest to tłumaczenie wierne. Lekarz, u którego zasięgnięto rady, był zdania, że »wymiotowanie wnętrznościami jest niemożliwe; Józef Flawiusz chciał zapewne powiedzieć, że sprawiało to takie wrażenie» [Johann Friedrich Cotta i August Gfrörer, Die Werke des Flawius Josephus, Philadelphia 1838.].

Musimy sobie uświadomić, że lekarz komentował ten fragment tekstu około 1830 roku. Śmiertelne skutki promieniowania radioaktywnego były wtedy zupełnie nie znane. Dziś wiemy, czym grozi użycie bomby atomowej. Wiemy, że zarówno opisy ze Starego Testamentu, jak i z Dawnych dziejów Izraela są opisami skutków napromieniowania! Śmierć nie następowała natychmiast: „zanim jeszcze odłączyły się od nich dusze w śmiertelnym ukojeniu: chodzili z wnętrznościami przeżartymi i całkowicie wyniszczonymi przez chorobę”.

Przerażeni Filistyni zwrócili zdobycz Izraelitom. Jahwe sprawił, że znów zmarło wielu ludzi: „Pan wytracił spośród mężów Bet-Szemesz pięćdziesiąt tysięcy siedemdziesięciu mężów za to, że zaglądali do Skrzyni Pańskiej” (I Sam. 6, 19). Szczęścia nie miał też jeden z Izraelitów, Uzza: „A gdy dotarli do klepiska Nachona, Uzza wyciągnął swoją rękę ku Skrzyni Bożej i chciał ją podtrzymać [...]. I rozpałił się gniew Pana na Uzzę, i zabił go tam Bóg za to, że wyciągnął swoją rękę ku skrzyni, i umarł tam przy Skrzyni Bożej” (II Sam. 6, 6-7).

Nie ma wątpliwości: ze względu na promieniowanie radioaktywne maszyna do produkcji manny stanowiła zagrożenie dla życia. Słuszne było więc umieszczenie tak niebezpiecznego przedmiotu kultu w podziemnej jaskini, co opisano w niekanonicznej Drugiej Księdze Machabejskiej, którą należy zaliczyć do tekstów kabalistycznych. Czytamy tam: „Przybywszy tam znalazł obszerną grootę, w której złożył Namiot, Arkę i ołtarz kadzenia. Kilku spośród towarzyszących mu [ludzi] wróciło potem, aby oznaczyć drogę, lecz nie mogli jej odnaleźć. Skoro się o tym dowiedział Jeremiasz, zganiał ich, mówiąc, że miejsce to pozostanie nie znane do czasu, aż Bóg zgromadzi lud i okaże mu miłosierdzie. Wówczas znowu pokaże Pan wszystkie rzeczy i objawi się chwała pańska wraz z obłokiem, jak objawiła się za Mojżesza” (Mch 2,5-8) [Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań 1997.].

Jak należy rozumieć ten fragment? Według Josefa Blumricha biblijny prorok Ezechiel nazywał wóz niebieski Jahwe „chwałą Pana”. Czy jest to więc przepowiednia, że ów pojazd latający powróci na Ziemię? Czy dziś, pod koniec XX wieku, możemy prowadzić poszukiwania tak groźnej dla życia Arki Przymierza?

Z technicznego punktu widzenia – tak. Każdy metr kwadratowy powierzchni naszej planety można przebadać z satelitów. Bezsensowna zimna wojna przeszła wreszcie do historii i satelity szpiegowskie mają na pewno wolne „moce przerobowe”. Dlaczego więc nie wykorzystać ich do poszukiwań maszyny do manny? Nie byłoby zapewne dla nich trudne w kraju tak niewielkim jak Izrael znaleźć maleńkie źródło promieniowania radioaktywnego, wyglądające z Kosmosu jak kropka. Dziś wiemy, jakie niebezpieczeństwo ze sobą niesie, możemy więc przy jego wydobywaniu przedsięwziąć wszelkie niezbędne środki ostrożności.

Czy poszukiwania się opłacą? Bez wątplenia! Odkrycie urządzenia pozaziemskiego na naszej planecie byłoby zapewne najbardziej fascynującym odkryciem naukowym wszech czasów. Badanie obiektu przyniosłoby zapewne nieoczekiwane, niewyobrażalne informacje i otworzyłoby przed ludzkością możliwości graniczące ze światem baśni.

Czy jesteśmy tego godni? Poszukiwanie tajemniczego reliktu z czasów biblijnych wywołałoby nowy wyścig wielu państw. Kusi nowa technika, która stoi zapewne znacznie wyżej od dzisiejszej techniki ziemskiej.

XI. Niebo, raj i piekło

Dla wielu Europejczyków takie pojęcia jak niebo, piekło czy raj są już dziś pustym dźwiękiem. Ale przed trzema tysiącami lat, w czasach biblijnych, mieszkańcy Izraela byli przekonani, że niebo, piekło i raj to miejsca realne, prawdziwe.

Wedle Starego Testamentu świat wyobrażano sobie jako przypominającą klosz na ser kopułę spoczywającą na talerzu. Talerz to ziemia, klosz niebo. Tuż pod kloszem było Słońce, Księżyc i gwiazdy. W pustej przestrzeni pod tarczą ziemi, gdzieś między kolumnami, na których spoczywała, było zapewne piekło.

Ojczyzna bogów

Sądono, że do miejsca, gdzie przebywali bogowie, teoretycznie można dotrzeć – człowiek nie mógł tego oczywiście dokonać sam. O takiej próbie dotarcia do nieba bogów – z góry skazanej na niepowodzenie – przypomina nam historia wieży Babel, opowiedziana w 11. rozdziale Pierwszej Księgi Mojżeszowej.

Tylko bogowie, aniołowie czy synowie boży mogli pokonywać ogromne odległości między ziemią a niebem. Zstępowali z nieba na ziemię, a potem wzlatywali tam z powrotem. Do ojczyzny bogów ludzie mogli dotrzeć tylko z ich pomocą. Wybrańcom zdarzało się czasem polatać w „wozach niebieskich”, ale zaraz przywożono ich z powrotem na ziemię. Przykłady: Abraham i Ezechiel.

Kiedy talmudyczni uczeni w Piśmie nie mogli się pogodzić, jak rozumieć jakiś fragment Starego Testamentu, odraczali rozstrzygnięcie kwestii „do powrotu Eliasza”. Na jego temat napisano: „oto rydwan ognisty i konie ogniste [...] i Eliasz wśród burzy wstąpił do nieba” (II Król. 2, 11).

Werset ten jest rozumiany dosłownie – wychodzi się z założenia, że Eliasz został „wzięty” do ojczyzny bogów, jego wniebowstąpienie rozumiano jako podróż rzeczywistą, fizyczną – nie wymagowaną. Dla autorów Starego Testamentu niebem była ojczyzna bogów, świat całkiem realny – nie jakieś tam elizjum dla dusz sprawiedliwych zmarłych.

Jeśli najbardziej chyba znany werset biblijny, rozpoczynający Stary Testament, przetłumaczymy wiernie, to otrzymamy: „Na początku stworzyli bogowie nieba i ziemię”. Jest tam więc mowa nie o niebie, lecz o niebach. W Starym Testamencie wyraźnie odróżniano niebo, które widzimy z Ziemi (chmury, słońce, księżyc i gwiazdy), od drugiego nieba, znajdującego się nad pierwszym – w otchłaniach Kosmosu, gdzie mieszkali bogowie. Nowy Testament dodał to tego jeszcze jedno, trzecie niebo – podejrzewano, że idą tam dusze umarłych. Chrześcijańskiego pochodzenia, a więc stosunkowo młode jest również wyobrażenie, że zmarli idą do raju [Por. Drugi list św. Pawła do Koryntian (12, 2 i 4).].

Dla autorów Starego Testamentu raj był miejscem na ziemi.

Raj na ziemi

Dla autorów Starego Testamentu raj był tak samo rzeczywisty jak ojczyzna bogów.

Jeśli jakaś książka opowiada o raju, to jest to raj z opowieści o stworzeniu, zawartej w Starym Testamencie. Jeśli zaś spojrzymy na to z naukowego punktu widzenia, okaże się, że w Biblii jest nie jedna opowieść o stworzeniu, lecz trzy.

Najstarszą, powstałą między 1200 a 900 rokiem p.n.e., umieszczono w pierwszym rozdziale Pierwszej Księgi Mojżeszowej (wersety 4-25). Kiedy ją spisywano, różne plemiona semickie opuszczały właśnie pustynię Synaj i wędrowały do żyznego i cywilizowanego Kanaanu. Naród żydowski powoli się konsolidował. Poszczególne plemiona semickie były zadowolone z pomyślnego zrządzenia losu. Wyszły z pustyni, a żyzny Kanaan, do którego wtargnęły mniej lub bardziej gwałtownie, wydawał im się rajem.

Powstał więc opis ogrodu w Edenie: „Potem zasadził Pan Bóg ogród w Edenie, na wschodzie. [...] I sprawił Pan Bóg, że wyrosło z ziemi wszelkie drzewo przyjemne do oglądania [...]. A rzeka wypływała z Edenu, aby nawadniać ogród [...]. A złoto tego kraju jest wyborne” (I Mojż. 2, 8-12).

Drugą opowieść o stworzeniu znajdziemy w miejscu dość niespodziewanym – w Psalmach, a dokładniej w Psalmie 104, powstałym około 600 roku p.n.e. Od chwili napisania pierwszej opowieści o stworzeniu upłynęły wieki. Powstało państwo judejskie. Izrael zjednoczył się narodowo, życie codzienne jest określane przez kult religijny, naród przepojony ogromnym poczuciem wspólnoty. Dawno minęły czasy łączenia się różnych plemion koczowniczych.

Niezwykle istotna jest forma tego tekstu: to hymn pochwalny, co świadczy o tym, że istniała już wtedy stabilna wspólnota wyznaniowa. W przeciwieństwie do pierwszej, najstarszej relacji o stworzeniu, człowiek nie jest już istotą najważniejszą. Główną rolę odgrywa stworzenie, przedstawione w całej różnorodności. Wychwalany jest bezmiar nieba, wymienia się wysokie góry, podobnie jak głębokie doliny i mnóstwo zwierząt.

Trzecia, najmłodsza opowieść o stworzeniu, jest opowieścią, którą większość ludzi rozumie jako opowieść o stworzeniu w ogóle.

W 578 roku p.n.e. zburzono świątynię, teraz już ją odbudowano. Elita duchowa narodu ma za sobą zły okres w babilońskiej niewoli. Właśnie te ponure czasy w oddaleniu od ukochanej ojczyzny miały nadzwyczaj silny wpływ na naród żydowski.

Podczas wygnania, a więc w latach, kiedy Ezechiel podróżował „swoim” wahadłowcem, wielu Izraelitów zetknęło się z nowym sposobem widzenia świata – z nauką. O ile w najstarszej opowieści o stworzeniu w opozycji do Boga stoi pojedynczy człowiek, o tyle w jej drugiej wersji w Psalmie 104 – Bóg jest konfrontowany z grupą kapłanów i modlących się wiernych. W trzeciej natomiast mamy już Boga uniwersalnego, stwórcę, który w wiernym tłumaczeniu tekstu oryginalnego okazuje się zgromadzeniem bogów.

Teraz więc możemy już spokojnie wyruszyć na poszukiwanie raju. Dokąd?

Na podstawie opisów Starego Testamentu można przypuszczać, że leżał na równinie, dominowała tam zieleń łąk. Gdzie to było?

Dawni Sumerowie uważali, że raj, ogród w Edenie, istniał naprawdę. Opisywali go już tysiące lat temu pismem klinowym na glinianych tabliczkach, nazywając go dilmun. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością dilmun i raj są tożsame.

Stary Testament: „A rzeka wypływała z Edenu, aby nawadniać ogród. Potem rozdzielała się na cztery odnogi. Nazwa pierwszej: Pizon. To ta, która opływa cały kraj Chawila, gdzie jest złoto. A złoto tego kraju jest wyborne. Tam jest żywica bdelium i kamień onyksowy. Nazwa drugiej rzeki: Gichon. To ta, która opływa cały kraj Kusz. A nazwa trzeciej rzeki: Chiddekel. To ta, która płynie na wschód od Asyrii. Czwartą zaś rzeką jest Eufkrat” (I Mojż. 2, 10-14).

Tych czterech rzek szukano na próżno od wielu stuleci.

Chiddekel jest utożsamiany z Tygrysem przez wielu badaczy. Wyrzucili oni po prostu starą nazwę, wstawiając na jej miejsce nową, której w hebrajskim oryginale nie ma. Ale czy można tak robić?

Eufkrat i Tygrys płyną w zasadzie z północy na południe. Gdyby rzeki te miały wspólne źródła, to raj należałoby szukać na północ od Mezopotamii, Krainy Dwurzecza. Tymczasem w Starym Testamencie czytamy, że raj jest na wschodzie (I Mojż. 2, 8). Na wschodzie umieścił Pan Bóg też człowieka. Ale, co paradoksalne, ludzie wypędzeni z raju osiedlili się również na wschodzie. Czyżby więc ogród w Edenie był na zachodzie? [Wolfgang Ibragimow, „Das Neue Zeitalter” 39/1986.]

Strasznie to skomplikowane! Teolog Holger Kersten jednak nie daje się zwieść takim sprzecznościom.

Czy raj był w Kaszmirze?

Szukając raju Kersten kieruje spojrzenie na Kaszmir.

Istotnie, niektóre czynniki mogłyby przemawiać za tym, że Kaszmir był rajem opisanym w Starym Testamencie. Już bowiem samo słowo kaszmir znaczy „raj na ziemi”. Mezopotamia natomiast nie ma z rajem nic wspólnego, bo przecież Biblia wymienia cztery rzeki, nie zaś dwie. W północnych Indiach jest jeszcze dziś pięć wielkich rzek, wypływających z jednego regionu. Czy to rzeki biblijne?

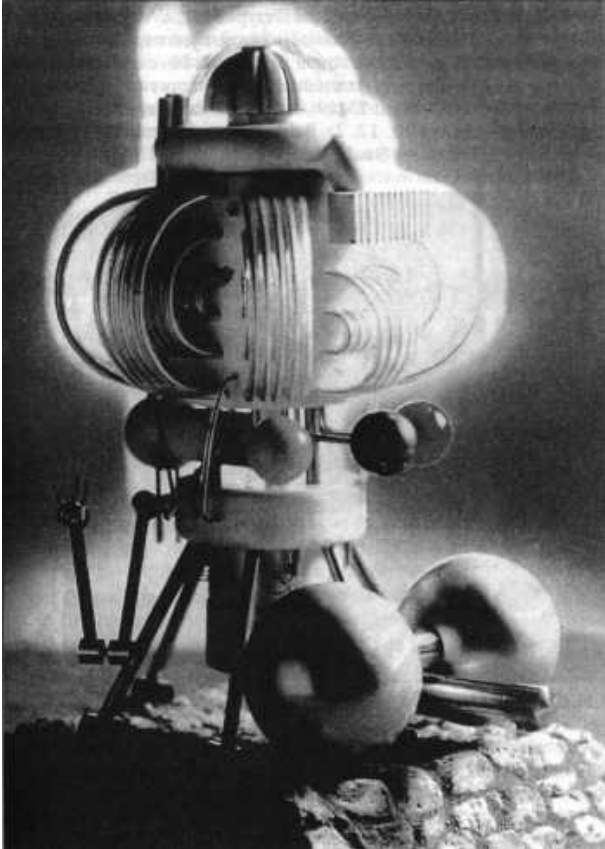
W Pierwszej Księdze Mojżeszowej czytamy: „Nazwa pierwszej: Pizon. To ta, która opływa cały kraj Chawila, gdzie jest złoto. A złoto tego kraju jest wyborne. [...] Nazwa drugiej rzeki: Gichon. To ta, która opływa cały kraj Kusz” (I Mojż. 2, 11-13).

Nazwa Kusz przekształciła się w trakcie zmian fonetycznych w Kasz; słowo mir znaczy po rosyjsku między innymi „obszar zajmowany przez wspólnotę, gminę”, w języku tureckim jest to tytuł honorowy, w perskim klejnot. Czy więc Kasz-mir znaczyło tyle co „obszar, kraina Kusz” albo „klejnot Kusz”

Inna interpretacja wywodzi nazwę Kaszmir od hebrajskiego słowa kaszer, co znaczy „właściwy, odpowiedni” i dotyczy przede wszystkim żywności. Wyznawcom religii mojżeszowej wolno spożywać tylko zwierzęta z uboju rytualnego, z których całkowicie spuszczone krew. Żydzi wyróżniają się spośród innych narodów sposobem odżywiania – czy więc ich kraj nazywano Kaszer, co przeobraziło się następnie w Kaszmir?

Nazwę geograficzną Kaszmir wywodzi się jednak od imienia indyjskiego wróżbity i proroka nazywanego się Kashyap. Mędrzec ów był w wielu hinduskich tekstach utożsamiany z

bogiem stworzenia – w tym przypadku można by wywieść słowo Kaszmir od Kashyap-Mar, co znaczyłoby „kraina Boga”. A właśnie raj był ogrodem albo krainą Boga.



Il. 25. Tak wyglądała podobno maszyna do produkcji manny

Spojrzenie na mapę Kaszmiru zdradza, ile biblijnych imion i nazw się tu znajduje. Agur ze Starego Testamentu (Przyp. 30, 1) to Agurn w kaszmirskiej prowincji Kulgam. Aja z prowincji Śrinagar jest odpowiednikiem biblijnego Ajah (I Mojż. 36, 24). Amon (I Król. 22, 26) nazywa się Amonu i leży w prowincji Anantang. Amariah ze Śrinagaru ma swój biblijny odpowiednik – Amariasz (I Kron. 23, 19). Aror z kaszmirskiej prowincji Awantipur również – Aroer (Joz. 12, 2). Balpura leży w kaszmirskiej prowincji Awantipur, w Biblii mamy Baal Peor (IV Mojż. 25, 3).



Il. 26. Gdzie był raj? Średniowieczna iluminacja biblijna

Czy więc mieszkańcy Kaszmiru wywodzą się od ludzi wypędzonych z biblijnego raju? Czy raj, ogród w Edenie, był naprawdę w Kaszmirze? Holger Kersten jest o tym święcie przekonany. Czy tu zdarzył się potop? W swojej książce Kersten zwraca uwagę, że Sindhu to dawna, sanskrycka nazwa Indusu. Ale Sindhu to również rzeka w Kaszmirze. Czy w Kaszmirze nastąpiła kiedyś katastrofalna powódź, przypominająca potop [Holger Kersten, *Jesus lebte in Indien München 1993*, s. 73.].

Rzeka Sindhu ma źródła niedaleko jaskini Amarnath. Według starohinduskich przekazów bóg Śiwa wyjaśniał tu swojej małżonce tajemnice stworzenia. Akt stworzenia ze Starego Testamentu był w istocie celebrowany przez biblijnego Śiwę-Jahwe w raju, w ogrodzie Edenu, który następnie został przezeń w gniewie zniszczony potopem.

Czy musimy wybrać się aż do Kaszmiru, aby odszukać raj opisany w Starym Testamencie?

W ogrodzie w Edenie zdarzyło się coś, co uwieczniono potem jako jeden z najsłynniejszych epizodów Starego Testamentu. Bóg pozwolił Adamowi i Ewie jeść wszystkie owoce, poza owocami z Drzewa Dobrego i Złego. Ale Ewa posłuchała węża: „Na to rzekł wąż do kobiety: Na pewno nie umrzecie, lecz Bóg wie, że gdy tylko zjecie z niego, otworzą się wam oczy i będziecie jak Bóg, znający dobro i zło” (I Mojż. 3, 4-5). Łacińskie tłumaczenie Biblii oddaje słusznie termin „zło” słowem *malum*. *Malum* jednak znaczy także „jabłko”. Za sprawą błędu w przekładzie z łacińskiego *malum* zrobiło się „jabłko” – od tej pory straszy we wszystkich prawie Bibliach, choć nie ma go w hebrajskim oryginale.

Z raju do piekła. Badacze wciąż toczą spory, gdzie leżał raj – piekło natomiast można zlokalizować dość dokładnie.

„Czy wiesz, gdzie jest piekło?”

Ktoś puka do drzwi. Państwo mówią: „Proszę wejść. Bez żenady!” Nieco archaiczna dziś żenada wywodzi się od słowa starohebrajskiego: najpierw biblijna gehenna została zapożyczona przez starofrancuski, a następnie zamieniła się w *gene*, stąd z kolei powstała „żenada”. Ale gehenna znaczy piekło.

„Do you know where hell is?”, „Czy wiesz, gdzie jest piekło?” śpiewali Lee Marvin i Elvis Presley w piosence „I Was Born under a Wand'ring Star”, i zaraz udzielali odpowiedzi: „Hell is in hello” – piekło jest w słowie hello (dzień dobry, cześć). Piosenka jednak zawierała głębszą prawdę, wykraczającą poza angielską grę słów hell-hello.

Przez piekło my, ludzie końca XX wieku, rozumiemy bardzo nieprzyjemne miejsce, gdzie mieszkają diabły, dręczące dusze złych ludzi. Najsroższych kar doznają tam zwyrodnialcy za zbrodnie popełnione na ziemi. Na pożywcze wyrafinowanych tortur, jakim poddawano biednych grzeszników, powstawały nader fantastyczne obrazy. Grzesznicy musieli siedzieć w kadziach wypełnionych wrzącą smołą, przypalano ich rozżarzonym żelazem albo przypiekano na wolnym ogniu. W torturach piekielnych ogień odgrywa wielką rolę.

Pierwotnie jednak gehenna nie miała nic wspólnego ze śmiercią. Było to miejsce na południowy zachód od Jerozolimy: Ge-Hinnom, Dolina Hinnom lub Dolina Synów Hinnoma. Jak już pisałem, działy się tu kiedyś istotnie rzeczy straszne: bogu Molochowi składano ofiary z ludzi. Wyznawcy pradawnego kultu palili żywcem dzieci ku czci krwiożerczego boga (II Król. 23, 10).

W Czwartej Księdze Mojżeszowej opisano jak niejaki Korach z pokolenia Lewiego oraz 250 jego stronników zamierzali wznieść bunt przeciw Mojżeszowi i Aaronowi – oczywiście bez rezultatu. Za karę zostali wtrąceni przez samego Jahwe do Szeolu: „ziemia rozwarła swoją czelusć i pochłonęła ich oraz ich domy i wszystkich ludzi Koracha i cały ich dobytek. Oni zaś wpadli ze wszystkim, co mieli, żywcem do podziemi, a ziemia zamknęła się nad nimi [...]. Wszyscy zaś Izraelici, którzy byli wokoło nich, uciekli na ich krzyk, mówiąc do siebie: Oby i nas ziemia nie pochłonęła!” (IV Mojż. 16, 32-34).

Cóż jednak stało się z dwustu pięćdziesięcioma mężami w świecie umarłych? Po raz pierwszy w Starym Testamencie pojawia się wyraźna wskazówka, nawiązująca do późniejszego, chrześcijańskiego wyobrażenia o piekle. Czytamy: „Ogień zaś wyszedł od Pana i pochłonął owych dwustu pięćdziesięciu mężów, którzy ofiarowali kadzidło” (IV Mojż. 16, 35).

Jest to obraz dość kuriozalny: ogień wyszedł od Boga i spalił 250 potencjalnych buntowników? Ale przecież oni byli już w świecie podziemi. Czy Jahwe też był w świecie podziemi?

Myśl, że żywy człowiek może się znaleźć w królestwie umarłych, jest znacznie starsza od Biblii. Trafiamy na nią w najstarszym zapewne zabytku piśmiennictwa literatury światowej – w eposie o Gilgameszu. Powstał on najprawdopodobniej już przed 4000-5000 lat. Wedle przekazu babilońskiego jego autorem jest niejaki Sin-lege-uninni.

Gilgamesza chwytą piekielny ptak i po szaleńczym locie przynosi na krótko do świata zmarłych. W przeciwieństwie do Koracha Gilgamesz może wrócić do żywych. Mieszkańcy tamtego świata, co Gilgamesz stwierdza z przerażeniem, męczą się, siedząc tłumnie w ciemności, nagusieńcy, a śmiecie są ich jedynym pożywieniem.

Gilgamesz dowiaduje się, że to przerażające miejsce wcale nie jest jeszcze tamtym światem, ale dopiero jakby przedpiekłem. Stoją tu olbrzymie tablice, na których napisano, jakie życie prowadzili niegdyś zmarli. Od tego więc, ile ktoś ma na sumieniu, zależy czas jego pobytu. Co jest po świecie ciemności, epos nie wspomina. Gilgamesza nie dopuszczono do ostatniej tajemnicy.

Podobnie myśleli starożytni Egipcjanie. Panowało wśród nich powszechne przekonanie, że po śmierci każdy zmarły udaje się najpierw na pewien czas do krainy mroku. Grozi mu tam wiele niebezpieczeństw i pokus. Aby bez szkody przetrwać ten pobyt, jeszcze za życia uczono się wielu magicznych zaklęć, które należało mrużyć pod nosem w drodze przez tę niebezpieczną krainę. Dotyczyło to zapewne przede wszystkim faraonów, bo dalszym życiem niewolników nikt się nie przejmował. Jeżeli niewolnik znalazł się na tamtym świecie, to nie po to, aby odpoczywać po męczącym życiu, lecz aby nadal służyć swoim panom. '

Była to też kraina bardzo niebezpieczna. Największe zagrożenie stanowiła powtórna śmierć – wtedy człowiek nie mógł już przejść na wymarzony tamten świat. W rozdziale XLIV Egipskiej Księgi Umarłych czytamy: „Jako koronowany boski król nie umrę drugi raz”.

Wyobrażenie jakby przedsionka prowadzącego do właściwego tamtego świata, wyobrażenie miejsca, w którym pokutowano za grzechy, zanim można było przejść na tamten świat, nie zostało przez Żydów przejęte. Ale wzmianki o piekle, gdzie grzesznicy muszą znosić straszne męki, można już znaleźć w Starym Testamencie: „Gdyż ogień zapalił się przez gniew mój i płonie do głębin podziemi” (V Mojż. 32, 22).

Psalm 9 utożsamia podziemne królestwo zmarłych z piekłem, znanym nam z tradycji chrześcijańskiej: „Niech wrócą bezbożni do podziemi, wszystkie narody, które zapominają Boga” (Ps. 9, 18).

Ale piekło było i pozostawało raczej miejscem rzeczywistym, dokąd mogli zostać zesłani również żywi: „Niech ich śmierć zaskoczy, niech żywcem zstąpią do krainy umarłych, bo złość jest w ich siedzibie i pomiędzy nimi” (Ps. 55, 16).

Podobnie jak żywiono powszechne przekonanie o istnieniu realnego ogrodu w Edenie, ogrodu dającego się zlokalizować geograficznie, tak wierzono w nie mniej rzeczywisty świat podziemny. „Kraina umarłych i Otchłań są otwarte przed Panem” (Przyp. 15, 11).

Niebo, piekło, zmartwychwstanie

Stary Testament jest chyba najbardziej zagadkową księgą w historii ludzkości. Nie powstał od razu, złożyło się nań wiele różnych tekstów, zestawionych w sposób mniej lub bardziej niekonsekwentny i pełen sprzeczności. Znajdujemy tam wyraźne nawiązania do pradawnych przekonań. Włączono do niego również tysiącletnie dogmaty wiary, na przykład egipskie czy babilońskie: dogmaty o potężnych bogach, których przychylności usiłowano pozyskać przez składanie im okrutnych ofiar z ludzi.

Ale powoli skłaniano się ku monoteizmowi. Widocznie autorzy Starego Testamentu czuli, że bogowie, którzy w latających rydwanach szaleli po niebie, zabierając ze sobą niekiedy nawet ludzi, nie zdołają odpowiedzieć na najbardziej palące pytania: czy istnieje tylko życie ziemskie, kończące się z chwilą śmierci fizycznej? A może na człowieka czeka życie po śmierci?

Ponure wyobrażenia tamtego świata jako krainy bez powrotu, nacechowane silnie wpływami sumeryjskich i babilońskich dogmatów wiary, odnajdujemy w obrazie Szeolu, piekła Starego Testamentu.

Zmienił się też obraz Boga. Wielobóstwo zastąpiono monoteizmem. Miejsce straszliwych bogów coraz częściej zajmował Jahwe – jako miłosierny Bóg nawołujący do rozsądku i litujący się nad ludźmi niczym dobry ojciec.

To faryzeusze doprowadzili do decydującego zwrotu w sprawie wiary w tamten świat. Było to ugrupowanie o orientacji religijno-politycznej, powstałe około II wieku p.n.e z chasidim, religijno-narodowego ruchu „gorliwych”. W czasach Jezusa faryzeusze cieszyli się niezwykłą popularnością. Był to silny ruch laicki, jego członkowie przywiązywali dużą wagę do wiążącej się z życiem codziennym wykładni pism Starego Testamentu.

Ich interpretacja tekstów wykraczała poza podstawową wymowę Pisma. Ich teologia stała w opozycji do konserwatywnej teologii saduceuszy, uważających za swoje podstawowe zadanie zachowanie dawnego porządku kulturowego. Za obowiązujący uważali tylko Pięcioksiąg (Torę), odrzucali przekazy ustne i doktryny w nim nieobecne.

Teologia faryzeuszy była nacechowana nadzieją na zmartwychwstanie ciała i nadejście Mesjasza. Już w VIII i VII wieku p.n.e. spodziewano się idealnego władcy z pokolenia Dawidowego. (Iz. 9, 1 nn.; Iz. 11, 1 nn.; Mich. 5, 1-5; Jer. 23, 1 nn.; Ps. 72). Po powrocie z babilońskiej niewoli (po 538 roku p.n.e.) nadzieja ta się spotęgowała. Mesjasza oczekiwano jako godnego przedstawiciela panowania Bożego.

W nadchodzącym Mesjaszu faryzeusze widzieli w mniejszym stopniu siłę polityczną – w większym posłańca religijnego niosącego nadzieję. To właśnie oni przetarli drogę chrześcijaństwu.

Część druga – Nowy Testament

XII. Zagadka pochodzenia Jezusa

Wnioskując z liczby sprzedanych egzemplarzy Biblia jest największym bestsellerem wszech czasów. Ale zarazem prawie nikt jej nie czyta. Stary Testament cierpi los brzydkiego kaczątka. Do Nowego Testamentu ludzie zaglądają nieco częściej. Koło Bożego Narodzenia niektórzy sięgają po ewangelie, żeby przypomnieć sobie coś o Jezusie. Mimo to ludzie wiedzą o nim przerażająco mało. Nie zmieniają tego próby „dostosowania” Zbawiciela do naszych czasów. Na przykład jedno z wydawnictw biblijnych oferuje grę komputerową, pozwalającą odbyć „interaktywną podróż przez życie Jezusa [Bibellesebund-Verlag, 51703 Marienheide.]. Komiksowa postać Bogumiła Pobożnego „w pasjonujący sposób” podąża przez biblijne „światy pełne przygód”. Dla wytchnienia co pewien czas pojawiają się fragmenty filmów.

Co wie Nowy Testament o rzeczywistości, na której tle pojawia się Jezus. Odpowiedź jest prosta: zdumiewająco mało. Stwierdzi to każdy, kto zainteresuje się postacią Zbawiciela. Oczywiście istnieją nie tylko teksty, które znajdziemy dziś w Biblii – są również teksty apokryficzne. Powstały zazwyczaj później niż ewangelie i należy je traktować jako źródła uzupełniające.

Jak więc człowiek współczesny powinien podchodzić do postaci Jezusa? Jak świętować Boże Narodzenie? Psycholog z Kolonii, Ulrich Schmitz, radzi, aby historię o Chrystusiku opowiadać dzieciom „puszczając do nich oko”, a więc niezbyt poważnie. A Jutta Fenske ze Związku Ochrony Dzieci uważa: „Postacie Bożego Narodzenia to symbole, oznaczają pewne postawy albo przekonania, nie są jednak realne. Schmitz: „Postaci z szopki nie należy przedstawiać jako postaci rzeczywistych, na których widok trzeba drętwieć z czci, lecz raczej z którymi trzeba umieć się obchodzić”. Ale jak traktować Nowy Testament, Jezusa? Czy on też jest postacią wyłącznie symboliczną? Chyba nie. Ale kim był Jezus?



Il. 27. Betlejemskie pastwiska (© Höchsmann)

Im dokładniej będziemy studiować Nowy Testament, tym bardziej tajemniczy będzie Jezus jako postać historyczna. A jednak można sobie tę postać przybliżyć. Wymaga to oczywiście gruntownej lektury Nowego Testamentu. Lektura zaś krytyczna będzie

oznaczają odkrywanie fałszerstw, jakich zaczęto dopuszczać się na Nowym Testamencie już za czasów Jezusa. Nowy Testament zawiera nie tyle świadectwa o Jezusie jako postaci historycznej, ile o teologicznym postępowaniu z nim. Jeśli jednak zrozumie się zamiar, prowadzący do przeobrażenia wizerunku Jezusa, to odkryje się takiego Jezusa, jakim był naprawdę. „Szukajcie a znajdziecie”! Niech słowa te będą mottem dla wszystkich, którzy interesują się Jezusem prawdziwym. A te poszukiwania naprawdę się opłaca! Trzeba tylko zabrać się do roboty bez jakichkolwiek uprzedzeń, nie wolno się utwierdzać w poglądach powziętych z góry. Bo wtedy każdy odkryje tylko takiego Jezusa, jakiego będzie chciał odkryć.

Jezus z Nazaretu czy Jezua z Kafarnaum?

Wydaje się, że imię Jezusa jest pewne. „Jezusem z Nazaretu nazywa się Mesjasza Nowego Testamentu”, uważają zarówno czytelnicy Biblii, jak i ci, którzy jeszcze ani razu nie wzięli Księgi Ksiąg do ręki. Twierdzenie to jest jednak błędne.

Żyjemy w czasach, w których najważniejsze są fakty. Jeśli zajmujemy się Jezusem, powinniśmy poznać jak najwięcej faktów sprawdzonych. W pierwszych dziesięcioleciach nowego tysiąclecia, a więc po narodzinach Chrystusa, było zupełnie inaczej. Nie liczyła się historia – głębokie odczuwanie wiary było ważniejsze od wiedzy. Na skutek tego najistotniejsze informacje o życiu Jezusa otacza tajemnica. Uda się nam uchylić jej rąbka, jeśli postaramy się wczuć w sposób myślenia najwcześniejszych chrześcijan.

Pierwsze niejasności dotyczą już imienia Jezusa. W Ewangelii św. Mateusza Józef otrzymuje następującą wiadomość od anioła: „A [Maria] urodzi syna i nadasz mu imię Jezus; albowiem On zbawi lud swój od grzechów jego” (Mat. 1, 21).

Dociekliwy czytelnik zada sobie na pewno pytanie, dlaczego syn Józefa ma się nazywać Jezus. Przekład nie zdradza związku między słowem „Jezus” a zbawieniem ludu. Rozwiązanie tej zagadki jest proste: Jezus nie nazywał się Jezus, ale Jezua. Hebrajskie słowo „Jezua” znaczy „on zbawi”. Teraz werset biblijny staje się zrozumiały: „A [Maria] urodzi syna i nadasz mu imię Jezua [on zbawi], albowiem On zbawi lud swój od grzechów jego”. Pierwotna tradycja Starego Testamentu polegała na nadawaniu ważnym osobom imion znaczących. Ale tylko ktoś znający hebrajski rozumie treści kryjące się w imionach.

Świadczy o tym choćby przykład ze Starego Testamentu: „[...] imię twoje będzie Abraham, gdyż ustanowiłem cię ojcem mnóstwa narodów” (I Mojż. 17, 5). Zdanie to będzie w pełni zrozumiałe dopiero, kiedy się dowiemy, że Abraham jest imieniem znaczącym – a znaczy właśnie „ojciec mnóstwa narodów”.

Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością matka wołała więc na Jezusa Jezua. Aby jednak nie wprowadzać zamętu w umysły Czytelników, w dalszej części książki pozostanę przy zlatynizowanej formie tego imienia, czyli Jezus. Teraz przejdźmy do „nazwiska” Jezusa. Podobnie jak w europejskim średniowieczu także w epoce Jezusa nazwiska jako takie nie istniały. W Europie dla uniknięcia pomyłek między osobami o tym samym imieniu dodawano do nich nazwę miejscowości, z której dana osoba pochodziła. Na przykład Otto, mieszkający w szwajcarskim miasteczku Däniken, był nazywany Otto von Däniken, czyli Otto z Dänikena.

W przypadku Jezusa sprawa wydaje się prosta. Czyż bowiem nie nazywał się Jezus z Nazaretu, bo pochodził z Nazaretu? W Ewangelii św. Marka Jezus dwukrotnie przyznaje się do tego imienia. Dwukrotnie pyta zbrojnych, którzy przyszli go uwięzić: „Kogo szukacie?” Oni zaś odpowiadają mu dwukrotnie: „Jezusa z Nazaretu”. On zaś odpowiada im również dwukrotnie: „Ja jestem” (Jan 18, 4-8).



Il. 28. Tak wyobrażał sobie scenę w stajence niemiecki artysta z początku XV wieku: Maria modli się do Dzieciątka Jezus, Bóg Ojciec i aniołowie chronią nowo narodzonego



Il. 29. Betlejem. Grota Narodzenia w kościele Narodzenia (© Höchsmann)

W wersji greckiej tego fragmentu imię nie zostało oddane precyzyjnie. Jest tam bowiem mowa nie o „Jezusie z Nazaretu”, lecz o „Jezusie Nazareńskim” albo „Jezusie Nazarejczyku”. Według Waltera Bauera należy liczyć się z tym, że określenie Nazarejczyk zostało połączone dopiero później z (fikcyjną) nazwą miejscowości „Nazaret” [Walter Bauer, Griechisch-deutsches Wörterbuch zu den Schriften des Neuen Testaments und der übrigen urchristlichen Literatur, b.m.wyd. 1963, szp. 1053.].

„Jezus z Nazaretu” pojawia się też w Ewangelii św. Marka: „I stało się w owe dni, że przyszedł Jezus z Nazaretu Galilejskiego i został ochrzczony” (Mar. 1, 9). To ważne zdarzenie z życia Jezusa opisano również w Ewangelii św. Mateusza. Ewangelista mówi tu jednak tylko o „Jezusie z Galilei”, nie wymieniając Nazaretu (Mat. 3, 13). Można przypuszczać, że nazwy miejscowości brakowało także w pierwotnej wersji Ewangelii św. Marka i że dodano ją dopiero później.

Takie późniejsze uzupełnienia tekstów Nowego Testamentu nie są rzadkością. Części z nich dokonano nawet w naszym stuleciu. Tak więc na przykład w wielu wiernych przekładach czytamy: „I [Jezus] poszedł do domu. I znowu zgromadził się lud” (I Mar. 3,

20). Ale w katolickiej Biblii Jerozolimskiej, wydanej we Fryburgu w 1969 roku, i w ewangelickiej, wydanej we Frankfurcie w 1971 roku, w śródtytułach dodano nazwę Nazaret, czego nie ma w oryginale.



II. 30. „Królewskie drzewo genealogiczne” Jezusa, kolorowany drzeworyt z XVI wieku

Teksty, powstałe w czasach Jezusa albo bezpośrednio potem, nie mogły zawierać takiej informacji, bo Nazaretu wówczas nie było. Józef Flawiusz, historyk niezawodny, wylicza 63 miejscowości istniejące w niedużej Galilei. Nie ma wśród nich Nazaretu. A miejsce zamieszkania Jezusa nie było nieistotne. Leżało w pobliżu kilku ważnych szlaków handlowych i drogi, którą maszerowały rzymskie legiony. Znajdowała się tam synagoga, w której według ewangelii Jezus czytał ze Świętych Pism.

Termin Nazaret jest po dziś dzień często dyskutowany w gronie teologów. Może wskazywać na aramejskie słowo nasir. Nasir to ktoś, kto złożył ślubowanie, że przez określony czas będzie pościł i nie będzie pił wina. A może należy szukać innego źródłosłowa, na przykład w języku syryjskim? Tam słowo nasaya znaczy „chroniony przez Boga”.

Trzecia możliwość kryje się w Starym Testamencie. Czytamy tam: „I wyrośnie różdżka z pnia Isajego, a pęd z jego korzeni wyda owoce” (Iz. 11, 1). Werset ten miał dawać wyraz starożydowskiej nadziei na przybycie wybawiciela. Po hebrajsku „różdżka” albo „latorośl” to nezer. Czy Jezua nezer przeobraził się w Jezusa z Nazaretu?

Ostatnie przypuszczenie wydaje się najbardziej prawdopodobne. Już pierwsi chrześcijanie w początkowych dekadach naszego tysiąclecia starali się przedstawić Jezusa jako z dawien dawna wyczekiwanego Mesjasza. Dlatego zapewne wymyślili jego rodzinną miejscowość Nazaret – Jezus bowiem powinien być nezer, latoroślą z domu Isajego. Miało to być spełnieniem prorocत्व Starego Testamentu. Prawdopodobnie potwierdzanie tych prorocत्व następowało w dwóch fazach. Najpierw Jezusa nazwano czego nie potrafimy dziś przekonująco wyjaśnić – Nazarejczykiem. Od tego określenia zaś, niejako dla spełnienia prorocत्व Starego Testamentu, nadano miastu nazwę Nazaret.

Interpretować teksty Starego Testamentu jako zapowiedź nadejścia Jezusa należy zawsze bardzo ostrożnie. Ale interpretacje takie są powszechne choćby w kazaniach wielkanocnych. Lecz nawet laik zorientuje się, że są to interpretacje błędne. Cytuje się chętnie Izajasza: „Oto panna pocznie i porodzi syna, i nazwie go imieniem Immanuel” (Iz. 7, 14). Ale czy na pewno chodzi o Jezusa? Że tak nie jest, wiadomo z kontekstu. Dalej

bowiem czytamy: „Mlekiem zsiadłym i miodem żywić się będzie do czasu, gdy nauczy się odrzucać złe, a wybierać dobre. Gdyż zanim chłopiec nauczy się odrzucać złe, a wybierać dobre, kraj, przed którego obu królami drżysz, będzie spustoszony” (Iz. 7, 15, 16).

Nie trzeba być teologiem, aby właściwie zrozumieć ten fragment. Trzeba tylko unaocznic sobie całość historycznych powiązań: Izajasz i król Achaz rozmawiają. Achaz obawia się swoich wrogów, królów Syrii i Izraela. Izajasz stara się uspokoić Achaza. Mówi o sytuacji, jaka wkrótce nastąpi. Mówi: „Oto panna pocznie i porodzi syna, i nazwie go imieniem Immanuel. Mlekiem zsiadłym i miodem żywić się będzie”.

Achazowi nadal zagrażają wrogowie. Sytuacja jest poważna, naród głoduje. Ale za kilka miesięcy urodzi się chłopiec: wtedy problemy się skończą, dziecko będzie miało co jeść. W końcu nada mu się pocieszające imię Immanuel, co znaczy „Bóg pomoże”. Kiedy Bóg wywrze nań pozytywny wpływ? Już wkrótce, najdalej za cztery lata lub pięć. Chłopiec będzie już wtedy umiał odróżnić dobro od zła. Właśnie wtedy, o czym mówi proroctwo, wrogowie zagrażający Achazowi, zostaną zwyciężeni.

Opisany tu epizod zdarzył się prawdopodobnie między 761 a 746 rokiem p.n.e. Czytelnik ma jasność: oto słowa prorocze, odnoszące się jednoznacznie do danej sytuacji, a dotyczące najbliższej przyszłości, drugiej połowy VIII wieku p.n.e. O Jezusie się tu nie wspomina.

Zrozumiałe jest też, dlaczego Jezusowi przypisuje się dwa różne drzewa genealogiczne, stojące do siebie w opozycji i nie mające nic wspólnego z przekazami historycznymi. Na pierwszy rzut oka jednak sprawiają one wrażenie historycznie dokładnych. Oczywiście nawet przy powierzchownej lekturze nietrudno zwrócić uwagę na wyraźne sprzeczności między genealogiami przedstawionymi przez św. Mateusza (Mat. 1, 1-17) i św. Łukasza (Łuk. 3, 23-38). U Mateusza mamy drzewo genealogiczne sięgające do Abrahama. Łukasz natomiast śledzi przodków Jezusa aż do czasów Adamowych. Można przyjąć, że drzewa genealogiczne będą tym łatwiejsze do odtworzenia, im świeższe będą zawarte w nich daty. Poczynając jednak od Dawida do Jezusa różnią się one zasadniczo. Łukasz wymienia 41, Mateusz 27 pokoleń. Brakuje 14 pokoleń. Różnica ta wynosi – w zależności od tego, ile lat przyjmujemy na jedno pokolenie – całe wieki. Ale to jeszcze nie wszystko: nie ma zgodności w imionach.

Zarówno u Mateusza, jak i u Łukasza brak w wyliczeniu przodków Jezusa królów, pochodzących z rodu Jessego. Inni natomiast, którzy dowodnie nie mieli nic wspólnego z tą dynastią, są określani błędnie jako należący do domu Dawida.

Wyraźnie widać, że ewangelistom, a przede wszystkim osobom przepisującym święte teksty nie zależało na dokładności historycznej. Ważniejszy był dla nich wydźwięk teologiczny. Ale nie można kopistom przypisywać złych intencji. Byli święcie przekonani o tym, że Jezus to zbawiciel. Wszystko, co w ich oczach było szczerą prawdą, powinno znaleźć wyraz w tekstach Nowego Testamentu. A więc zmieniali je i uzupełniali. Byliby głęboko urażeni, gdyby nazwać ich „falszermi”. Ich zdaniem wprowadzone zmiany i uzupełnienia tylko wyjaśniały to, co uważali za szczerą prawdę. Zmieniali i uzupełniali, bo Jezus powinien być nezer, powinien być latoroślą, zapowiedzianą w Starym Testamencie. Wymyślili więc również miasto Nazaret, miejsce jego urodzin. Miał mieć międzynarodowe znaczenie, wymyślili więc dlań dwa drzewa genealogiczne – to co, że sprzeczne. Nie chodziło przy tym o prawdę historyczną. Należy podkreślić, że Jezus był równie ważną osobistością Izraela co król Dawid.

Wróćmy jednak jeszcze do problemu miejsca urodzin. Gdzie zatem mieszkał Jezus, jeżeli za jego czasów nie było Nazaretu? Zapewne u rodziców w Kafarnaum, leżącym nad jeziorem Genezaret. Tam wygłaszał kazania w synagodze. Z Kafarnaum wyruszał w

podróże po kraju. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością u św. Marka mowa jest o Kafarnaum, gdy czytamy: „I poszedł do domu”. Stąd też przybyli jego krewni, „aby go pochwycić, mówili bowiem, że odszedł od zmysłów” (Mar. 3, 20).

Zrodzony z dziewicy

Nowy Testament kryje tajemnice w najmniej spodziewanych miejscach. Dziś nawet ateści uważają na przykład kwestię miejsca narodzin Jezusa za dawno wyjaśnioną. Ale pozory mylą: do dziś nie wiadomo, gdzie Jezus urodził się naprawdę. Najstarsze źródło zawarte w Nowym Testamencie, Ewangelia św. Marka, nie wymienia jego miejsca narodzin. Dopiero Mateusz mówi, że było to Betlejem (Mat. 2, 1 nn.); do tego Betlejem Judzkie, bo istniały dwie miejscowości o tej nazwie.

Mateusz oświadcza zaraz, dlaczego miejsce urodzin lokalizuje w Betlejem: jego zdaniem Jezus na pewno przyszedł na świat „w Betlejemie Judzkim, bo tak napisał prorok: I ty, Betlejemie, ziemio judzka, wcale nie jesteś najmniejsze między książęcymi miastami judzkimi, z ciebie bowiem wyjdzie wódz, który paść będzie mój lud izraelski” (Mat. 2, 5-6).

W ten sposób św. Mateusz nawiązuje do proroka Micheasza. Niestety nie cytuje go dokładnie. Fragment ten bowiem brzmi:

„Ale ty, Betlejemie Efrata, najmniejszy z okręgów judzkich, z ciebie mi wyjdzie ten, który będzie władcą Izraela. Początki jego od prawniku do dni zamierzchłych” (Mich. 5, 1).

Mateusz pisze „Betlejem Judzkie”, Micheasz natomiast „Betlejem Efrata”. Są to dwie różne miejscowości: jedna leży w kraju judzkim na południowy zachód, druga – na północny wschód od Jerozolimy, w okolicy Ramy. W którym więc Betlejem urodził się Jezus? Kwestię tę teolodzy rozważali już przed stuleciami. Ale informacji o tych rozważaniach nie przekazywano opinii publicznej, żeby nie denerwować laików. Teolog z Erlangen, Ethelbert Stauffer, opowiedział się za Betlejem, leżącym na południowy zachód od Jerozolimy [Ethelbert Stauffer, *Jesus*, Bern 1957, s. 25.]. Jego hipotetyczne założenie nie jest oczywiście poparte żadnymi badaniami, to raczej typowy przykład myślenia życzeniowego: według Mateusza i Łukasza Jezus był jakoby potomkiem legendarnego króla Dawida. Musiał więc – jak twierdzi Stauffer – urodzić się w tym Betlejem, które jest uważane za miejsce narodzin Dawida.

O rodzicach Jezusa wiemy z Nowego Testamentu niewiele. Ojciec, Józef, ma prawdziwe żydowskie imię. Nie znamy jego zawodu. Współczesne przekłady Biblii określają go jako cieślę (Mat. 13, 55), jest to jednak raczej dość dowolny przekład greckiego słowa tekton. Józef mógł być cieślą, ale równie dobrze mógł być pomocnikiem budowlanym albo murarzem.

Imię matki Jezusa nie jest dziś obce nawet ludziom nie znającym Biblii. Ale czy naprawdę nazywała się Maria? W pismach Nowego Testamentu odgrywa raczej podrzędną rolę. W listach apostoelskich w ogóle się jej nie wspomina. Ewangelista Marek pisze o matce Jezusa niejako na marginesie, nie wymieniając jej imienia. Jezus traktował ją – z dzisiejszego punktu widzenia – nieco lekceważąco (Mar. 3, 31-35). Także u ewangelisty Jana matka Jezusa pojawia się tylko dwukrotnie (Jan 2, 1-12 i 19, 25-27), w obu przypadkach w tekście nie ma jej imienia.

Imię Maria pojawia się w formie Mirjam okazjonalnie u Mateusza i Łukasza. Wersety te jednak u Mateusza być może, u Łukasza zaś z dużym prawdopodobieństwem dodano w czasach późniejszych. Należy zadać sobie pytanie, czy matka Jezusa rzeczywiście nazywała się Maria. A może nie było to zwykłe imię, ale słowo znaczące albo gra słów? Żeby to zrozumieć, zajrzyjmy za kulisy całej sprawy.

Sąd Boży – próba gorzkiej wody

Imię Mirjam można wywieść od Marjam, to zaś od mar jam. Mar jam znaczy „gorzkie morze” oraz „gorzka woda”. Za czasów Jezusa marjam było pojęciem ważnym w prawie małżeńskim. Jeśli mąż żywił podejrzenia, iż żona nie dochowała mu wierności, mógł poprosić, aby poddano ją próbie „gorzkiej wody”. Przez niewierność rozumiano stosunki cielesne kochanka nie tylko z kobietą zamężną. Przepisy były surowe. Już od chwili zaręczyn wybranka musiała żyć w całkowitej cnotcie. Nie wolno jej było współżyć cielesnie ani z narzeczonym, ani z innymi mężczyznami.

Zaręczyn nie dawało się łatwo zerwać. Podobnie jak przy świeżo poślubionych trzeba było przedłożyć „list rozwodowy”, get, przy czym co najmniej dwóch świadków musiało potwierdzić niewierność kobiety. Potem karano ją jako niewierną żonę. W czasach Jezusa zniesiono już w Palestynie karę śmierci za ten występki. Jeśli istniało podejrzenie popełnienia zdrady, ale nie można było znaleźć na to świadków, konieczny był sąd Boży. Za taki należy uznać osobliwą procedurę, która została rzekomo podyktowana Mojżeszowi przez samego Boga. Żonę albo narzeczoną podejrzewaną o zdradę prowadzono do kapłana, który napełniał dzban gliniany wodą poświęconą, dodawał do niej prochu z podłogi przybytku i mówił: „Jeżeli nie obcował z tobą inny mężczyzna i jeżeli nie byłaś niewierną swemu mężowi, i nie stałaś się nieczystą, to niech ta gorzka woda przekleństwa nie przyniesie ci szkody”. Potem kobieta wypijała obrzydliwą ciecz. Jeśli nic jej się nie stało, była uznawana za niewinną (IV Mojż. 5, 12-31). W opisany sposób sprawdzano prawie wyłącznie kobiety.

Niewierność była oceniana różnie już w czasach Jezusa, zależnie od tego, czy zdaniem ówczesnych „apostołów moralności” winą obarczano kobiety czy mężczyznę.

Rzymski legionista Pantera ojcem Jezusa?

Czy więc imię matki Jezusa było pierwotnie nieznane? Czy imię Marjam świadczy o tym, że poddano ją próbie „gorzkiej wody”? Ewangelia św. Mateusza podaje, że Józef myślał z początku, że jego żona jest w błogosławionym stanie z innym mężczyzną (Mat. 1, 19). Podejrzenie to konkretyzuje żydowski komentarz talmudyczny do Pisma. Według tego źródła ojciec Jezusa wyrzekł się niewiernej żony, bo zdradziła go z rzymskim żołnierzem o imieniu Pantera. W 1925 roku francuski pisarz i badacz dziejów Jezusa, Goguel, wywołał sensację w prasie światowej kuriozalnym twierdzeniem, jakoby w niemieckim miasteczku Bingerbrück odkryto nagrobek rzymskiego żołnierza nazywającego się Tyberiusz Juliusz Abdes Pantera. Żołnierz ten służył w 9 roku p.n.e. w garnizonie w Palestynie.

Ewangelie biblijne nie zawierają wzmianek o poddawaniu Marii próbie „gorzkiej wody”. Ale musiało do tego dojść, kiedy Józef zaczął powątpiewać w niewinność poślubionej mu kobiety. Co do tego, że wątpliwości takie żywił, są zgodne zarówno ewangelie kanonu biblijnego, jak i apokryficzne.

Istnieje wiele greckich rękopisów Protoewangelii (pierwszej ewangelii) Jakuba. Była zapewne w pierwszych wiekach naszej ery międzynarodowym bestsellerem, przetłumaczono ją bowiem na syryjski, armeński, gruziński, koptyjski, arabski, etiopski, a w końcu również na łacinę. Kiedy dokładnie powstała, nie wiadomo. Najstarsza znana wersja pochodzi z III albo IV wieku n.e. Było to już jednak opracowanie znacznie starszego oryginału, który niestety zaginął. Autor twierdzi, że swoje dzieło „spisał po śmierci Heroda”. Gdyby miał na myśli Heroda Wielkiego, byłoby to po 4 roku n.e. Jest to jednak nieprawdopodobne. Ale tekst pierwotny istniał już z pewnością w drugiej połowie II wieku n.e. Dzieła nigdy nie włączono do kanonu Nowego Testamentu, czasem jednak czytano zeń w niektórych regionach w określone święta podczas służby Bożej.

Treść: Joachim, majątny i pobożny człowiek z Izraela, był żonaty z Anną. Oboje martwili się bardzo, że nie spełnia się ich najgorętsze pragnienie posiadania dzieci. Ich modlitwy jednak zostały wysłuchane. Anioł objawił uszczęśliwionej Annie: „Anno, Anno. Wysłuchał Pan modlitwę twoją. Poczniesz i porodysz, a potomstwo twoje będzie przepowiadane po całej ziemi” [Cytaty z apokryficznych pism Nowego Testamentu według: Apokryfy Nowego Testamentu, t. I: Ewangelie apokryficzne, Lublin 1986, s.185.]. Wtedy Anna złożyła przysięgę: poświęci dziecko Panu i każe je wychować kapłanom świątyni.

Bracia i siostry Jezusa

Wkrótce Anna urodziła Marię. Dziewczynkę wychowywano według surowych reguł, dostawała tylko „czystą żywność”. Kiedy skończyła dwanaście lat, kapłani oddali ją pod opiekę owdowiatego Józefa. Ten jednak nie mógł zajmować się Marią, bo musiał jeździć po kraju, gdzie pracował na różnych budowach. Maria żyła razem z innymi dziewczycami i pracowała pilnie nad zasłoną do świątyni. Podczas czerpania wody ze studni obwieścił jej anioł, że pocznie, „moc słowa bowiem Pana cię ocieni: dlatego święty, którego porodysz, Synem Najwyższego będzie nazwany. I nadasz mu imię Jezus, on bowiem wybawi lud swój z grzechów jego” [Ibidem, s. 194.].

Kiedy Józef wrócił do domu, znalazł Marię brzemienną. Był przerażony, uderzył się w twarz, padł z płaczem na ziemię, wołając: „Jakim obliczem spojrzę ku Panu Bogu?” Marii zaś wyrzucił: „Dlaczegoś to uczyniła ty, którą Bóg miał w szczególnej opiece? Czyż zapomniałaś o Panu, twoim Bogu?” Ona zaś, łkając z goryczą, odparła: „Czystą jestem i męża nie znam” [Ibidem, s. 195.]. Przyjaciółki Marii próbowały uspokoić Józefa mówiąc, że nie tknął jej żaden mężczyzna, że co dzień anioł Pański z nią rozmawiał, co dzień dostawała jeść z rąk anioła. Że to nikt inny jak anioł Boży uczynił ją brzemienną.

Ale to wyjaśnienie nie zadowoliło Józefa. Obawiał się, że ktoś podał się za anioła Pana i oszukał jego narzeczoną.

Wzburzony chciał ją odprawić, ale anioł i jego uspokoił. Dziecko, które urodzi Maria, mająca już lat szesnaście, jest poczęte z Ducha Świętego. Tymczasem o jej stanie dowiedział się arcykapłan i obwinił Józefa i Marię o nierząd. Ale sąd Boży z zastosowaniem „gorzkiej wody” dowiódł bezpodstawności tego zarzutu.

Potem, jak relacjonuje Protoewangelia Jakuba, „Wyszedł nakaz od cesarza Augusta, aby spisać wszystkich, którzy byli w Betlejem Judzkim” [Ibidem, s. 198.]. Józef wraz z synami ze swojego pierwszego małżeństwa oraz brzemienną Marią wyruszył w podróż. Po drodze Maria urodziła w pieczarze Dzieciątko Jezus.

Dziewicze narodziny są centralnym tematem Protoweangelii. Opowiada ona, że Józef szukając położnej spotkał kobietę, która zadała mu pytanie: „A kimże jest ta, która urodziła w jaskini?” Józef odparł: „Jest mi zaślubiona. [...] To jest Maryja, która została wychowana w świątyni Pańskiej, została mi wyznaczona losiem jako żona, i nie jest moją żoną, ale owoc jej łona jest z Ducha Świętego”. Położna powątpiewa w niepokalane poczęcie, potem jednak przeprowadza stosowne badania i stwierdza, że „niepokalanie” Marii jest nienaruszone nawet po porodzie [Ibidem, s. 200 n.].

Protoewangelia Jakuba rozwiązuje kwestię, dyskutowaną intensywnie od prawie 2000 lat nie tylko w kręgach teologów. Wedle tego dogmatu Maria nie tylko poczęła i porodziła Jezusa jako dziewica. Dziewicą pozostała do końca życia. Jak jednak w takim razie wytłumaczyć wzmianki o rodzeństwie Jezusa? Zarówno Mateusz, jak i Marek piszą o braciach i siostrach Jezusa: „Czyż nie jest to syn cieśli? Czyż matce jego nie jest na imię Maria, a braciom jego Jakub, Józef, Szymon i Juda? A siostry jego, czyż nie są wszystkie u nas? Skąd ma tedy to wszystko?” (Mat. 13,56-57) oraz: „Czy to nie fest ów cieśla, syn

Marii, i brat Jakuba, i Józefa, i Judy, i Szymona? A jego siostry, czyż nie ma ich tutaj u nas?” (Mar. 6, 3).

Z niezrozumiałych powodów Protoewangelii Jakuba nie włączono do kanonu Nowego Testamentu. A to przysporzyło wielu teologom poważnych kłopotów interpretacyjnych. Z jednej bowiem strony nie należy sięgać do wzgardzonej księgi, wedle której „bracia” i „siostry” Jezusa pochodzą z pierwszego małżeństwa Józefa, nie urodziła ich więc Maria. Z drugiej ich obecność trzeba mimo wszystko w jakiś sposób wyjaśnić, nie poddając zarazem w wątpliwość wiecznego dziewictwa Marii.

Tworzono dość ryzykowne konstrukcje myślowe. Tak więc Euzebiusz (zm. 339 n.e.) wprowadził drugą Marię. Właśnie druga Maria była matką rodzeństwa Jezusa, poczętego przez Józefa.

Ale wszystko jest jeszcze bardziej skomplikowane: Maria I miała tylko jedno dziecko – Jezusa. Jej siostra, Maria II, miała liczne potomstwo, z niejakim Kleofasem, bratem Józefa. Potem Maria II i Józef umarli. Owdowiała Maria I wyszła za owdowiałego Kleofasa i została macochą dzieci Marii II. A Jezus i dzieci Marii II zostali rodzeństwem.

Bardziej eleganckie wydawało się natomiast „wyjaśnienie”, którym poczęstowano mnie jeszcze na lekcji religii w Gimnazjum Meraniera w Lichtenfels. Bracia Jezusa byli mianowicie w rzeczywistości tylko jego kuzynami. Ponieważ w języku hebrajskim nie istnieje specjalne określenie na kuzyna, użyto słowa ach, które powszechnie znaczy tyle co „brat, brat przyrodni, kuzyn, wnuk, krewny”. Podczas tłumaczenia słowo ach oddano nieprawidłowo jako „brat”. Istotnie – hebrajskie słowo ach jest tak pojemne. Wyjaśnienie jako takie jednak, choć brzmi przekonujące, jest nieprawdziwe. Ewangelii bowiem nie spisywano w języku hebrajskim, lecz aramejskim i greckim. A w tym osobnym języku istnieje wyraźne rozróżnienie między anepsios („kuzyn”), a adelphos („brat”).

Nie ma więc wątpliwości: Jezus miał braci i siostry. Ten fakt jest nie do pogodzenia z wieczną dziewiczością Marii. Także narodziny z dziewicy były według Nowego Testamentu zjawiskiem jednorazowym, które nie mogło się powtórzyć przy narodzinach braci i sióstr. O dziewictwie Marii zachowanym aż do jej śmierci nie ma oczywiście w ewangeljach ani słowa. Ale co do urodzenia Jezusa z dziewicy Mateusz nie dopuszcza żadnych wątpliwości. Józef, opisany jako człowiek prawy i pobożny (Mat. 1, 19-20), wierzy aniołowi, który objawia mu boskie pochodzenie syna. Ta niebiańska wizja rozwiewa jego wszelkie wątpliwości:

„A gdy Józef obudził się ze snu, uczynił tak, jak mu rozkazał anioł Pański i przyjął żonę swoją. Ale nie obcował z nią, dopóki nie powiła syna, i nadał mu imię Jezus” (Mat. 1, 24-25)”.

Niektóre z najstarszych rękopisów przedstawiają różniące się nieco wersje tego zdarzenia. Różnie sformułowano stwierdzenie, że nie obcował z nią, „dopóki nie powiła syna”. W trzech rękopisach brak słów „i nie obcował z nią”.

Dwa tysiące lat sporów o Marię

Wcześni chrześcijanie nie żywili żadnych wątpliwości: narodziny Jezusa stanowiły cud, mistyczną tajemnicę. Niepokalana Maria dała chłopcu życie. Niepokalane matki były w środowisku pierwszych, najdawniejszych chrześcijan dobrze znane. W Rzymie nazywano je virgines albo venerii, w Grecji horae, w Babilonii kadsztu, w Kanaanie i Palestynie kadesza. Wśród praktykujących prostytutkę świątynną kapłanek bogini Isztar, Aszertu czy Afrodyty rozumiano przez to pojęcie co najwyżej kobiety niezamężne. Oddawały one w ten sposób cześć swojej bogini.

Jako „dziewica” albo „dziewczyna” była też znana Persefona, bogini świata podziemnego, późniejsza bogini płodności i życia roślin, rozkwitającego latem i zamierającego zimą. Persefona, córka Zeusa i bogini zboża Demeter, symbolizowała w odżywaniu, obumieraniu i ponownym rozkwitaniu misterium odradzania się. Tkała właśnie w świętej grocie „wielki dywan Wszechświata”, kiedy pojawił się przy niej bóg Zeus i spłodził zbawiciela Dionizosa. Dionizosowi oddawano cześć jako bogu płodnych sił natury, wina i ekstazy. Jego wyznawcy wierzyli, że bóg ten stale umiera i zmartwychwstaje. Zmartwychwstały Jezus Nowego Testamentu ma więc swój odpowiednik już w mitologii greckiej. Podobnie jak narodziny Jezusa świętuje się w grudniu, także w grudniu odprawiano uroczyste obrzędy ku czci Dionizosa.

Niepokalany poród Marii należy po dziś dzień do centralnych wartości wiary chrześcijańskiej. Karl Barth pisze: „Kościół dobrze wie, co robił, stawiając ten dogmat niejako na straży bram tajemnicy Bożego Narodzenia. Jest głoszony jako porządek Kościoła: do podstaw prawdziwej wiary chrześcijańskiej należy afirmacja nauki o niepokalanym narodzeniu” [Karl Barth, *Die christliche Dogmatik*, t. I i II, Zollikon 1945, s. 198.].

Niejasne pozostaje, jak dalece autorzy pierwszych tekstów naprawdę wychodzili od tego, że Jezus był zrodzony z dziewicy. Czy hebrajskie słowo *almah* rozumieli tylko jako „młoda kobieta”? Czy kult dziewicy powstał dopiero w pierwszym okresie chrześcijaństwa? Niewątpliwie Maria jako *almah* miała swoje wzorce – choćby perską niezamężną boginię Księżycy Al-Mah.

Dla wczesnych misjonarzy i głosicieli młodego chrześcijaństwa było bardziej niż korzystne, żeby centralny Bóg, Jezus, miał antyczne wzorce. Liczne postaci, które pojawiały się na ziemi w roli zbawiciela, były rodzone przez specjalnie wybrane dziewice a płodzone przez bogów. Byli to między innymi: Zaratustra, Sargon, Perseusz, Jazon, Minos i Asklepios. Ojciec bogów Zeus był uważany za ojca wielu herosów zrodzonych „z dziewic”. A historyk Plutarch podaje, że w Egipcie powszechna jest wiara, że duch boży może płodzić potomstwo z ziemskimi dziewicami.

Józef, który wedle Nowego Testamentu nie „obcował” ze swoją żoną, dopóki nie urodziła dziecka, ma odpowiednik w Amfitrionie, greckim bohaterze i królu Teb. On także nie zbliżał się do łoża swojej dziewiczej małżonki Alkmeny, dopóki nie urodziła boskiego Heraklesa.

Pierwszym misjonarzom bardzo odpowiadała gotowość ludzi, choćby z kręgu kultury śródziemnomorskiej, do wierzenia w niepokalane narodziny boskich synów i herosów. Było to dla nich codziennością a w każdym razie niczym nienaturalnym. Pierwsi ojcowie Kościoła natomiast starali się przedstawiać niepokalane narodziny Jezusa jako wyjątkowy cud jedynej prawdziwej religii, różniącej się zasadniczo od wszystkich dogmatów religii pozostałych – co było *de facto* nieprawdą. Stanowisko ojców Kościoła wyjaśnia jeden z pierwszych męczenników, Justyn: „Jeśli się mówi, że Perseusz był zrodzony z dziewicy, to jasne dla mnie jest, że jest to przypadek, w którym wąż i oszustka naśladowają naszą religię”.

Tej rzekomej wyjątkowości wiary chrześcijańskiej nie akceptowano jednak przez stulecia po narodzinach Chrystusa. We Włoszech i w Portugalii rozpowszechniona była wiara, że dziewica zajdzie w ciążę, jeśli zje jabłko poświęcone przez kapłana. W Hiszpanii panowało przekonanie, że dziewica zajdzie w ciążę jak niegdyś matka Marsa, Junona, jeśli zje lilię.

W centrum wiary chrześcijańskiej obok Jezusa, Syna Bożego, postawiono również Marię Dziewicę. Dawne przekazy, wymieniające synów Bożych, też zrodzonych z dziewic, odrzucono i wyklęto jako fałszerstwo, naśladownictwo prawd wiary chrześcijańskiej, a nawet jako dzieło szatana. Jednocześnie jednak ojcowie Kościoła zatroszczyli się o to, aby z wiary chrześcijańskiej, zorientowanej na Jezusa, powstał kult maryjny. Ale adorowanie

Marii było jednocześnie popierane i zwalczane. „Marie” przedchrześcijańskie były przez chrześcijaństwo zawłaszczane, jak na przykład Diana-Lucifera, bogini Jutrzenki. Została ona przemianowana na Dinah albo Anne i włączona do drzewa genealogicznego Marii – jako jej matka. Marii nadano wiele tytułów, na przykład: Królowa Niebios, Pogromczyni Piekieł, Pani Świata. Podobne określenia stosowano już w czasach przedchrześcijańskich dla pogańskich bogiń-matek i matek bogów.

Z bogiń, jak choćby z semickiej Mariamne, syryjskiej Afrodite-Mari, z Junony, błogosławionej dziewicy, z Izydy, gwiazdy morza a, i Maji, dziewiczej matki Wschodu, powstawał obraz Marii, matki Jezusa. Przy takim nagromadzeniu boskości istniało oczywiście niebezpieczeństwo, że Marii będzie oddawana cześć jak bogini. Powstała nawet sekta, której członkowie zwali się marianitami. Podstawowe twierdzenie tego ugrupowania brzmiało, że Maria miała cechy boskie, że była „naprawdę boska”. Wyznawców tej wiary zwalczano do około 450 roku n.e. jako heretyków.

Z taką adoracją polemizował Epifaniusz (ok. 315-403), biskup Salaminy, który zabraniał oddawania czci jakimkolwiek obrazom: „Módlcie się do Ojca, do Syna i do Ducha Świętego, ale niech nikt się nie modli do Marii!” Papież Anastazy I (zm. 402 n.e.) poszedł krok dalej: Niech nikt nie nazywa Marii Matką Bożą, bo Maria była tylko kobietą, i niemożliwe jest, aby Bóg był zrodzony z kobiety”. Dla Ambrożego (ok. 339-397), doktora Kościoła, biskupa Mediolanu, Maria była zwykłym człowiekiem. Zwykłą kobietą – i jako taka nie była godna, aby oddawać jej cześć a tym bardziej się do niej modlić. Bóg wykorzystał ją jako „naczynie”. Kiedy Jezus zamieszkał w niej jako życie nienarodzone, stała się „świątynią Boga”. Nie wolno jednak błędzić i modlić się do Marii. Modlitwa przysługuje tylko Bogu, który działał w Marii jak w swojej świątyni.

Mimo kampanii Epifaniasza z Salonik przeciw tworzeniu wizerunków Boga i Jego Syna wielu artystów już w pierwszych pięciu stuleciach naszej ery starało się dać wyraz swojej religijności w sztuce. Malowali Jezusa, Jego Matkę, świętych trzech króli. Matka Jezusa była oczywiście przedstawiana bez aureoli, atrybutu zastrzeżonego dla Jezusa i trzech króli z kraju Wschodu. Od VI wieku n.e. i to się zmieniło: także Marię zaczęto przedstawiać ze świetlistym kręgiem nad głową.

Teologiczne dyskredytowanie Marii nie przebiegało oczywiście jednolicie. Jak głosił anno 717 n.e. Germanus patriarcha Konstantynopola, Maria jest „Najświętszą Panią”, „Najczcigodniejszą Władczynią”. Tylko za sprawą Marii, tylko z pomocą „prawdziwej Matki Bożej” człowiek może doznać łaski Bożej. A święty Bernardyn ze Sieny (1380-1444), teolog, franciszkanin, oświadczył: „Nawet jeżeli [Maria] nie była Matką Bożą, była przecie Władczynią Świata”. Według Ludwika Marii Grignon de Montforta (1673-1716), kanonizowanego w 1947 roku, Matka Jezusa miała władzę absolutną nad samym Bogiem [Ludwik Maria Grignon de Montfort, Traktat o prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny, Warszawa 1996.].

Dwa tysiące lat historii Kościoła cechuje bezustanna dyskusja na temat oddawania czci Marii. Nie ma jednolitego stanowiska w tej kwestii. Często pojawia się ekstremalne odrzucenie a jednocześnie ubóstwienie. Na początku niepokalana, Matka Jezusa z czasem coraz bardziej zajmowała pozycję świętej, a nawet Matki Bożej, co doprowadziło do tego, że tak znaczące osobistości jak Marcjon z Synopy (ok.85-ok.160 n.e.) zanegowały fakt, że Maria jest fizyczną matką Jezusa. Zbawiciel nigdy nie dotykał jej ciała, być może wcale nie urodził się jako dziecko, ale zmaterializował jako dojrzały mężczyzna. Marcjon założył własny kościół, działający aż do V wieku n.e. Wielu marcjonitów dołączyło do manichejczyków, których religia w IV wieku, przede wszystkim w Afryce, stanowiła prawdziwą konkurencję dla chrześcijaństwa.

Okolo 400 roku n.e. uznawanie Marii za „świętą i wiecznie niepokalaną Matkę Bożą”, za „istotę wyższą od każdej istoty widzialnej i niewidzialnej” było jedną z najważniejszych oznak wiary chrześcijańskiej. Dla Efrema Syryjczyka Maria była jednocześnie narzeczoną, małżonką i matką Jezusa, bramą do nieba, arką do raju. Od samego początku istnienia ziemi była w ogrodzie Edenu, obdarzała Adama życiodajnym deszczem. Należało ją więc uważać za jakby „współzbawicielkę”. Tezy te były co najmniej kontrowersyjne. Napiętnowano je częściowo jako heretyckie. Ale w 1920 roku Efrek Syryjczyk został dekretem papieskim wyniesiony do godności „nauczyciela Kościoła wszechogarniającego”.

Jeszcze w XIII wieku Kościół zwalczał oddawanie przesadnej czci Marii. Papież Mikołaj III (ok. 1210-1280) kazał mnichowi Jeanowi d'Olive spalić jego rozprawę, bo ten wychwalał w niej Marię zbyt gorliwie. Przed około stu laty siostra zakonna Felicja Kozłowska (1862-1921) założyła w Polsce zgromadzenie mariawitów. W 1904 roku Rzym nakazał rozwiązanie zgromadzenia. W 1906 roku papież podtrzymał tę decyzję. Odpowiedzią mariawitów było utworzenie kościoła niezależnego od Stolicy Apostolskiej, który został następnie przyjęty do Unii Kościołów Starokatolickich (zawieszony w 1924 roku). Potem doszło do rozłamu na Starokatolicki Kościół Mariawitów i Katolicki Kościół Mariawitów.

Dwa tysiące lat sporów o Matkę Bożą toczyło się na płaszczyźnie teologicznej. W najwyższych kręgach polemistów istniały dwa przeciwstawne poglądy: Maria jako istota boska z jednej strony i jako niegodna kobieta z drugiej. Niekiedy Maria jest nawet uważana za Boską Trójcę, przy czym trzy Marie, które stały u stóp ukrzyżowanego Jezusa, są ze sobą utożsamiane. Ten obraz został ukształtowany przez Ewangelię Marii, nie włączoną do Nowego Testamentu. Na Soborze Nicejskim, w 325 roku n.e., czołowi teolodzy poczuli się zmuszeni do ograniczenia Trójcy Świętej do Boga-Ojca, Boga-Syna i Ducha Świętego. To zaś kościoły wschodnie przeobraziły w trójcę Ojca-Matki-Syna, opartą na pradawnych pogańskich przekazach. W przeszłości bowiem modlono się już do boskiej trójjedności Ozyrys-Izyda-Horus, Zeus-Rea-Zagreus czy Apollo-Artemida-Herakles. Kult trójcy Boga-Ojca, Boga-Syna i Marii był bardzo silny i bardzo rozpowszechniony.

Przez 2000 lat spierano się, jak oceniać Marii w kręgach teologów. Dyskusje najwyższego duchowieństwa jednak nie miały żadnego wpływu na wierzenia ludowe. Marię czczono nadal jako niebiańską Matkę Bożą. Modlono się do niej, proszono o wstawiennictwo u Jezusa. Ciągłe oddawanie czci Marii, na które nie mogli wywrzeć negatywnego wpływu doktrynerscy teolodzy, nie pozostało bez skutku. W 1950 roku Pius XII uznał Wniebowstąpienie; arii za dogmat. Po 18 latach, 30 czerwca 1968 roku, papież Paweł VI podtrzymał to orzeczenie.

XIII. Tajemnica magów z krajów Wschodu

Nawet osoby niezbyt biegłe w Biblii znają teksty ewangeliczne o narodzinach Jezusa. Nawet ludzie nieczęsto bywający w kościele wybierają się zwykle na mszę w Boże Narodzenie. Ale jak oceniać teksty ewangeliczne? Jako pobożne legendy, czy jako dokumentacje faktograficzne?

Narodziny Jezusa

„I stało się w owe dni, że wyszedł dekret cesarza Augusta, aby spisano cały świat. Pierwszy ten spis odbył się, gdy Kwiryniusz był namiestnikiem Syrii. Szli więc wszyscy do spisu, każdy do swego miasta. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaretu, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, dlatego że był z domu i z rodu Dawida, aby był spisany wraz z Marią, poślubioną sobie małżonką, która była brzemienna” (Łuk. 2, 1-5).

To, co czyta się jak relację ze zdarzeń faktycznych, nie wytrzymuje niestety krytycznej próby prawdy historycznej. Przeprowadzenie spisu ludności mogło istotnie leżeć w interesie Rzymian. Oczywiście będący u władzy chcieli wiedzieć, ilu mieszkańców liczy dana miejscowość i jaki to ma związek z finansami. Chcieli ustalić wysokość podatków. Było im zupełnie obojętne, do jakiego plemienia należeli przodkowie obywateli. Spis opisywany przez Łukasza z punktu widzenia Rzymian byłby absurdem. Podatki ściągano w aktualnym miejscu zamieszkania danej osoby. Interesujące było więc tylko to, kto w chwili przeprowadzania powszechnego spisu ludności gdzie mieszka i ile zarabia. Reszta była nieistotna.

Podział na dwanaście plemion nastąpił ponad 1000 lat przed narodzinami Jezusa. Większość Żydów nie potrafiła już określić, do którego z plemion należeli i gdzie mieszkali przed tysiącem lat ich przodkowie. Każdy Żyd musiałby sprawdzić, czy dana miejscowość jeszcze w ogóle istnieje, a potem wybrać się tam w podróż, opuszczając swoje miejsce zamieszkania. Spowodowałoby to chaos w kraju, na czym Rzymianom wcale nie zależało. Nieważne więc było dla ich polityki podatkowej, gdzie przodkowie Józefa kiedyś mieszkali. Józef płacił przecież podatki w obecnym miejscu zamieszkania.

Historyczno-krytyczne podsumowanie może być tylko jedno: relacja biblijna jest w istocie zmyśleniem motywowanym teologicznie. Trzeba było wykazać, że Jezus jest potomkiem Dawida, miejscem jego narodzin musiało być więc Betlejem. Dlatego Józef i Maria, będąca w zaawansowanej ciąży, musieli wyruszyć w pełną trudów podróż. Opisanego polecenia władz rzymskich nie było.

Powszechny spis ludności przeprowadzono natomiast za Kwiryniusza. Senatora Publiusza Sulpicjusza Kwiryniusza w 6 roku n.e. przeniesiono do Syrii. W tymże roku, jak podaje historyk Józef Flawiusz, zorganizował on tam spis ludności. Czy więc Jezus urodził się w 6 albo 7 roku n.e.? Zarówno według Łukasza, jak i Mateusza Jezus przyszedł na świat za rządów Heroda. Władca ten, który sam nadał sobie przydomek Wielki, zmarł w 4 roku p.n.e. Obu tych dat nie można ze sobą pogodzić. Czy więc narodziny Jezusa powiązano ze spisem ludności później, aby ewangelicznej relacji nadać znamiona prawdziwości historycznej? Pomyślmy: opowieść ewangelisty powstała prawie sto lat po opisywanych zdarzeniach. On zaś nie znał zapewne dokładnej daty urodzin Jezusa. Połączył ją więc ze znaczącym faktem, o którym wiedział, że zaszedł mniej więcej wtedy.

W Ewangelii św. Łukasza czytamy dalej: „I gdy tam byli [w Betlejem], nadszedł czas, aby porodziła. I porodziła syna swego pierworodnego, i owinęła go w pieluszki, i położyła go w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łuk. 2, 6-7). Bliższych danych na temat miejsca narodzin Jezusa tu nie znajdziemy. Jako Europejczycy kojarzymy sobie od razu „żłób” ze „stajenką”. O żadnej stajence oczywiście Łukasz nie pisze – zresztą Mateusz też nie. Mateusz wspomina tylko o „domu”. Czy więc Jezus urodził się w stajni, czy w domu? Jeśli zadamy sobie to pytanie, to od razu przed oczami pojawią się nam konkretne obrazy.

Jak wyobrażamy sobie idealne Boże Narodzenie? Myślimy o choince z zapalonymi świeczkami, o śniegu. Jest to przykład, jak średniowieczne wierzenia ludowe rzutowały warunki europejskie na ojczyznę Jezusa. „Widziano”, jak Maria i Józef przedzierają się z trudem przez kopny śnieg. Strudzeni i głodni idą na mrozie. Zmęczona Maria musi co

pewien czas zatrzymywać się na krótki odpoczynek. W ciemnościach widać jakieś światełka. Ciepły blask bije z okien kamiennych domostw. Podróżni na próżno kołaczą do bram gospód, nikt nie chce ich przyjąć. Odprawia się ich grubiańsko, odsyła dalej. W końcu zadowolają się bardziej niż prymitywnym schronieniem. Znajdują dach nad głową w stajni. Tu Maria rodzi syna i układa na sianie i słomie.

Ale rzeczywistość była zapewne zupełnie inna. Jezus urodził się najprawdopodobniej w karawanseraju. Była to duża ogrodzona przestrzeń osłonięta dachem. Niektóre miejsca były odseparowane od reszty. W ten sposób tworzono, zależnie od wielkości karawanseraju, kilka niewielkich pokoi. Zwierzęta stały na dworze, ludzie gnieździłi się w lichych pomieszczeniach, zapewniających jednak ochronę przed kaprysmi pogody.

Nikt nie zaprzeczy, że sceneria narodzin Jezusa przedstawiona w licznych żłobkach jest naprawdę wzruszająca. Między wołem a osiołkiem widzimy Marię i Józefa. W żłobie, na sianie i słomie, leży maleńkie Dzieciątko Jezus. Ewangelisci nigdzie nie wymieniają oczywiście wołu i osła. Zwierzęta te pojawiły się dopiero w IV wieku n.e. za sprawą błędu w tłumaczeniu. Znowu chciano odnieść tekst ze Starego Testamentu do osoby Jezusa. W Księdze Habakuka czytamy, że Pan pokaże się „między wiekami”. Wiek, stulecie, oddano w łacińskim tekście Septuaginty słowem zoe, co z kolei tłumacze, przekładający Pismo Święte na inne języki, odczytali błędnie jako zoon, czyli „zwierzęta”. I już z Pana, który miał się objawić między wiekami, zrobił się Jezus „między zwierzętami”. A jakie zwierzęta skojarzyć ze „żłobem” i „stajnią”? Dla Europejczyka w rachubę wchodził tylko wół i osioł.

Na skutek poważnego błędu w tłumaczeniu powstał nie tylko fałszywy obraz miejsca urodzin Jezusa, lecz również wymazano bardzo ważne treści astrologiczne. Odpowiednie wskazówki są – jeśli tylko potrafi się je dojrzeć – u św. Mateusza: „Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejemie Judzkim za króla Heroda, oto mędrcy ze Wschodu przybyli” (Mat. 2, 1). Szukali oni „nowo narodzonego króla żydowskiego”. Dowiedział się o tym Herod, gdy mu powiedzieli, co ich sprowadziło: „Widzieliśmy bowiem gwiazdę jego na Wschodzie i przyszliśmy oddać mu pokłon” (Mat. 2, 2). Herod zaczął pytać uczonych w Piśmie. Oni także byli przekonani, że narodził się władca.

Tajemnica trzech zmarłych pochowanych w Katedrze Kolońskiej

„Mędrcy ze Wschodu” byli z dużym prawdopodobieństwem astrologami z rejonu Persji. W ojczyźnie oddawano im cześć jako mędrcom i magom. Według świętych pism Awesty pracowali oni nocami, obserwując niebo i „szukając mądrości, która pozwoli ludziom stanąć bez trwogi i radośnie na moście śmierci”. Jak my wyobraziliśmy sobie tych magów? Według Herodota spełniają oni święte rytuały, których ośrodkiem był magiczny ogień.

Z perspektywy Jerozolimy strefa persko-babilońska była istotnie „krajem Wschodu”. Kwitła tam również astronomia. Ale gwiazdy nie tylko obserwowano, lecz również interpretowano. Wielkich władców – takie panowało powszechne przekonanie – „wskazywały” szczególne gwiazdy albo układy planet. Nie dziwi więc, że perscy astronomowie-astrologowie wyruszyli w podróż, aby powitać przyszłego potężnego władcę, o którego narodzinach przeczytano w gwiazdach.

Ale o jaką gwiazdę mogło chodzić? Chris Clayton z Rutheford-Appleton-Laboratory znalazł chyba na to odpowiedź. Za pomocą szybkiego komputera prześledził ruchy planet z ostatnich dwóch tysięcy lat i dokonał przy tym zdumiewającego odkrycia: w czerwcu 2 roku p.n.e. Jowisz i Wenus tak bardzo zbliżyły się do siebie na firmamencie, że wydawało się, iż świecą niczym nowa, jasna gwiazda. Czy właśnie taki układ planet był powodem peregrynacji „mędrców” ze Wschodu? Być może wybrali się oni w podróż jesienią albo w porze zimowej 3 roku p.n.e. 25 grudnia nad horyzontem pojawił się gwiazdozbiór Panny. Właśnie wtedy w Persji, w Fenicji, Egipcie i Syrii świętowano narodziny Boga Słońca i

oddawano cześć jego matce-dziewicy. Horus był synem Izydy – niepokalanej władczyni nieba i dziewicy.

Czy „mędrcy” wyliczyli, kiedy nastąpi zbliżenie Jowisza i Wenus? Czy oczekiwali narodzin władcy z łona dziewicy? Grecki tekst Ewangelii św. Mateusza używa słowa aster, nie jest to więc „gwiazda”, lecz „świecące ciało niebieskie”. Określenie nader dokładne: Jowisz i Wenus tylko pozornie, tylko optycznie zbliżyły się do siebie, sprawiając, że wyglądają jak jedno „świecące ciało niebieskie”. Pojęcie „Gwiazda Betlejska” wywodzi się z łacińskiej Vulgaty, w której słowo aster przełożono na stella – „gwiazda”.

Ikonografia chrześcijańska przedstawia Gwiazdę Betlejemską jako kometę. W starożytności istotnie wysuwano spekulacje, czy śmierci i narodzinom słynnych mężów nie towarzyszy pojawienie się na niebie komety. Komety pojawiły się przy śmierci Cezara, przy narodzinach i wstąpieniu na tron Mitrydatesa. W latach tuż przed i tuż po początku naszej ery nic nie wiadomo o pojawianiu się komet. W 22 roku n.e., jak obliczył Halley, gwiazdę z ogonem widziano na pewno. Wykluczone jest jednak, że Jezus urodził się tak późno.

Czy więc przyszedł na świat w 2 roku p.n.e., gdy Jowisz i Wenus jako jedna jasna „gwiazda” świeciły na niebie? A może było to pięć lat wcześniej, w 7 roku p.n.e., gdy bardzo blisko siebie znalazły się Saturn i Jowisz, co wyliczył Johannes Kepler?

Konkretnego roku urodzin Jezusa nie da się ustalić. W Nowym Testamencie znajduje się jednak przynajmniej jedna wskazówka – dotycząca pory roku. U Łukasza bowiem czytamy, że byli wówczas pasterze na polu i trzymali straż nocą przy stadach. W rejonie Betlejem stada wypasano od marca-kwietnia do listopada. Potem zaczynała się pora deszczowa. Można więc przypuszczać, że Jezus przyszedł na świat między majem a listopadem. Dokładniejsze ustalenia są niemożliwe.

Można dyskutować, jakie zjawiska zachodziły wtedy na niebie. Ale cokolwiek to było, przyciągnęło astronomów z kraju Wschodu. Ilu ich było? Jak się nazywali? Tego nie wiemy, Biblia nic o tym nie pisze. Wierzenia ludowe, które zawsze konkretyzują niejasne wypowiedzi, wypełniając je fantazją, zrobiły z nich trzech królów: Kacpra, Melchiora i Baltazara. W pobożnych, naiwnych wyobrażeniach byli oni przedstawiani z koronami na głowach. Kacper jako Murzyn. Biblia nie potwierdza tych szczegółów.

Trójca królów mogła zostać wyinterpretowana z pewnego wersetu Ewangelii św. Mateusza. Napisano tam, że mędrcy „złożyli mu w darze złoto, kadzidło i mirrę” (Mat. 2, 11). Czy przyjęto milcząco, że trzy podarunki świadczą o obecności trzech gości przybyłych z okazji narodzin? Trójka była poza tym uważana za liczbę doskonałą i świętą. „Trzej władcy” symbolizowałiby więc całą ziemską władzę. „Trzej Królowie”, którzy z szacunkiem kłaniają się Jezusowi, reprezentują symbolicznie wszystkich władców świata. Jezus był od samego początku uważany za „Pana” świata. Żeby to wyrazić, nie unikano naganiania do tego celu przekładu jednego z biblijnych wersetów. Tak więc w niektórych wydaniach Biblii czytamy: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. W wiernym tłumaczeniu jednak werset ten powinien brzmieć: „i pokój ludziom, w których [Bóg] ma upodobanie” (Łuk. 2, 14) albo „których Bóg sobie upodobał”. Pierwotnie zatem wesoła nowina kierowała się wyłącznie do ludzi, do których Bóg był przychylnie usposobiony. Niewłaściwy przekład zniekształcał wymowę Biblii, odnosząc zarazem tekst do wszystkich ludzi.

Później nastąpiła również symboliczna interpretacja darów „królów”. Przepowiadały one rzekomo całe przyszłe życie Jezusa. Złoto oznaczało królestwo, kadzidło symbolizowało boskość, mirra zaś – śmierć.

Dlaczego w średniowiecznej tradycji zrobiono z astronomów królów? Czy po to, aby stworzyć scenariusz polityczny, zgodny z mottem: władcy świata oddają pokłon Dzieciątku Jezus? Bez wątpienia taki był motyw zasadniczy. „Uzasadnieniem” był pewien fragment Starego Testamentu, wyraźnie wyrwany z kontekstu: „Powstają królowie ziemscy [...]. Ja ustanowiłem króla mego na Syjonie [...]. Służcie Panu z bojaźnią i weselcie się, z drzeniem złożcie mu hołd” (Ps. 2, 2-11).

Z Nowym Rokiem dzieci i młodzi ludzie krajów katolickich przebierają się za Kacpra, Melchiora i Baltazara i rysują nad drzwiami mieszkań inicjały K+M+B lub C+M+B (Caspar, Melchior, Balthasar). Oczywiście w niektórych krajach sfery kościelne zwyczaj ten nieco zmodyfikowały: C+M+B nie są inicjałami królów, ale skrótem od łacińskiego zdania *Christus Mensionem Beneficat*, czyli „Chrystus błogosławi ten dom”.

Wizerunek trzech „magów” czy też „królów” z kraju Wschodu jest bardzo stary. W 330 roku n.e. na rozkaz cesarza Konstantyna Wielkiego na murze kościoła Narodzenia w Betlejem umieszczono wizerunek tych trzech mężów. Prawie trzysta lat później, w 614 roku n.e., król perski Chosroes wtargnął do Jerozolimy. Duże części miasta obrócono w perzynę, ale kościół Narodzenia ocalał. Król Persów uważał, że trzech mężowie to perscy magowie. Dlatego swoim wojskom zabronił nawet tknąć budowlę.

Około pięciuset lat później trzem magom oddano cześć w Katedrze Kolońskiej. Chrześcijanie byli przekonani, że święty relikwiarz zawiera od 1164 roku najcenniejsze świętości: szczątki mędrców ze Wschodu. W kręgach ludzi oświeconych uważano tę legendę za bigoteryjną bzdurę. Ale w 1980 roku bogato zdobiony sarkofag otwarto. Stwierdzono wówczas, że istotnie kryje doczesne szczątki trzech mężczyzn. Na ostatnią drogę odziano ich w kosztowne szaty – a dokonano tego co najmniej 1800 lat temu. Specjaliści ustalili, że szlachetne materie utkano na Dalekim Wschodzie. Mogły pochodzić z czasów narodzin Jezusa. Czyżby więc w Katedrze Kolońskiej naprawdę pochowano „trzech mędrców ze Wschodu”? Na to pytanie nigdy nie uda się odpowiedzieć. Nasuwają się zresztą kolejne pytania. Jak ciała zmarłych znalazły się w Niemczech? I kiedy? Czy stało się to w okresie rozkwitu handlu relikwiami, gdzieś we wczesnym średniowieczu?

Jezus a kult Mitry

Aż do IV wieku n.e. nie było na chrześcijańskim Zachodzie zgodności co do dnia narodzin Jezusa. A podawano daty bardzo różne: 28 marca, 18 i 19 kwietnia, 20 i 29 maja oraz 17 listopada. O 24 grudnia początkowo w ogóle nie dyskutowano. Potem jednak zgodzono się na ten dzień. Dlaczego? Z wyliczenia. W tej wczesnej fazie chrześcijaństwa, a więc w pierwszych wiekach naszego tysiąclecia, istniał pewien bardzo silny kult „pogański”, stanowiący dużą konkurencję dla młodej wiary. Był to kult Mitry. W jego centrum stało „niezwyciężone słońce”. Członkowie tej grupy wyznaniowej w całym regionie Morza Śródziemnego obchodzili w czasie przesilenia zimowego, czyli między 21 a 25 grudnia, ważne święto, dzień narodzin Mitry.

Witano też zbliżanie się wiosny, wiwatowano czując, że słońce grzeje coraz mocniej, że rośliny budzą się do życia. Umierał stary rok, rodził się nowy. O północy zbierano się w podziemnej świątyni i odprawiano tajemnicze rytuały. Kiedy szarzał poranek, wierni opuszczali podziemne pomieszczenie, niosąc posąg, przedstawiający dziecko – według apostołów tego kultu zrodzone z dziewicy. Pojawiały się pierwsze promienie słońca i rozbrzmiewała pieśń: „Dziewica porodziła, coraz jaśniejsze jest światło”. Większa część tekstu przepadła. Zachował się jeszcze jeden wers: „Narodził się wielki król, dobroczyńca Ozyrys”.

Narodziny Jezusa ustalono na 25 grudnia świadomie. Postąpiono tak nie dlatego, że Jezus się wtedy urodził. Przejęto datę innego święta, które teraz można było nadal

celebrować – jak od stuleci, a może tysiącleci – tyle że pod nowym, chrześcijańskim znakiem! Tak eliminowano konkurencję. A przy tym zawłaszczenie święta przyszło bardzo łatwo: obcy kult zawierał bowiem przecież elementy, które w zdumiewający sposób przypominały najistotniejsze dogmaty chrześcijaństwa.

Stało się to w IV wieku n.e. Przedtem młody kościół chrześcijański obchodził tylko święto Wielkiejnocy i Zielone Świątki. Papież Liberiusz ustanowił 25 grudnia dniem narodzin Jezusa.

Takie postępowanie jest typowe dla metod chrystianizacji. Jeśli nie można zakazać ludziom kultu dawnych zwyczajów, zakorzenionych w ich świadomości, to są one pozornie zachowywane – przez „wbudowanie” ich w wiarę chrześcijańską. Przejęto nie tylko datę „narodzin Jezusa”, zawłaszczano też najważniejsze miejsca konkurencyjnego kultu.. W Betlejem była na przykład święta grotta, zwana „domem boga Laha”. Lah pochodził z Babilonii, ale modlili się doń także Kanaanici. W języku hebrajskim grotta nazywała się Beth Lah, z czego przypuszczalnie powstało słowo Betlejem na określenie miejscowości. Bezpośrednio nad świętym miejscem wzniesiono – staraniem cesarza Konstantyna Wielkiego i jego matki Heleny – kościół Narodzenia. A grotta Lah została „miejscem narodzin Jezusa”.

Święty Hieronim, który zmarł w 420 roku n.e. w Betlejem, przedstawił w swoich pismach wszystko na opak, twierdząc, że kiedyś grotta była świętym miejscem chrześcijaństwa, a później poganie próbowali wymazać pamięć o Jezusie, nadużywając grotę do wyznawania jakiegoś kultu Adonisa. Ale prawda jest inna: w Betlejem od najdawniejszych, przedchrześcijańskich czasów istniało święte miejsce, które zostało później zawłaszczone przez chrześcijan.

W pierwszych wiekach nowego tysiąclecia chrześcijaństwo i kult Mitry walczyły o wyznawców. W jakim stopniu młoda wspólnota chrześcijańska stworzyła dogmaty wiary i sposób celebrowanie obrzędów samodzielnie, a w jakim przejęła je od konkurencji, nie da się już dokładnie ustalić. Podobieństwa jednak rzucają się w oczy: przywódca wyznawców kultu Mitry był określany mianem pater patrum, czyli „ojciec ojców”. Kapłanów nazywano patres, czyli ojcami, a wiernych fratres, czyli braćmi. Celebrowano siedem sakramentów świętych – zarówno w kulcie Mitry, jak i w katolicyzmie. W 1439 roku, na soborze Florenckim siedem sakramentów uznano za dogmat Kościoła. Wyznawcy Mitry znali również ostatnią wieczerzę, podczas której spożywano chleb i wino. Celebrowano ją na pamiątkę ostatniego posiłku mistrza.

Od wyznawców kultu Mitry wymagano – jak od chrześcijan – życia w czystości obyczajów. Występki i grzechy „zmywano” podczas specjalnych obrzędów. Na samym początku historii był potop. A na koniec świata zmarli zmartwychwstaną, aby ich osądzono na „Sądzie Ostatecznym”.

Oddawanie czci Dzieciątku Jezus wykazuje zdumiewające podobieństwa do obrzędów przedstawionych w piśmiennictwie buddyjskim. Zdaniem wiernych Jezus został przepowiedziany przez dawnych proroków tak samo Budda został zapowiedziany przez proroków z dawnych czasów. I tak jak aniołowie Nowego Testamentu radowali się narodzinami Zbawiciela, tak w przypadku Buddy bogowie tańczyli na górze Meru na wieść o narodzinach Buddy. Kiedy ich zapytano o powód radości, odparli: „Bodhisattva, Nadroższy Klejnot, Nieprzemijający, przyszedł na świat ludzi we wsi Sakja w krainie Lubinieja, aby zbawiać ludzi i czynić im dobro. Z tego się cieszymy, tym się radujemy nad wyraz”.

Betlejemską rzeź niewiniątek

Herod jest przedstawiany u ewangelisty Łukasza w świetle co najmniej nieprzychylnym. Obłudnie zaprosił do siebie astronomów ze Wschodu, „dokładnie dowiedział się od nich o czasie pojawienia się gwiazdy. I posłał ich do Betlejem i rzekł: Idźcie, dokładnie się dowiedzcie o dziecięciu, a gdy je znajdziecie, donieście mi, abym i ja poszedł oddać mu pokłon” (Mat. 2, 78). W istocie jednak miał całkiem inne zamiary: obawiał się konkurenta, który może zakwestionować jego prawa do tronu. Według Mateusza „mędrcy” zostali przestrzeżeni we śnie przez Boga: „A ostrzeżeni we śnie, by nie wracali do Heroda, inną drogą powrócili do ziemi swojej” (Mat. 2, 12).

Herod był podobno oburzony, że mędrcy nie zawitali doń w drodze powrotnej i nie zdradzili, gdzie znajdzie dzieciątko – przyszłego króla. Kazał więc „pozabijać wszystkie dzieci w Betlejemie i w całej jego okolicy, od dwóch lat i młodsze, według czasu, o którym się dokładnie dowiedział od mędrców” (Mat. 2, 16). Teolodzy nastawieni krytycznie twierdzą, że betlejemska rzeź niewiniątek nigdy się nie zdarzyła; że ten ponury epizod wymyslono tylko po to, aby wydawało się, iż spełniło się dawne proroctwo. U proroka Jeremiasza bowiem czytamy: „Tak mówi Pan, Słuchaj! W Ramie słycharz narzekanie i gorzki płacz: Rachel oplakuje swoje dzieci, nie daje się pocieszyć po swoich dzieciach, bo ich nie ma” (Jer. 31, 15).



II. 31. Okrutna „betlejemska rzeź niewiniątek” według pełnego fantazji wyobrażenia Mistrza z Zamku Lichtenstein

Można dyskutować, czy rzeź niewiniątek jest prawdą historyczną, czy legendą. Bez wątplenia jednak takiej zbrodni można się było po Herodzie spodziewać. Wystarczy znać tło historyczne. Za czasów Jezusa Żydzi uczeni w Piśmie – mówi o tym Józef Flawiusz – doszli do przekonania, że Stary Testament zawiera sekretne przesłania. Wedle tych przesłań ktoś z ich narodu miał wkrótce rządzić światem. Usłyszał o tym na pewno i Herod, który lękał się o tron. Starał się więc zrobić wszystko, aby wyczekiwany sprawiedliwy król, wytęskniony przez Żydów, nie doszedł do władzy.

W 63 roku p.n.e. kraj Żydów był podbity przez Pompejusza i przyłączony do Syrii. W 47 roku p.n.e. Cezar uczynił miejscowego przywódcę judejskiego obywatelem rzymskim i mianował „nadzorcą” Judei. Jego następcą został w 43 roku p.n.e. syn jego, Herod, który dzięki zręcznej dyplomacji został wkrótce ulubieńcem Rzymian. Cesarz August uczynił go nawet w końcu królem Judei. W 37 roku p.n.e. Herod wypędził swoją pierwszą żonę, którą była Arabka Doris, i ożenił się z dwunastoletnią Mariamne z potężnej dynastii Machabeuszy. Mariamne jednak knuła intrygi, zamierzając zawiązać przeciw mężowi spisek. Herod kazał ją zamordować.

Być może z obawy przed zdetronizowaniem i zamordowaniem Herod zamierzał uwiecznić pamięć o sobie. W każdym razie urzeczywistniał wielkie projekty architektoniczne, jak choćby wzniesienie imponującego pałacu na zachodnim wzgórzu Jerozolimy. Zachowywał się jak dobry Żyd: przestrzegał żydowskich przepisów dotyczących jedzenia i był bardzo hojny, gdy chodziło o datki na budowę świątyni w Jerozolimie. Stało się jednak, że w 7 roku p.n.e. znów zebrała się grupa spiskowców, do których należeli również synowie Heroda, Aleksander i Aristobulus. Ale plan zdradzono władcy i znów jego reakcja była drastyczna. Trzystu spiskowców zamordowano w Jerozolimie. Własnych synów król kazał udusić w Samarii.

Kiedy cesarz Oktawian August dowiedział się o zbrodniach Heroda, odwrócił się odeń z obrzydzeniem. Powiedział nawet, że lepiej być wieprzem Heroda niż jego synem, bo Herod odczuwałby zapewne większe skrupuły przy zabijaniu świni niż syna. Politycznie motywowane relacje o mordach popełnianych z rozkazu Heroda mogły przeniknąć do tekstu Ewangelii św. Mateusza. Józef Flawiusz rozkoszuje się wprawdzie opisywaniem okrucieństw Heroda, ale w jego relacji nie znajdziemy ani słowa o rzezi niewiniątek – podobnie jest w tekstach trzech ewangelistów.

Kwestia prawdziwości historycznej betlejemskiej rzezi niewiniątek wskazuje na inny niezwykle istotny problem. W jakim stopniu można traktować ewangelie jako poważne źródła?

Czy ewangelie są dziełem świadków ówczesnych zdarzeń

Mateusz, który jako jedyny z ewangelistów opisuje rzeź niewiniątek, nie był jej naocznym świadkiem. Wedle dzisiejszego stanu biblistyki ewangelia nazwana od jego imienia powstała najwcześniej około 90 roku n.e., a więc około 100 lat po opisywanych zdarzeniach. Krytycy biblijni – z kręgów teologii zarówno katolickiej, jak i ewangelickiej – są dziś w dużym stopniu zgodni co do tego, że Paweł jest jedynym apostołem, który był naprawdę autorem przypisywanych mu tekstów Nowego Testamentu. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością natomiast Ewangelia św. Mateusza wcale nie wyszła spod pióra Mateusza, ale jakiegoś nieznanego autora.

Żadna z czterech ewangelii nie została opatrzona przez ich twórców ich imieniem. Do przekonania, że uczeń Jezusa, Mateusz, sam napisał ewangelię, doszedł dopiero ojciec Kościoła, Papiasz, żyjący od około 70 do 130 roku n.e. Philipp Vielhauer, autor książki *Geschichte der Urchristlichen Literatur* (Historia literatury prachrześcijańskiej), określa jego twierdzenie jako „historycznie bezwartościowe”.

A jak wygląda sprawa z Ewangelią św. Marka? Wczesna teologia powołuje się znów na Papiasza, który jednak wcale nie mówił o Ewangelii św. Marka tylko według jakiegoś „Jana Marka”. Jan Marek pochodził z Jerozolimy i był kuzynem Barnaby. Towarzyszył niekiedy Barnabie i Pawłowi podczas ich wyprawy misyjnej na Cypr. Ci wczesni misjonarze chrześcijańscy niezbyt się lubili. Kiedy Barnaba chciał wziąć Marka w kolejny etap podróży, doszło do kłótni. Paweł uznał Jana Marka za osobę niesolidną. Paweł i Barnaba rozstali się w gniewie. Paweł wyruszył w dalszą drogę z Sylasem, Barnaba z Markiem. Ten Jan Marek, nie zaś Marek, mógł – ale nie przed 70 rokiem n.e. – napisać tak zwaną Ewangelię św. Marka.

Bardziej niż problematyczne jest też twierdzenie, że Łukasz jest autorem Ewangelii św. Łukasza. Paweł wspomina okazjonalnie na marginesie o jakimś lekarzu Łukaszu. Fakt, że ten towarzyszył Pawłowi w kilku spośród jego licznych podróży, jest czystą spekulacją. Ktokolwiek jednak był autorem tej ewangelii: nie mógł wędrować wraz z Pawłem po kraju, o czym świadczą opisy – niedokładne, niejednokrotnie historycznie fałszywe. Ich autor nie znał też teologii Pawła ani jego listów. Reasumując: autor ewangelii nazwanej imieniem

Łukasza jest dziś równie nieznany jak autor Ewangelii św. Jana. Także i ten tekst nie zawiera wskazówek mówiących o jego autorze. Nie ma wątpliwości, że zakończenie, wedle którego jej autorem był jeden z uczniów Jezusa, zostało dołączone później: „A to właśnie jest uczeń, który składa świadectwo o tych rzeczach i to napisał; a wiemy, że świadectwo jego jest prawdziwe” (Jan 21, 24).

Dopiero w 180 roku n.e. ojciec Kościoła Ireneusz zaproponował, aby owego bezimiennego ucznia, o którym w Ewangelii św. Jana wielokrotnie pisano, iż Jezus go ukochał, uznać za Jana. I żeby uznać, iż uczeń ów, Jan, napisał ewangelię, zatytułowaną od jego imienia. Bardziej niż nieprawdopodobne jest jednak, że dzieło to wyszło spod pióra kogoś z uczniów Jezusa. O ile pozostałe trzy ewangelie zawierają tylko krótkie przemowy Jezusa do jego zwolenników, o tyle u Jana – jak twierdzi Eduard Lohse, biblista z Getyngi specjalizujący się w Nowym Testamencie – z jego ust płyną „długie przemowy”, „które w medytacjach, niekiedy sprawiających wrażenie monotonnych, zawierają zawsze tę samą treść”.

Kto spodziewa się, że w ewangeliach znajdzie pewne źródło historyczne, może wysunąć zarzut, że nie chodzi przecież o to, jak nazywali się autorzy ewangelii – istotne jest, że zawierają one wypowiedzi świadków opisywanych zdarzeń. Ale tak nie jest: Ewangelia „św. Marka” powstała w 70 roku n.e., Ewangelia „św. Łukasza” w 90 roku n.e., a Ewangelia „św. Jana” najwcześniej w 100 roku n.e., najpewniej jednak dopiero w 110 roku n.e.

Co jednak jest podstawą ewangelii, jeśli nie wyszły one spod pióra naocznych świadków? Czy są one bezwartościowe dla osób chcących poznać szczegóły z życia Jezusa? Tak nie jest. Niezwykle słusznie napisał kiedyś „Der Spiegel”:

„W dekadach, jakie upływały od pojawienia się Jezusa do spisania ewangelii, skrupulatnie przekazywano jego słowa i krótkie opowieści o jego czynach. Ewangelie są ostatnim stadium długiego rozwoju. Ich autorzy wstawili fragmenty w sztuczne ramy, aby móc lepiej opowiedzieć treść. Określenia czasu i miejsca, takie jak »skoro tylko«, »udał się«, »pod wieczór« czy »nad morzem«, albo »na górze« są na ogół wstawkami redakcyjnymi. Ponieważ przebieg zdarzeń nie ma w ewangeliach charakteru historycznego, na podstawie zawartych w nich tekstów nie da się napisać biografii Jezusa” (23/1996, s. 65 n.).

„Mateusz” i „Łukasz” wykorzystali jako źródło Ewangelię „św. Marka”. Poza tym mieli jeszcze zapewne do dyspozycji inne świadectwa pisane zawierające wypowiedzi Jezusa. Z biegiem czasu jednak świadectwa te niestety zaginęły. Pisemne przekazywanie relacji o działalności Jezusa albo zapisywanie wypowiedzi dziesiątki lat po jego śmierci było zadaniem bardziej niż trudnym. Wierni robili to w prymitywnych warunkach podczas męczących podróży. Zapiski trzeba było przepisywać odręcznie, następnie przekazywano je drogą wodną i lądową. Sporządzano kopie z kopii. Dodawano zakończenia, rzeczy na pozór niezrozumiałe wyrzucano.

Na początku była więc przede wszystkim tradycja ustna. Dopiero potem, stopniowo, opowieści zaczęto utrwalać na piśmie. Były to nie tylko teksty, które znajdują się dziś w Nowym Testamencie. Różne ugrupowania chrześcijan rywalizowały ze sobą. Przez długi czas za równie ważne uważano Ewangelię Piotra, Ewangelię Tomasza czy Objawienie św. Jana. W 139 roku n.e. Marcjon napisał jakby „miniewangelię”. Włączył do niej tylko Ewangelię św. Łukasza i dziesięć listów św. Pawła. Pozostałe teksty odrzucił, uznając je za „żydowskie fałszerstwa”. Popadł w konflikt z młodym kościołem, ponieważ odrzucał Stary Testament. Jego Bóg był wyłącznie miłosierny, nie karzący.

Młody kościół upierał się jednak przy Starym Testamencie i tekstach wcześniejszych, odrzuconych przez Marcjona. Pod koniec II wieku n.e. stworzono pierwszą wersję Nowego Testamentu. Nawiązuje do tego fragment tekstu Muratori, pochodzącego z ok. 200 roku n.e., wymieniając cztery ewangelie, Dzieje Apostolskie, trzynastę listów św. Pawła, listy Filemona i Tytusa, pierwszy i drugi list Tymoteusza, List Judasza, dwa listy św. Jana oraz dwa Objawienia – św. Jana i św. Piotra. Dopiero po 367 roku n.e. powstała wersja, którą znamy dziś jako Nowy Testament. Biskup Aleksandrii, Atanazy Wielki, stworzył kanon Pisma Świętego, w którym Nowy Testament zawierał 27 ksiąg. Określił je jako „źródło zbawienia” i stwierdził: „Tylko tu spisano nauki wiary”. Dopiero około 400 lat po narodzinach Chrystusa uznano te 27 ksiąg za miarodajne dla religii chrześcijańskiej.

Marcin Luter uznawał wprawdzie obowiązujące 27 ksiąg, ale dokonał ich oceny. Listy św. Jakuba, Listy św. Judasza, List do Hebrajczyków, Drugi List św. Piotra i Objawienie św. Jana uznał za mniej wartościowe. Umieścił je na końcu swojego wydania Biblii, rozpoczynając ją tekstami jego zdaniem bardziej wartościowymi. To skłoniło sobór trydencki w 1546 roku do stwierdzenia: „Kto wszakże całych owych ksiąg lub części ich wszystkich, czytanych w katolickim Kościele, za święte nie uznaje i kto świadomie i z rozważą wzgardzi przekazy, o których była mowa, będzie wykluczony”. W ten sposób Kościół Katolicki postanowił, że wszystkie teksty kanoniczne są równie święte i że nie wolno dokonywać w nich żadnych skreśleń. Stanowisko to potwierdzono na Watykańskim Soborze I (1869-1870) i II (1962-1965). Tak więc od powstania najwcześniejszych ustnych relacji o działalności Jezusa, krążących już za jego życia, do ostatecznego ich utrwalenia w dzisiejszym Nowym Testamencie minęło prawie dwa tysiące lat.

Czy możliwa jest jeszcze ocena tych tekstów? Czy można je poklasyfikować – na pobożne bajeczki i relacje ze zdarzeń prawdziwych? Chrześcijanom pierwszych wieków po narodzinach Chrystusa pytania takie wydawałyby się kuriozalne. Im bowiem nie chodziło o prawdę w sensie historycznym. Najważniejsze było misterium, w które wierzyli. Religia stanowiła dla nich rzeczywistość. Wiara zaś konkretyzowała się w tekstach religijnych, ilustrujących ich przekonania. Wcześni chrześcijanie uważali je za prawdę, podobnie jak uważali za prawdę takie uczucia, jak miłość i nienawiść. Nie pytali o daty ani o udokumentowane źródła.

XIV. Dzieciństwo i młodość Jezusa

Autor Ewangelii św. Mateusza, kimkolwiek był, widział w Jezusie Mesjasza, zbawiciela rodzaju ludzkiego. Chciał go ustylizować na drugiego Mojżesza. Jak Mojżesz uwolnił swój naród z mąk egipskiej niewoli, tak Jezus miał oswobodzić „rodzaj ludzki”. Jezus miał być zbawicielem, który oswobodzi ludzi wedle boskiego planu. W Ewangelii św. Mateusza znajdziemy stosunkowo niewiele faktów biograficznych, które wytrzymają próbę historyczno-krytyczną, znalazły się tu raczej potwierdzenia wypowiedzi proroków ze Starego Testamentu. Autor tej ewangelii całkiem dowolnie odniósł na przykład werset z księgi proroka Ozeasza do postaci Jezusa.

W 625 roku p.n.e. Nabopolasar stworzył królestwo nowobabilońskie. Jego wojska zwyciężyły w 605 roku p.n.e. armie egipskie. Syn Nabopolasara, Nabuchodonozor, który naprawdę nazywał się Nebokadnezar, król Babilonii od 604 do 562 roku p.n.e., pobił w pierwszych latach swojego panowania Fenicjan i Filistynów. W 597 roku p.n.e. zdobył Jerozolimę, gdy Juda nie chciała się poddać wpływom jego władzy. Królem Judy uczynił Sedekiasza, który jednak wkrótce się przeciw Babilonii zbuntował, niepomny na przestrogi proroka Jeremiasza. Niedługo potem Jerozolima została zajęta powtórnie. Świątynię zniszczono i splądrowano. Rozpoczęła się niewola babilońska.

W owych czasach rozkwitała działalność prorocza. Ale przepowiednie proroków nie dotyczyły nigdy odległej przyszłości – zawsze odnosiły się do konkretnej sytuacji politycznej. Tak więc Izajasz słusznie przepowiedział, że „Cyrus” otworzy narodom „podwoje i bramy” i odbuduje Jerozolimę (Iz. 44, 28 i 45, 1). Rzeczywiście w 559 roku p.n.e. Cyrus II Starszy został królem Persji, w 538 roku p.n.e. pozwolił Hebrajczykom powrócić do Jerozolimy i odbudować zniszczoną świątynię.

Równie znaczący był Ozeasz, prorok północnego królestwa. Głosił swoje przepowiednie w czasach króla judzkiego Azariasza (Uzjasza) żyjącego w latach 829-778 p.n.e., ale prowadził też działalność za Jerobeama II (829-778 p.n.e.) i Hiskiasza, króla Judy, który rozpoczął rządy w 745 roku p.n.e.

Ozeasz pomstował na bałwochwalstwo, krytykował brak poczucia obowiązku u władców i usilnie radził Izraelowi nie mieszać się do wielkiej polityki. Zamiast tego należy skoncentrować się na reformie religijnej i moralnej. Przepowiednie Ozeasza dotyczyły więc stale aktualnej polityki. Nigdy nie myślał o przyszłości, jaka nastąpi za około 800 lat.

To jednak przypisywał mu „Mateusz”. Uznał, że jeden z wersetów Ozeasza odnosi się do Jezusa: „Gdy Izrael był młody, pokochałem go i z Egiptu powołałem mojego syna” (Oz. 11, 1). „Mateusz” uważał, że „powołanie” dotyczyło Jezusa. Jezus musiał znaleźć się w Egipcie. Aby spełnić to proroctwo, „Mateusz” skonstruował biografię młodego Jezusa nieco inaczej niż pozostali ewangelisci. Tylko w Ewangelii św. Mateusza znajduje się bowiem opis betlejemskiej rzezi niewiniątek, tylko tu opisuje się ucieczkę Józefa i Marii z Dzieciątkiem Jezus do Egiptu.

Dla „Mateusza” Jezus był drugim i ostatnim Mojżeszem. Życiu Mojżesza zagrażali władcy. Jako dziecko puszczono go w koszyku z biegiem Nilu. Herod zagrażał życiu Jezusa, jego rodzina musiała więc wraz z nim uciekać do Egiptu:

„A gdy oni odeszli, oto anioł Pański ukazał się we śnie Józefowi i rzekł: Wstań, weź dziecię oraz matkę jego i uchodź do Egiptu, a bądź tam, dopóki ci nie powiem, albowiem Herod będzie poszukiwał dziecięcia, aby je zgładzić. Wstał więc i wziął dziecię oraz matkę jego w nocy, i udał się do Egiptu” (Mat. 2, 13-14).

Po śmierci Heroda anioł ukazał się Józefowi – znowu tylko u „Mateusza” – i rzekł:

„Wstań, weź dziecię oraz matkę jego i idź do ziemi izraelskiej, zmarli bowiem ci, którzy nastawali na życie dziecięcia. Wstał więc, wziął dziecię oraz matkę jego i powrócił do ziemi izraelskiej” (Mat. 2, 20-21). Ucieczkę do Egiptu podjął Józef w strasznej rozterce sumienia. Wedle Prawa Mojżeszowego (por. I Mojż. 17, 10-11 oraz III Mojż. 12, 3) chłopcy musieli być obrzezani ósmego dnia po urodzeniu. Skąd naprawdę wziął się zwyczaj obrzezania, nie wiadomo. Jest w każdym razie znacznie starszy, niż podaje Stary Testament. Przypuszczalnie ludy pogańskie praktykowały go już przed tysiącami lat – jako rodzaj ofiary dla potężnych bogów płodności. Ten religijny zwyczaj był powodem, dla którego Rzymianie szydzili z Żydów, złośliwie mówiąc o nich „obdarci ze skóry”.

W Ewangelii św. Łukasza nie ma żadnych wzmianek o „ucieczce do Egiptu”. Jezus został raczej, mając osiem dni, obrzezany wedle Prawa Mojżeszowego i przy tej okazji otrzymał imię Jeszua. Zdarzyło się to zapewne w Jerozolimie. Ale w ten sposób Prawu Mojżeszowemu nie stało się zadość. Po urodzeniu dziecka kobieta była uważana za „nieczystą”: „I przemówił Pan do Mojżesza tymi słowy: Powiedz synom izraelskim tak: Jeżeli kobieta zajdzie w ciążę i urodzi chłopca, będzie nieczysta przez siedem dni; tak samo jak w dniach krwawienia miesięcznego będzie nieczystą. [...] A jeżeli porodzi dziewczynkę, będzie nieczysta przez dwa tygodnie, jak podczas krwawienia miesięcznego” (III Mojż. 12, 1-2 i 5). Z dalszych części prawa wynika, że kobieta, która

powiła chłopca, musi pozostać w odosobnieniu jeszcze przez 33 dni, a jeśli dziewczynkę – przez 66 dni. Nie może przy tym dotykać żadnej świętej rzeczy ani wchodzić do świątyni.

Czas bycia nieczystą kończy się pójściem do świątyni i złożeniem ofiary. Wedle prawa mojżeszowego (II Mojż. 13, 1-2) Jahwe należały się pierwsze zbiory z pól, zwierzęta pierworodne i dzieci pierworodne. W czasach składania ofiar z ludzi – zakazany po przejściu na monoteizm – dzieci pierworodne składano zgodnie ze strasznym rytuałem w ofierze bogom. Ofiary z ludzi odeszły w przeszłość, a zamiast tego ku czci Boga zabijano jednoroczne jagnię. Dziecko musiało być „wykupione” za pięć szekli.

Szekel był srebrną monetą, ważącą 7,25 grama. Józef i Maria nie zdołali zapewne zgromadzić takiej sumy. Kapłani w świątyniach jednak byli pobłażliwi dla biednych, którzy mogli wpłacać mniej. Jednego szekla zastępowano wtedy jednym gera. Moneta ta miała wartość jednej dwudziestej piątej szekla, pięć monet odpowiadało jednej piątej szekla. Za taką sumę można było w czasach Jezusa kupić mniej więcej pięć winnych gron.

W owych czasach Świątynia Jerozolimska była już tylko żalosnym odbiciem świątyni zbudowanej przez Salomona. W 586 roku zniszczył ją Nabuchodonozor. Siedemdziesiąt lat później wzniesiono świątynię skromną, prowizoryczną. Herod II zamierzał rozpocząć dalsze prace budowlane. Rozkazano powiększyć świątynię drugą, mniejszą. Dobudowano arkady i nowe tarasy, wzniesiono nowe ściany i przyozdobiono je złotem i marmurem.

Józef i Maria weszli do świątyni, która w tamtym okresie była jeszcze w trakcie budowy. Maria niosła na ręku Dzieciątka Jezus. Przy Bramie Nikanora, dzielącej obszar świętej budowli, na który mogły wchodzić kobiety, od części, do której wstęp mieli wyłącznie mężczyźni, przekazali kapłanowi dwa gołębie. Ofiarę składano według szczegółowych przepisów. Pierwszemu gołębiowi podcinano gardło, a krew spływała na krawędź ołtarza. Potem odcinano głowę i pióra, które rzucano za ołtarz ku wschodowi. Skrzydła łamano a ptaka palono w naczyniu z żarem. Drugi gołąb, po zroszeniu jego krwią ścian ołtarza, przechodził wedle Mojżesza (III Mojż. 5, 8-13) w posiadanie kapłana składającego ofiarę.

Po zakończeniu ceremonii kapłan ogłosił, że Maria jest oczyszczona. Józef dał jeszcze monety na „wykupienie” swojego dziecka. Miarowym krokiem rodzice wyszli wraz z dzieckiem ze świątyni.

Oczekiwanie zbawiciela

Nawet po powrocie z babilońskiej niewoli (586 r. p.n.e.) nie nastąpiły dla Żydów czasy wolności. Trafili oni, wyrażając się potocznie, z deszczu pod rynnę: jarzmo babilońskie zamieniło się na perskie, potem przyszła niewola grecka pod Aleksandrem Wielkim, którego wkrótce zastąpili władcy syryjscy i egipscy. W końcu nastali Rzymianie. Przez całe wieki Żydzi byli zniewoleni, nigdy nie mieli poczucia, że są narodem naprawdę wolnym raczej że stanowią zdobycz potężnych władców, którzy zwyciężali się wzajem. Aktualnemu zwycięzcy obiecywano każdorazowo Ziemię Świętą, która była przezeń uznawana za własność prywatną, którą można dysponować wedle własnego widzimisie.

To zniewolenie, w czasach Jezusa trwające już od stuleci, sprawiło, że wśród ludzi zakiełkowała myśl o nadejściu zbawiciela i wyzwoliciela. Religijni jasnowidze i prorocy wędrowali po kraju głosząc, że wszystkim winien jest upadek obyczajów, odejście od prawdziwej i czystej wiary w Jahwe, że trzeba jak najszybciej powrócić do dawnej pobożności, przywrócić surowe przestrzeganie przepisów religijnych przekazanych przez Mojżesza. Tylko jeżeli nie będzie się uczestniczyło w obcych kultach, lud Izraela zazna na powrót pokoju, wolności i szczęścia. Tylko wtedy udziałem narodu znów stanie się przychylność Boga, która dawniej pozwalała na życie w wolności i dostatku. Czyż bowiem

Jahwe nie przyrzekł, że wyróżni naród żydowski spośród innych narodów (por. II Mojż. 19, 5, IV Mojż. 23, 9-10 i 24, 7-8).

Żywa wśród Żydów nadzieja na nadejście zbawiciela, Mesjasza, jest przedstawiona w Ewangelii św. Łukasza w dwóch scenach, które rozegrały się zapewne, gdy Maria i Józef z Dzieciątkiem Jezus wkraczali do świątyni.

Podszedł do nich wówczas człowiek o imieniu Symeon, określany jako „sprawiedliwy i bogobojny”. Człowiek ten „oczekiwał pociechy Izraela, a Duch Święty był nad nim” (Łuk. 2, 25). Symeon ów oświadczył zdziwionej, a nawet czującej się nieswojo parze, że objawił mu Duch Święty, iż umrze w pokoju dopiero, kiedy ujrzy Mesjasza. Dalej czytamy:

„Przyszedł więc z natchnienia Ducha do świątyni, a gdy rodzice wnosili dziecę Jezus, by wypełnić przepisy zakonu co do niego, on wziął je na ręce swoje i wielbił Boga, mówiąc: Teraz puszczasz sługę swego, Panie, według słowa swego w pokoju, gdyż oczy moje widziały zbawienie twoje, które przygotowałeś przed obliczem wszystkich ludów: Światłość, która oświeci pogan, i chwałę ludu twego izraelskiego” (Łuk. 2, 27-32).

Wkrótce potem zdarzyło się coś podobnego. Sędziwa, osiemdziesięcioletnia Anna, która była zapewne w świątyni wieszczką i być może przepowiadała ludziom przyszłość z ręki, także wystawiała Dzieciątko Jezus jako oczekiwanego Mesjasza. „A dziecę rośło i nabierało sił, było pełne mądrości, i łaska Boża była nad nim” – czytamy u Łukasza (Łuk. 2, 40). W ten sposób wyczerpaliśmy prawie wszystkie informacje dotyczące dzieciństwa i młodości Jezusa zawarte w Nowym Testamencie.

Podobne opowieści krążyły o dzieciństwie mądrego Buddy. Sędziwy Asita wziął dziecko na ręce i ogłosił, że ten mały książę poruszy koło nauki, a litując się nad ludźmi sprowadzi na ziemię zbawienie. On, Asita jest już stary i wkrótce umrze, nie doczeka założyciela religii jako kapłan. Jest jednak niezwykle szczęśliwy z narodzin zbawiciela i płacze, że musi umrzeć, nim zostanie ogłoszona nowa nauka. Indolog Richard Garbe doszedł do przekonania, że chrześcijańska legenda jest przetworzeniem indyjskiego przekazu. Uważa za zdumiewające, że tak wiele szczegółów oryginału zostało przejętych w stanie zupełnie nie zmienionym.

Na marginesie trzeba wymienić rzecz kuriozalną: biblijny opis wizyty Marii i Józefa w świątyni jest raczej indyjski z ducha niż żydowski. Wedle prawa Mojżeszowego bowiem tylko matka noworodka musiała być poddana „oczyszczeniu”. Ani ojciec, ani dziecko nie musieli się udawać do świątyni. W buddyzmie natomiast starym zwyczajem było, że do świątyni szli oboje rodzice niosąc dziecko.

Tam, gdzie ewangelie milczą, pisma apokryficzne zawierają znacznie więcej informacji. Gdy Ewangelia św. Łukasza wspomina, że boskość Jezusa objawiła się, kiedy był jeszcze dzieckiem, bardzo wiele ewangelii apokryficznych podkreśla moc Jezusa, jaką dysponował będąc dzieckiem. Ewangelie apokryficzne cieszyły się wśród członków wczesnej wspólnoty chrześcijańskiej dużą popularnością.

Śmiercionośna moc czarodziejska Jezusa

Ewangelia Tomasza, zwana też pospolicie Ewangelią Dzieciństwa Tomasza powstała zapewne w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa. Oczywiście należy wyjść z założenia, że w tym przypadku nie chodziło zapewne o jeden tekst, ale że raczej istniało wiele przypominających legendy opowieści o latach młodości Jezusa. Opowieści te wyszły spod pióra licznych autorów, którzy opierali się na przekazach ustnych. W jakimś momencie te różne teksty zostały zapewne zebrane w jeden. Ale według Ireneusza co najmniej fragmenty tych świadectw zostały przelane na papier już w II w n.e.

Ewangelia Dzieciństwa Tomasza istniała najpierw w wersji greckiej. Potem przełożono ją na syryjski, etiopski, gruziński, staro-cerkiewno-słowiański, arabski, armeński i na łacinę. Nie były to jednak tłumaczenia w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, lecz raczej parafrazy – nierzadko bowiem przekłady różniły się znacznie od oryginału.

Wersję, która zachowała się do naszych czasów, należałoby określić jako dość luźne połączenie różnych epizodów, przedstawiających Jezusa jako pięcio-, sześćo-, ośmio- i dwunastolatka. Występuje on tam jako potężna istota, dysponująca czarodziejską mocą. Jeśli przeczytamy, jakich zbrodni dopuszczał się pięcioletni Jezus, zbrodni, których w żadnym razie nie można uznać za chłopięce figle, to zrozumiemy, dlaczego ojcowie Kościoła nie włączyli tych tekstów do kanonu Nowego Testamentu.

Rozbawionym dzieciom, nie uświadamiającym sobie jeszcze ostateczności śmierci, zdarza się niekiedy w zapale walki zapragnąć, aby ich towarzysze zabawy umarli. Takie pragnienia przypisuje właśnie małemu Jezusowi Ewangelia Tomasza. Tyle że w przeciwieństwie do swoich towarzyszy zabaw Jezus mógł to pragnienie urzeczywistnić. Oto co czytamy w rozdziale II i III:

„Dziecko Jezus, gdy doszło do lat pięciu, bawiło się w korycie strumienia i gromadziło płynącą wodę w stawki, i sprawiło, że stała się ona natychmiast czysta; a nakazał to jedynym słowem. I zwilżywszy glinę, ulepił z niej dwanaście wróbli, a był to dzień szabatu, gdy to uczynił. Było [tam] wiele innych dzieci, które bawiły się z nim. Gdy pewien Żyd zobaczył to, co uczynił Jezus bawiąc się w dzień szabatu, natychmiast odszedł i doniósł ojcu jego, Józefowi: »Oto twoje dziecko znajduje się przy strumieniu i wzięwszy glinę ulepiło z niej dwanaście ptaszków, i znieważyło dzień szabatu«. I przyszedł Józef na [owe] miejsce, a ujrawszy zawołał doń mówiąc: »Dlaczego robisz to, czego nie godzi się robić w dzień szabatu?« A Jezus klasnąwszy w swe ręce zawołał do wróbli i rzekł do nich: »Lećcie!« I ptaszki rozwinąwszy skrzydła odleciały ćwierkając. Żydzi, gdy to ujrzeli, zdumieni się i odchodząc zawiadomili swych przełożonych o tym, co widzieli, że uczynił był Jezus. A syn uczonego w prawie Annasza stał tam z Józefem i wzięwszy gałąź wierzby, wypuścił wodę, którą był zgromadził Jezus. Gdy Jezus zobaczył to, co się stało, oburzył się wielce i rzekł doń: »Niegodziwy bezbożniku i głupcze, co tobie szkodziły te stawki i ta woda? Oto teraz ty uschniesz jak to drzewo i nie przyniesiesz ani liścia, ani korzeni, ani owocu«. I natychmiast owe dziecko zupełnie uschło; Jezus natomiast oddalił się i odszedł do domu Józefa. A rodzice uschniętego ponieśli je oplakując jego młodość. I przynieśli do Józefa i czynili mu wyrzuty, że ma syna, który dokonuje takich czynów” (EwTmDz II, 1 – III, 3) [Apokryfy Nowego Testamentu, t. I: Ewangelie apokryficzne, Lublin 1986, s. 258 n.].

Jezus jako uzdrowiciel i „cudowny chłopiec”

Jezusa opisywano jako chłopca nieobliczalnego, a nierzadko nawet złośliwego. Drzemała w nim potężna moc, czarodziejski potencjał, który mógł być wykorzystany zarówno w dobrym, jak i w złym celu. Ewangelia Tomasza opowiada, że ludzie bali się małego Jezusa. Nigdy nie wiedzieli, co ich czeka – czy coś strasznego, czy zbawienny cud. Jezus jako chłopiec wykorzystywał bowiem swoje możliwości również do cudownych uleczeń. Oto przykład:

„Po kilku dniach jakiś młodzieniec rąbał drzewo w sąsiedztwie i wypadła mu siekiera, i przecięła stopę, i umierał z powodu upływu krwi. Powstał wielki zgietk i zbiegowisko; pobiegło tam również dziecię Jezus. Przeciskając się siłą przeszedł przez tłum, ujął zranioną nogę chłopca i natychmiast została uleczona. I rzekł do młodzieńca: »Wstań, teraz, rąb dalej drzewo i pamiętaj o mnie«. Tłum widząc, co się przydarzyło, oddał dziecku cześć mówiąc: »Zaprawdę duch Boży mieszka w tym dziecku” (EwTmDz X, 1-2) [Ibidem, s. 262.].

A więc według Ewangelii Dzieciństwa Tomasza, której nie należy mylić z apokryficzną Ewangelią Tomasza z Nag Hammadi, Jezus już wtedy czynił cuda i był uznawany przez ludzi za natchnionego przez Ducha Bożego. Nie powinno więc dziwić, że jako uczeń Jezus okazał się mądrzejszy od swojego nauczyciela Zacheusza:

„Gdy Zacheusz napisał alfabet hebrajski, rzekł do Jezusa: »Alfa«. I rzekło dziecko: »Alfa«. I znowu nauczyciel: »Alfa«, a dziecko podobnie. I znowu nauczyciel, po raz trzeci: »Alfa«. Wtedy Jezus spojrzawszy na nauczyciela, mówi: »Ty, który nawet nie znasz litery alfa, jak możesz drugiego pouczać litery beta?« I począwszy od litery alfa dziecko wyliczyło wszystkie 22 litery. Następnie znowu mówi: »Słuchaj nauczycielu, jaki jest układ pierwszej litery, poznaj, jakie ma zbliżenie i linie oraz zarysy, które wspólnie schodzą się i rozchodzą«. Gdy Zacheusz usłyszał ten opis jednej tylko litery, nie miał nic do powiedzenia ze zdumienia, i obróciwszy się, rzekł do Józefa: »Bracie, to dziecko prawdziwie nie jest zrodzone [na ziemi]. Weź je więc ode mnie«, (EwTmDz VII, 1-2) [Ibidem, s. 266.].

Wymowa epizodów z Ewangelii Tomasza jest jasna: autor był przekonany, że Jezus narodził się jako syn Boży. Jeżeli czynił cuda jako człowiek dorosły, to musiał dysponować takimi możliwościami również jako dziecko. Być może autor był niezadowolony, że inne ewangelie zawierają tylko skąpe informacje na temat młodości Jezusa, zebrał więc opowieści przekazywane ustnie, które miały wypełnić tę lukę.

Tę stosunkowo prostą treść Ewangelii Tomasza można też oczywiście teologicznie zawikłać tak, aby zwykły człowiek nic z tego nie zrozumiał. Szczególnie dobry przykład przytaczam poniżej. Takie oto konfabulacje przedstawia Walter Rebell w swojej pracy:

„Chrystologia Nowego Testamentu może, jeżeli nie będzie rozumiana od swojej głębi, objawiać się odczuciu religijnemu jako nieco niedostateczna. Wszystkie systemy symboli religijnych muszą uwzględniać ambiwalencję doświadczenia życiowego i świata. Muszą próbować tworzyć nie tylko nośne podstawy, lecz być również punktem odbicia dla doświadczeń absurdalnych i opartych na kontyngentyzmie. W absurdalnym tonie Jezusa na krzyżu utrzymuje się, wypracowuje, przełamuje nasze doświadczenie kontyngentne – ale tylko wtedy, kiedy krzyż Jezusa jest ośrodkiem wiary. Teologia nowotestamentowa nie jest jednak w żadnym razie zorientowana zawsze w dostateczny sposób na krzyż, a już na pewno nie w II wieku. Trzeba sobie więc stworzyć inny religijny punkt oparcia, być może stawiając obok Chrystusa zwiastowanego dogmatycznie Chrystusa pozornego. (Z punktu widzenia historii religii wizerunek pozorny jest często oponentem obowiązującego boga.)” [Walter Rebell, Neutestamentliche Apokryphen und Apostolische Väter, München 1992, s. 135 n.]

Jak długo teolodzy będą się wypowiadać w ten sposób – a wybrany przykład należy w porównaniu do innych upławów pochodzących z ich ust określić jako sformułowany zrozumiale – to nie ma się co dziwić, że nie natrafiają na oddźwięk u laików. Teolodzy powinni stosować się ściśle do wypowiedzi Marcina Lutera, który zalecał swoim kolegom, aby patrzyli „ludziom na usta”.

Druga wizyta Jezusa w Świątyni

Na mężczyzn religia żydowska nakładała od trzynastego roku życia obowiązek brania udziału w Święcie Paschy w Jerozolimie. W dzień trzynastych urodzin chłopiec żydowski przechodził bar micwa, porównywalną z konfirmacją w kościele ewangelickim. Z tą chwilą wkraczał w dorosłe życie. Musiał się zobowiązać do przestrzegania przepisów religijnych. Kiedy dokładnie, a więc w jakim wieku przeszedł Jezus bar micwa, nie można ustalić na pewno. Wzmiankę o tym znajdujemy tylko u Łukasza, pozostali ewangeliści zachowują w tej kwestii milczenie.

U Łukasza czytamy: „A rodzice jego chodzili co roku do Jerozolimy na Święto Paschy. I gdy miał dwanaście lat, poszli do Jerozolimy na to święto, jak to było w zwyczaju” (Łuk. 2, 41-42). Rodzice Jezusa stosowali się zatem do przepisów religii, co było powszechne wśród ówczesnych Żydów. Kto tylko mógł, jechał do Świętego Miasta. Tak więc co roku niezliczone tłumy płynęły do Jerozolimy, pobożni Żydzi przybywali nawet z zagranicy. Historyk Józef Flawiusz pisze, że do miasta przybyło około trzech milionów wiernych.

Święto Paschy obchodzono na pamiątkę wyjścia Izraelitów z Egiptu. Działo się to zawsze podczas pierwszej pełni po wiosennym zrównaniu dnia z nocą. Według żydowskiego kalendarza pierwsza wiosenna pełnia księżyca przypadała piętnastego dnia miesiąca Nisan, pierwszego miesiąca żydowskiego roku, czemu odpowiada mniej więcej okres od połowy marca do połowy kwietnia kalendarza gregoriańskiego.

Choć Łukasz nie opisuje bliższych okoliczności wizyty Marii, Józefa i Jezusa w Świątyni, możemy sobie to wszystko łatwo wyobrazić. Niezliczona ciżba ludzka irytowała zapewne rodzinę Jezusa, przybyłą ze wsi. Józef musiał się postarać o jagnię, spełniające szczególne warunki. Nie mogło być okaleczone. Futro powinno być nieskazitelne i jednolitej barwy. Zdobywszy takie jagnię, Józef mógł udać się do Świątyni i stanąć w oczekiwaniu na jednym z przeddziedzińców. Potem zaczynało się rytualne zabijanie zwierząt. Liczni kapłani podrzynali jagniętom gardła i zbierali ich krew do wielkich naczyń, z których wylewano ją na ołtarz. Podczas tej krwawej ceremonii rozbrzmiewały pobożne pieśni. Kapłani śpiewali psalmy, upamiętniające wyjście Żydów z egipskiej niewoli, i zanosili modły do Jahwe o błogosławieństwo.

Dla kapłanów była to rutyna, pracowali szybko. Zaledwie zwierzę zabito, już przekazywano je dalej, obdzierano ze skóry, wyjmowano wnętrzności, nerki i wątrobę, obcinano ogon. To, co pozostało, zawijano w skórę. Będzie później pieczone według szczegółowych przepisów: tuszę położy się nad ogniem na dwóch skrzyżowanych gałęziach granatowca. Do mięsa poda się praśny chleb – znów na pamiątkę wyjścia z Egiptu. Izraelici nie mieli wtedy czasu na upieczenie normalnego chleba. Byli zmuszeni do zabrania ze sobą ciasta, które się jeszcze nie zakwasiło.

Pierwszego dnia Święta Paschy składano ofiarę z jagniąt. Kulminacyjnym punktem święta był jednak dzień drugi. Szesnastego dnia miesiąca Nisan odprawiano w Świątyni „ofiarowanie snopa kłosów”. Również to działo się na pamiątkę ucieczki z Egiptu. Po czterdziestoletnim marszu przez pustynię, po czterdziestoletnim monotonnym wikcie, którego podstawą była manna, pochod Izraelitów dotarł wreszcie do Ziemi Obiecanej. Wędrowcy, zostawiwszy za sobą pustynię, przybyli na pola Jerycha. Tu, w dolinie leżącej około 394 metrów poniżej poziomu morza, panował klimat szczególnie korzystny do uprawy roli. Tu zbiory następowały prędzej niż w pozostałych regionach Palestyny, tu wcześniej pieczono chleb. Na pamiątkę pierwszego dnia w Ziemi Obiecanej obchodzono Święto Sukkot, Święto Plonów, przy którym musieli być obecni wszyscy pielgrzymi.

O ile w Jerozolimie w dniach poprzedzających Święto Paschy panował nieopisany pośpiech, to teraz nastawał kompletny chaos. Zapewne niektórzy wierni spędzali cały tydzień paschalny w Świętym Mieście, wielu jednak wyjeżdżało od razu po ofiarowaniu snopa kłosów. Na ulicach panował tłok i ścisk. Przeprowadzano, juczone i wsiadano na tysiące, dziesiątki tysięcy osłów i wielbłądów. W tym nieopisanym rozgardiaszu Maria i Józef stracili z oczu swojego syna, Jezusa. Przypuszczali, że dołączył do krewnych i jest już w drodze powrotnej do domu:

„A gdy te dni dobiegły końca i wracali, zostało dziecko Jezus w Jerozolimie, o czym nie wiedzieli jego rodzice, a mniemając, iż jest pośród podróżnych, uszli dzień drogi i szukali go między krewnymi i znajomymi” (Łuk. 2, 43-44).

Kiedy zatroskani rodzice mimo pilnych poszukiwań nie znaleźli dziecka, natychmiast wyruszyli w drogę powrotną do Jerozolimy. Ich karawana tymczasem kontynuowała podróż do domu. W Świętym Mieście zaczęli wypatrywać Jezusa. Łatwo sobie wyobrazić ich strach. Czy dziecku coś się nie stało? W końcu odkryli, że chłopiec jest w świątyni, siedzi w grupie ludzi i słucha słów uczonych rabbich.

W Ewangelii św. Łukasza czytamy:

„A po trzech dniach znaleźli go w świątyni, siedzącego wpośród nauczycieli, słuchającego i pytającego ich. A zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, nad jego rozumem i odpowiedziami. I ujrawszy go, zdziwili się. I rzekła do niego matka jego: Synu, cóżeś nam to uczynił? Oto ojciec twój i ja bolejąc szukaliśmy ciebie. I rzekł do nich: Czemuście mnie szukali? Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, Ja być muszę? Lecz oni nie rozumieli tego słowa, które im mówił” (Łuk. 46-50).

Po raz pierwszy Jezus wyjawiał wtedy swoją niebiańską misję. Czuł się bliższy swojemu ojcu boskiemu niż ziemskiemu. Świadomość tego faktu została mocno podkreślona w Ewangelii Dzieciństwa Tomasza:

„Innym znowu razem szedł przez wieś i biegnący chłopiec uderzył go w plecy. Jezus rozżłoszczony rzekł do niego: »Już nie pójdziesz dalej swoją drogą«. A on natychmiast padł martwy. Gdy niektórzy ujrzeli to, co się wydarzyło, mówili: »Któż zrodził to dziecko? Bowiem każde jego słowo przemienia się w czyn«. I rodzice zmarłego przybyli do Józefa i ganili go tymi słowami: »Mając takiego syna nie możesz żyć pośród nas w tej wsi. Lub też naucz go błogosławić, a nie przeklinać, bo wymrą nasze dzieci«. Józef więc odwołał dziecko na osobność i począł je napominać tymi słowy: »Dlaczego czynisz takie rzeczy? Oni bowiem cierpią, nienawidzą nas i przesiadują«. Rzekł Jezus: »Ja wiem, że słowa te nie są twoimi, jednak zamilczę ze względu na ciebie, oni jednak otrzymają należną sobie karę«. I natychmiast ci, co go oskarżyli, oślepli. A ci, którzy to widzieli, przerazili się wielce, byli zakłopotani i mówili między sobą, że każde słowo, które wypowiada – dobre czy złe – przemienia się w czyn i wywołuje zdumienie. Gdy Józef zobaczył, co zrobił Jezus, powstał, chwycił go za ucho i pociągnął silnie. Chłopiec oburzył się i rzekł doń: »Dość tobie, że szukasz, a nie znajdujesz, a szczególnie teraz niemądrze postąpiłeś. Czyż nie wiesz, że ja do ciebie nie należę«., (EwTmDz IV V) [Ostatnie zdanie cytowanego fragmentu, brzmiące w przekładzie polskim Apokryfów Nowego Testamentu (s. 279) „Czyż nie wiesz, że ja do ciebie należę”, przetłumaczono zgodnie z wersją podaną przez autora: „Weißt du nicht, daß ich nicht dein bin?” (przyp. tłum.).].

Jezus jako bluźnierca i potencjalny zabójca

Różnica między Jezusem z pism apokryficznych a Jezusem z ewangelii nie jest oczywiście duża, jak by się zdawało na pierwszy rzut oka. W Ewangelii Dzieciństwa Tomasza pobożni Żydzi podnoszą zarzut, że chłopiec Jezus łamie prawo szabatowe, bo zamiast odpoczywać w święto, czyni cuda.

Zarzut ten słyszał też Jezus znany z ewangelii kanonicznych. Wszyscy czterej ewangeliści mówią o „uzdrowieniu sparaliżowanego” (Mat. 9, 1-8; Mar. 2, 1-12; Łuk. 5, 17-26; Jan 5, 1-7 i 8-9). We wszystkich ewangeliiach pobożni Żydzi wysuwają też wobec Jezusa zarzut bluźnierstwa. W szabat zabronione było robienie czegokolwiek, co nie było absolutnie konieczne. Na czym polegało owo bluźnierstwo, jest mowa w Ewangelii św. Jana:

„Toteż mówili Żydzi do uzdrowionego: Dziś sabbat, nie wolno ci nosić łoża. On zaś odpowiedział im: Ten, który mnie uzdrowił, rzekł mi: Weź łoże swoje i chodź” (Jan 5, 10-11).

Ewangeliści podkreślają: dla Żyda wyznającego ściśle zasady wiary uleczenie sparaliżowanego w sabbat było wykroczeniem przeciwko Prawu Mojżeszowemu. Zanim poświęcimy się kwestii, czy zarzut taki w powyższym przypadku był istotnie słuszny, trzeba zwrócić uwagę na błąd w tłumaczeniu. Jest mianowicie bardziej niż problematyczne, czy Jezus naprawdę kazał uleczonemu wziąć i nieść jego łoże. Ale czytamy o tym w naszych wydaniach Biblii u wszystkich ewangelistów:

„Lecz abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy – rzekł do sparaliżowanego: Wstań, weź łoże swoje i idź do domu swego!” (Mat. 9, 6).

„Lecz abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy ma moc odpuszczać grzechy na ziemi, rzekł paralitykowi: Tobie mówię: Wstań, weź łoże swoje i idź do domu swego” (Mar. 2, 10-11).

„Lecz abyście wiedzieli, że Syn Człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy, rzekł do sparaliżowanego: Powiadam ci: Wstań, podnieś łoże swoje i idź do domu swego” (Łuk. 5, 24).

„Rzecz mu Jezus: Wstań, weź łoże swoje i chodź” (Jan 5, 8).

Ewangeliści są wprawdzie ze sobą zgodni, ale prawdziwa treść tego fragmentu nie jest zapewne aż tak drastyczna. Po pierwsze według starożydowskich reguł wiary ze względów zdrowotnych choremu wolno było nosić ze sobą łożko czy krzesło nawet w sabbat. Tym samym Jezus nie naruszył przepisów dotyczących sabbatu. Ale Jezus wcale nie kazał człowiekowi przed chwilą sparaliżowanemu a właśnie uleczonemu ciągnąć ze sobą łożka, co sugerują nasze przekłady Biblii. Być może późniejsi autorzy chcieli dać do zrozumienia, że między chrześcijańskimi a rzekomo żydowskimi zapatrywaniami na tę kwestię istniał konflikt. Nie należy temu ód razu przypisywać zamiaru złośliwego zafałszowania treści.

Uzdrowienie nastąpiło według św. Jana w pewnej stoa, czyli w hali. Ale czy chory leżał tam w swoim łożku? Hebrajskie określenie łożka to mittah. Ponieważ graficzny zapis słów hebrajskich opierał się na spółgłoskach, mogło dojść do pomyłki. Łóżko – mittah i kij – matteh zapisywano w ten sam sposób: mth. Może więc Jezus polecił nie „Weź swoje łożko i idź!”, ale „Weź swój kij i idź!”? W ten sposób jednak zmienia się też obraz uleczenia: Jezus pomógł człowiekowi pozbyć się mniejszego schorzenia. To znaczy, że uleczony został człowiek z upośledzeniem chodzenia, nie zaś sparaliżowany.

Czy jednak Jezus lecząc naruszył sabbat, jakkolwiek wyglądała jego czynność, czy naruszył prawo odpoczynku? W żadnym razie, uważa żydowski teolog, profesor dr Pinchas Lapide:

„Działalność uzdrawiająca Nazareńczyka jako taka mieści się z żydowskiego punktu widzenia w ramach biblijno-talmudycznego nakazu »dla życia«. Uleczenia w sabbat i w inne święta – w razie konieczności – są nie tylko dozwolone, lecz również zalecane. Jaskrawe tego przykłady znajdziemy w Talmudzie, w Biblii i przede wszystkim w pismach proroków, na przykład Eliasza i Elizeusza”. [Pinchas Lapide, Ist die Bibel richtig übersetzt?, Gütersloh 1994, s. 53.]

Ale dlaczego ewangeliści wymyślili konflikt, którego nie było? Na ten temat jeszcze raz wypowiada się prof. Lapide:

„Wyraźny zamiar przedstawienia Jezusa jako »łamiszabata« przywodzi na myśl uzdrowienie mężczyzny ślepego od urodzenia, o czym dowiadujemy się od dwóch ewangelistów. Marek, którego opowieść jest jak wiadomo najwcześniejsza, wzmiankuje uleczenie w zaledwie pięciu krótkich wersetach, przy czym nie wymienia dnia uleczenia (Mar. 8, 2226); tymczasem Jan poświęca temu zdarzeniu czterdzieści jeden długich wersetów przykładając największą wagę do twierdzenia, że uleczenie nastąpiło w szabat (Jan 9, 1-4). Pozwolę sobie tu na uwagę: człowiek widzi intencję i jest zbulwersowany”. [Ibidem, s. 53.]

Podczas studiów teologii ewangelickiej dyskutowałem z kolegami na temat Ewangelii Dzieciństwa Tomasza. Ten apokryficzny utwór nie został włączony do Nowego Testamentu dlatego, że kreślił nieprawdziwy, straszliwy obraz Zbawiciela jako dziecka. Kto jednak dokładnie przestudiuje ewangelie, również trafi w niektórych wypowiedziach na Jezusa skłonnego do przemocy. Tak więc Jezus mówi w Ewangelii św. Łukasza:

„Ale tych nieprzyjaciół moich, którzy nie chcieli, bym ja królował nad nimi, przyprowadźcie tutaj i zabijcie ich na moich oczach” (Łuk. 19, 27).

W innych, zwłaszcza starszych przekładach werset ten brzmiał jeszcze drastyczniej:

„Tych zaś przeciwników moich, którzy nie chcieli, żebym panował nad nimi, przyprowadźcie tu i pościnajcie na moich oczach” [Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1990.],

„Wszak nieprzyjacioły moje, które nie chcą, abym królował nad nimi, przyprowadźcie tu i zadławcie przede mną!” [Die Bibel oder die ganze Heilige Schrift des Alten und des Neuen Testaments nach deutschen Übersetzung D. Martin Luthers, Stuttgart 1915.]

XV. Zdradzenie Jezusa

Właśnie tak drastyczna wypowiedź Jezusa, wzywająca do zamordowania jego wrogów, nasuwa istotne pytania. Czy po dwóch tysiącach lat historii Kościoła można jeszcze zgłębić tajemnicę postaci Jezusa? Czy możemy się jeszcze dowiedzieć, czego Jezus nauczał naprawdę? Być może nie da się już odróżnić Jezusa prawdziwego od jego wizerunku, stworzonego przez teologów?

Krytyczna analiza tekstów Nowego Testamentu wykazała, że danych historycznych dotyczących Jezusa nie da się już prawie odtworzyć? Jak jednak wygląda kwestia powołania Jezusa? Czy wiemy, jak i dlaczego prosty syn rzemieślnika stał się twórcą jednej z najważniejszych religii w historii ludzkości? Czy możemy ustalić, do czego Jezus czuł się powołany?

Sen i powołanie – asceta czy „żarłok i pijak”?

Budda, twórca buddyzmu, urodził się w 560 roku p.n.e. w Kapilawastu (dziś Lumbini w Nepalu) jako księżę bogatej dynastii panującej. Powołanie otrzymał – jak ponad pół tysiąca lat później Jezus – w snach. Według przekazów także jego matka i ojciec oraz żona mieli prorocze sny. Przed narodzeniem Buddy jego matka, która ułożyła się do snu w podszyciu leśnym, widziała „twarz”. Mężowi opowiedziała: „Coś białego, jak śnieg albo srebro, jaśniejsze od księżyca i słońca, najlepszy ze słoni, z delikatnymi nogami, harmonijnie zbudowany, z mocnymi przegubami, z sześcioma kłami twardymi jak diament, coś wspaniałomyślnego, co jest bardzo piękne, weszło do mego łona”. Władca i małżonek nie rozumiał znaczenia tych obrazów. Był jednak przekonany, że niosą one ze sobą istotne treści, wezwał więc na konsultację najlepszych specjalistów z kraju. Wróżbici

wyjaśnili mu znaczenie obrazów: jego żona urodzi syna, który wyrośnie na niezwykłego monarchę.

W końcu również ojciec Buddy miał sen. Ujrzał, że jego przyszły syn w spokojną noc opuszcza dom. Towarzyszy mu gromada bogów. W czerwonych szatach mężczyźni wędrują po kraju, doznając marności mnisiego żywota. Żonie Buddy, Gopie, która właśnie wyszła za księcia, śniło się, że ścina sobie bujne, długie włosy. Widziała, jak łamie swoje drogocenne ozdoby. We śnie jej dłonie i stopy zostały odcięte. Była zupełnie naga. Nogi jej łóżka odrąbano – leżały one teraz na podłodze wraz z perłami i bezwartościową już biżuterią. Rozbita była też zdobiona brylantami rękojeść parasola przeciwsłonecznego księcia, podarte były jego kosztowne ubrania ze szlachetnych materii. W końcu – we śnie – pojawił się meteor, który zniknął następnie bez śladu w ciemności. Bóg Gór, Meru, zadrżał. Słońce, księżyc i gwiazdy spadły na ziemię, która drżała jak żywa istota w panicznym strachu. Drzewa zostały powyrywane z korzeniami i wyrzucone w niebo. Wszystko wyglądało, jakby miał nastąpić koniec świata.

Autor poczytnych książek, Jacques Bergier, tak zinterpretował ten opis:

„Te różne obrazy oniryczne znaczyły na początku, że przyszły Budda porzuci życie w luksusie i jako mnich będzie wędrował po kraju. Sny antycypowały jego rozstanie z domem rodzinnym i pożegnanie z żoną. Na pierwszy rzut oka sen Gopy sprawia wrażenie czegoś negatywnego, destrukcyjnego. Z punktu widzenia buddyzmu można go jednak zinterpretować pozytywnie. Zgodnie z przekonaniem tej wiary bowiem sny są odwrotnością tego, co z pozoru przekazują. Gopie pisana jest więc nie straszna nędza, ale wyzwolenie od trosk i przejście do doskonałej szczęśliwości”.

Mniej więcej w wieku 35 lat Budda doznał powołania. Bóg Brahma polecił mu głoszenie swojej nauki o drodze do zbawienia.

Zdumiewające podobieństwa wykazują też życiorysy Sokratesa i Jezusa. Sokrates (470-399) także był wielkim nauczycielem, prześladowanym z powodu odrzucenia religii uświęconej zwyczajem. Podobnie jak Jezus także Sokrates pogodził się z losem, gdy został niewinnie skazany na śmierć. Umarł nie wykorzystawszy szansy ucieczki. Także Sokrates został podobno powołany we śnie, co rozumiał jako boskie przesłanie.

Bardziej dramatyczne było powołanie Pawła. Dzieje Apostolskie przedstawiają go jako prześladowcę chrześcijan. Na drodze do Damaszku miał niezwykle przeżyć:

„I stało się w czasie drogi, że gdy się zbliżał do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba, a gdy padł na ziemię, usłyszał głos mówiący do niego: Saulu, Saulu, czemu mnie prześladujesz? I rzekł: Kto jesteś, Panie? A On: Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz; ale powstań i idź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić” (Dz. 9, 3-6).

Od tej chwili człowiek, który na polecenie władz miał wyśledzić uczniów Jezusa, stał się niespodziewanie jego zwolennikiem i uczniem. Z początku wprawdzie natrafił na powściągliwy sceptycyzm:

„A już zaczął zwiastować w synagogach Jezusa, że On jest Synem Bożym. Wszyscy zaś, którzy go słuchali, zdumiewali się i mówili: Czy to nie ten, co prześladował w Jerozolimie tych, którzy wzywają imienia tego [Jezusa], i po to tu przyszedł, aby ich w więzach odprowadzić do arcykapłanów?” (Dz. 9, 20-21).

Niezależnie od tego, jak dramatyczna była ta przemiana, jak radykalny zwrot – od prześladowcy do zwolennika – trzeba stwierdzić, że późniejsi chrześcijańscy komentatorzy

biblijni dodali tu kolejny symbol. Powołanie sprawiło, że dotychczasowy prześladowca zmienił imię. Kiedyś nazywał się Saul, jako uczeń Jezusa zaś – Paweł. Taka zmiana imienia oczywiście nigdy nie nastąpiła. Bohater tego zdarzenia używał dwóch imion. Czytamy więc w Dziejach Apostolskich: „A Saul, zwany też Pawłem, napełniony Duchem Świętym [...] rzekł” (Dz. 13, 9). Paweł do końca życia używał imienia Saul. Informacje o tym zawiera też bardzo popularne we wczesnym chrześcijaństwie Epistola Apostolorum, List Apostołów. Do dziś tekst ten, przełożony bardzo wcześnie na wiele języków, którego tradycję literatura teologiczna określa jako „skomplikowaną”, nie został udostępniony powszechnie. Zaraz na początku rozdziału 31. czytamy: „Oto spotkanie człowieka imieniem Saul, które znaczy po przetłumaczeniu Paweł” [Apokryfy Nowego Testamentu, t. I: Ewangelie apokryficzne, Lublin 1986, s. 529.]. Nie ma wątpliwości: Saul nigdy nie zamieniał się w Pawła. Podczas podróży do Rzymu używał świadomie drugiego imienia – Paweł. W Pierwszym Liście do Koryntian uzasadnia to w sposób następujący: „I stałem się dla Żydów jako Żyd, aby Żydów pozyskać; dla tych, którzy są pod zakonem, jakobym był pod zakonem, chociaż sam pod zakonem nie jestem, aby tych, którzy są pod zakonem, pozyskać” (I Kor. 9, 20). Dostosowywał się, aby lepiej służyć nauce Jezusa.

Dla wczesnych chrześcijan „powołania” Jezusa nie było. Dla nich Jezus – czego dowodzą zarówno ewangelie, jak, pisma apokryficzne – był od chwili narodzin synem Bożym. Od samego początku był więc zawsze i na zawsze tym samym: Mesjaszem, Zbawicielem. Jest to teologiczny punkt widzenia i jako taki jedynie słuszny. Nie ma jednak nic wspólnego z Jezusem jako postacią historyczną. W jego życiu na pewno zaistniało coś takiego jak powołanie. Czy uczniowie Jezusa o tym wiedzieli? Czy o tym pisali? Czy wzmianki o tym zostały przez redaktorów tekstów Nowego Testamentu wykreślone? Te kwestie mogą być tylko przedmiotem spekulacji.

Ale pewne jest, że w życiu dorosłego Jezusa musiał nastąpić jakiś zwrot. Istnieją ukryte wskazówki, trzeba je tylko umieć zinterpretować. A najłatwiej je zauważyć badając paralele między postacią Jezusa a postacią Buddy. Po pierwsze Budda jako młodzienczek porzucił życie w luksusie i zbytku. Uważał, że do poznania można dojść tylko trwając w surowej ascezie. Jezus zaś zwrócił się do Jana Chrzciciela, który nauczał ascezy i pokuty. Chrzciciel egzystował w biedzie, jadł tyle, aby nie umrzeć z głodu, i umartwiał ciało ubierając się w najłżejsze suknie: „A sam Jan miał odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany wokół bioder swoich, a za pokarm miał szarańczę i miód leśny” (Mat. 3, 4). Głosił rezygnację z dóbr materialnych, pochwałę biedy i miłości bliźniego: „A on odpowiadając, rzekł im: Kto ma dwie suknie, niechaj da temu, który nie ma, a kto ma żywność, niech uczyni podobnie” (Łuk. 3, 11). Do tego ascety dołączył Jezus.

Podobnie było z ascetycznym Buddą – poszli za nim pierwsi jego uczniowie. Był dla nich tym, czym Jan Chrzciciel dla Jezusa. Podobnie jak ich mistrz, Budda, pogardzali życiem w dostatku. Jak Jezus był wierny Chrzcicielowi, tak uczniowie Buddy byli wierni swojemu mistrzowi. Tak, jak ich idol, szansę na rozwój duchowy widzieli tylko w umartwianiu ciała. Budda jednak zrozumiał wkrótce, że wytyczona przezeń droga nie jest słuszna. Zmienił tryb życia, którego ośrodkiem było poszczenie. Pierwszych pięciu uczniów Buddy było tym rozczarowanych. Uważali, że zrezygnował z poszukiwania zbawienia, więc go opuścili.

Pierwsi uczniowie Jezusa także byli zwolennikami życia w ascezie. Poszli za Janem Chrzcicielem, który był ascetą, ale potem dołączyli do Jezusa:

„Nazajutrz znowu stał Jan z dwoma uczniami swoimi. I ujrawszy Jezusa przechodzącego, rzekł: Oto Baranek Boży. A owi dwaj uczniowie, usłyszawszy jego słowa, poszli za Jezusem” (Jan 1, 35-37).

W życiu Jezusa, podobnie jak Buddy, dokonała się kiedyś zapewne doniosła zmiana przekonań, która skłoniła go do szukania szczęścia zbawienia nie tylko w ascezie. Jezus,

jeszcze jako asceta, udał się na czterdzieści dni postu na pustynię. Ale potem odszedł od swojego nauczyciela, Jana, głoszącego ascezę. Ewangelia św. Mateusza zawiera wyraźną wskazówkę, pozwalającą wyciągnąć wniosek, że Jezus spotkał się z zarzutami, że nie żyje (już) ascetycznie. Widocznie wczesny Jezus, o którego nauce ewangelie nie wspominają, również głosił rezygnację z ziemskich rozkoszy. W inny sposób nie da się bowiem zrozumieć następujących wersetów: „Albowiem przyszedł Jan, nie jadł i nie pił, a mówią: Demona ma. Przyszedł Syn Człowieczy, jadł i pił, a mówią: Oto żarłok i pijak” (Mat. 11, 18-19).

Śmierć Chrzciciela, czyli koniec wywrotowca

Asceza Buddy była bez wątpienia również protestem młodego człowieka przeciw luksusom, w jakie opływała rodzina królewska, z której się wywodził, przeciw bogactwu niewielu wobec nędzy wielu. Jan Chrzciel, który na pewno był mówcą utalentowanym i porwał za sobą masy ludzi z pustynnej okolicy Ghor, protestował swoją postawą przeciw panującej klasie kapłańskiej. Wysokie duchowieństwo pokumało się z Rzymianami. Przyjmowali obcych panów z wielką służalczością. Stan kapłański miał władzę nad ludem, pozwalał na uprzywilejowane życie w bogactwie i luksusie. Kapłani uważali się za następców Sadoka, arcykapłana z czasów Dawida i Salomona.

Coraz wyraźniejszy stawał się konflikt między kapłaństwem, saduceuszami, a młodymi buntownikami, zelotami, nawołującymi do oporu wobec Rzymian. Tych ostatnich nie interesowały religijne spory między Żydami, dopóki nie wiązały się z roszczeniami dotyczącymi władzy. Z zadowoleniem patrzyli na scysje między poszczególnymi żydowskimi ugrupowaniami religijnymi. Jak długo ugrupowania te się wzajemnie zwalczały, tak długo nie groziło niebezpieczeństwo, że wspólnie powstaną przeciw Rzymianom.

Niedaleko miejsca, w którym Jan głosił kazania i chrzcił, osiadł zakon esseńczyków. Esseńczycy uczyli – jak Jan – ascezy i ubóstwa. Ich pożywienie było bardzo skromne. Żywili się – jak Jan – przypiekana szarańczą. Podobnie jak Jan chrzcił, tak esseńczycy dokonywali rytualnych obmyć dla uwolnienia ciała od grzechów. Podobnie jak Budda, Jan Chrzciel i Jezus również uciekali od świata. Nie chcieli dostatniego życia bogaczy i ludzi zamożnych. Podobnie jak Jan Chrzciel także esseńczycy głosili nadejście Mesjasza i zbawiciela.

Oto jak wyglądają fragmenty tekstu, znalezione w 1947 roku w grocie 4 biblioteki esseńczyków, które można doskonale złożyć w jeden:

„Niebo i ziemia będą należeć do Jego Mesjasza. Morza i wszystko, co w nich jest. On nie odwróci się od przykazania świętych. Zacerpnijcie siłę z Jego potężnego dzieła, wszyscy, którzy szukacie Pana. Czyż nie znajdziecie w tym Pana, wszyscy, którzy na niego czekacie z nadzieją w sercu? Na pewno Pan odszuka pobożnych i sprawiedliwych wezwie po imieniu. Jego duch będzie unosić się nad biednymi. Jego władza znów ustanowi w prawie wiernych. Osadzi pobożnych na tronie wiecznego królestwa. Uwolni uwięzionych, widzącymi uczyni ślepców, podniesie podeptanych”.

Nie ma tu więc mowy o pobożnej odnowie, ale raczej o przemianie politycznej. „Pobożni” zasiądą na tronie – ten jednak wciąż zajmowali Rzymianie albo ich wasale! Żydzi słuchający nauk esseńczyków odbierali je oczywiście jako konkretne przesłanie polityczne. Józef Flawiusz, którego dzieła wcale nie emanują sympatią do żydowskich bojowników o wolność, pisze szczerze i bez ogródek, o co chodziło: „Tym, co [Żydów] szczególnie skłaniało ku wojnie, była wieloznaczna przepowiednia z ich świętych pism, mówiąca, że w tych czasach ktoś z ich kraju zostanie przywódcą świata”.

Esseńczycy czekali na Mesjasza, który miał radykalnie zmienić świat. W nowym porządku nie będzie już miejsca ani dla Rzymian, ani dla ich wasali. Ale jak wyobrażał sobie Mesjasza Jan? Czy oczekiwał religijnego odnowiciela? A może jego myśli były nacechowane buntowniczością esseńczyków? Esseńczycy, spod których pióra wyszły legendarne zwoje, odkryte później w Qumran, widzieli w Rzymianach i ich żydowskich pomagierach moce ciemności, zło na ziemi. Starali się oni przestrzegać Praw Mojżeszowych za wszelką cenę. Tylko to bowiem umożliwi nadejście Mesjasza, który był dla nich kimś „namaszczone”, wybrańcem boga, upragnionym przywódcą. Oczekiwano człowieka potężnego, nowego Dawida, nowego Salomona, żydowskiego Cyrusa.

Wyczekiwany „nauczyciel sprawiedliwości” nie tylko nawróci ludzi na prawdziwą wiarę. Uwolni też kraj żydowski spod rzymskiego jarzma. Powstanie nowe państwo, bez ucisku, bez obcego panowania. Jan Chrzciciel uczył i wygłaszał kazania nie tylko blisko siedziby esseńczyków. Był im również bardzo bliski duchowo – oraz politycznie. Można przyjąć, że, podobnie jak esseńczycy, dążył do politycznej odnowy. Jak daleko posuwał się w nawoływaniu do oporu przeciw Rzymianom, nie wiadomo i nie będzie wiadomo. Należy jednak przyjąć, że na nich pomstował. Dla tych ostatnich religijny fanatyk głoszący kazania o ascezie i rezygnacji z ziemskich rozkoszy był zupełnie obojętny. Dlaczego więc go aresztowali?

Jan Chrzciciel krytykował zapewne konkretne postęпки Rzymian. Podobnie jak esseńczycy bardzo negatywnie oceniał żołnierzy rzymskich wojsk okupacyjnych. Uważał ich za brutalnych zbrodniarzy. Czy żądał, aby zarówno oni, jak i urzędnicy zaprzestali dręczyć ludność żydowską: „Nie pobierajcie nic więcej ponad to, co dla was ustalono. Pytali go też żoł- nierze, mówiąc: A my co mamy czynić? I rzekł im: Na nikim nic nie wymuszajcie ani nie oskarżajcie fałszywie dla zysku, lecz poprzestawajcie na swoim żołdzie!” (Łuk. 3, 13-14). Dlaczego więc Rzymianie uwięzili i stracili Jana Chrzciciela według prawa rzymskiego?

Mateusz, Marek i Łukasz jako powód takiego postępowania władz podawali fakt, że Jan Chrzciciel krytykował Heroda. U Mateusza czytamy:

„Albowiem Herod pojmał Jana, zakuł w kajdany i wtrącił do więzienia dla Herodiady, żony Filipa, brata swego. Bo Jan mówił mu: Nie wolno ci jej mieć. I chciał go zabić, ale bał się ludu, gdyż mieli go za proroka” (Mat. 14, 3-5).

Także Marek podaje ten sam powód aresztowania: jest to oburzenie Jana, wywołane moralnie niegodnym zachowaniem Heroda:

„Albowiem sam Herod posłał i pojmał Jana, i wtrącił go zakutego w kajdany do więzienia z powodu Herodiady, żony Filipa, brata swego, gdyż pojął ją za żonę, bo Jan mówił Herodowi: Nie wolno ci mieć żony brata swego” (Mar. 6, 17-18).

Wydaje się, że Łukasz jest podobnego zdania:

„A tetrarcha Herod, strofowany przez niego z powodu Herodiady, żony brata swego, i z powodu innych złych uczynków, jakie popełnił, przydał do wszystkiego i to, że wtrącił Jana do więzienia” (Łuk. 3, 19-20).

Ale jeśli przeanalizujemy Łukasza dokładnie, słowo po słowie, wtedy okaże się, że Jan zarzucał Herodowi nie tylko niemoralne postępowanie. Ganił ostro potężnego władcę „i z powodu innych złych uczynków, jakie popełnił”.

Kto potrafi czytać między wierszami, na pewno zauważy, że Jan Chrzciciel był dla Rzymian solą w oku, bo odrzucał ich hegemonię w kraju Żydów. Widzieli w nim zagrożenie natury politycznej, potencjalnego przywódcę rewolty. Herod kazał aresztować i stracić Jana-wichrzyciela, Jan – apostoł moralności był mu najzupełniej obojętny.

Dopiero tradycja chrześcijańska zrobiła z Jana – działacza politycznego – bojownika religijno-moralnego. Jan musiał umrzeć, bo chciała tego Salome, córka Heroda Filipa i Herodiady. Przypuszczalnie w 32 roku n.e. Herod Antypas urządził wielkie przyjęcie z okazji swoich urodzin. Piękna i młoda Salome tańczyła na przyjęciu przed „księżętami i hetmanami, i dostojnikami z Galilei”. Erotyczny występ Salome tak zachwyił Heroda, że obiecał spełnić każde jej życzenie – choćby nawet miał jej dać połowę królestwa. Salome jednak, rzekomo na usilne prośby matki, zażyczyła sobie głowy Chrzciciela. Jej życzenie zostało spełnione:

„Wysłał więc król zaraz kata i rozkazał przynieść głowę jego. Ten zaś poszedł i ściął go w więzieniu. I przyniósł głowę jego na misie i dał ją dziewczęciu, a dziewczę dało ją matce swojej” (Mar. 6, 27-28).

Jezus i esseńczycy

Jezus został ukształtowany przez nauczycieli tej grupy wyznaniowej za pośrednictwem Jana, który esseńczykom był co najmniej bliski. Bez wątplenia przejął ideologię esseńską, którą jednak po części zmodyfikował. Z drugiej strony Nowy Testament zawiera wypowiedzi Jezusa, które są znane mało lub prawie wcale, bo nie pasują do jego dzisiejszego wizerunku, głoszonego z ambon.

Esseńczycy mieli zwyczaj wspólnego spożywania posiłków. Stąd też Ostatnia Wieczerza Jezusa. U esseńczyków w uroczystości tej mogli brać udział tylko mężczyźni zdrowi. Kobiety były wykluczone tak samo jak chorzy i inwalidzi, których Jezus obdarzał miłością. Esseńczycy odrzucali zwierzchnictwo stanu kapłańskiego, który w ich oczach nie tylko odszedł od prawdziwej wiary, lecz również był podległy w sposób niegodny Rzymianom. Jezus również tego zwierzchnictwa nie akceptował.

Dla esseńczyków Rzymianie byli siłami ciemności, najgorszymi wrogami Izraela. Nawoływali do powstania przeciw okupantom, do nienawiści i przemocy. Ukryte wezwania do powstania zbrojnego – które mogło być skierowane tylko przeciw Rzymianom – można też znaleźć w wypowiedziach Jezusa, który na przykład u Mateusza mówi: „Nie mniemajcie, że przyszedłem przynieść pokój na ziemię; nie przyszedłem przynieść pokój, ale miecz” (Mat. 10, 34). A u Łukasza czytamy: „Ogień przyszedłem rzucić na ziemię i jakżebym pragnął, aby już płonął. [...] Czy myślicie, że przyszedłem, by dać ziemi pokój? Bynajmniej, powiadam wam, raczej rozdwojenie” (Łuk. 12, 49 i 51).

Jezus na pewno wiedział, że wezwanie do powstania przeciw Rzymianom wywoła rodzinne konflikty. Ojcowie rodzin dbający o bezpieczeństwo swoje i najbliższych będą skłonni dla świętego spokoju ułożyć się jakoś z Rzymianami. Krewka młodzież natomiast była gotowa od razu rzucić się do walki z okupantem. Jezus:

„Odtąd bowiem pięciu w jednym domu będzie poróżnionych; trzej z dwoma, a dwaj z trzema; będą poróżnieni ojciec z synem, a syn z ojcem, matka z córką, a córka z matką, teściowa ze swą synową, a synowa z teściową” (Łuk. 12, 52-53).

Opór przeciw Rzymianom wywoła rodzinne waśnie, młodzi zaczną się kłócić ze starszymi. U Mateusza Jezus mówi:

„Bo przyszedłem poróżnić człowieka z jego ojcem i córkę z jego matką, i synową z jej teściową. Tak to staną się wrogami człowieka domownicy jego” (Mat. 10, 35-36).

U Łukasza jest konkretna wskazówka, jak ludzie będą się zachowywać. Wezwanie wyrażone przez Jezusa oznacza koniec końców wojnę wszystkich z Rzymianami:

„Lecz teraz, kto ma trzos, niech go weźmie, podobnie i torbę, a kto nie ma miecza, niech sprzeda suknię swoją i kupi” (Łuk. 22, 36).

Jezus szukał samotności na pustyni – jak esseńczycy, którzy pamiętali, że lud Izraela był kiedyś miły Bogu i dlatego Jahwe uwolnił go z egipskiej niewoli i poprowadził przez pustynię.

Podobnie jak Jezus także esseńczycy głosili nakaz nieposiadania dóbr doczesnych. Oto co pisze Józef Flawiusz:

„Są bowiem u Żydów trzy rodzaje uprawianej filozofii: zwolennicy jednej zważają się faryzeuszami, drugiej – saduceuszami, a trzeciej – esseńczykami. Ci ostatni cieszą się powszechnie opinią wielce świątobliwych. Są rodowitymi Żydami, lecz łączą ich ze sobą silniejsze niż u innych więzy miłości. [...] Bogactwa mają w pogardzie [...]. Obowiązuje ich bowiem zasada, że wstępujący do sekty przekazują swoje mienie zakonowi [...] i wszyscy jak bracia korzystają ze wspólnego dobytku. [...] Z ubioru i postawy podobni są do dzieci [...]. Nie zmieniają szat ani sandałów, dopóki nie ulegną zupełnemu zniszczeniu” [Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, Warszawa 1992, s. 161 n.e.].

Podobnie było z Jezusem. Ktoś, kto chciał być zaliczony do niewielkiego kręgu jego prawdziwych uczniów, musiał, jak ustalił prof. dr Pinchas Lapide, pozbyć się całego majątku, „aby żyć we wspólnocie równych sobie – często narażając się na niebezpieczeństwo, prześladowania władz rzymskich i konieczność ucieczki” [Pinchas Lapide, *Ist die Bibel richtig übersetzt?*, Gütersloh 1994, s. 54.].

Tego surowego wymogu, który trzeba było spełnić bezwarunkowo, jeśli chciało się zostać uczniem Jezusa, nie mógł albo nie chciał spełnić pewien „bogaty młodzieniec”. Według Łukasza wywodził się on z warstw wyższych, z kręgów ludzi zamożnych. Jezus zażądał od młodzieńca – jego wypowiedź Mateusz, Marek i Łukasz przekazują prawie dosłownie:

„Sprzedaj wszystko, co tylko masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a potem przyjdź i naśladowuj mnie” (Łuk. 18, 22).

Ale młody człowiek nie chciał się na to zgodzić: „A ten na to słowo sposepniał i odszedł zasmucony, albowiem miał wiele majątności” (Mar. 10, 22). Nie został więc przyjęty do grona uczniów Jezusa. Nie pomogło mu to, że Jezus chętnie uczyniłby go swoim współbojownikiem: „Jezus spojrział nań z miłością” (Mar. 10, 21).

Jedna z najbardziej znanych przypowieści Jezusa mogłaby pochodzić bezpośrednio od esseńskiego nauczyciela:

„Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa Bożego” (Mar. 10, 25).

Całe pokolenia teologów próbowały przypowieść tę zrozumieć. Myślano, że w jerozolimskich murach miejskich jest bardzo mała brama, przez którą trudno jest przejść wielbłądowi, do tego objuczonemu. Ale okazuje się, że cały problem spowodował banalny błąd tłumacza. W aramejskim oryginale było słowo gamta, z którego zrobiono gamal – i tak

z „liny” powstał „wielbłąd”. W oryginale Jezus mówi: „Łatwiej przejść linie od łodzi przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa Bożego”. Jezus zastosował porównanie znane słuchaczom – rybakom znad Jeziora Tyberiadzkiego.

Ale Jezus nie stronił tak całkiem od „wstrętnej mamony”. Akceptował finansowe wsparcie możnych zwolenników. Na przykład „Joanna, żona Chuzy, zarządcy dóbr Heroda, i Zuzanna” wspierały Jezusa i jego grupę.

Teraz nadszedł już czas porównać wszystkie wypowiedzi Jezusa, zawarte w ewangeljach, z pismami eseneńczyków z Qumran. W epoce komputerów nie będzie to stanowiło problemu. Analiza taka potwierdzi zapewne przypuszczenie, że między nauką Jezusa a nauką eseneńczyków istnieją nie tylko podobieństwa, lecz również duże zbieżności. Jeśli więc na przykład u św. Jana czytamy: „Ja jestem światłością świata; kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, ale będzie miał światłość żywota” (Jan 8: 12), to odpowiada to dokładnie dawnej wierze eseneńczyków, która nawiązywała często do dualizmu światła i ciemności, wierze, dla której świat jako taki był sprzecznością ciemności i światła. W jednej z ewangelii czytamy: „w nim [Bogu] było życie, a życie było światłością ludzi. A światłość świeci w ciemności, lecz ciemność jej nie przemogła” (Jan 1, 4-5). Sentencja ta mogłaby równie dobrze wyjść spod pióra któregoś z eseneńskich mnichów.

Wykraczałoby poza ramy tej książki, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie niewątpliwe paralele między nauką Jezusa a eseneńczyków. W tym miejscu wymienię więc tylko parę z wielu takich zgodności. W pismach eseneńczyków jest mowa o „fundamencie, którym nic nie wstrząśnie”. Jezus nazywa Piotra opoką, która nigdy się nie zachwieje. Eseneńczycy przyjmowali do swojej wspólnoty tylko tych, którzy wyjawili wszystkie swoje grzechy, czyli się wyspowiadali – tak samo jest w chrześcijaństwie. Jezus, jak eseneńczycy, ostrzegał przed zbliżającym się sądem ostatecznym. I on, i eseneńczycy wymagali, aby kochać bliźniego jak siebie samego. Jezus mówił – jak eseneńczycy – o „synach światłości”, którzy podejmą walkę z „siłami ciemności”. Obie nauki obiecywały tym, którzy będą żyć z duchem prawdy, „życie wieczne”. Zarówno w tekstach eseneńczyków, jak i w kazaniach Jezusa pojawiają się często takie pojęcia jak „duch święty” i „członkowie nowego przymierza”.

Szczególnie wyrazista jest następująca zgodność: zarówno eseneńczycy, jak i Jezus byli przekonani, że wkrótce nastąpi koniec świata i ludzie staną przed sądem Bożym.

Nie ma wątpliwości: Jezus i eseneńczycy byli sobie bardzo bliscy ideowo, przynajmniej w czasach, kiedy Jezus był uczniem Jana Chrzciciela. Nie znaczy to oczywiście wcale, że Jezus był eseneńczykiem. Na takie twierdzenie, podnoszone chętnie i często przez autorów książek popularnonaukowych, nie ma w Nowym Testamencie najmniejszych dowodów. Z drugiej wszakże strony nic nie świadczy o tym, że Jezus nie przebywał, być może tylko w charakterze gościa, w zakonie eseneńczyków. W każdym razie Józef Flawiusz pisze, że przez pewien czas przebywał w ich wspólnocie.

Charakterystyczne jest, że nigdzie w Nowym Testamencie, nawet na marginesie, nie wspomina się wspólnoty eseneńczyków. Gdyby jedyne źródło stanowiły ewangelie, to można by przypuszczać, że eseneńczycy w ogóle nie istnieli. A przecież w czasach Jezusa ich znaczenie było ogromne. Określali swój zakon jako „armię zbawienia”, która na wieki przed Jezusem, w czasach Machabeuszy, została powołana do życia przez pewnego „nauczyciela sprawiedliwości”. Filon z Aleksandrii (25 p.n.e.-50 n.e.) tak pisze w swoim dziele *Quod omnis probus liter sit*:

„Syria palestyńska, zamieszкана w istotnej części przez bardzo liczny naród Żydów, nierzadko też rodzi ludzi przedkładających cnotę nade wszystko. Niektórych z jej mieszkańców, w liczbie ponad cztery tysiące, określa się mianem esseńczyków. Nazwa ta moim zdaniem, choć ściśle biorąc nie pochodzi z greckiego, wiąże się ze słowem »świętość«. Istotnie są to ludzie, którzy w szczególny sposób oddają się służbie Bożej. Nie składają ofiar ze zwierząt, lecz uważają za słuszniejsze uświęcanie swoich myśli. Nie gromadzą złota ni srebra, nie nabywają majątków ziemskich, lecz mają tylko to, co niezbędne do życia. Prawie samotnie żyją pośród ludzi, nie mając dóbr ni posiadłości, mimo to uważają się za bogatych, bo uważają skromność i dobroć za skarb prawdziwy. Odrzucają wszystko, co budzi w nich żądę posiadania. Nie ma wśród nich jednego nawet niewolnika, wszyscy są wolni i pomagają sobie wzajem. Mają wspólne pieniądze dla wszystkich i wspólne wydatki”.

Dlaczego pisma Nowego Testamentu o tym milczą? Problem ten dotyka jednej z największych tajemnic nie tylko Nowego Testamentu, lecz Biblii w ogóle. Czy Jezus, przynajmniej w początkowych latach swojej działalności, był esseńczykiem? Czy aktywnie dążył do upadku władzy Rzymian? Czy wzmianki o tym ocenzone i usunięto z pism Nowego Testamentu – a stało się to w czasach, w których Jezusa chciano uznawać tylko za odnowiciela czysto religijnego? Wywrotowiec, który odrzucał panującą władzę, nie nadawał się na centralną postać religii, która w stuleciach „po Chrystusie” wybiła się szybko na religię państwową.

Pierwotne chrześcijaństwo a podpora państwa

W pierwszych latach istnienia chrześcijaństwa, kiedy mieszkańcy Judei jęczeli pod jarzmem rzymskich oddziałów okupacyjnych, Jezus, który podawał się za zbawiciela, stanowił nadzieję dla ciemężonych. Przynajmniej widzieli oni dzięki niemu możliwość życia na wolności. Ufali, że Jezus wyzwoli ich z udręki. Myśleli nie tyle o lepszym życiu na tamtym świecie, ile o lepszym życiu tu – na ziemi. Jan Chrzciciel stał się znany, bo głosił kazania przeciwko Rzymianom – i za to go skazano. Esseńczycy cieszyli się wielką popularnością, bo głosili religijną odnowę i upadek reżymu rzymskiego. Czy podziw wczesnych chrześcijan, żyjących w niewoli, odnosił się do Jezusa radykalnego? Jego zaś ślady usuwano z ewangelii w trakcie historii Kościoła niezwykle gruntownie – ale nie udało się to do końca?

Chrześcijaństwo powstało i przeobraziło się zdumiewająco szybko z religii ludzi ciemężonych w religię będącą podporą państwa. W 313 roku n.e. Konstantyn Wielki wydał tak zwany edykt mediolański. A już w 311 roku Galeriusz zezwolił na wyznawanie wiary chrześcijańskiej. Chrześcijan wzywano do modlitw za cesarza i cesarstwo. W Mediolanie kler chrześcijański otrzymał takie same prawa, jakie mieli kapłani innych wyznań. W 380 roku n.e. chrześcijaństwo uznano za religię państwową. Wraz z takim przeobrażeniem się tego wyznania uległ również wizerunek Jezusa: buntownik, walczący przeciw obcemu panowaniu, zaczął się zajmować wyłącznie dobrem wiernych na tamtym świecie. Taką zmianę z punktu widzenia wczesnych chrześcijan można było określać wyłącznie jako zdradzenie Jezusa.

Okolo 1500 roku n.e. historia się powtórzyła. Szesnastowieczni chłopci powoływali się na Jezusa walcząc o wolność. Ich wojnę, krwawo stłumioną, można porównać do działalności esseńczyków I wieku n.e.

Marcin Luter a wojny chłopskie

W *Von der Freiheit eines Christenmenschen* Marcin Luter (1483-1546) pisze całkowicie w „esseńskiej tradycji”, choć na pewno nawet nie słyszał o współnocie religijnej znad Morza Martwego: „Chrześcijanin jest wolnym panem nad rzeczami wszelkimi i nikomu nie jest

poddany”. A w Eine treue Vermahnung zu allen Christen (1522): „A zatem, kłamców, zatwardziały tyranów dotkniesz zapewne mocno i na wolność wypuścisz wbrew ich nauce i dziełu, albowiem oni słuchać nie chcą”.

Czy wypowiadając te słowa nie stanął po stronie zbuntowanego chłopstwa? Powstańcy w każdym razie czuli się przez Lutra uprawomocnieni do wystąpień przeciwko władzy. W marcu 1525 roku w anonimowym piśmie ulotnym, zatytułowanym Zwölf Artikel zażądali: zwrotu nieruchomości rolnych chłopom, likwidacji dziesięciny, prawa do polowania, połowu ryb, złagodzenia pańszczyzny, nadania nowego porządku cesarstwu i cesarzowi, ograniczenia praw lokalnych panów i zapewnienia chłopom więcej swobód.

Tomasz Münzer (1490-1525), przybyły z polecenia Lutra do Zwickau jako predykant, czyli kaznodzieja protestancki, piętnował ucisk stanu chłopskiego przez władzę. W 1524 roku w Hochverursachte Schutzrede oskarżał: „Spójrz, bagnem lichwy, złodziejstwem są nasi panowie i książęta, wszystkie stworzenie biorą sobie na własność: wszystko musi być ich ryby w wodzie, ptaki w powietrzu, rośliny na ziemi. A przy tym szermują przykazaniem Bożym wśród biednych, powiadając: »Bóg przykazał: Nie kradnij«. Ich wszakże ono już nie dotyczy. Tak więc powodują wszystkimi ludźmi, biednym rolnikiem, rękodzielnikiem i wszystką żywą istotą, hańbią ją i wysysają. A już jak który co trochę rękę podniesie, idzie na stryczek. Panowie sami robią sobie z biednych ludzi wrogów. Nie chcą wcale usunąć przyczyny powstania. Jako ma być dobrze na długo? A jak to mówię, to jestem na pewno buntownik! Do dzieła!”

Luter był oczywiście przerażony, że powstańcy powoływali się na niego, napisał więc w Von der Freiheit eines Christenmenschen: „Którzy nauki moje dobrze czytają i rozumieją, ci nie wzniecają powstania, bo nie tego się od mnie uczyli”. Luter także uważał ucisk stanu chłopskiego za niechrześcijański. Ale w jego rozumieniu władza pochodziła od Boga. Polityki zaś nie można i nie wolno było uprawiać wedle ewangelii. Luter pisał w Von Kaufshandlung und Wucher: „Nauczałem zatem i często, że światem wedle ewangelii i miłości chrześcijańskiej rządzić nie można ni nie należy, czyni on atoli i żyje wedle swej woli, gdzie siłą się nie zmusi”.

Przemoc zdaniem Lutra może wypływać tylko od władzy. W swoim traktacie Wider die räuberischen und mörderischen Rotten der Bauern (1525) stwierdza: „Straszliwe grzechy przeciw Bogu i ludziom biorą owi chłopci na barki swoje, aże na śmierć zasłużyli rozmaitym uczynkiem ciała to i duszy: po pierwsze, że swojej władzy wiernie i posłusznie przysięgali być poddanymi i posłusznymi, jak to i Bóg nakazał, kiedy powiadał: oddawajcie więc, co jest cesarskiego, cesarzowi. A w Liście do Rzymian: Każdy człowiek niech się poddaje władzom zwierzchnim”. (Poniższe cytaty również pochodzą ze wspomnianej pracy Lutra.)

Ponieważ chłopci burzą się przeciw władzy, są wyjęci spod prawa. Tak, należy ich zabić: „Nawet buntownik, któremu można to udowodnić, będzie już w Bożej i cesarskiej uwadze, tak iż ten, kto pierwszy chce i może, niech go zadławi”. Luter przyrównuje powstania chłopskie do pożogi. Tak jak każdy chrześcijanin powinien zrobić wszystko dla ugaszenia pożaru, tak samo musi przemocą występować przeciw buntującemu się chłopstwu. W walce z chłopami każdy jest „sędzią najwyższym i katem zarazem”. Zabicie chłopca nie jest morderstwem – są to bowiem istoty opętane przez diabła: „Uważam przeto, iż w całym piekle ni jednego już nie zostało diabła, albowiem wsze już we chłopów weszły”.

Nie dopuszcza jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że należy wystąpić przeciwko buntownikom: „Bo książę i pan musi myśleć, że jest urzędnikiem Bożym i sługą jego gniewu, a miecz jego służy na takich i grzechem by się równie wielkim obciążył przed Bogiem, gdyby nie karał i nie bronił, i nie wypełniał swojego urzędu, jak kiedy zabija tego, któremu miecz przeznaczony”.

Według Lutra więc zabijanie chłopów jest obowiązkiem władzy. Kto tego nie robi, jest winny jego zdaniem w takim samym stopniu jak zbuntowani chłopci: „Powinna teraz zatem władza ruszyć i z czystym sumieniem uderzyć”.

Luter antycypuje sposób myślenia islamskich fundamentalistów, którzy z bojowników przeciw „diabelskim niewiernym” czynią męczenników. Pisze: „Może się zatem i zdarzyć, iż kto byłby zabity po stronie zwierzchności, będzie dla Boga męczennikiem prawdziwym, bo walczy tak sumiennie, bo idzie w bój ze słowem i posłuszeństwem Bożym. A znowuż kto polegnie po stronie chłopów, wiecznie się będzie smażył w piekielnym ogniu, bo mieczem wojuje przeciw słowu i posłuszeństwu Bożemu i jest ręką diabła”.

Luter uważa zwycięstwo chłopów za możliwe. Wtedy jednak wojny chłopskie byłyby niejako przygrywką do Dnia Sądu Ostatecznego, przy tym „za sprawą diabła wszelki porządek i władza” zniesione by były.

W żadnym razie nie wolno iść wobec chłopów na najmniejsze nawet ustępstwa. Luter: „Albowiem sto śmierci przecierpi chrześcijanin pobożny, nim o włos ustąpi chłopom w jakiej sprawie”.

Luter uważa, iż przemoc wobec chłopów jest narzędziem miłości bliźniego: „dlatego, drodzy panowie, zbawcie ich, uratujcie ich, pomóżcie im! Zmiłujcież się nad biednym ludem! Kłuj, bij, duś kto może! Chwała ci, gdy umrzesz! Nie dana ci będzie bowiem śmierć błogosławieńsza, niżli gdy umrzesz w posłuszeństwie dla słowa i rozkazu Bożego”. Kto buntowników zakłuwa, bije i dusi, ten – zdaniem Lutra – „się zbawia”.

Słynny reformator zamyka swój traktat stwierdzeniem: „Zda się to komu za surowe, niechże pomyśli, że nieznośny jest bunt, a za wszystkie grzechy świata czeka nas zniszczenie”.

Tak samo jak o zbuntowanych chłopach, jego zdaniem opętanych przez diabła, myślał Luter o Żydach: „Tak rozpaczliwe, złem przesiąknięte, trucizną, diabelstwem istoty te Żydy, a były przez lat tysiąc i czterysta naszą plagą, zarazą i wszelkim nieszczęściem, a są tym jeszcze. Summa summarum są dla nas samym diabłem” [Gesamtausgabe Luther, Erlanger Ausgabe XXXII, s. 242.]. W podobnie brutalny sposób jak zbuntowanych chłopów należy też traktować zdaniem Lutra Żydów. Można dyskutować, czy interpretacja Biblii dokonana przez Lutra była słuszna, budzi jednak zastanowienie jego wypowiedź, że światem należy rządzić nie według ewangelii, lecz przemocą i mieczem. Bo nawet ateista przyzna, że życie na ziemi byłoby znacznie lepsze, gdyby władcy kierowali się dobrą nowiną Nowego Testamentu. Wydaje się, że Luter zrezygnował z tej możliwości. Przykazanie mówiące o obowiązku miłości bliźniego, o miłości do wroga nie jest oczywiście „wynałazkiem” chrześcijaństwa. Głoszono je już jako najwyższą prawdę w bhakti, jednej z form religijności w hinduizmie. Tylko ktoś, kto żyje miłością, może mieć nadzieję na zbawienie. Jak Jezus, który określał się jako wcielenie miłości Bożej (Jan 15, 13), tak Budda – na długo przed nim – był czczony jako istota uduchowiona miłością bezgraniczną, przewyższającą wszystko.

XVI. Jak rewolucjonista przeobraził się w „cudotwórcę”

Jezus przebywał – z ewangelii nie wynika jak długo – wśród uczniów Jana Chrzciciela. Tu zetknął się zapewne z esseńczykami, którzy mieszkali o rzut kamieniem od miejsca działalności Jana. Ewangelie milczą na temat związków Jezusa z esseńczykami, nawet kiedy przytaczają czasem słowa Jezusa wzywające do zbrojnego oporu przeciw władzy. Nie możemy jednak przemilczeć faktu, że słowa te, pozwalające określić Jezusa mianem wywrotowca, głoszącego walkę mieczem, są raczej ukryte między wersetami niż

wysunięte na plan pierwszy. Stoją one w sprzeczności z wizerunkiem Jezusa, dominującym w Nowym Testamencie, wizerunkiem proroka, nie stosującego przemocy i propagującego miłość bliźniego. Czyżby więc owe „nietypowe” wypowiedzi Jezusa były „nieprawdziwe”?

Ewangelie, podobnie jak wszystkie teksty biblijne, z czasem przerabiano. Im bardziej młody kościół chrześcijański stawał się państwem w państwie, tym bardziej zmieniał się wizerunek Jezusa. Przy „opracowywaniu” wypowiedzi Jezusa starano się przedstawiać go jako zbawiciela w sensie duchowym, nie politycznym. Innymi słowy: wypowiedzi Jezusa radykalnego usuwano. Jeśli jednak jeszcze niekiedy w pismach Nowego Testamentu pojawia się Jezus-bojownik, to są to zapewne pozostałości wizerunku Jezusa wcześniejszego, historycznie prawdziwszego, które – nie wiemy dlaczego – nie padły ofiarą redaktorów.

Tajemnica głosu z nieba

Jezus został ochrzczony przez Jana w pobliżu osady esseńczyków. Fakt ten relacjonują wszystkie ewangelie Nowego Testamentu (Mat. 3, 13-17; Mar. 1, 9-11; Łuk. 3, 21-22; Jan 1, 29-34). Wszyscy ewangelieści opisują ten sam cud. Ale przy dokładniejszej lekturze okazuje się, że w opisach są niewielkie różnice. U Mateusza „otworzyły się niebiosy, i ujrzał Ducha Bożego, który zstąpił w postaci gołębicy i spoczął na nim. I rozległ się głos z nieba: Ten jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem” (Mat. 3, 17). U Marka i Jana Duch Boży zamienia się w Ducha, u Łukasza jest to Duch Święty.

Jeśli przeczytamy te teksty dokładnie, stwierdzimy, że Mateusz miał wyraźne problemy z chrztem Jezusa: jak bowiem Syn Boży mógł zniżyć się do tego, aby ochrzcił go człowiek, który doń nie dorastał? Tylko u Mateusza Chrzciel wzbrania się na myśl o wykonaniu przeznaczonej mu honorowej czynności. To on, napisano, powinien dać się ochrzcić Jezusowi nie zaś odwrotnie. Jezus jednak postępuje zdecydowanie: „A Jezus, odpowiadając, rzekł do niego: Ustąp teraz, albowiem godzi się nam wypełnić wszelką sprawiedliwość. Tedy mu ustąpił” (Mat. 3, 15).

U wszystkich czterech ewangelistów głos z nieba potwierdza, że Jezus jest Synem Bożym. U Mateusza i Jana Bóg przemawia pośrednio, u Łukasza i Marka mówi do Jezusa bezpośrednio: „Tyś jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem” (Łuk. 3, 22 i Mar. 1, 11).



II. 32. Jezus chrzczony przez Jana. Malowidło pędzla Biccia di Lorenzo (1375-1452). Z nieba zstępuje Duch Święty. Z czcią chylą głowy dwaj aniołowie



II. 33. Czy Jezus przebywał w murach Qumran? Niewątpliwie jest, że bojowi członkowie tego zagadkowego zakonu wywarli istotny wpływ na jego sposób myślenia

Dopiero po ochrzczeniu i Bożym potwierdzeniu, że jest to „Syn umiłowany” zaczyna się oficjalna działalność Jezusa – oświadczają zgodnie ewangelisti. Dla nich jego wystąpienie nacechowane jest w niezwykle sposób właśnie tym, że jest on Synem Bożym: Jezus czyni cuda.

Po chrzcie zaczyna wędrować po kraju. Towarzyszą mu uczniowie, których zgromadził wokół siebie. Co to była za grupa? Czy prawdą jest to, co mówi Manfred Barthel:

„Trudniej o bardziej kontrastowe i barwne towarzystwo jak owych dwunastu uczniów. Jezus dokonał chyba tego wyboru rozmyślnie, uwzględniając istniejące między nimi różnice”? [Manfred Barthel, Was wirklich in der Bibel steht, Düsseldorf 1987, s. 289.]

Czy Jezus działał opierając się na chłodnej logice? Czy przed prawie dwoma tysiącami lat wybrał sobie na uczniów ludzi jak najróżniejszych tak jak dziś do międzynarodowych produkcji filmowych wybiera się w miarę możliwości gwiazdy z różnych krajów, żeby wszędzie kasy były pełne? A może grupa była tak różnorodna, żeby identyfikowało się z nią wielowarstwowe społeczeństwo?



II. 34. Przez wieki jaskinie qumrańskie znali tylko nieliczni pasterze-koczownicy (© Höchsmann)



II. 35. Nikt nie wiedział, że właśnie tam czekają na odkrycie najcenniejsze manuskrypty powstałe niegdyś w Ziemi Świętej (© Hüchsmann)

W pierwszych dwóch wiekach przed narodzinami Chrystusa życie mieszkańców Izraela było nacechowane działalnością różnych ugrupowań religijnych i sekt. Byli faryzeusze, uważający się za religijną elitę narodu. Starali się oni prowadzić pobożny tryb życia, wedle surowych praw przekazanych przez Mojżesza. Do elity trzeba też zaliczyć saduceuszy, którzy pochodzili z wyższych warstw społeczeństwa.

Obywatele zamożni i kapłani też należeli do tego ugrupowania. W przeciwieństwie do faryzeuszy odrzucali przekazy ustne i stosowali się wyłącznie do Pisma. Nie wierzyli w zmartwychwstanie.

Faryzeusze i saduceusze są w Nowym Testamencie wymieniani stosunkowo często – o zelotach natomiast są tylko skąpe wzmianki. To właśnie zeloci byli buntownikami, zawsze gotowymi stawić zbrojny opór okupantom. W I wieku p.n.e. poszli za swoim przywódcą Judą Galilejczykiem, a później za jego synem Manahemem i jego wujem Eleazarem. To także zeloci powstali w 66 roku n.e. przeciwko Rzymianom. Obwarowali się w twierdzy Masada i w 74 roku n.e. popełnili zbiorowe samobójstwo. Woleli umrzeć, niż wpaść w ręce Rzymian. Podobnie buntowniczy byli esseńczycy, którym co najmniej bliski był Jan Chrzciciel.

Jezus, jego dwunastu uczniów i tajemnica „ludzi ze sztyletami”

Bardziej niż pouczające będzie ustalenie, do jakich ugrupowań społeczeństwa żydowskiego należeli poszczególni uczniowie Jezusa. Tę niewielką grupę otacza mgła tajemnicy. Uda się nam ją jednak rozwiać, jeśli przestudiujemy słowo po słowie nieliczne wersety Nowego Testamentu poruszające ten temat i odczytamy z nich informacje, które we współczesnych przekładach niestety zanikły. Pełny tekst znajdziemy w Ewangelii św. Łukasza: „I stało się w tych dniach, że wyszedł na górę, aby się modlić, i spędził noc na modlitwie do Boga. A gdy nastał dzień, przywołał uczniów swoich i wybrał z nich dwunastu, których też nazwał apostołami: Szymona, którego nazwał Piotrem i Andrzeja, brata jego, i Jakuba, i Jana, i Filipa, i Bartłomieja, i Mateusza, i Tomasza, i Jakuba Alfeuszowego, i Szymona, zwanego Gorliwcem, i Judasza Jakubowego, i Judasza Iskariotę, który został zdrajcą” (Łuk. 6, 12-16).

Łukasz wymienia dwóch Szymonów: Szymona, który nazywa się także Piotrem, oraz Szymona zwanego Gorliwcem. Szymon, zelota, pojawia się też w *Dziejach Apostolskich* (1, 13) jako „Szymon Zelota”. Mateusz (10, 4) i Marek (3, 18) określają go mianem „Szymon Kananejczyk”, Jan natomiast nic o nim nie mówi. Szymon Zelota należał do tych zelotów, których władza obawiała się najbardziej – do zelotów zwanych sicarii, czyli ludźmi ze sztyletami albo nożownikami. Szymon był więc wywrotowcem. Skończył śmiercią gwałtowną. Przekazy co do rodzaju jego śmierci są sprzeczne: albo go ukrzyżowano, albo rozpiłowano na dwoje.

Szymon nie był oczywiście jedynym zelotą wśród uczniów Jezusa. Był nim także Judasz Iskariota. Przydomek Iskariota albo Ischariota wywodzi się od słowa sicarii. Dla współczesnych Jezusa było to oczywiste. Judasz, późniejszy zdrajca, nosił przydomek „człowiek ze sztyletem”.

Nie tak łatwo natomiast rozpoznać przynależność do zelotów u trzeciego ucznia Jezusa, u Szymona, syna Jonasza. Być może taka liczba buntowników w świecie Jezusa wydawała się niemiła późniejszym tłumaczom Biblii, którzy niewłaściwie przełożyli jego imię. U Mateusza czytamy: „A Jezus odpowiadając, rzekł mu: Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jonasza” (Mat. 16, 17). Ale w tekście oryginalnym mamy: „Szymonie Barjona”. Słowo barjona można przetłumaczyć jako „wolna przestrzeń”. Mianem barjonim określano ludzi, mieszkających na wsi, poza miastem. Ale mianem barjonim Jerozolimy określano zelotów, którym przewodził Ben Zakkai, zwany „człowiekiem ze sztyletem”. Szacowni jerozolimscy mieszcianie potępiali jego ludzi. Nie pozwalano im przebywać w murach miasta. Nie znaczyło to oczywiście, że wszyscy mieszkańcy byli usposobieni wrogo do ludzi ze sztyletami. Zapewne było nieco inaczej: niektórzy potajemnie wywrotowcom pomagali.



II. 36. Różne teksty qumrańskie znalezione w tajemniczych jaskiniach dowodzą niezbicie, że istniały powiązania między Jezusem a tajnym zakonem z pustyni (© Höchsmann)

Oczywiście Rzymianie nienawidzili barjonim. A rzymskie wojska zaliczały do owych bojowników o wolność także Pawła. Wynika to jednoznacznie z *Dziejów Apostolskich*, gdzie czytamy, że apostoł ten został wyrzucony ze świątyni przez rozwścieczonych Żydów. Zgiełk zwrócił uwagę dowódcy kohorty, który „kazał [Pawła] związać dwoma łańcuchami” i „zaprowadzić go do twierdzy”. Dowódca zapytał Pawła: „Nie jesteś więc tym Egipcjaninem, który niedawno wzniecił powstanie i wyprowadził na pustynię cztery tysiące skrytobójców?” (Dz. 21, 30 nn.).

Wzburzony Paweł odrzuca to oskarżenie mówiąc: „Jestem Żydem z Tarsu w Cylicji” (Dz. 21, 39).

Pytanie dowódcy kohorty świadczy o tym, że barjonim byli dobrze znani Rzymianom jako bojownicy podziemia i że współpracowali z walecznymi esseńczykami. Nie da się dziś ustalić, czy oskarżenie, które wyszło z ust Rzymianina było pomyłką, czy też Paweł choćby przypadkiem miał do czynienia z buntownikami, a może nawet (okresowo?) należał do jakiejś organizacji podziemnej. Czy Saul, który miał też na imię Paweł i na polecenie władz szpiegował chrześcijan, został radykałem, który siłą walczył z rzymskimi władzami?

Tajemnica „Damaszku” esseńczyków

Profesor Pinchas Lapide zwraca w swojej książce uwagę na fakt, że w tekstach ewangelistów istnieje ukryta wzmianka o esseńczykach: „Wszędzie, gdzie w Biblii hebrajskiej jest mowa o Damaszku (np. I Mojż. 14, 15; I Mojż. 15, 2; Iz. 8, 4), Pismo mówi o mieście albo kraju Damaszek – poza fragmentem, w którym chodzi o »pustynię damasceńską«” [Pinchas Lapide, Paulus zwischen Damaskus und Qumran, Gutersloh 1995, s. 122 i 123.]. Chodzi tam nie o stolicę Syrii, ale o klasztor esseńczyków.

„Dokument Damasceński” esseńczyków nie dopuszcza żadnych wątpliwości: członkowie zakonu określali swój klasztor na pustyni jako Damaszek. Jest tam na przykład (patrz teksty qumrańskie CD 4, 3; 6, 2-11; 6, 19) mowa o tym, że pewien esseńczyk, zwany „nauczycielem sprawiedliwości” zaprowadził grupę Żydów, żyjących ściśle według przepisów Prawa Mojżeszowego, na „pustynię do Damaszku”. Tam zawarli oni rzekomo „nowe Przymierze” z Bogiem, czyli zostali przyjęci do zakonnej wspólnoty. Nie chodziło oczywiście o Damaszek w Syrii, gdzie w czasach Pawła panowały iście rajske warunki krajobrazowe. Saul/Paweł nie udał się do stolicy Syrii, lecz do esseńskiego Damaszku na pustyni. W tym esseńskim mieście miał wytropić, a następnie przywieść w pętach do Jerozolimy zwolenników nowej nauki (Dz. 9,2).

Nad Damaszkiem syryjskim panował wtedy król Aretas IV Filodemos. Religijne spory w odległej Jerozolimie były mu najzupełniej obojętne. Przede wszystkim nie chciał, aby ktoś mu się mieszał w politykę wewnętrzną. Gdyby jego ludzie schwytali szpiega z Izraela, to – zakładając, że król byłby w dobrym humorze – wydaliliby go z kraju. Pismo napisane przez arcykapłanów król by podarł, śmiejąc się szyderczo. Autorytet potężnego w Jerozolimie stanu kapłańskiego kończył się na granicy jego państwa.

Paweł pojechał do esseńczyków, skąd „po trzech latach” (Gal. 1, 18) powrócił do Jerozolimy. Tym samym „powołanie” Pawła nabiera zupełnie innego, tajemnego sensu! Czy prześladowca chrześcijan przeobraził się w walecznego esseńczyka?

Nie powinno więc dziwić, że w pismach Pawła można znaleźć ideologię i dogmaty esseńczyków, na co zwraca uwagę znakomity znawca Starego i Nowego Testamentu, profesor Pinchas Lapide:

„W listach Pawła znajdujemy nie tylko wyraźne ślady qumrańskiego sposobu myślenia, lecz również całe pouczenia, typowe dla ideologii esseńskiej. Gmina qumrańska uważała się za prawdziwy Izrael (Fil. 3, 3) i za wybrańców Boga, od czasu Jego łaskawego wyboru – który nastąpił już podczas aktu stworzenia (Ef. 1,4). Wiele późniejszych kościelnych nauk o predestynacji (przeznaczeniu), opierających się na niezasłużonej łasce Bożej, wywodzi się także z wpływów esseńskich na pisma Pawłowe. Szczególnie określanie się Qumrańczyków mianem »dzieci światłości« i »synowie światłości« często pobrzmiwa w tekstach Pawła (Ef. 5, 8; I Tes. 5, 5). W Liście do Rzymian zaś (9, 23) znajdujemy klasyczne resume nauki o podwójnej predestynacji do zepsucia albo do wspaniałości – sformułowane całkowicie w duchu Qumrańczyków, którzy nieustannie podkreślali, że człowiek, pozbawiony łaski Bożej, jest nędzną istotą, która żyje w grzechu. Dualizm światła i ciemności, który później odegra kluczową rolę w pismach św. Jana, jest również charakterystyczny dla teologii Pawłowej. »Odrzućmy tedy uczynki ciemności, a obleczmy się w zbroję światłości« – wzywa rzymską wspólnotę (Rzym. 13, 12). Koryntian ostrzega przed powrotem do wiary w bożki: »jakaż społeczność między światłością a ciemnością?« (II Kor. 6, 14) – słowami, żywo przypominającymi wskazówki kanonu sekty qumrańskiej” (IQS3,20-25) [Ibidem, s. 118 n.].

Trzeba tylko dokładnie przestudiować pisma Pawła porównując je z dokumentami, pozostawionymi przez esseńczyków – jak zrobił profesor Pinchas Lapide – aby stwierdzić istnienie zdumiewających zbieżności! Tak więc na przykład diabeł, ucieleśnienie wszelkiego zła, nazywa się u esseńczyków (kanon sekty IQS1, 18, Zwój wojenny IQM17, 6) Belial. Imię to pojawia się w Nowym Testamencie tylko raz – w Pawłowym II Liście do Koryntian: „co ma wspólnego sprawiedliwość z nieprawością albo jakaż społeczność między światłością a ciemnością? Albo jaka zgoda między Chrystusem a Belialem” (6, 15). Paweł był bez wątpienia pojętym uczniem esseńczyków, przeredagował ich teksty i włączył do swoich pism! W Liście do Galacjan (5, 19-26) wylicza grzechy i dobre uczynki. Źródłem, jakie wykorzystuje, jest bez wątpienia kanon sekty qumrańskiej (IOS4,2-14).

Trzech z dwunastu uczniów Jezusa było z punktu widzenia Rzymian podejrzanymi facetami – to bezlitośni bojownicy ruchu oporu: Szymon, czyli Zelota, Judasz, czyli człowiek ze sztyletem, oraz Szymon, czyli odrzucony. Pawła zaś podejrzewano o to, że jest zbrojnym buntownikiem. Utrzymywał bowiem bliskie kontakty z esseńczykami. Podejrzani dla władz rzymskich byli też Jakub i Jan, synowie Zebedeusza. Według Marka nosili oni przydomek „Boanerges, co znaczy: Synowie Gromu” (Mar. 3, 17), co można uznać za synonim takich określeń, jak „popędliwi, wybuchowi, skorzy do bitki, gorliwcy, fanatycy” – wszystko to były określenia zelotów! W każdym razie Jakuba ścięto – jako zbrojnego podżegacza. A jak rzecz się miała z Andrzejem, wyliczanym przez Marka (3, 18) wśród dwunastu uczniów? Był on bratem Szymona Zeloty. Czy również należał do grupki zbrojnych spiskowców?

„Barwnym towarzystwem”, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, uczniowie Jezusa wcale nie byli. Połowę jego pierwszych zwolenników należałoby zaliczyć do zelotów, czyli gotowych do walki zbrojnej członków bojowej organizacji podziemnej. O tym, że wśród uczniów Jezusa panowała gotowość do walki, dowodzi scena schwywania Jezusa. W Ewangelii św. Łukasza czytamy:

„A ci, którzy byli przy nim, widząc, na co się zanosi, rzekli: Panie, czy mamy bić mieczem? I uderzył jeden z nich sługę arcykapłana, i odciął mu prawe ucho” (Łuk. 22, 49-50). Na podstawie tekstu Łukasowego można przypuszczać, że wielu uczniów Jezusa nosiło broń. I byli oni gotowi jej użyć. Łukasz nie wymienia imienia ucznia, który dobył miecza. Podobnie Mateusz (26, 51) i Marek (14, 47), którzy także opisali tę dramatyczną scenę. Tylko w Ewangelii św. Jana czytamy: „Szymon Piotr, mając miecz, dobył go i uderzył sługę arcykapłana, i odciął mu prawe ucho” (Jan 18, 10).

Szymon Piotr wyciągnął broń, którą jako zelota nosił zawsze.

Ale dlaczego esseńczycy osiedlili się na pustyni? Bo tak samo jak Jezus byli przekonani o tym, że zbliża się koniec świata. Czekali na Mesjasza, na anioła światła, który ruszy do walki z siłami ciemności. To oczekiwanie końca świata głosił też Jan: „A w one dni przyszedł Jan Chrzyciel, każąc na pustyni judzkiej i mówiąc: Upamiętajcie się, albowiem przybliżyło się Królestwo Niebios” (Mat. 3, 2).

Esseńczycy i fatalny błąd w tłumaczeniu

Esseńczycy oczekiwali nadejścia Mesjasza, który pokieruje walką z siłami ciemności. A złymi siłami były dla nich rzymskie władze okupacyjne. Ale gdzie pojawi się wybawiciel? Informacja na ten temat – byli o tym przekonani – znajduje się w Biblii, w Księdze Izajasza. Stosowny fragment to werset 3 rozdziału 40. Oczywiście w wielu wydaniach Biblii został on źle przełożony. Czytamy więc: „Głos się rozlega kapłana na pustyni: Przygotujcie Panu drogę, wyprostujcie na pustkowiu drogę naszemu Bogu!” [Die Bibel oder die ganze Heilige Schrift des Alten und des Neuen Testaments nach der Übersetzung D. Martin Luthers, Stuttgart 1915.].

Właśnie na te słowa Izajasza powołuje się Jan Chrzyciel. Ale w wielu przekładach pojawia się wersja nieco inna. Tak więc u Mateusza czytamy: „Albowiem ten ci to jest, o którym Izajasz prorok mówił, wypowiadając te słowa: Głos wołającego na pustyni: Gotujcie drogę Pańską, prostujcie ścieżki jego” albo „Do niego to odnosi się słowo proroka Izajasza, gdy mówi: Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, dla Niego prostujcie ścieżki” [Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1990.], czy wreszcie: „O nim to właśnie mówił prorok Izajasz: Głos wołającego na pustyni: przygotujcie drogę Panu, prostujcie mu ścieżki” [Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań 1998.]. U Łukasza zaś (3, 4) mamy: „Jak było napisane w księdze mów proroka Izajasza: Głos wołającego na pustyni: Gotujcie drogę Pańską, prostujcie ścieżki jego” albo „jak jest napisane w księdze mów proroka Izajasza: Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, prostujcie ścieżki dla niego” [Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1990.].

O co tu właściwie chodzi? Jest mowa o wołającym na pustyni, który żąda, aby dla Mesjasza wyrównano drogę. Ale czegoś takiego nie ma w oryginale hebrajskim. Słowa przetłumaczono wprawdzie właściwie, ale znaki przestankowe rozmieszczono zupełnie inaczej niż w Księdze Izajasza, co zupełnie zmienia wymowę tekstu! Trzeba się przy tym zastanowić, czy błąd ten był przypadkowy, czy zmiany dokonano rozmyślnie. Istotne jest, że niewłaściwie rozmieszczone znaki interpunkcyjne wypaczają pierwotny sens wypowiedzi.

Wiemy też, w jaki sposób i kiedy doszło do popełnienia tego błędu. Legenda głosi, że greckiego tłumaczenia hebrajskiego tekstu Starego Testamentu dokonało około 250 roku p.n.e. siedemdziesięciu uczonych w siedemdziesiąt dni. W rzeczywistości jednak trwało to zapewne znacznie dłużej. Prace nad przekładem rozpoczęto przypuszczalnie za czasów Ptolemeusza II Filadelfosa w pierwszej połowie III wieku p.n.e., przekładając najpierw na grecki Pięcioksiąg Mojżeszowy. Przez następne 100 czy 150 lat tłumaczono pozostałe księgi Starego Testamentu. Właśnie wtedy popełniono decydujący błąd.

Ale jak brzmi tłumaczenie wierne? Dla uwypuklenia tej niewielkiej, ale bardzo istotnej różnicy zestawie tłumaczenie złe i właściwe.

Przekład zły:

„Głos wołającego na pustyni: Gotujcie drogę Pańską, Prostujcie ścieżki jego!”

Przekład dobry:

„Głos kapłana wołającego: Gotujcie drogę Panu na pustyni, prostujcie ścieżki Jego!”

Jeszcze raz: w złym przekładzie mamy kapłana, który przebywa na pustyni i żąda, aby Panu, czyli Mesjaszowi, przygotować drogę. Z tekstu nie wynika, gdzie oczekiwać Mejsasza.

Tłumaczenie prawidłowe nie mówi, gdzie jest kapłan. Dla autora tekstu jest to bez znaczenia. Istotne jest dlań, gdzie trzeba wyprostować drogę dla Mesjasza, gdzie należy na niego czekać – na pustyni!

Esseńczycy mieli oczywiście tekst oryginalny. Oczekiwali więc Mesjasza na pustyni. Ale na której? W jakim jej miejscu? Odwoływali się do Starego Testamentu i do najwcześniejszej historii ludu Izraela. Esseńczycy byli ciężej przez Rzymian – tak samo lud Izraela był kiedyś ciężony w egipskiej niewoli. Bóg zesłał wówczas Izraelitom wybawiciela – Mojżesza. Wyprowadził on lud Izraela z Egiptu i poprowadził „do domu”. Teraz esseńczycy oczekiwali drugiego Mojżesza, nowego wybawiciela, który wyzwoli ich spod jarzma nowych ciężycieli – Rzymian. Czy jednak było możliwe tak dokładne zlokalizowanie miejsca pojawienia się zbawiciela, aby go nie przeoczyć?

Esseńczycy nie żyli wątpliwości, gdzie wszystko się zdarzy. Wedle przekazów Starego Testamentu Mojżesz nie mógł wejść do Ziemi Obiecanej ze swoim ludem, któremu przewodził przez czterdzieści lat. Przed śmiercią wolno mu było tylko spojrzeć na Ziemię Obiecaną z góry Nebo. Nowego Mesjasza uważano za następcę Mojżesza. Dokończy on w pewnym sensie jego dzieło. Czyż więc nie zacznie swojej działalności tam, gdzie Mojżesz zakończył swoją – na górze Nebo albo w jej pobliżu? O tym esseńczycy byli zapewne przekonani. Szukali miejsca na granicy między bezludną, niegościnną okolicą a Ziemią Obiecaną – właśnie tam wzniesli klasztor, w którym czekali na Mesjasza.

Profesor Lapide pisze o esseńczykach:

„Ich ucieczka na pustynię była uważana nie tylko za urzeczywistnienie wizji proroka Izajasza, lecz również za element niezbędny do ponownego oswobodzenia Izraela. Historia ich sekty była dla nich symbolem ponownego przebiegu historii Izraela: od exodusu, czyli wyjścia z Egiptu, przez lata wędrówki po pustyni do ostatecznego zajęcia Kanaanu. Ich ogląd historii zbawienia miał więc dewizę »z powrotem do przyszłości«” [Pinchas Lapide. *Pauius zwischen Damaskus und Qumran*, Gütersloh 1995, s. 121 i 122.].

W klasztorze żyli ściśle według przepisów Prawa Mojżeszowego. Ich zdaniem Bóg odwrócił swoje oblicze od Izraela, bo jego lud przestał tego prawa przestrzegać. Jeśli dawne reguły znów wprowadzi się w życie, to pojawi się Mesjasz i uwolni lud z rzymskiego jarzma, które musiano znosić o wiele za długo.

Oczekiwany Mesjasz nie miał być wcale pobożnisiem, który z namaszczeniem będzie głosił prawdy o szczęśliwym świecie czekającym na wszystkich dobrych ludzi po śmierci. Czekano z nadzieją na powstańca, który pociągnie za sobą ludzi do walki z Rzymianami. Jego droga zacznie się właśnie na pustyni. O tym byli przekonani zarówno esseńczycy, jak i zeloci. Dlatego gromadzili się wokół Jezusa, kiedy ten pojawił się we wspólnocie Jana, zwanego Chrzcicielem. Byli to ludzie niezadowoleni i rozczarowani, którzy chcieli, aby zmiany polityczne nastąpiły jak najszybciej. Pokładali nadzieję w Jezusie widząc w nim politycznego odnowiciela. Dlatego właśnie ich zdaniem zbawiciel Jezus musiał

wywodzić się z domu Dawidowego. Podobnie jak Salomon wzniósł świątynię, tak Mesjasz zbuduje nowy Izrael – kraj bez Rzymian, kraj ludzi wolnych, żyjących pobożnie wedle przepisów, jakie Mojżesz otrzymał od Boga.

Dla Jana Chrzciciela Jezus był właśnie takim potężnym zbawicielem:

„Albowiem ten ci [Jezus] to jest, o którym Izajasz prorok mówił, wypowiadając te słowa [...]:
Gotujcie drogę Pańską [na pustyni], prostujcie ścieżki jego” (Mat. 3, 3).

Ale historia potoczyła się zupełnie inaczej. Jezus rozczarował swoich zwolenników. Nie wyzwolił ich spod panowania rzymskich okupantów. W 74 roku n.e. upadła Masada, ostatni ośrodek powstania antyrzymskiego. A wraz ze zwycięstwem Rzymian zaczął się zmieniać wizerunek Mesjasza. Wiara chrześcijańska zaczęła się powoli przeobrażać w doktrynę państwową. Nie było już miejsca dla Mesjasza-wywrotowca. Kiedy młode chrześcijaństwo porozumiało się z władzą świecką, Mesjasz wywrotowy przeobraził się w Mesjasza religijnego. Mesjasz prawdziwy został zdradzony – koniec końców przez Lutra, który cynicznie stwierdził, że świat jest zły i należy nim kierować nie według ewangelii, ale mieczem. Również zeloci pokładali nadzieję w mieczu, który miał się przyczynić do krwawego końca Rzymian. Zeloci walczyli i umierali po stronie ludzi ciemionych. Luter stanął po stronie ciemniycieli i głosił, że wyrznanie w pień zbuntowanych chłopów jest miłe Bogu.

Tomasz Munzer jako ideologiczny przywódca chłopskich powstańców poczuł się zapewne nowym Mesjaszem, który doprowadzi uciemionych do wolności. Rudolf Augstein pisze:

„Prawdą jest, że biblijne przemowy Jezusa oraz odniesienia do Starego Testamentu zachwyciły wielu świeckich rewolucjonistów, najbardziej zaś chłopskiego kaznodzieję, Tomasza Munzera, którego utożsamianie się z osobą Zbawiciela od razu rzuca się w oczy. Jeśli wyobrazimy sobie Jezusa jako świeckiego rewolucjonistę (którym może być...), to Tomasz Munzer jest dla nas jego pogładowym odzwierciedleniem, uznanie zaś Jezusa za antycypację Munzera nie będzie wcale bluźnierstwem. Wszystko, co stanowiło przeszkodę na drodze Chrystusowej, pisze Ernst Bloch w swojej wciąż aktualnej pracy o Miinzerze, było dla przywódcy niemieckich chłopów znienawidzone” [Rudolf Augstein, Jesus Menschensohn, Reinbek bei Hamburg 1974, s. 48 n.].

Ktoś taki jak Tomasz Miinzer był bez wątplenia prawdziwym Mesjaszem w rozumieniu zelotów, a więc i wytęsknionym zbawicielem, wedle wyobrażeń wielu uczniów Jezusa. Ale podobnie jak krwawo stłumiono zbrojne powstanie, dowodzone przez Munzera i jemu podobnych, tak samo krwawo skończyło się powstanie zelotów w Masadzie. A trzydziestopięcioletniego Tomasza Munzera po chłopskich bitwach pod Frankenhausem w 1525 roku, zamordowano po straszliwych torturach.

Jezus jako „cudotwórca”

Jedną z największych tajemnic Nowego Testamentu jest fakt, że w ewangeliach istnieje nie tylko jeden obraz Jezusa. Nakreślono tam dwa zasadniczo różne jego wizerunki. Po jednej stronie jest Jezus ascetyczny, który pości na pustyni i jest bliski równie ascetycznym esseńczykom. Po drugiej stronie mamy Jezusa lubiącego ziemskie rozkosze. Jest to szczególnie wyraźne w opisach cudów, które czynił.

Powinniśmy sobie jednak unaocznić, że już w czasach antycznych nie brakowało cudów czynionych publicznie. Robert Kehl pisze:

„Czasy antyczne znają mnóstwo cudów, zwłaszcza że ich potrzeba była wtedy szczególnie silna. Wybitnymi cudotwórcami byli wówczas zbawiciele wywodzący się z różnych religii misteryjnych, którzy potrafili pomóc ludziom w każdej potrzebie” [Robert Kehl, Das Christentum war nichts Neues, Langenthal 1974, s. 63.].

Cuda jednak przypisywano także współczesnym Jezusa, na przykład Apoloniuszowi z Tyany. Jego biografia przypomina zdumiewająco biografię Zbawiciela, przekazaną przez ewangelistów.

Już przy narodzinach Apolloniusa były obecne istoty wyglądające jak aniołowie. Jako młodzieniec najczęściej przebywał w świątyni i wprawiał arcykapłanów w zdumienie inteligentnymi pytaniami. Gdy był nieco starszy, otaczała go podobno grupa uczniów, z którymi wędrował po kraju, wygłaszając kazania. Podawał się za syna Boga. Potrafił okiełznywać żywioły – uciszał burze i uśmierzał trzęsienia ziemi.

Z największym jednak zapalem, o czym pisze jego biograf Filostrat Flawiusz, czynił cuda. Opętanych uzdrawiał równie skutecznie jak sparaliżowanych, którzy od razu zaczęli chodzić, i ślepych, którym przywracał wzrok. Do jego repertuaru należało też wskrzeszanie z martwych. W tętniącej życiem metropolii przywrócił do tego świata dziewczynkę, której śmierć krewni już opłakiwali.

Bardzo słusznie stwierdza Marcello Craveri:

„Wszystkie religie antyku, także pogańskie, przedstawiały świadectwa niezwykłych zdarzeń, które przypisywano odpowiednim bóstwom. Zarówno w mitologii greckiej, jak i rzymskiej jest pełno opowieści o bogach, którzy wywoływali i uciszali burze, powodowali wybuchanie i gaśnięcie epidemii zarazy; na polu bitwy prowadzili do celu wystrzelone strzały albo zmieniali ich bieg, powodowali, że ludzie zaczęli do siebie paść miłością albo wpadali w obłąd lub umierali. Bogowie ci potrafili też przemieniać się w istoty ludzkie albo przeobrażać ludzi w bogów, zwierzęta, kamienie, drzewa, źródła etc. W utworach Homera i Wergiliusza mnóstwo jest opisów takich fantastycznych zdarzeń. Same Metamorfozy Owidiusza liczą piętnaście ksiąg. Jeśli zebrać wszystkie cudowne przypadki, o których opowiada Tytus Liwiusz w Dziejach, które pisał, kiedy Jezus był jeszcze chłopcem, to starczyłyby one na grubą książkę. Historyk Tacyt, urodzony ok. 55 roku n.e., pisze o cudownych uzdrowieniach, dokonywanych przez cesarza Wespazjana „dzięki szczególnej łasce, jaką obdarzyli go bogowie”. W Asklepiejonie w Atenach wisi mnóstwo inskrypcji, w których ludzie dziękują bogu Asklepiosowi za cudowne uzdrowienia. Cuda przypisywane mędrcom i magom Apoloniuszowi z Tyany (I w. n.e.) przypominają zdumiewająco cuda dokonywane przez Jezusa” [Marcello Craveri, Das Leben des Jesus von Nazareth, Stuttgart 1970, s. 119.].



II. 37. Wesele w Kanie Galilejskiej wyjaśnia przemianę Jezusa z ascetycznego zwolennika sekty qumrańskiej w „wywrotowca”

Wykraczałoby poza ramy tej książki wyliczanie najważniejszych tylko „cudotwórców” różnych religii i kultów sprzed Jezusa i po nim. Zresztą lista taka niczego nie udowodni. Twierdzenie krytyków chrześcijaństwa, że Jezus nie dokonał żadnych cudów i że to tylko jego „biografowie” przepisali i przypisali mu opisy różnych cudów z relacji o wcześniejszych cudotwórcach, jest niesłuszne. Taka argumentacja jest nielogiczna.

Faktem jest, że Celsus, rzymski uczyony z II w. n.e. i autor dzieła *Alethos*, uważa cuda Jezusa za fakty. Umiejętności swoich – pisze Celsus, który nie cierpiał chrześcijan i był wszystkim tylko nie człowiekiem podziwiającym Jezusa – nauczył się zapewne od Egipcjan.

Opisy Jezusa-„cudotwórcy” musimy przyjąć do wiadomości. Nawet najzręczniejsza ekwilibrystka umysłowa nie pozwoli zadowolająco odpowiedzieć na pytanie, czy

przypisywane mu uczynki były prawdziwe, czy też wymyślili je autorzy Nowego Testamentu.

W cuda dokonywane przez Jezusa można wierzyć lub nie. Powinniśmy sobie jednak zadać pytanie, dlaczego Jezusa opisywano jako „cudotwórcę”. Jakie zamiary żywili wcześnie teolodzy, zbierający teksty do Nowego Testamentu, kiedy umieszczali tam opowieści o cudach?

Chcieli postać Jezusa przewartościować. Jezus doczesny miał się przeobrazić w Mesjasza, zainteresowanego zbawieniem dusz na tamtym świecie, w Mesjasza, nie interesującego się banaliami życia ziemskiego. Jezus „wywrotowiec” był już w przeważającej mierze z tekstów usunięty. Teraz punkt ciężkości należało przesunąć na niezwykłego zbawiciela nie z tego świata.

Zafałszowany cud w Kanie Galilejskiej i wskrzeszenie zmarłych

Zamiar ten jest szczególnie wyraźny w opisie cudu w Kanie Galilejskiej. Albo raczej widać tu metodę, jaką stosowano do zmian i manipulacji tekstem pierwotnym: fałszowanie przekładu.

Z Kafarnaum, gdzie była jego „baza główna”, powędrował więc Jezus wraz z uczniami przez żyzne pola nad jeziorem Genezaret. Kana Galilejska, dziś Kafr Kanna, leży między Tyberiadą a Nazaretem. Z Kafarnaum można tam było dotrzeć na piechotę. W pewnym zaś domu tego miasteczka podobno zdarzył się cud. Cud ten opisano tylko w Ewangelii św. Jana:

„A trzeciego dnia było wesele w Kanie Galilejskiej i była tam matka Jezusa. Zaproszono też Jezusa wraz z jego uczniami na to wesele. A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusa do niego: Wina nie mają. I rzekł do niej Jezus: Czego chcesz ode mnie, niewiasto? Jeszcze nie nadeszła godzina moja” (Jan 2, 1-4).

Co znaczy „trzeciego dnia”? To określenie czasu wydaje się tu zupełnie nie na miejscu, bo ani w tekście wcześniejszym, ani dalej nie podano dokładnych ram czasowych. Prawdopodobnie autor tego fragmentu nawiązuje do starotestamentowego opisu aktu stworzenia. Od trzeciego dnia Bóg był szczególnie zadowolony. Jest o tym mowa dwukrotnie: „I widział Bóg, że to było dobre. Trzeciego zaś dnia [dosłowne tłumaczenie fragmentu wersetu 11. dokonane przez autora] rzekł Bóg: Niech się zazieleni ziemia” (I Mojż. 10-11). Tak więc trzeci dzień stworzenia jest dniem rodzącego się życia. Dlatego od niepamiętnych czasów w dawnym Izraelu urządzano wesela w trzeci dzień tygodnia.

Ale wróćmy do Ewangelii św. Jana. Dlaczego Jezus zareagował tak grubiańsko na słowa swojej matki? Dlaczego nie potraktował jej jak kochający syn? Odpowiedź: to tylko pozory. Jego odpowiedź bowiem została przez tłumaczy i redaktorów tekstu zafałszowana. Chcieli zrobić z Jezusa, który troszczył się o wygodę i przyjemności swoich bliźnich w życiu doczesnym, kogoś zupełnie innego. „Nowy”, „teologiczny” Jezus odczuwa sprawę kończącego się wina jako coś niezwykle irytującego. Sam problem jest dla niego obojętny. Teraźniejszość nie ma dlań żadnego znaczenia. On żyje przecież tylko po to, aby kiedyś umrzeć za ludzkie grzechy na krzyżu. Dlatego właśnie mówi: „Jeszcze nie nadeszła godzina moja”.

Błędy pojawiły się przy tłumaczeniu tekstu greckiego na łacinę. Greckie słowo hora tłumaczy się jako „godzina” albo „pora”, kiedy nad literą „o” znajduje się znak przydechu spiritus asper. Ale umieszczenie tam znaku przydechu spiritus lenis radykalnie zmienia

znaczenie tego słowa: z „godziny” albo „pory” robi się „troska” albo „obawa”. Właściwy więc przekład powinien brzmieć: „Moje troski nie nadeszły” albo „nie przejmuję się”.

Zrekonstruujmy więc tekst: „Czego chcesz ode mnie, niewiasto? Nie przejmuję się”. Ale te dwa zdania zupełnie do siebie nie pasują. Dlaczego? Bo pierwsze też przełożono niewłaściwie. W oryginale nie jest to pytanie. Czytamy tam: „Coś dla mnie, coś dla ciebie, niewiasto [jest możliwe]”.

I już historia o cudzie w Kanie Galilejskiej zaczyna mieć zupełnie inne znaczenie. Jezus nie robi niejasnych aluzji. Nie mówi, że nie chce mieć nic wspólnego z matką, bo jego godzina – godzina ukrzyżowania jeszcze nie nadeszła. Nie odpowiada matce nieuprzejmie. Powróćmy jednak do Kany: Jezus jest wraz z uczniami na weselu. Podchodzi doń jego zatroskana matka i mówi, że skończyło się wino. Jezus odpowiada: „Coś dla ciebie, coś dla mnie, niewiasto, jest możliwe. Nie martwię się”. Albo, jeszcze potoczniej, ale bardziej zgodnie z oryginałem: „[Wino się kończy?] Albo mnie, albo tobie, matko, coś przyjdzie do głowy. Nie ma się co martwić”.

Tak poprawiony przekład doskonale pasuje do całości tekstu. Matka Jezusa się uspokoiła:

„Rzekła matka jego do sług: Co wam powie, czyńcie! A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych według żydowskiego zwyczaju oczyszczenia, mieszczących w sobie po dwa lub trzy wiadra. Rzecze im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą! I napełnili je aż po brzegi. Potem rzekł do nich: Zaczepnijcie teraz i zanieście gospodarzowi wesela! A oni zanieśli. A gdy gospodarz wesela skosztował wody, która się stała winem (a nie wiedział, skąd jest, lecz słudzy, którzy zaczępnęli wody, wiedzieli), przywołał oblubieńca i rzekł do niego: Każdy człowiek podaje najpierw dobre wino, a gdy sobie podpiją, wtedy gorsze; a tyś dobre wino zachował aż do tej chwili. Takiego pierwszego cudu dokonał Jezus w Kanie Galilejskiej; i objawił chwałę swoją, i uwierzyli weń uczniowie jego” (Jan 2, 2-11).

W kogo uwierzyli jego uczniowie? W „cudotwórcę”, który – abrakadabra! – zamienił wodę w wino? W sztukmistrza o zadziwiających umiejętnościach? Uwierzyli w człowieka, który był zwrócony ku doczesności i dla którego pomyślność była ważna tu i teraz, który nie robił nadziei na lepszą przyszłość na święty nigdy. Taka jest najistotniejsza wymowa cudu w Kanie Galilejskiej, którą – co wykazałem słowo po słowie – teologicznie nastawieni tłumacze przekręcili o sto osiemdziesiąt stopni.

Jeśli zatem odbierzemy cud w Kanie Galilejskiej właściwie, czyli w odniesieniu do doczesności, wtedy także inne cuda dokonane przez Jezusa będą miały inny sens. Ukażą go jako człowieka, któremu leży na sercu doczesna pomyślność ludzi.



Il. 38. Dawna mozaika w Tabgha nad jeziorem Genenezaret w kościele Rozmnożenia Chleba przypomina „nakarmienie pięciu tysięcy” przez Jezusa (© Höchsmann)

W epizodzie „Uciszenie burzy” (Mat. 8, 23-27; Mar. 4, 35-41; Łuk. 8, 22-25) Jezus wybawia swoich uczniów z całkiem doczesnego niebezpieczeństwa, kiedy wydaje się, że ich łódź za chwilę zatonie.

W epizodzie „Nakarmienie pięciu tysięcy” (Mat. 14, 13-21; Mar. 6, 35-44; Łuk. 9, 10-17; Jan 6, 1-15) Jezus obdarza mnóstwo ludzi jedzeniem. Łukasz i Jan piszą, ilu ludzi zaspokaja głód; najpierw mówią o „tłumach” (Łuk. 9, 11) i o „mnóstwie ludu” (Jan 6, 2), potem podają przybliżoną liczbę ludzi. Niezbyt dokładny jest też Mateusz „A tych, którzy jedli, było około pięciu tysięcy mężów oprócz niewiast i dzieci” (Mat. 14, 21). Ściśle wyraża się Marek: „A było tych, którzy jedli chleby, pięć tysięcy mężów” (Mar. 6, 44).

Jezus sprawił w cudowny sposób, że pojawiło się tak wiele ryb i chleba, iż – w tej kwestii wszyscy czterej ewangelisci są zgodni – było jeszcze „z pozostałych odrobiny dwanaście pełnych koszów”. Jezus kazał pozbierać resztki z jedzenia, żeby nic się nie zmarnowało.

Jak bardzo Jezus był zorientowany na życie doczesne, świadczą również wskrzeszenia z martwych, których dokonywał. Dla późniejszych teologów, którzy zajmowali się Jezusem, życie doczesne było tylko padołem łez, z którego należało odejść. Ich zdaniem prawdziwe szczęście czekało na ludzi dopiero po śmierci, na tamtym świecie. Jezus natomiast był nastawiony na coś wręcz odwrotnego, na życie doczesne. Inaczej przecież by nie przywracał zmarłych z rzekomo tak upragnionego pobytu na tamtym świecie do świata żywych.



Il. 39. Synagoga w Kafarnaum. Tu Jezus zawsze wracał z podróży (© Höchsmann)

Łukasz opisuje historię „młodzieńca z Nain”: „A zaraz potem udał się [Jezus] do miasta, zwanego Nain, i szli z nim uczniowie jego i mnóstwo ludu. A gdy się przybliżył do bramy miasta, oto wynoszono zmarłego, jedyne syna matki, która była wdową, a wiele ludzi z tego miasta było z nią. A gdy ją Pan zobaczył, użalił się nad nią i rzekł do niej: Nie płacz. I podszedłszy, dotknął się noszy, a ci, którzy je nieśli, stanęli. I rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię: Wstań. I podniósł się zmarły, i zaczął mówić. I oddał go jego matce. Wtedy lęk ogarnął wszystkich, i wielbili Boga, mówiąc: Prorok wielki powstał wśród nas i Bóg nawiedził lud swój. I rozeszła się o nim ta wieść po całej okolicznej krainie” (Łuk. 7, 11-17).

Przywrócony do życia został też przez Jezusa Łazarz, co opisuje Jan. Łazarz zmarł po ciężkiej chorobie i od czterech dni spoczywał w grobie. Kiedy Jezus nakazał odsunąć kamień zagrażający wejście do grobu w pieczarze, ostrzegła go siostra zmarłego: „Panie! Już cuchnie, bo już jest czwarty dzień w grobie” (Jan 11, 39). Mimo to Jezus nie ustąpił.

Zawołał: „Łazarzu, wyjdź! I wyszedł umarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była owinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: Rozwiążcie go i pozwólcie mu odejść” (Jan 11, 43-44).



II. 40. Wskreszenie dokonane przez Jezusa. Obraz Nicolasa Fromenta (1435-1484)

Moja wola, twoja wola?

Jan podkreśla wyraźnie, jakie moce wykorzystywał Jezus przy wskrzeszaniu zmarłych.

Pisze: „A Jezus, wzniosłszy oczy w górę, rzekł: Ojcze, dziękuję ci, żeś mnie wysłuchał. A Ja wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz, ale powiedziałem to ze względu na lud stojący wkoło, aby uwierzyli, żeś Ty mnie posłał” (Jan 11, 41-42). Werset ten jak żaden inny wyjaśnia przemianę, jakiej poddano wizerunek Jezusa. Jezus, który przebywa wśród zwolenników Jana Chrzciciela, przynosi nadzieję. Oczekiwano po nim, że własnymi siłami zdoła wyzwolić naród żydowski spod panowania Rzymian. Jan czyni zeń cudotwórcę, który działa nie własnymi siłami, ale jako narzędzie Boże.

Wilhelm Kammeier, jeden z najkrytyczniejszych badaczy Pisma Świętego naszego stulecia – zmarł w 1959 roku w ówczesnej NRD – zwrócił uwagę w swoim studium [Wilhelm Kammeier, *Die Fälschung der Geschichte des Urchristentums*, Wobbenbüll Husum 1982.], że „oryginalne teksty” Nowego Testamentu nie zawierają żadnych jednoznacznych dowodów wypowiedzi o tak fundamentalnym znaczeniu. Wyjaśnił to na przykładzie najważniejszej chyba modlitwy chrześcijaństwa: „Ojcze nasz” przekazują nam tylko ewangelie św. Mateusza (6, 9-11) i Łukasza (11, 1-4), u Marka i Jana jej nie ma.

Kammeier zwraca uwagę na fakt, że „rękopisy S, A, C i D” „Ojcze nasz” są oddane w takiej formie, jaką znamy z dzisiejszych wydań Biblii. Według Mateusza i Łukasza Jezus nakazał swoim uczniom, aby modlili się następująco:

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, przyjdź Królestwo twoje, bądź wola twoja, jak w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, i odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego” (Mat. 6, 9-13).

Właśnie tak przekazano tekst modlitwy w wielu pismach pierwotnych, tak zwanych kodeksach. Ale w najstarszym rękopisie jest istotna różnica: nie ma tam prośby „bądź wola

twoja”. Czy jednak nie należy uznać, że najstarsze rękopisy są prawdziwe, co najwyżej przeinaczone? A jeśli wersje późniejsze są dłuższe, to czy nie zostały uzupełnione? Właśnie o słowa „bądź wola twoja”. Jeśli to zdanie dodano dopiero w tekstach późniejszych, znaczy to, że Jezus jako postać historyczna był manipulowany. Silny uczeń Jana Chrzciciela przeobraził się w raczej słabowitego pomocnika Boga wszechmocnego. Wywrotowiec zamienił się w „cudotwórcę”.



Il. 41. Wskreszenie Łazarza na fresku (ok. 1309 r.) Giotta w kościele św. Franciszka z Asyżu



Il. 42. Triumfalny wjazd Jezusa do Jerozolimy Rozentuzjasmowane tłumy składają mu hołd, widząc w nim przyszłego władcę, który zakończy rzymską niewolę – jak niegdyś Mojżesz, który lud ojców wyprowadził z egipskiej niewoli. Obraz pędzla Duccia di Buonisegno (1260-1318)



Il. 43. Tak wyglądała zapewne Jerozolima za czasów Jezusa (© Hdchsmann)



Il. 44. Jezus i jego uczniowie podczas „Ostatniej Wieczerzy „. Z lewej strony „zdrajca” Judasz. Hiszpański obraz ołtarzowy z XIV wieku

XVII. Droga na Golgotę

W 1543 roku Luter w *Von den Juden und ihren Lügen* pisał:

„Żeby podłożyć ogień pod ich [Żydów] synagogi i szkoły, a co nie spłonie, ziemią przykryć i przysypać, aby nie został kamień na kamieniu po wsze czasy. A czynić tak należy w imię naszego Pana i chrześcijaństwa, aby Bóg widział, żeśmy chrześcijany [...]. Żeby domy ich niszczyć i burzyć. Bo oni tam robią to samo, co w swoich szkołach. Za to należy ich zgromadzić pod jakim dachem albo w stajni, jak Cyganów [...]. Żeby ich rabinom pod gardłem zabronić uczenia takż [...]. Żeby zabronić im pod gardłem oficjalnie chwalić Boga, Bogu dziękować, modlić się, nauczać” [Gesamtausgabe Luther, Erlanger Ausgabe XXXII, s. 233 nn.].

Czy uczeni w Piśmie zdecydowali o śmierci Jezusa?

Antyżydowska nagonka Lutra to apogeum niesławnej historii Kościoła. Tendencje antyżydowskie są jednak równie stare jak ewangelie. Nie można zaprzeczyć, że Jezus i jego uczniowie byli Żydami. Ale już autorzy ewangelii biblijnych próbowali oddzielić Jezusa od żydostwa. Uczyli to, przedstawiając go – w związku z licznymi uzdrowieniami – jako kogoś, kto łamie przykazanie szabasu.

W najstarszej ewangelii, Ewangelii św. Marka, czytamy:

„I przybyli do Betsaidy. I przyprowadzili do niego ślepego, i prosili go, aby się go dotknął. A On wziął ślepego za rękę, wyprowadził go poza wieś, plunął w jego oczy, włożył nań ręce i zapytał go: Czy widzisz coś? A ten, przejrzawszy, rzekł: Spostrzegam ludzi, a gdy chodzą, wyglądają mi jak drzewa. Potem znowu położył ręce na jego oczy, a on przejrzał i został uzdrowiony; i widział wszystko wyraźnie” (Mar. 8, 22-26).

W Ewangelii św. Jana uzdrowienie ślepego opisano powtórnie – znacznie bardziej szczegółowo. Ale o ile Marek nie uważa dnia, w którym zdarzył się cud, za godzien uwagi, o tyle u Jana czytamy: „A był właśnie sabat w tym dniu, w którym Jezus uczynił błoto i otworzył oczy jego” (Jan 9, 14). Wywołało to zdaniem Jana gniew faryzeuszy, którzy powiedzieli: „Człowiek ten nie jest z Boga, bo nie przestrzega sabatu” (Jan 9, 16). Ich więc zdaniem Jezus, działając jako uzdrowiciel, sprofanował szabas; w który Żydom nie wolno pracować.

Jezus miał być więc przedstawiony jako ktoś, kto nie zważa na jedno z najświętszych praw religii żydowskiej. Żydowski uczeni w Piśmie zostali przedstawieni jako potwory, które za wszelką cenę próbują udowodnić, że Jezus złamał najwyższe prawo Boże. Niech już chorzy będą chorzy, a sparaliżowani – sparaliżowani, byle tylko prawu stało się zadość.

Według Mateusza, Marka i Łukasza uczonym w Piśmie nie wystarczyło oczywiście schwytywanie Jezusa na złamaniu prawa. Zastawili jeszcze nań pułapkę. Byli zdecydowani oddać go pod sąd. Powód zawsze się znajdzie.

W Ewangelii św. Mateusza czytamy: „I odszedłszy stamtąd, przyszedł do ich synagogi. A był tam człowiek, który miał uschlą rękę. I zapytali go, mówiąc: Czy wolno w sabat uzdrawiać? Chcieli go bowiem oskarżyć” (Mat. 12, 9-10). Pułapka była oczywista: faryzeusze mieli nadzieję, że Jezus przyzna, iż w szabat dokonywał uzdrowień – co ich zdaniem było zabronione. Jezus jednak odparł: „Któż z was, mając jedną owcę, gdyby mu ta w sabat do dołu wpadła, to czy jej nie pochwyti i nie wyciągnie? O ileż więcej wart jest człowiek, niż owca! A zatem wolno w sabat dobrze czynić” (Mat. 12, 11-12). Według Marka na to samo pytanie Jezus odpowiedział: „Czy wolno w sabat dobrze czynić, czy źle czynić, życie zachować czy zabić?” (Mar. 3, 4).

Uczeni w Piśmie milczeli speszeni, ale z zadowoleniem zacierali ręce. W ich oczach bowiem Jezus udowodnił, że jest bluźniercą. Musi więc umrzeć. Według Mateusza, Marka i Łukasza los Jezusa przypieczętowano: jego śmierć była sprawą zamkniętą. Wkrótce przypisano mu też winę. To żydowski uczeni w Piśmie zapoczątkowali proces przeciw Jezusowi.

Ale z historycznego punktu widzenia sprawa tak wcale nie wyglądała ani w szczegółach, ani w całości. Dość sarkastycznie, w lekkim stylu pisze o tym pani dr Landmann:

„Mówiliśmy już, że uczeni w Piśmie dawali w szkołach w Jerozolimie uczone wykłady i tak samo rzadko wędrowali po kraju w poszukiwaniu cudownych uczynków jak dzisiejsi profesorowie – na pewno więc nie mieli nawet zielonego pojęcia o Jezusie. To właśnie sceny cudownych uleceń w szabat wymyślono szczególnie nedorzecznie. Bo Jezus nie uzdrawiał przecież chorych i obłąkanych metodami Kneippa czy stosując zestawy ziół.

Gdyby tak było, słuszny byłby zarzut, dlaczego nie zaczeka i nie zacznie kuracji w niedzielę rano” [Salcia Landmann, Jesus starb nicht in Kaschmir, München 1996, s. 104.].

Uzdrowienia w szabat były jednoznacznie dozwolone. Więcej: stosowane przez Jezusa nakładanie rąk na chorego było przecież pradawnym pobożnym żydowskim zwyczajem. Ortodoksyjni ojcowie rodzin błogosławili zawsze w szabat wszystkich członków rodziny, młodych i starych, cytując przy tym stosowny fragment Starego Testamentu. Dr Landmann uważa: „Sceny te wymyślono dla wywołania nagonki na Żydów” [Ibidem.].

Wróćmy jednak do ewangelistów. Według Mateusza i Łukasza faryzeusze naradzali się ustalając między sobą, jak zabić Jezusa. U Marka (3, 5) zwrócili się do „herodian”. Ale Rzymianie nie byli chyba zainteresowani jakimiś żydowskimi waśniami. Człowiek z narodu żydowskiego, nawet je śli złamał któreś z ich przykazań, co nie było prawdą, nie był ścigany przez prawo rzymskie. Wnoszenie takich oskarżeń urzędnicy rzymscy uważali za natręctwo.

Jezus i kobieta przyłapani na cudzołóstwie: scena wzruszająca, ale zmyślona

W drodze do Jerozolimy Jezus i jego uczniowie zostali skonfrontowani z kobietą przyłapaną na cudzołóstwie, która miała być ukamienowana.

Istotnie, wedle Prawa Mojżeszowego ze Starego Testamentu cudzołóstwo było karane ukamienowaniem. Mojżesz, jak to on, opisał kazuistycznie, co należy rozumieć przez cudzołóstwo: stosunek płciowy mężczyzny z kobietą zaręczoną lub zamężną. Za „cudzołóstwo” było jednak uważane również zmuszenie kobiety do obcowania płciowego, czyli gwałt. Czytamy:

„Jeżeli jakąś dziewczynę, dziewicę, zaręczoną z mężczyzną, napotka w mieście inny mężczyzna i złączy się z nią, to wyprowadzicie ich oboje do bramy tego miasta i ukamienujecie ich, i poniosą śmierć; dziewczyna za to, że w mieście nie wołała o pomoc, a mężczyzna za to, że znieważył żonę swego bliźniego. Wytępisz to spośród siebie” (I Mojż, 22, 23-24).

Życie zachowuje wobec prawa kobieta będąca ofiarą gwałtu tylko wtedy, jeśli przestępstwo to popełniono „na polu” i jeśli „dziewczyna [...] wołała o pomoc, lecz nikt jej nie udzielił pomocy” (V Mojż. 22, 25-27). Wówczas kamienowano tylko mężczyznę. Ze stracenia zgwałconej rezygnowano również wtedy, jeśli ofiara nie była ani zaręczona, ani zamężna. Wtedy zwyrodnialec musiał dać „ojcu dziewczyny pięćdziesiąt srebrników”, poślubić ofiarę i nie „mógł jej oddalić przez całe swoje życie” (V Mojż. 22, 29). Cudzołóstwo było więc uznawane w czasach Starego Testamentu za „ingerowanie w cudzą własność”. Kobieta zaręczona albo zamężna była cudzą własnością, której nie wolno było tknąć. Nie uważano jej za człowieka, któremu można wyrządzić krzywdę. Była własnością narzeczonego, męża albo ojca. Zwykle wyrok w sprawie o cudzołóstwo ferowano w trybie przyspieszonym. Cudzołożnice złapane na gorącym uczynku – z reguły postępowanie prowadzono przeciw kobietom, mężczyzna wychodził ze sprawy obroną ręką – wywlekano przed bramy miasta i kamienowano. Czyniono tak zwyczajowo za czasów Mojżesza, wiele wieków przed narodzinami Chrystusa. W czasach Jezusa karę śmierci za cudzołóstwo dawno zniesiono. Nawet jeśli założymy, że być może gdzieś na wsiach sporadycznie kamienowano jeszcze cudzołożnice, to w Jerozolimie na pewno do takich samosądów na oczach Rzymian nie dochodziło.

Epizod z Jezusem i kobietą przyłapaną na cudzołóstwie jest zmyślony niezależnie od tego w jak pozytywnym świetle przedstawia Jezusa z dzisiejszego punktu widzenia. Co jednak było celem tego fikcyjnego wtrętu? Zamiary autorów Nowego Testamentu są nietrudne do przejrzania. Motyw pierwszy: Jezus jest prowokowany w tekście przez uczonych w Piśmie.

Postanowili oni, że powinien umrzeć, bo w zafałszowanym opisie z Nowego Testamentu złamał szabatowe przykazanie „świętecznego wypoczynku”. Teraz zaś zarzucają mu, że taka niedobra cudzołożnica wedle Prawa Mojżeszowego powinna być ukamienowana. Czy Jezus przeciwstawi się surowemu przykazaniu Mojżeszowemu? „A to mówili, kusząc go, by mieć powód do oskarżenia go” (Jan 8, 6). Jezus jednak ratuje kobietę, mówiąc: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem” (Jan 8, 7). Chętni do wzięcia udziału w kamienowaniu odchodzą ze wstydem. Ale uczeni w Piśmie osiągnęli swój cel: Jezus wykroczył przeciwko prawu i można go było teraz o to oskarżyć. Świadczy o tym tekst Ewangelii św. Jana. Motyw drugi: w tekście wysuwa się nieprawdziwe twierdzenie, że uczeni w Piśmie mieli prawo do traceniu ludzi, którzy złamali święte przykazania. Wedle jednoznacznie nieprawdziwego historycznie łańcucha dowodowego tekstu Ewangelii św. Jana uczeni w Piśmie mogli kazać ukamienować cudzołożnicę, która złamała prawo. Wniosek: mogliby wtedy za złamanie prawa zgładzić również Jezusa.

Ale rzeczywistość była zupełnie inna. Jak już wspomniałem, karę śmierci za cudzołóstwo już dawno zniesiono. Palestyna podlegała prawodawstwu rzymskiemu. Ukamienowanie „grzesznicy” byłoby karane przez Rzymian jako morderstwo. A człowieka, który miał inne poglądy w kwestii religii i moralności niż uczeni w Piśmie, Rzymianie na pewno by nie oskarżyli, nie mówiąc już o jego straceniu.

Jezus i przepowiednia zburzenia Świątyni

Do najbardziej kuriozalnych tekstów Nowego Testamentu należy opis wkroczenia Jezusa do Jerozolimy. U Mateusza czytamy:

„A gdy się przybliżyli do Jerozolimy i przyszli do Betfage, na Górze Oliwnej, wtedy Jezus posłał dwóch uczniów, mówiąc im: Idźcie do wioski, która jest przed wami, a wnet znajdziecie oślicę uwiązaną i osłę z nią; odwiążcie i przywieźcie mi je. A jeśli by wam kto coś rzekł, powiedzcie: Pan ich potrzebuje, a on zaraz puści je” (Mat. 21, 1-3).

Betfage nie było wsią w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz jerozolimskim posterunkiem celnym. Nazwę tę można przetłumaczyć jako „dom okręgu”. Dlaczego Jezus nakazał uczniom zarekwirować od razu dwa osły na wjazd do Jerozolimy? Do przebycia pozostało im zaledwie trzy kilometry, które można było spokojnie pokonać na piechotę.

Życzenie Jezusa uzasadnia się w sposób następujący:

„A to się stało, aby się spełniło, co powiedziano przez proroka, mówiącego: Powiedzcie córce syjońskiej: Oto Król twój przychodzi do ciebie łagodny i jedzie na osle, źrebięciu osłicy podjarzemnej” (Mat. 29, 4-5).

Ucniowie posłusznie wypełnili rozkaz i przyprowadzili dwa osły. Ze swoich płaszczy zrobili prowizoryczne siodło – Jezus zaś uczynił coś zdumiewającego. Wjechał do miasta na dwóch zwierzętach jednocześnie. Oczami wyobraźni widzimy dość zabawny obraz: Jezus jedzie na dwóch osłach naraz – numer doprawdy cyrkowy. Niech jednak nas nie odwiedzie od głębszego znaczenia tekstu. Jezusowi wcale nie chodziło o wygodny środek transportu. Raczej zachował się właśnie tak, jak według różnych tekstów Starego Testamentu powinien się zachować przyszły Mesjasz. Niejasne jest jednak, o których tekstach myślał. W rachubę bowiem wchodzi ich wiele. Tak więc już w I Księdze Mojżeszowej czytamy: „Uwiąże osłę u krzewu winnego, a młode swojej osłicy u szlachetnej latorośli winnej” (I Mojż. 49, 11).

Teolodzy specjalizujący się w Nowym Testamencie chętnie cytują ten werset ze wskazówką, że stary Mojżesz miał w tym przypadku na myśli nie kogo innego, jak tylko Jezusa. Przemilczają jednak zarazem świadomie werset 12., który nijak nie pasuje do ich

wizerunku Jezusa: „Pociemnieją oczy jego od wina, a zęby zbieleją od mleka” (I Mojż. 49, 12). Jeśli miałyby chodzić o zbawiciela, to proroctwo nie dotyczy człowieka pobożnego, ale kogoś nie stroniącego od uciech doczesnego życia. Jak bowiem inaczej rozumieć słowa „pociemnieją oczy jego od wina”? Ale, jak dowodzi cud w Kanie Galilejskiej, wino było dla Jezusa codziennością.

Nawet Mateusz cytuje z pism proroka Zachariasza:

„Wesel się bardzo, córko syjońska! Wykrzykuj, córko jerozalemska! Oto twój król przychodzi do ciebie, sprawiedliwy on i zwycięski, łagodny i jedzie na ośle, na osłęciu, źrebięciu osłicy” (Zach. 9, 9).

Po zestawieniu tych wypowiedzi powstanie wyraźny i bardzo prawdopodobny obraz, jak widział siebie sam Jezus. Można dyskutować, czy autorzy powyższych cytatów istotnie mieli na myśli Jezusa. To mało prawdopodobne, a w końcu nieistotne. Ważne jest tylko to, że Jezus najprawdopodobniej sam odnosił te teksty do siebie. Dlaczego? Z jednej strony przyszły zbawiciel jest opisywany jako człowiek „sprawiedliwy [...] i zwycięski” (Zadr. 9, 9), nadto ubogi – co pasuje znakomicie do oczekiwań ludzi wobec esseńczyków, którzy do rangi cnoty podnieśli przecież nieposiadanie niczego i również mieli nadzieję na pojawienie się kogoś sprawiedliwego. Z drugiej strony nie możemy zapominać, że Jezus wywodził się wprawdzie z otoczenia esseńczyków, odszedł jednak od ich ascetycznego trybu życia, co spowodowało, że nazwano go żarłokiem i pijakiem. Teksty biblijne pasują więc lepiej do postaci Jezusa niż do braci zakonu esseńczyków.

Czy zatem Jezus uważał się za „sprawiedliwego [...] i zwycięskiego”, czy też za człowieka, któremu „pociemnieją oczy [...] od wina”? Jeśli uznamy, że odnosił do siebie teksty Starego Testamentu, to stanie się jasne, jak historyczny „pra-Jezus” rozumiał swoją misję. Musimy tylko sięgnąć do Pierwszej Księgi Mojżeszowej (49, 11): od razu będzie wiadome, że z nadzieją oczekiwano nie religijnego odnowiciela, ale nowego doczesnego władcy:

„ciebie będą słać bracia twoi, ręka twoja będzie na karku wrogów twoich, tobie klaniać się będą synowie ojca twego. [...] Nie oddali się berło od Judy ani buława od nóg jego, aż przyjdzie władca jego, i jemu będą posłuszne narody” (I Mojż. 49, 8 i 10).

W Jerozolimie oczekiwano z nadzieją zbawcy politycznego. I chciano widzieć w Jezusie zbawcę politycznego, który przez swój „wjazd na osłach”, nawiązujący do Starego Testamentu, da się poznać jako ten właśnie Mejsasz. Nie ma się więc co dziwić, że Jezusa przyjmowano entuzjastycznie. Mateusz, Marek, Łukasz i Jan zgodnie opisują radość, jaka nastąpiła po przybyciu Jezusa do Jerozolimy. U Mateusza czytamy:

„A wielki tłum ludu rozpościerał swe szaty na drodze, inni zaś obcinali gałązki z drzew i słali na drodze. A rzesze, które go poprzedzały i które za nim podążały, wołały, mówiąc: Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który przychodzi w imieniu Pańskim. Hosanna na wysokościach!” (Mat. 21, 8-9).

U Jana brzmi to zaś tak:

„Nazajutrz liczna rzesza, która przybyła na święto, usłyszawszy, że Jezus idzie do Jerozolimy, nabrała gałązek palmowych i wyszła na jego spotkanie, i wołała: Hosanna! Błogosławiony, który przychodzi w imieniu Pańskim, król Izraela!” (Jan 12, 13).

Podobnie jak Mojżesz, pierwszy wielki zbawiciel i wyzwoliciel, kazał jechać na osle swojej żonie i swoim synom (por. II Mojż. 4, 20), tak też pojawił się nowy zbawiciel, którego oczekiwano z nadzieją, że zakończy panowanie Rzymian.

Dla Rzymian „król Izraela z domu Dawidowego”, na którego widok ludzie wiwatowali, był na pewno osobą bardziej niż podejrzaną. Jako potencjalny podżegacz, jako wichrzyciel stanowił dla władz okupacyjnych niebezpieczeństwo, które trzeba było zlikwidować. Z punktu widzenia Rzymu należało go unieszkodliwić, nim stanie się naprawdę niebezpieczny. Rzymianie zamierzali zademonstrować wszechmoc swojej władzy. Jako buntownika tracono każdego, kto chciał zmienić cokolwiek w istniejących układach politycznych. Żyd natomiast, który rzekomo wykroczył przeciw przykazaniu szabatowemu, był im najzupełniej obojętny. Nikt z Rzymian nie zadałby sobie nawet trudu sprawdzania wysuniętych wobec niego zarzutów, nie mówiąc już o skazywaniu go na karę śmierci.

Entuzjastyczne przyjęcie Jezusa w Jerozolimie w żadnym razie nie uszło uwagi Rzymian. W Aktach Piłata, najstarszych źródłach zawierających wzmianki o działalności Jezusa, a pochodzących najpóźniej z II wieku n.e., pewien rzymski kursor, czyli posłaniec, melduje:

„Panie i namiestniku! Gdy wysłałeś mnie do Jerozolimy, do Aleksandra, ujrzałem Go jak siedział na ośle, a dzieci Hebrajczyków trzymając gałęzie w rękach wołały, inni natomiast rozpościerali swe szaty mówiąc: »Zbaw ty, który jesteś na wysokościach! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie«” [Apokryfy Nowego Testamentu, t. I: Ewangelie apokryficzne, Lublin 1986, s. 427.].

Piłat pytał, co wołali ludzie podczas wkraczania Jezusa do Jerozolimy. Kazał sobie wszystko powtórzyć i przetłumaczyć. Oto ważny szczegół, który jeśli nie potwierdza prawdy historycznej, to jest przynajmniej tej prawdy bliski. Kursor przekazał wprawdzie słowa wykrzykiwane przez tłum w formie niezbyt poprawnej – i tak utrwalono je w Aktach Piłata – ale można je przetłumaczyć jednoznacznie: właśnie jako „Zbaw ty, który jesteś na wysokościach! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie”. Piłat na pewno od razu zrozumiał, czego oczekuje od Jezusa szalejący tłum: wybawienia z rzymskiej niewoli.

Na swoje jerozolimskie wystąpienie Jezus wybrał dzień niezwykle doniosły. Odnosi się niemal wrażenie, że świadomie chciał sprowokować Rzymian. Wybrał dzień, który wierzącym Żydom uświadamiał, do jakiej tradycji chce nawiązać. Było to Sukkot, Święto Szałasów. Jezus uważał się za drugiego Mojżesza, za drugiego oswobodziciela Izraela. Tak więc wkroczył do Jerozolimy w dniu święta obchodzonego na pamiątkę wielkiego czynu Mojżesza. Sam Mojżesz na polecenie Jahwe zarządził:

„Będziecie mieszkać [synowie izraelscy] w szałasach przez siedem dni. Wszyscy krajowcy w Izraelu mieszkać będą w szałasach, aby wiedziały wasze przyszłe pokolenia, że w szałasach kazałem mieszkać synom izraelskim, gdy wyprowadziłem ich z ziemi egipskiej” (III Mojż. 23, 42-43).

Najważniejszym symbolem święta Sukkot jest tak zwana sukka, szałas z liści, przedstawiająca prowizoryczne schronienie dzieci Izraela podczas ucieczki z egipskiej niewoli. W czasie święta Sukkot pobożni Żydzi – tak dziś, jak za czasów Jezusa – machają gałązkami palmowymi, radując się i śpiewając. Właśnie tak zachowywali się Żydzi, kiedy Jezus wkraczał do Jerozolimy. Jak nakazał Mojżesz, miasto było świątecznie przystrojone:

„W pierwszym dniu [święta] weźmiecie sobie owocu ze szlachetnych drzew, gałązki palmowe, gałązki z drzew rozłożystych i z wierzby znad potoku i będziecie się weselić przed Panem, Bogiem waszym, przez siedem dni” (III Mojż. 23, 40).

Jezus był pewien, że wzbudzi sensację. Wiedział przecież, że „wszyscy mężczyźni” w to święto pójdą wedle nakazu Mojżeszowego z pielgrzymką do Jerozolimy (II Mojż. 23, 17). Był również pewien, że wiedzieli, co znaczy jego wjazd do Jerozolimy w święto Sukkot: występował jako drugi Mojżesz, który powtórnie oswobodzi naród żydowski – w przypadku

jego poprzednika, Mojżesza, chodziło o Egipcjan, teraz byli to Rzymianie, których panowanie należało zakończyć. Ale czy słusznie ocenił rozbudzone przez siebie oczekiwania?

Kiedy Jezus i jego uczniowie zbliżali się do świątyni jerozolimskiej już było ją widać – Zbawiciel jeszcze raz objawia się jako rewolucjonista. A przynajmniej możemy zauważyć wyraźne świadectwa postaci pra-Jezusa. Uczniowie z zachwytem patrzą na imponującą budowlę, która wywiera na nich ogromne wrażenie (Mar. 13, 1-2; Mat. 24, 1-2; Łuk. 21, 5-6). Budowla ta wydaje im się wieczna. Jeden z uczniów – nie wymieniony z imienia – woła: „Nauczycielu, patrz, co za kamienie i co za budowle. Jezus mu odrzekł: Czy widzisz te wielkie budowle? Nie zostanie kamień na kamieniu, który by nie został rozwalony” (Mar. 13, 1-2). Czy robi w ten sposób aluzję do „nowego królestwa”, które chce zbudować w Ziemi Świętej? A może ma wyraźną wizję przyszłości, która urzeczywistni się w 70 roku n.e., kiedy Rzymianie zburzą ostatecznie Świątynię Jerozolimską?

Uczniowie Jezusa – Piotr, Jakub, Jan i Andrzej – chcą się dowiedzieć, kiedy nadejdzie owa dramatyczna chwila:

„Powiedz nam, kiedy to nastąpi i jaki będzie znak, gdy to wszystko będzie się spełniać? Wtedy Jezus zaczął do nich mówić: Baczcie, żeby was ktoś nie zwiódł. Wielu przyjdzie w imieniu moim, mówiąc: Jam jest, i wielu zwiódą. A gdy usłyszycie o wojnach oraz wieści wojenne, nie trwóście się; musi się to stać, ale to jeszcze nie koniec. Powstanie bowiem naród przeciwko narodowi i królestwo przeciwko królestwu i będą miejscami trzęsienia ziemi, będzie głód” (Mar. 13, 4-8).

Nie ma wątpliwości: Jezus oczekiwał „końca świata”, nowego imperium na ziemi – wielu zaś ludzi, którzy za nim podążyło, miało nadzieję, że przewrót jest bliski i że zapoczątkuje koniec panowania Rzymian, uważanego za haniebnego. Był o tym również przekonany autor ewangelii nazwanej od imienia św. Mateusza. Twierdzi przecież, że znak gwałtownego upadku zapowiedziany przez samego Jezusa podczas jego wjazdu do Jerozolimy wywołał strach i przerażenie. Czytamy tam w dosłownym tłumaczeniu:

„A gdy wjechał [Jezus] do Jerozolimy, poruszyło się całe miasto od trzęsienia ziemi” (Mat. 21, 10). Tłumacze Biblii tymczasem odroczyli termin początku końca na świętego nigdy i wymazali wzmiankę o trzęsieniu ziemi w Jerozolimie: „A gdy wjechali do Jerozolimy, poruszyło się całe miasto”.

Jezus w Świątyni

W 18 roku p.n.e. Herod I Wielki rozpoczął odbudowę Świątyni Jerozolimskiej. W czasach Jezusa prace budowlane jeszcze nie zakończono. Mimo wszystko świątynia była budowlą imponującą i monumentalną. Wznosiła się na wzgórzu Moria we wschodniej części miasta i widać ją było już z daleka. Stała na trzech wznoszących się tarasach. Jej główna część, wyłożona lśniącym białym marmurem, znajdowała się na tarasie najwyższym. W środku tego sanktuarium był ołtarz do składania ofiar całopalnych. Tu przechowywano też złoty stół na chleby pokładne i świecznik siedmioramienny. Do przybytku, czyli części najświętszej, mógł wchodzić tylko arcykapłan pełniący służbę Bożą w Jom Kippur, czyli w Sądny Dzień, jesienne święto oczyszczenia. Na dziedziniec wokół sanktuarium centralnego, odgradzony od pozostałych części świątyni wysokim murem, mogli wchodzić tylko kapłani. Z dziedzińcem tym graniczyło miejsce dostępne dla wszystkich wiernych.

Dla kobiet zastrzeżony był hazarat naschim, dziedziniec kobiet. Szczególnie duży był poziom najniższy, dziedziniec pogan. Ogólnie dostępne były też „kolumny Salomona”. Tu właśnie kłębił się, szczególnie w święta, barwny tłum ludzi różnych narodowości; tu zbierali

się żydzi i poganie. Tu prowadzono ożywiony handel, sprzedawano zwierzęta na ofiary – owce i gołębie, oraz kadzidło i oliwę. Prawdopodobnie sprzedawano tam również pamiątki i jedzenie. Ponieważ Mojżesz zabraniał czynić „sobie podobizny czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i tego co jest w wodzie pod ziemią” (II Mojż. 20, 4), kapłani odmawiali przyjmowania monet z podobizną cesarza od wiernych, chcących kupić zwierzęta ofiarne. Obrotni „bankierzy” wymieniali te pieniądze na specjalną walutę świątynną bez podobizn.

Wszystko, co działo się w świątyni, było obserwowane przez oddziały rzymskie. Bezpośrednio do północnego narożnika budowli sakralnej przylegała kwatera główna rzymskich wojsk – Twierdza Antonia. Jezus przystąpił do dzieła na oczach czujnych Rzymian. Dał upust swojej wściekłości na bałagan panujący w „domu Pana”. „Biczem z powrózków” (Jan 2, 15) wypędził ze świątyni handlarzy i ich klientów, wekslarzom powywracał stoły, rozsypał pieniądze i stwierdził: „Zabierzcie to stąd, z domu Ojca mego nie czyńcie targowiska” (Jan 2, 16). Jezus, odczytany w Piśmie, nawiązał do Izajasza (56, 7): „Napisano: Dom mój będzie nazwany domem modlitwy, a wy uczyniliście z niego jaskinię zbójców” (Mat. 22, 13). Bez wątplenia czynił również aluzję do słów proroka Jeremiasza:

„A potem przychodźcie i stajecie przed moim obliczem w tym domu, który jest nazwany moim imieniem, i mówicie: Jesteśmy ocaleni – aby dalej popełniać te wszystkie obrzydliwości!” (Jer. 7, 10).

„Wypędzenie przekupniów ze świątyni” świadczy – znowu – o związkach Jezusa z esseńczykami, którzy wycofali się na pustynię właśnie dlatego, że ich zdaniem dawny kult świątynny zmarniał, arcykapłani zaś uzależnili się od Rzymian. Akcja Jezusa, dość agresywna, była skierowana przeciw arcykapłaństwu – a więc i przeciw Rzymianom. Koniec końców arcykapłani byli jakby „ramieniem” rzymskich okupantów.

Im bardziej szczegółowo zajmiemy się tekstami Nowego Testamentu, tym więcej pytań się nam nasunie. Na przykład: Jeżeli Jezus tak szalał w świątyni, to dlaczego nie został od razu aresztowany przez Rzymian? Jesteśmy skazani na spekulacje. Może jego „akcja” trwała niedługo. Mógł pojawić się w świątyni niespodziewanie i równie szybko zniknąć w tłumie, zanim Rzymianie zdolali go schwytać. Ale dokonane przezeń oczyszczenie świątyni podbudowało na pewno zamiar Rzymian postawienia i skazania go przed porządnym – czyli rzymskim – sądem.

Jak często Jezus występował w Jerozolimie jako gniewny kapłan? Tego nie wiemy. Pisma Nowego Testamentu nic nie mówią na ten temat. Pewne jest jednak, że wystąpień takich było wiele, zawsze bardzo krótkich. Jezus obawiał się też zawsze, że wpadnie w łapy rzymskich siepaczy. Czy bał się o życie? A może chciał tylko uniknąć aresztowania przed końcem swojej misji? A jak wyglądała ta misja?

Jeśli uwierzymy ewangeliom, Jezus był w Jerozolimie co najmniej dwa razy. Pierwsza wizyta przypadła podczas Święta Szafasów, czyli z końcem września i na początku października. Witano go wtedy entuzjastycznie jako wybawiciela spod okupacji rzymskiej. Opisy uroczystości, znajdujące się w Ewangelii św. Marka (11, 8-11), św. Mateusza (21, 8-11), św. Łukasza (19, 36-44) i św. Jana (12, 12-16), nie pozwalają żywić co do tego jakichkolwiek wątpliwości. Druga wizyta, podczas której doszło do „wypędzenia przekupniów ze świątyni”, odbyła się mniej więcej półtora roku później – w Święto Paschy, z którego później powstała chrześcijańska Wielkanoc. Oba święta były idealnymi momentami do wystąpienia w roli zbawiciela, oswobodziciela spod jarzma rzymskiego. Święta te bowiem powstały dla upamiętnienia końca egipskiej niewoli. Nie ma konkretnych wskazówek, w jakich latach Jezus przebywał w Jerozolimie.

Kiedy Jezus mówił o zniszczeniu Świątyni Jerozolimskiej, powiedziano mu, jak czytamy w Ewangelii św. Jana: „Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię”. Na tej podstawie możemy dość dokładnie ustalić datę tego pobytu: Herod I Wielki rozpoczął odbudowę świątyni w 18 roku p.n.e. Czy więc jedna z wizyt Jezusa w Jerozolimie odbyła się 46 lat później, czyli Anno Domini 28?

Tradycja chrześcijańska przesunęła oba wystąpienia Jezusa w czasie tak, że następowały jedno po drugim, co jest nieprawdą. Dziś pierwszy wjazd do Jerozolimy świętuje się na tydzień przed Wielkanocą, w Niedzielę Palmową. Takie założenie jest bez sensu, co wynika jednoznacznie z Ewangelii św. Marka (11, 12-14) i Ewangelii św. Mateusza (21, 18-19). Czytamy tam bowiem, że Jezus, głodny i zmęczony wędrówką po zapyłonych drogach, chciał zerwać z drzewa i zjeść figę. Ale owoce były już zebrane. Działo się to więc na pewno około połowy września do początku października. Teologiczni „badacze” jednak przesunęli ten epizod na marzec-kwiecień. W tym czasie Jezusowi nawet by przez myśl nie przeszło, że może sobie zerwać figę. Wiosną znalazłby najwyżej młode pączki.

Dlaczego z dwóch zdarzeń, odległych od siebie w czasie o pół roku, zrobiono jedno, można tylko spekulować. Prawdopodobne jest następujące przypuszczenie: Jezus doczesny, jako wyzwoliciel spod panowania rzymskiego, nie pasował wczesnym teologom do koncepcji Zbawiciela odpowiadającego tylko za życie wieczne. Z jednej strony najchętniej wyrzuciliby te teksty. Z drugiej nie mieli dość odwagi na całkowite wymazanie opisów upamiętniających pobyt Jezusa w Jerozolimie i na zlekceważenie przekazanych świadectw. Dwa wystąpienia, jesienne i wiosenne, przerobili więc na jedno. W ten sposób zdyskredytowali zdarzenia, mające dla ówczesnych Żydów doniosłe znaczenie. W pismach Nowego Testamentu miało się teraz znaleźć jak najmniej wzmianek o prajezusie, po którym jego zwolennicy oczekiwali, że zakończy rzymskie panowanie.

Najpóźniej w tym momencie nieodparcie nasuwa się niezwykle istotne, być może centralne pytanie o Jezusa historycznego. Czy myślał, że spełni pokładane w nim oczekiwania? Czy uważał, że jeden człowiek zdoła wyzwolić Ziemię Świętą spod jarzma rzymskiego? A może z biegiem lat doszedł do przekonania, że jako męczennik zdziała więcej niż za życia? Czy zaplanował swoją śmierć, której będą winni zniechęceni Rzymianie? Czy miał nadzieję, że naród powstanie wtedy przeciw obcemu panowaniu?

Judasz nie zdradził Jezusa!

Tysiące lat przed pojawieniem się Jezusa pasterze-koczownicy, praprzodkowie późniejszych mieszkańców późniejszej Ziemi Świętej, wędrowali po pustyni. Zima oznaczała dla nich często głód i biedę. Jest więc ze wszech miar zrozumiałe, że z radością witali nadejście wiosny. Obchodzili święto chag-ha pesach i każdemu ze swoich plemiennych bogów składali w ofierze zwierzę. Równie ważne było drugie święto – chag-ha-macot, Święto Przaśników, pierwotnie wiosenne święto odradzającej się przyrody oraz początku zbiorów jęczmienia i ofiarowania pierwszego chleba, przaśnego placka. Obchodzono je z początkiem zimy. Były to święta pradawne i po pewnym czasie powstało z nich jedno. Oba święta, których początki gubiły się w mrokach historii, były związane z pewnym zdarzeniem historycznym.

Gdy jeszcze naród izraelski cierpiał biedę w egipskiej niewoli, Bóg zesłał na Egipt dziesięć plag, aby zmusić faraona do uwolnienia Jego ludu. Ofiarą plagi dziesiątej, chyba najstraszliwszej, miał paść co dziesiąty pierworodny egipskiej rodziny. Rodziny ludu izraelskiego będą oszczędzone: karzący Bóg przechodził obok drzwi żydowskich domów, oznaczonych krwią baranka ofiarnego. Pesach znaczy po hebrajsku „przejdźcie, ominiecie”.

W końcu faraon pozwolił narodowi izraelskiemu opuścić Egipt. Żydzi musieli uciekać w pośpiechu, nie zdążyli nawet upiec sobie chleba, zabrali tylko surowe ciasto „zanim się zakwasiło” (II Mojż. 12, 34).

W ten sposób z pradawnego święta wiosny i święta zbiorów powstało święto upamiętniające ucieczkę z Egiptu – święto Paschy. W czasach Jezusa cieszyło się ono ogromną popularnością. Przyczyna jest prosta: Żydzi uważali, że znaleźli się w podobnym położeniu jak za czasów Mojżesza tyle że w rzymskiej niewoli.

Posiłek paschalny już za czasów Jezusa przebiegał następująco: osoba najbardziej poważana, najczęściej najstarsza, rozpoczynała posiłek uroczystym błogosławieństwem. Napełniano winem puchary, mówiąc „Błogosławiony niech będzie Pan, który stworzył owoc winorośli”. Następnie w uroczystej ciszy mężczyźni pili wino. W tym czasie cicho i pokornie kobiety i słudzy podawali jedzenie: pieczone jagnię, do tego wielkie misy z gorzkimi ziołami i cheroses. Była to masa z tłuczonych daktyli, %g i migdałów zaczynionych winem. Nie mogło zabraknąć miseczki z osoloną wodą i praśnego chleba.

Teraz najważniejsza osoba uroczystości brała garść gorzkich ziół, dodawała je do osolonej wody i wypowiadała drugie błogosławieństwo: „Błogosławiony niech będzie Pan, który stworzył owoce ziemi”, i jadła zioła. Potem opróżniano drugi puchar wina.

Na koniec „mistrz ceremonii” wygłaszał krótką przemowę. Przypominał w niej genezę posiłku paschalnego, czyli wyzwolenie z egipskiej niewoli. Potem śpiewano Psalm 93 i 94.

Rytualna część uroczystości kończyła się, gdy „mistrz ceremonii” brał praśny chleb, smarował niewielką ilością cheroses i mówił: „Błogosławiony niech będzie Pan, który każe ziemi wydawać chleb”. Dawał przy tym każdemu uczestnikowi posiłku kawałek chleba. W końcu opróżniano trzeci puchar wina i zabierano się do jagnięcia, które trzeba było zjeść całe. Pito przy tym do woli. Uroczystość kończono odśpiewaniem Psalmów 95, 96, 97 i 98 i wypiciem ostatniego pucharu wina.

Podobnie świętował również Jezus z uczniami. Na szczęście do naszych czasów dotrwał jeden z najwcześniejszych, a więc najstarszych tekstów młodej wspólnoty, Codex Bezae Cantabrigensis, opisujący ostatnią wieczerzę Jezusa zapewne w sposób historycznie dokładny:

„Kiedy nadeszła godzina, zasiadł [Jezus] do stołu, a wraz z nim apostołowie. I powiedział: Domagano się usilnie, abym wraz z wami zjadł tę wieczerzę paschalną; powiadam wam bowiem, że nie będę już jeść, aż nadejdzie Królestwo Boże. Podniósł kielich i rzekł: Weźcie i rozdzielcie go pośród siebie. Powiadam wam bowiem, że nie będę już pił z tego soku winorośli, aż nadejdzie Królestwo Boże. Potem wziął chleb i łamał”.

Jezus był więc przekonany, że czas krzywd wkrótce się skończy i nastanie era niebiańskiej szczęśliwości. Bez wątpienia Jezus i jego uczniowie mieli na myśli czasy rzymskiego ucisku.



Il. 45. Tu, w Ogrójcu Getsemane, oczekiwali Jezusa rzymscy żołnierze mający go uwięzić



Il. 46. Na tym kamieniu (dziś w jerozolimskim kościele Grobu Świętego) namaszczone podobno zwłoki Jezusa (© Höchsmann)

Wypaczony obraz Ostatniej Wieczerzy

Jezus, który za życia przestrzegał wszystkich przykazań prawa Mojżeszowego, także podczas Ostatniej Wieczerzy nie zamierzał ani o włos zmieniać nakazów Pisma Świętego. Pobożnym Żydom było najsurowiej zabronione spożywanie krwi w jakiegokolwiek postaci. Dlatego mięso zwierząt przeznaczone do spożycia musiało być koszerne, to znaczy nie mogło zawierać ani kropli krwi. Zgodnie jednak piszą wszyscy ewangeliści (Mat. 26, 26-29; Mar. 14, 22-25; Łuk. 22, 15-20; Jan 6, 51-58), że Jezus oświadczył, iż chleb będzie odtąd jego ciałem, wino zaś jego krwią. U Mateusza na przykład czytamy:

„A gdy oni jedli, wziął Jezus chleb i pobłogosławił, łamał i dawał uczniom, i rzekł: Bierzcie, jedzcie, to jest ciało moje. Potem wziął kielich i podziękował, dał im, mówiąc: Pijcie z niego wszyscy; albowiem to jest krew moja nowego przymierza, która się za wielu wylewa na odpuszczenie grzechów” (Mat. 26, 26-28).

Ale tak nie mogła być świętowana ostatnia wieczerza Jezusa. Dr Landmann konstatuje:

„Żaden Żyd, którego nacja jako pierwsza w rejonie Bliskiego Wschodu zabroniła odprawiania ohydnych zwyczajów składania ofiar rytualnych z ludzi jako »pogańskie okrucieństwo«, nie oferowałby na znak więzi ze swoimi towarzyszami chleba i wina – choćby nawet symbolicznie – jako równoważnika własnego ciała i własnej krwi! Innymi słowy: najważniejszy obrządek chrześcijański, eucharystia [pamiątka Ostatniej Wieczerzy, zamiana chleba w ciało i wina w krew] nie może być zapoczątkowana przez Jezusa. Pasuje jednak doskonale do religii, uznającej morderstwa rytualne, które Żydzi z chwilą wejścia do historii powszechnej zdecydowanie odrzucili. Żywy Jezus należy wprawdzie do żydostwa, ale nie jego zamierzona domniemanie przez Boga, zastępcza ofiarna śmierć” [S. Landmann, Jesus starb nicht in Kaschmir, München 1996, s. 218.].

Celebrowana w niektórych wyznaniach chrześcijańskich Święta Ostatnia Wieczerza ma zapewne długą tradycję. Ale jej dzisiejsza forma wcale nie została zapoczątkowana przez Jezusa. To nie jest wcale teza odważna, a ja nie wysuwam jej jako pierwszy. Pogląd ten podzielają wszyscy teolodzy, którzy kiedykolwiek starali się odtworzyć postać Jezusa zgodnie z historią. Już Marcin Luter zrozumiał, jak trudno jest na podstawie tekstów Nowego Testamentu badać fakty historyczne. Pisał:

„Ewangelie nie zachowują w cudach i uczynkach Jezusa żadnego porządku, zresztą nie o to chodzi. Kiedy zaczyna się spór w kwestii Pisma Świętego, i nie można niczego porównać, to niech tak już zostanie”.

Osiander (1498-1552) natomiast żądał, żeby wszystkie teksty włączone do Biblii uznać za relacje dokumentalne. Jeżeli w Nowym Testamencie wielokrotnie mówi się o wskrzeszeniu córki Jaira, znaczy to, że biedne dziecko wielokrotnie umierało i za każdym razem było przywracane do życia.

Hermann Samuel Reimarus (1694-1768), profesor języków orientalnych w Hamburgu, może być uważany za pierwszego teologa stosującego metody naukowe. W licznych pracach wstawiał się za „religią rozsądku”, której bronił przed wypaczeniami kościołów. Opublikował szereg pism teologicznych, jak choćby *Die vornehmsten Wahrheiten der natürlichen Religion*, ale najważniejszego jego dzieła za życia drukiem mu nie wydano. Przetrwało ono jako anonimowy rękopis. W 1774 roku Gotthold Ephraim Lessing rozpoczął publikację jego najważniejszych fragmentów. Całość jednak nie ukazała się do dziś. Już Reimarus rozumiał, że Ostatnia Wieczerza, tak jak ją przedstawia Kościół katolicki, „odłączona od Paschy”, byłaby zarówno dla Jezusa, jak i dla jego uczniów nie do pomyślenia. Nie stanowiła ona w żadnym razie nowego pomysłu Jezusa, ale był to raczej epizod w trakcie jego ostatniej wieczerzy paschalnej.

Apostołowie nie znali w każdym razie takiej Ostatniej Wieczerzy, jaką celebrytuje się dziś. Dla nich posiłek upamiętniający Jezusa był czymś zbędnym, bo przecież oczekiwali jego powrotu w niedalekiej przyszłości. Była to wspólna świąteczna uczta, posiłek dla ubogich [Por. J. Leipold, *Der soziale Gedanke in der altchristlichen Kirche*, bez miejsca wydania 1952, s. 186.]. Z historycznego punktu widzenia mogła to być pożegnalna wieczerza Jezusa, który wiedział już o swojej zbliżającej się egzekucji. Wieczerza ta odbyła się najprawdopodobniej, jak ustalił w obszernej pracy rosyjski żyd, Daniel Chwolson, który przeszedł na prawosławie, w „czwartek przed Wielkanocą”. Jedzono zwyczajny chleb.

Podczas tego posiłku Jezus podobno już wiedział, że zdradził go jeden z jego uczniów:

„Lecz oto ręka tego, który mnie wydaje, jest ze mną przy stole. Wprawdzie Syn Człowieczy odchodzi, jak było postanowione, ale biada temu człowiekowi, który go wydaje” (Łuk. 22, 21-22). Dla Jezusa było jasne, kto zdradził go przed Rzymianami: „To jest ten, któremu Ja podam umoczony kawałek chleba. Wziął więc kawałek, umoczył go i dał Judaszowi

Iskariocie, synowi Szymona. A zaraz potem wszedł w niego szatan. Rzekł więc do niego Jezus: „Czyń zaraz, co masz czynić” (Jan 13, 26-27).

Czy w ten sposób Jezus nie okazał swojej zgody na „zdradę”? Tajemnica wydania Jezusa Rzymianom jest dyskutowana w kręgach teologów od wieków. Wciąż pojawia się teza, że to sam Jezus chciał doprowadzić do swojego końca. Już Hermann Samuel Reimarus doszedł do przekonania, że Jezus dążył do konfliktu z Rzymianami, gdy pozwolił się entuzjastycznie witać ludowi przy wjeździe do Jerozolimy jako Mesjasz, jako wyzwoliciel. Tak samo zdaniem Heinricha Eberharda Gottloba Paulusa (1761-1851) myślał również Judasz. Paulus, który studiował historię, wzbudził w 1828 roku sensację dwutomową pracą *Das Leben Jesu als Grundlage einer Geschichte des Urchristentums*. Naukowiec ten, będący także profesorem orientalistyki oraz teologii, wywołał oburzenie swoimi tezami i twierdzeniami na temat Judasza. Albert Schweitzer zaś tak podsumowuje swoje przemyślenia: „Jak Judasz mógł zostać zdrajcą? Wierzył przecież w mesjanistyczność Jezusa i chciał go zmusić, aby się za Mesjasza uznał. Jego uwięzienie wydawało mu się najlepszym środkiem wzniecenia buntu wśród ludu” [Albert Schweitzer, *Geschichte der Leben-Jesu-Forschung*, t. 2, Tübingen 1977, s. 95.]. Judasz, którego przydomek Iskariota można przetłumaczyć także jako „człowiek ze sztyletem”, nie chciał śmierci Jezusa. Przeciwnie – chciał go zmusić, aby uznał się za wyczekanego Mesjasza, który oswobodzi naród z rzymskiej niewoli. Zdaniem Judasza, „człowieka ze sztyletem”, Jezus za bardzo zwlekał, był niezdecydowany, postępował dwuznacznie. Co miał na myśli Jezus, mówiąc: „Oddawajcie więc, co jest cesarskiego, cesarzowi, a co Bożego, Bogu” (Mat. 22, 21; Mar. 12, 17; Łuk. 20, 25). Co należało oddawać jego zdaniem cesarzowi Rzymu? W oczach Judasza cesarz był wrogiem, do którego upadku miało doprowadzić narodowe powstanie pod wodzą Jezusa. Ale co miał zrobić, skoro jego zdaniem Jezus wciąż unikał konfliktów? Tak widział to również Karl August Hase (1800-1890), którego imię – zdaniem Alberta Schweitzera – „uwieczniło się złotymi zgłoskami w annałach teologii”. Hase scharakteryzował Judasza jako „człowieka bardzo rozważnego, świeckiego, a zarazem skorego do gwałtu”. Jak pisze Hase, Judasz chciał Jezusa „zmusić do stworzenia królestwa dzięki sile ludu”, wezwanie zaś Jezusa „Czyń zaraz, co masz czynić” (Jan 13, 26-27) zrozumiał jako aprobatę, jako wyrażenie zgody na takie postępowanie.



II. 47. Scena ukrzyżowania w katedrze Sweti Cchoveli w Mcchecie we wschodniej Gruzji, XVII w.



II. 48. Szczegół ze świętego fresku – UFO wiszące w powietrzu pod prawym ramieniem krzyża



II. 49. Drugie UFO można dostrzec pod Lewym ramieniem krzyża. W obu UFO widać twarze patrzące w dół

O takiej zgodzie mówi też wybitny teolog, David Friedrich Strauss (1808-1874): nawet jeśli uczniowie Jezusa byli przerażeni jego śmiercią, to dla niego samego „decyzja o śmierci była niejako narzucona przez wyobrażenia mesjanistyczne, nie zaś wymuszona przez bieg wydarzeń”. Od aprobaty wychodzi też teolog Bruno Bauer (1809-1882). Bauer, którego z powodu ostrej krytyki Biblii pozbawiono profesury, żywił poważne wątpliwości co do historyczności zdarzeń przekazanych w ewangeliach. Ale i jego zdaniem Jezus zgadzał się na swój los: z własnej woli wyszedł na spotkanie śmierci.

Wygląda to na jedną z największych tajemnic teologii: całe wieki Judasz był uważany przez badaczy za człowieka działającego wedle myśli Jezusa. Ale zarazem w kościołach lżono go jako nikczemnego zdrajcę. Profesor Pinchas Lapide uważa: „Gdyby Judasz był zdrajcą kutym na cztery nogi, jakiego uczynili zeń ojcowie Kościoła, to zaprowadziłby Jezusa do rzymskich żołnierzy – a potem by się ulotnił. Ale w ewangeliach nic takiego nie ma! Zamiast sekretne go znaku – pocałunek! Czy nie był to dowód miłości człowieka, który sam wypiera się siebie, aby tylko wypełnić polecenie swojego rabiego?” [Pinchas Lapide,



Gutersloh 1944, s. 47.]

Ist die Bibel richtig übersetzt,



Il. 50, 51 i 52 na następnej stronie, u góry. Kiedy padła twierdza Masada nikt w dawnym Izraelu nie wierzył już w Mesjasza, który zakończy panowanie Rzymian



Il. 53. Kościół Grobu Świętego w Jerozolimie – czy jest grobem Chrystusa?

W najwcześniejszych tekstach Nowego Testamentu nigdzie nie przeczytamy o „zdradzie”. W tekście greckim użyto w tym kontekście słowa paradidonai, czyli „wydać”. Profesor Lapide:

„Na rozkaz Jezusa Judasz oddaje go (Jezusa!) najwyższej radzie żydowskiej, która z kolei przekazuje go Piłatowi z Pontu. Ten zaś wydaje zatrzymanego Herodowi, który mu go wszakże odsyła, Piłat zaś przekazuje więźnia swoim legionistom, którzy przybijają go do rzymskiego krzyża – na którym Jezus oddaje w końcu duszę Stwórcy. O tych wszystkich zdarzeniach można przeczytać w Nowym Testamencie – nie trafiając na »zdradę« przypisaną Judaszowi. Gdyby to wszystko się nie stało i gdyby Jezus zmarł spokojnie w kręgu swojej rodziny – co byłoby z Kościołem i zbawieniem?” [Ibidem.]

Jezus nie został zdradzony. Wyraził zgodę na swoją śmierć na krzyżu, o czym mówi na przykład w Ewangelii św. Jana:

„Nikt mi go [życia] nie odbiera, ale Ja kładę je z własnej woli” (Jan 10, 18).

Kwestia rzekomego zdradzenia Jezusa przez Judasza jest, czego dowodzi historia ostatnich 2000 lat, wszystkim, ale nie kwestią „tylko teologiczną”. Napiętnowanie Judasza jako zdrajcy pozwoliło na „chrześcijańskie” uzasadnienie 2000 lat antysemityzmu. Nieopisane są cierpienia, jakie spowodowała w historii nienawiść do Żydów. Nieopisane krwawe są ślady zniesławienia Judasza. Prowadzą od jednej masakry do drugiej – od pełnych okrucieństwa wypraw krzyżowych przez ohydne i pełne nienawiści wypowiedzi antyżydowskie Lutra po Auschwitz.

Uwięzienie, proces i śmierć Jezusa

Judasz przegrał walkę o Jezusa. Sam Jezus nie uważał chyba, że ucieczka przed Rzymianami jest jeszcze możliwa. Czy nazajutrz opuściłby samotnie Jerozolimę? Wydawał się zdeprymowany, upadły na duchu. Uczniowie próbowali dodać mu odwagi. „Oni zaś rzekli: Panie, oto tutaj dwa miecze. A On na to: Wystarczy” (Łuk. 22, 38). Potem wraz z uczniami wyruszył do Betanii. W grocie koło Getsemane zrobiono odpoczynek. Trwożliwie przyznał uczniom: „Smężna jest dusza moja aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie. Potem postąpił nieco dalej, padł na ziemię i modlił się, aby, jeśli to możliwe, ominęła go ta godzina. I mówił: Abba, Ojczy! Ty wszystko możesz, oddal ten kielich ode mnie; wszakże nie co Ja chcę, ale co Ty [chcesz się stanie]” (Mar. 14, 34-36). Zdaniem Bineta, badacza historii Jezusa, wystąpił nań krwawy pot, spowodowany silnym rozszerzeniem naczyń krwionośnych. Krew wypływa wtedy porami skóry – Jezus pocił się krwią w najprawdziwszym sensie tego słowa.

Śmiertelnie przerażony poprosił uczniów, aby czuwali. Oni jednak zasnęli. Jezus usłyszał w ciemnościach jakieś szmery. Wiedział, że uwięzienie już bliskie: „oto nadeszła godzina i Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników. Wstańcie, pójdźmy” (Mat. 26, 45-46). Judasz wyszedł naprzeciw i pocałował go w rękę. To, co było zwykłą oznaką szacunku ucznia dla rabiego, stało się umówionym znakiem dla Rzymian.

Jezus wyszedł im na spotkanie. Zapytał: „Kogo szukacie? Odpowiedzieli mu: Jezusa Nazareńskiego. Rzekł do nich Jezus: Ja jestem” (Jan 18, 4-5). Rozpaczliwym gestem Szymon Piotr dobył miecza i odciął ucho jednemu z żołnierzy. Ale Jezus nakazał mu schować broń i uleczył rannego. W końcu Jezusa pojmano, a jego przerażeni uczniowie uciekli. Jednego – z ewangelii nie wynika, kto to był – pochwycili za ubranie rzymscy żołnierze. Ale udało mu się wyrwać i porzuciwszy szatę uciec nago (Mar. 14, 51-52).

Pozostaje kwestią sporną, kto zatrzymał Jezusa. Czy rzymscy żołnierze, czy urzędnicy arcykapłana? Ale sprawa wydaje się prosta. Byli to raczej żołnierze. Orzecznictwem

zajmowali się Rzymianie, takich praw przedstawicielom kapłaństwa nie przyznano. Jeżeli Jezusa, o czym piszą ewangelie (Mat. 26, 57-68; Mar. 14, 53-65; Łuk. 22, 54-71; Jan 18, 13-24), zaciągnięto przed „Radę Najwyższą” kapłanów, a więc przed sanhedryn, to nie odpowiadało to realiom politycznym jego czasów. Niegdyś przesłuchania istotnie przeprowadzano przed sanhedrynem. Musiało to się dziać między porannym a wieczornym „wiecznym całopaleniem” a zatem między dziewiątą rano a czwartą po południu. Wyrok można było zacząć wydawać najwcześniej 24 godziny po pierwszym przesłuchaniu. Ta forma orzecznictwa należała do obowiązków sanhedrynu w czasach poprzedzających okupację rzymską.

Ale nawet gdyby prawo starożydowskie obowiązywało w czasach Jezusa, to postępowanie opisane w ewangeljach było sprzeczne w fundamentalnych regułach nawet z dawną metodą postępowania. Proces zaczął się bezpośrednio po uwięzieniu, a więc bez zachowania dwudziestoczterogodzinnego terminu od chwili pierwszego przesłuchania. Nie przesłuchano też, jak stanowił dawny przepis, dwóch niezależnych świadków.

Informacje przekazane przez ewangelistów są, z historycznego punktu widzenia, co najmniej problematyczne, a nawet sprzeczne. Marek i Łukasz nie wymieniają na przykład imienia arcykapłana, Mateusz mówi o „Kaifaszu”, Jan zaś o „Annaszu”. Ale w czasach Jezusa Annasz już od dwudziestu lat nie pełnił służby arcykapłańskiej. Relacje te nie są historycznie poprawne. Raczej wymyślono je później, aby przypisać Żydom winę za śmierć Jezusa. Prawdopodobnie Jezus od chwili uwięzienia w nocy do wczesnych godzin porannych znajdował się pod strażą Rzymian.

Przesłuchanie przed arcykapłanem zapewne zmyślono – aby przedstawić Żydów jako morderców Jezusa. Fantazji ewangelistów zawdzięczamy również wskazówkę o Piotrowym wyparciu się Jezusa, „zanim kur zapieje” (Mat. 26, 34). W czasach Jezusa w całej Jerozolimie nie można było uświadczyć ani jednego koguta. W mieście bowiem było zabronione trzymanie drobiu, bo uważano go za „nieczysty”. Wymyślony jest też zapewne przebieg przesłuchania przed Piłatem. Aby podkreślić rzekomą winę Żydów, Piłata trzeba było przedstawić jako przyjaznego Jezusowi, jako tego, który chce uniewinnić rzekomego bluźniercę. Według Ewangelii św. Jana Rzymianin ten przyznał: „Ja w nim żadnej winy nie znajduję” (Jan 18, 38.).

Kim był Barabasz?

Podobno Piłat dał Jezusowi ostatnią szansę: razem z jakimś Barabaszem postawił go, wybiczowanego do krwi przez siepaczy, przed ludem. Jeden z nich mógł zostać uniewinniony, decyzja należała do Żydów. Lud wybrał rzekomo Barabasza: „Piłat tedy, usłyszawszy te słowa, wyprowadził Jezusa na zewnątrz i zasiadł na krześle sędziowskim, na miejscu zwanym Kamienny Bruk, a po hebrajsku Gabbata. A był to dzień Przygotowania Paschy, około szóstej godziny; i rzekł do Żydów: Oto król wasz! A oni zawołali: Precz, precz, ukrzyżuj go!” (Jan 19, 13-15). Także według Mateusza (27, 21-22) i Marka (15, 12-13) lud żydowski wyraził życzenie, aby uwolnić Barabasza, Jezusa zaś ukrzyżować. Loisy już w 1936 roku w swojej dwutomowej pracy *Les origines du Nouveau Testament* wykazał, że właśnie epizod z Barabaszem świadczy o przeinaczaniu przez wczesnych teologów chrześcijańskich zdarzeń historycznych. Bo po uwięzieniu Jezusa w Jerozolimie wybuchły zamieszki. Żydzi żądali nie ukrzyżowania Jezusa, lecz jego uwolnienia. A ponieważ Jezus powtórnie określił się jako „syn Ojca, który jest w niebie”, krzyczeli: „Wolność dla syna Ojca! Wolność dla Barabasza!”. Ale czy wzburzeni Żydzi naprawdę żądali uwolnienia Jezusa? Czy wzmianki o zamieszkach zafałszowano w relacjach? W wielu dawnych rękopisach bowiem Barabasz jest określanY jako „Jezus Barabasz”!

Dr Landmann uważa:

„Możliwe jest również, że prawdziwy przebieg wydarzeń posłużył za podstawę do wypaczonego przedstawienia faktów w Nowym Testamencie jako nagonki na Jezusa, zainicjowanej przez Żydów. Buntownik, którego uwolnienia zamiast Jezusa domagał się od Piłata z wrzaskiem żydowski motłoch, nazywał się Barabas. Jest to imię aramejskie, a znaczy »syn taty«. Ponieważ Jezus zawsze określał się tym mianem, przy czym przez słowo »tata« rozumiał »Boga Ojca«, mogło zdarzyć się i tak, że Żydzi błagali krzykiem – na próżno – właśnie o uwolnienie Jezusa. Jeśli tak było, to mamy kolejny dowód, że prości Żydzi – w przeciwieństwie do przedstawicieli hierarchii świątynnej – Jezusa popierali, Nowy Testament natomiast Przedstawił ten epizod jako nagonkę Żydów na niego” [S. Landmann, Jesus starb nicht in Kaschmir, München 1996.].

Jednoznacznie nieprawdziwie z historycznego punktu widzenia przedstawili też wszyscy czterej ewangeliści (Mat. 27, 24-26; Mar. 15, 15; Łuk. 23, 24_25; Jan 19, 16) inną sytuację: Piłat umywa ręce mówiąc, że nie jest Winien krwi sprawiedliwego, i pozostawia wydanie wyroku śmierci Żydom. Żaden rzymski urzędnik nie uzależniał wyroku od zgody czy sprzeciwu przedstawicieli narodu żydowskiego. Jeśli proces Jezusa się odbył, to przeprowadzono go według Lex Julia Maiestatis. Wtedy by skazano Jezusa na śmierć przez ukrzyżowanie. Wtedy by go związano i wychłostano biczem – tak, jak prawo rzymskie traktowało politycznych wicherzycieli. Zachowały się nawet słowa, jakie usłyszał Jezus: „Condemno, ibis in cruce. Lictor, conglia manus. Verberetur!” („Skazuję cię: Będziesz ukrzyżowany. Liktorze, zwiąż mu ręce. Będzie wychłostany!”).

Jezus poszedł więc na śmierć za człowiekiem, którego uczniem był kiedyś niedaleko qumrańskiego klasztoru. Musiał umrzeć, jak umarł Jan Chrzciciel: bo Rzymianie obawiali się obu jako „wicherzycieli”, jako „wywrotowców”, Jezusa zaś jako potencjalnego „króla Żydów”. Stracenie Jezusa miało działać odstrasza­jąco. Piłat chciał pokazać, że na krzyżu skończy każdy, kto będzie wzywał do powstania przeciw Rzymianom. Dlatego właśnie kazał umieścić na krzyżu napis – właściwie przekazany w Ewangelii św. Marka (15, 26) – „I.N.R.I.”, „Iesus Nazarenus Rex Iudorum, czyli „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”. Także rozdzielenie części ubrania skazanego pośród rzymskich strażników było zgodne z rzymskim zwyczajem. Ale kiedy, którego roku stracono Jezusa?

Kiedy umarł Jezus?

Proces Jezusa, co do tego ewangeliści są zgodni, odbył się za Poncjusza Piłata, którego czasy prefektury w Jerozolimie przypadają na lata 26--36 n.e. Którego roku skazano i stracono Jezusa? Ewangelia św. Jana podaje, że ukrzyżowanie odbyło się 14 dnia miesiąca Nisan, według Marka, Łukasza i Mateusza było to 15 Nisan.

Bardziej prawdopodobna jest data 14 Nisan. Jezus świętował przecież wraz z uczniami ostatnią wieczerzę. Gdyby to było w piątek, w święto Paschy, to na stole nie zabrakłoby pieczonego jagnięcia. Ale mięsa jagnięcia nie jedzono – czy dlatego, że wieczerza odbyła się dzień przed Paschą? 14 Nisan, co łatwo obliczyć, przypadał w piątek w latach 30 i 33 n.e. Teoretycznie możliwe jako lata ukrzyżowania są też 27 i 34 rok n.e., ale za rządów Piłata w 27 roku było na to zapewne za wcześnie, w 34 roku natomiast raczej za późno. Ostatnia Wieczerza odbyła się najprawdopodobniej w czwartek, dzień przed ukrzyżowaniem Jezusa. Ale którego roku?

Ewangelie piszą, że kiedy Jezusa ukrzyżowano, księżyc zabarwił się na czerwono. Można stąd wyciągnąć wniosek, że nastąpiło zaćmienie Księżyca, który w pierwszej fazie tego zjawiska istotnie zabarwia się na czerwono, szczególnie przy zaćmieniu częściowym. Takie zaćmienie zdarzyło się w 33 roku n.e. Bardziej niż prawdopodobne jest zatem, że Jezusa ukrzyżowano 3 kwietnia 33 roku.

Całun Turyński i tajemnica zmartwychwstania

Rzymscy strażnicy mieli obowiązek złamać skazańcowi golenie po zapadnięciu zmroku. Dlaczego? Ukrzyżowanie było uważane nie tylko za egzekucję, lecz również za torturę. Narzędzie tortur, krzyż, składał się z pionowego słupa, ręce przybijano skazańcowi nad głową. Rzymianie zapożyczyli tę metodę od ludów Wschodu, dodali jednak do słupa poprzeczną belkę, do której przybijano ręce skazańca. Rany od gwoździ na rękach i nogach nie prowadziły do śmierci. Po sześciu, dwunastu minutach od ukrzyżowania ciśnienie krwi ukrzyżowanego spadało o połowę, a puls przyśpieszał dwukrotnie. Serce przetaczało za mało krwi, skazaniec popadał w omdlenie i w jakby półśnie podążał na spotkanie śmierci. Aby zwiększyć jego cierpienia i odwlec zgon, pod krzyż podstawiano palik, na którym umierający mógł się oprzeć. Zapobiegano w ten sposób rozrywaniu ran w rękach przez gwoździe. Nie jest pewne, czy stopy Jezusa przybito do krzyża gwoździami. Często rzymscy oprawcy przywiązywali stopy do krzyża kawałkiem powroza. Jeśli umierający czuł zbliżające się błogosławione dlań omdlenie, opierał się o palik, odciążając mięśnie rozciągane ciężarem zwisającego ciała. Teraz było mu łatwiej oddychać, serce zaczynało lepiej pracować i zaopatrywać organizm w krew. Omdlenie mijało, ukrzyżowany nie umierał – zaczynał cierpieć od nowa.

Wieczorem rzymscy żołnierze łamali ukrzyżowanym golenie. Odtąd skazańcy nie mogli się już podeprzeć. Popadali w omdlenie, krążenie krwi słabło, zbliżała się śmierć. W ten sposób zapobiegano zdjęciu z krzyża żywego jeszcze ukrzyżowanego przez krewnych pod osłoną nocy. Według Jana (19, 33) golenie złamano tylko dwóm mężczyznom ukrzyżowanym z Jezusem, jemu zaś nie. Czy rzeczywiście oszczędzono mu tej operacji – nie wiemy. Być może fragment ten przeredagowano tak, aby spełniło się dawne proroctwo: „ani kości z niej nie złamiecie” (II Mojż. 12, 46). Żołnierze uznali, że Jezus nie żyje. Czy tak było? Od stuleci wciąż powraca twierdzenie, że Jezus na krzyżu zapadł w letarg. Heinrich Eberhard Gottlob Paulus doszedł do przekonania, że Jezus przeżył ukrzyżowanie. Ale dowodów na to nie ma. W każdym razie opisy Nowego Testamentu umożliwiają precyzyjne prześledzenie zdarzeń rozgrywających się na Golgocie.

Okolo dziewiątej rano rozpoczęto krzyżowanie. O trzeciej po południu Jezusowi podano do wypicia ocet, który wywołał u niego głębokie omdlenie. O czwartej dowódca straży centurio Cassius Longinus przebił włócznią bok Jezusa. Pojawiła się krew i woda. Według dr. R. W. Hynka jest to wyraźny dowód, że Jezus jeszcze żył. Do tego samego wniosku doszedł również koloński lekarz, dr Hermann Mödder, oraz traumatolog i anestezjolog, dr I. W. Bourne, ordynator oddziału anestezjologii londyńskiego Szpitala św. Tomasza. Nawet jeżeli klatka piersiowa się nie porusza, przeżycie jest możliwe. Nawet najwolniejsze, najślabsze uderzenia serca wystarczą dla utrzymania człowieka przy życiu.

Okolo piątej po południu zaczął padać ulewny deszcz i Jezusa zdjęto z krzyża. Zapewne dokonano tego bez zgody Piłata. Przypuszczalnie na przekupienie rzymskich żołnierzy, aby „patrzyli w drugą stronę” wystarczyło parę monet. Krótko przed szóstą wieczór miejsce straceń było już prawie puste. Ponuro odcinało się od horyzontu. Nikodem złożył ciało Jezusa do skalnego grobu. Czy w tym czasie Jezus nie umarł? Maria Magdalena i Maria Jakubowa strzegły grobu jako pierwsze. Być może Jezus jeszcze żył, kiedy zawijano go w prześcieradło. Ale jeśli tak, to zapewne tylko przez kilka godzin po ukrzyżowaniu.

Ogólnoświatową sensację wzbudza do dziś tak zwany Całun Turyński. Na płótnie wielkości 4,36 x 1,10 m widać wyraźnie wizerunek ukrzyżowanego. Przez wieki Całun czczono jako najświętszą chyba relikwię chrześcijan. Czy kiedyś w to płótno owinięto ciało Jezusa? Czy jest to istotnie prześcieradło, o którym wspominają zgodnie wszyscy ewangelści (Mat. 27, 59; Mar. 15, 46; Łuk. 23, 53; Jan 19, 40). Najdokładniejszy opis jest w Ewangelii św. Jana: „Wzięli tedy ciało Jezusa i zawinęli je w prześcieradła z wonnościami, jak Żydzi mają zwyczaj chować umarłych”. Pietro Savio z Tajnego Archiwum Watykańskiego w trakcie mozolnej pracy odtworzył historię Inianego skarbu. Znalazł

niezliczone wzmianki i opisy Całunu w wielu różnych tekstach. Historia Całunu jest udokumentowana od II do XIII wieku n.e.

W 1204 roku Konstantynopol zdobyli rycerze krzyżowi. Francuz Otto de la Roche – jak pisze historyk Robert de Clari – odnalazł wówczas relikwię: całun Jezusa. 150 lat później do relikwii modlili się pobożni pielgrzymi w Besanron. Podczas pożogi mało brakowało, żeby Całun padł ofiarą płomieni, ale udało się go uratować. Na relikwii widać ślady ognia. Z południowej Francji Całun przewieziono w końcu do Turynu. W 1889 roku po raz pierwszy uwiecznił go na fotografii Secondo Pio – właśnie wtedy świat obiegła sensacyjna wiadomość: naturalnej wielkości wizerunek zamęczonego, pobiczowanego i udręczonego człowieka w koronie cierniowej na głowie nie jest obrazem we właściwym sensie tego słowa, ale raczej negatywem obrazu.

Z tego negatywu można na drodze fotograficznej otrzymać pozytyw. Wtedy ukazuje się plastyczny obraz umęczonego człowieka. Czy jest to portret Jezusa? Wierni byli o tym przekonani przez stulecia.

Ale potem – dopiero przed paru laty – „zdemaskowano” relikwię jako rzekome fałszerstwo. Datowanie radiowęglowe wykazało podobno, że Całun pochodzi z lat 1260-1390. Kolejna sensacyjna wiadomość obiegła świat. Znowu wydawało się, że rozwiązano kolejną „pozorną zagadkę”. Ale pozór ów był zwodniczy, bo wyroki ferowane przez dziennikarzy nie mających pojęcia o sprawie okazały się przedwczesne. Demaskowanie tajemnic – to dobre na nagłówki gazet, niezależnie od tego, czy historia, jaka się za nimi kryje jest udokumentowana źle czy dobrze. Tymczasem rzekome „zdemaskowanie” już dawno zostało zdemaskowane, o czym „jaśnie oświecona” prasa nie raczyła oczywiście prawie wcale poinformować. Jesienią 1996 roku, z okazji kongresu mikrobiologów w Nowym Orleanie w USA, stwierdzono, że nowe datowanie jest nieprawdziwe [Por. „Ärzte-Zeitung” z 20-21.9.1966.]. Przyczyną tej pomyłki była inwazja bakterii i grzybów na Całun, jaka nastąpiła w późniejszych wiekach.

Badacze z Turynu oraz z Uniwersytetu Stanu Wirginia w Blacksburg znaleźli na Całunie wskazówkę, umożliwiającą datowanie dokładnie: przed zawinięciem ciała w płótno ukrzyżowanemu położono na zamknięte powieki monety. Istotnie – za czasów Jezusa było w zwyczaju kłaść monety na zamknięte oczy zmarłego. Monety z Całunu udało się jednoznacznie zidentyfikować za pomocą maksymalnego powiększenia fotograficznego. Zgodnie z orzeczeniem wybito je za rządów prokuratora rzymskiego Poncjusza Piłata. Odkryto również inne wskazówki. Już w 1978 roku chemicy, fizycy i inni naukowcy wchodzący w skład międzynarodowej komisji oświadczyli, że Całun zdecydowanie nie jest malowidłem, a więc nie jest też fałszerstwem. Jest to odbicie człowieka, ukrzyżowanego w czasach Jezusa, człowieka martwego.

„Ärzte-Zeitung” pisze: „O śmierci osoby zawiniętej w płótno świadczy ślad pośmiertnego krwawienia z boku, w którym pojawia się osocze, oraz stopy, których końce świadczą o stężeniu pośmiertnym” [Ibidem.]. A już w 1973 roku zuryjski lekarz specjalizujący się w medycynie sądowej i mikroorganizmach, Max Frei, na podstawie mikroskopowych badań pyłków w tkaninie zweryfikował miejsce jej pochodzenia – była to Palestyna. 14 z 58 gatunków roślin zidentyfikowanych przez Freia występowało w czasach Jezusa wyłącznie w okolicach Jerozolimy. Czy więc Całun Turyński jest prawdziwą relikwią Jezusową? Przemawia za tym wiele poszlak. Wizerunek na płótnie powstał na pewno przez bezpośrednie zetknięcie z ciałem ludzkim. Zmarłego, który miał 1,75 m wzrostu, widać bowiem z przodu, i z tyłu. Kontakt materiału z ciałem zakończył się po 30, najwyżej 36 godzinach. Odbicie powstało zapewne przez utlenienie i odwodornienie włókien na powierzchni materiału. Nie da się wyjaśnić tego procesu. Dr Baptiste Rinaudo, fizyk z Montpellier, uważa, że była to „emisja protonów, emitowanych przez ciało znajdujące się

pod wpływem nieznannej energii”. Byłbyż więc Całun Turyński dowodem na największą tajemnicę Nowego Testamentu – na zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa?

Faktem jednak jest, że na odbiciu twarzy na Całunie Turyńskim widać obrzęki. Mogłoby to stanowić dowód na słowa Mateusza: „i policzkowali go, a drudzy bili go pięściami” (Mat. 26, 67). Na czole i karku było mnóstwo niewielkich skaleczeń. Czy jest to dowodem na słowa Jana: „A żołnierze upletli koronę z ciernia, włożyli mu na głowę” (Jan 19, 2)? Także na innych częściach ciała wystąpiły, co widać na płótnie, liczne obrzęki. Jest to dowód na słowa: „Wówczas Piłat wziął Jezusa i kazał go ubiczować” (Jan 19, 1.) W prawym boku, pod klatką piersiową, mężczyzna zawinięty niegdyś w Całun, ma głęboką ranę. Ranę tę opisano w Nowym Testamencie następująco: „jeden z żołnierzy włócznią przebił bok jego i zaraz wyszła krew i woda” (Jan 19, 34).

Nie należy zapominać o innej ważnej poszlacie na prawdziwość płótna: prawie przez dwa tysiąclecia chrześcijańscy artyści przedstawiali ukrzyżowanie niewłaściwie. Jezus wisiał na krzyżu, przy czym gwoździami miał przebite dłonie. Gdyby ktoś przed wiekami zamierzał sfałszować Całun, aby uznano go za „najświętszą relikwię”, to wizerunek zawierałby i ten szczegół. Ślady ran byłoby widać i na dłoniach. Na Całunie jednak ślady ran znajdują się w miejscach właściwych z anatomicznego punktu widzenia – na przegubach.

Posłowie

Nadzieja powstania z martwych

Nowy Testament nie jest biografią Jezusa w ścisłym znaczeniu tego słowa. Ewangelie są raczej świadectwem, jak z biegiem wieków postępowano z Jezusem jako z postacią historyczną. Już we wczesnej fazie chrześcijaństwa nie tylko go opisywano, lecz również interpretowano. Uczeń Jana Chrzciciela, chcący położyć kres panowaniu Rzymian, przeobraził się w „cudotwórcę”, który robił ludziom nadzieję na życie pozagrobowe. Jeśli zrozumiemy zamiary, przyświecające autorom biblijnym, będzie możliwe duże przybliżenie prawdziwej postaci Jezusa. Był to człowiek – i jako taki podlegał przemianom. Z gniewnego młodzieńca stał się istotą nieziemską, głoszącą miłość bliźniego:

„Będziesz miłował Pana, Boga swego, z całego serca swego i z całej duszy swojej, i z całej myśli swojej, i z całej siły swojej, a bliźniego swego, jak siebie samego” (Łuk. 10, 27).

Jak daleko pamięcią sięgnąć, ludzie zastanawiali się nad kwestią, czy istnieje życie po śmierci. Jezus był o tym przekonany. Czy rzeczywiście zmartwychwstał, jak naucza Kościół? Właśnie to jest, być może, największą tajemnicą całej Biblii: powstanie Jezusa z martwych. A może da na to odpowiedź Całun Turyński. Czy tajemnicze energie sprawiły, że uderzający wizerunek Jezusa powstał w chwili jego zmartwychwstania? Wierzący nie mają wątpliwości – dla nich to pewnik. A nawet sceptyk przyzna, że wszystkim wolno mieć nadzieję.

A kiedy już będziemy mieli raj niebieski na ziemi, to zastosujmy się do Jezusowego przykazania o miłości bliźniego!

Bibliografia

Istnieje wiele dostępnych tłumaczeń Starego Testamentu. Polecamy następujące:

- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań 1997.

- Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa 1991.
- Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r., Warszawa 1999.
- Biblia to jest całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Warszawa b.d.wyd.
- Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1990.
- Die vierundzwanzig Bücher der Heiligen Schrift, übersetzt von Leopold Zunz, Victor Goldschmidt Verlag, Basel 1980.
- Die fünf Bücher der Weisung, ins Deutsche übertragen von Martin Buber gemeinsam mit Franz Rosenzweig, Jakob Hegner, Köln und Olten 1954.
- Bücher der Kündigung, ins Deutsche übertragen von Martin Buber gemeinsam mit Franz Rosenzweig, Jakob Hegner, Köln und Olten 1966.
- Bücher der Geschichte, ins Deutsche übertragen von Martin Franz Rosenzweig, Jakob Hegner, Köln und Olten 1969.
- Die Schriftwerke, ins Deutsche übertragen von Martin Buber, Verlag Lambert Schneider, Heidelberg 1976.

Godne uwagi jest również Neue-Welt-Übersetzung der Heiligen Schrift mit Studienverweisen, Selters, b.d.wyd.

Osoby zainteresowane problematyką biblijną powinny przeczytać:

Lapide Pinchas, Ist die Bibel richtig übersetzt?, t. 1 und 2, Gütersloh 1994 i 1995.

Interesujące wnioski na temat najważniejszych postaci biblijnych zawiera książka Petera Calvocoressiego Kto jest kto w Biblii, Łódź 1992.

Osoby zainteresowane ewangeliami Nowego Testamentu i chcące się zapoznać z wypowiedziami różnych autorów w tej kwestii niech sięgną do tak zwanego synopsis ewangelicznego. Szczególnie godne polecenia są:

Synopse der Evangelien, Stuttgart 1989

Schmid Josef, Synopse der drei ersten Evangelien mit Beifügung der Johannes-Parallelen, Regensburg 1977.

Istnieje wiele wydań apokryfów Nowego Testamentu. Godne polecenia to:

Schneemelcher Wilhelm, Neutestamentliche Apokryphen, Band I: Evangelien, Tübingen 1990, oraz Band II: Apostolisches, Apokalypsen und Uerwandtes, Tübingen 1989.

Apokryphe Evangelien aus Nag Hammadi, Andechs 1988.

Schöpfungsberichte aus Nag Hammadi, Andechs 1989.

Apokryfy Nowego Testamentu, t.I: Ewangelie apokryficzne, cz. 1-2. Lublin 1986.

Dla pogłębienia tematów poruszonych w niniejszej książce polecamy następujące tytuły;

Aaron Robert, Die verborgenen Jahre Jesu, München 1973.

Barthel Manfred, Was wirklich in der Bibel steht, Düsseldorf 1987.

Ben-Chorin, Schalom: Bruder Jesus, München 1983.

Ben-Chorin, Schalom: Paulus, München 1983.

Berger Klaus, Exegese des Neuen Testaments, Heidelberg 1977.

Beyer Alexander, Der Menschensohn, „Theologische Literaturzeitung“ 1925, s. 10.

Blumrich Josef, Pojazdy kosmiczne Ezechiela, Łódź 1993.

Bornemann Eduard, Griechische Grammatik, Frankfurt am Main 1978.

Braun Herbert, An die Hebräer, Tübingen 1984.

Bultmann Richard, Die Geschichte der synoptischen Tradition, Göttingen 1958.

Bultmann Rudolf, Jesus, Tübingen 1926.

Conzelmann Hans, Die Apostelgeschichte erklärt, Tübingen 1972.

Däniken Erich von, Dzień Sądu Ostatecznego trwa od dawna, Warszawa 1997.

Dibelius Martin, Die Pastoralbriefe, Tübingen 1966.

Dopatka Ulrich, Lexikon der auJ3erirdischen Phänomene, Bindlach 1992.

Flusser David, Jesus, Reinbek 1968.

Garden Ernest, Sagt die Bibel die Wahrheit?, Lüneburg 1957.

Grabow Sandra, Die Menschen und ihre Götter, zeszyt zpecjalny „Unknown Reality”, Frankfurt/Oder.

Hausrath Adolf, Jesus und die neutestamentlichen Schrifsteller, Berlin 1908.

Hengge Paul, Die Bibel-Korrektur, Stuttgart 1979.

Herbig Jost, Nahrung für die Götter, München 1988.

Hessen Johannes, Religionsphilosophie, München 1955.

Heyn Immanuel, Jesus im Lichte der modernen Theologie, Greifswald 1907.

Hinker Wolfgang, Wenn die Bibel recht hätte, Stuttgart 1970.

Kalthoff Albert, Das Christusproblem, Leipzig 1902.

Käsemann Ernst, An die Römer, Tübingen 1980.

Kee Howard C., Das frühe Christentum in soziologischer Sicht, Göttingen 1982.

Kersten Holger, Jesus lebte in Indien, München 1993.

Kirchschläger Walter, Schriftverständnis leicht gemacht, Klosterneuburg 1980.

Kraft Heinrich, Die Offenbarung des Johannes, Tübingen 1974.

Kühner Otto, Das Jahr Null und die Bibel, b.m.wyd. 1962.

Küng Hans, Theologie im Aufbruch, München 1987.

Landmann Salcia, Jesus starb nicht in Kaschmir, München 1996.

Langbein Walter-Jörg, Bogowie-astronaucci, Warszawa 1996.

Langbein Walter-Jörg, Zanim nastąpił potop, Warszawa 1998.

Langbein Walter-Jörg, Syndrom Sfinksa, Warszawa 1997.

Leiris Michel, Die eigene und die fremde Kultur, Frankfurt 1977.

Lenzen Josef (opr.), Geschichte der katholischen Kirche, Graz 1986.

Luther Martin, Traktate (w:) Bibliothek deutscher Klassiker – Hutten, Müntzer, Luther, Band II, Berlin 1989. Cytat za: Von der Freiheit eines Christenmenschen, S. 114-138.

Tenze, Eine treue Uermahnung zu allen Christen sich zu hüten vor Aufruhr und Empörung, S. 139-153; Von Kaufshandlung und Wucher, S. 184-245; Wider die räuberischen und mörderischen Rotten der Bauern, S. 259-265.

Mazar Benjamin, Der Berg des Herrn, Bergisch Gladbach 1979.

Morison Frank, Wer wälzte den Stein?, Hamburg 1950.

Müntzer Thomas, Traktate (w:) Bibliothek deutscher Klassiker – Hutten, Müntzer, Luther, Band II, Berlin 1989. Cytat za: Hochverursachte Schutzrede, S. 244-266.

Neuner Josef i Roos Heinrich, Der Glaube der Kirche in den Urkunden der Lehrverkündigung, Regensburg 1986.

Niederwimmer Kurt, Askese und Mysterium, Göttingen 1975.

Pagels Elaine, Uersuchung durch Erkenntnis, Frankfurt 1981. .

Papieska Komisja Biblijna, Über die geschichtliche Wahrheit der Evangelien, Instrukcja Papieskiej Komisji Biblijnej z 21.4.1964, Klosterneuburg 1965.

Paulus Heinrich, Das Leben Jesu als Grundlage einer reinen Geschichte des Urchristentums, Heidelberg 1828.

Reimarus Hermann Samuel (opr. Gotthold E. Lessing), Von dem Zwecke Jesu und seiner Jünger, Braunschweig 1778.

Renan Ernest, Das Leben Jesu, Zürich 1981.

Rost Leonhard, Einleitung in die alttestamentlichen Apokryphen und pseudepigraphen einschließlich der großen Qumran-Handschriften, Heidelberg 1979.

Ranke-Graves Robert von i Patai Raphael, Hebräische Mythologie, Reinbek 1986.

Sassoon George i Dale Rodney, Maszyna do produkcji manny, Warszawa 1996.

Schmidt Paul Wilhelm, Die Geschichte Jesu, Freiburg 1899.

Schonfield Hugh j., Die Essener, Fulda 1985.

Semler Johann Salomo, Beantwortung der Fragmente eines Ungenannten insbesondere vom Zweck Jesu und seiner Jünger, Halle 1779.

Spitta Friedrich, Das Johannesevangelium als Quelle der Geschichte Jesu, Göttingen 1910.

Strauss David Friedrich, Streitschriften zur Uerteidigung meiner Schrift über das Leben Jesu und zur Charakteristik der gegenwärtigen Theologie, Tübingen 1837.

Thiele Johannes, Madonna mia, Stuttgart 1990.

Wach Joachim, Religionssoziologie, Tübingen 1951.

Warner Marina, Maria, München 1982.

Weidel Karl, Jesu Persönlichkeit, Halle 1908.

Weiser Alfons, Was die Bibel Wunder nennt, Stuttgart 1975.

Wendling Emil, Die Entstehung des Markusevangeliums, Tübingen 1908.

Zahn Thomas, Einführung in das Neue Testament, b.m.wyd. 1907.

Zahrnt Heinz, Es begann mit Jesus von Nazareth, Stuttgart 1960.

Zink Jörg, Die Wahrheit läßt sich finden, Stuttgart 1972.

Wydawnictwa periodyczne:

Zagadkami Starego Testamentu zajmuje się wiele czasopism niemieckojęzycznych.
Publikacje godne polecenia to:

„Ancient Skies” i „Scientific Ancient Skies”, adres: Ancient Astronaut Society, Postfach,
CH-3803 Beatenberg, Szwajcaria.

„Challenge”, adres: Heideweg 5, D-54614 Heisdorf, Niemcy.

„Magazin für Grenzwissenschaften”, adres: Niederstraße 1, D-56637 Plaidt, Niemcy.

„UFO-Kurier”, adres: Hirschauer Straße 10, D-72108 Rottenburg, Niemcy.

„Unknown Reality”, adres: Hamburger Straße 11, D-15234 Franlāurt/Oder, Niemcy. Pod
tym adresem można również nabyć numer specjalny Die Menschen und ihre Götter
Sandry Grabow.